



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Źnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

PG7158

.S4

P6

1888

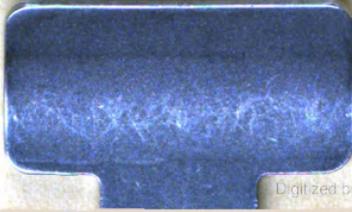
t.1

THE PENNSYLVANIA STATE
UNIVERSITY LIBRARIES



1057

12361
AS 110-



**THE PENNSYLVANIA STATE
UNIVERSITY LIBRARIES**

P I S M A

HENRYKA SIENKIEWICZA.

TOM X.

P O T O P.

TOM I.

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1888.

HENRYK SIENKIEWICZ.

P O T O P. /

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

WYDANIE DRUGIE.

TOM I.

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1888.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Апрелья 1888 г.

KRAKÓW.

Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem Jana Gadowskiego.

W S T Ę P.

Był na Żmudzi ród możny Billewiczów, od Mendoga się wywodzący, wielce skoligacony i w całym Rosieńskim nad wszystkie inne szanowany. Do urzędów wielkich nigdy Billewiczowie nie doszli, co najwięcej powiatowe piastując, ale na polu Marsa niepożyte krajowi oddawali usługi, za które różnemi czasami hojnie bywali nagradzani. Gniazdo ich rodzinne, istniejące do dziś, zwało się także Billewicze, ale prócz nich posiadali wiele innych majątności i w okolicy Rosień i dalej ku Krakinowu, wedle Laudy, Szoi, Niewiaży — aż hen, jeszcze za Poniewieżem. Potem rozpadli się na kilka domów, których członkowie potracili się z oczu. Zjeżdżali się wszyscy wówczas tylko, gdy w Rosieniach, na równinie zwanej Stany, odbywał się popis pospolitego ruszenia żmudzkiego. Częściowo spotykali się także pod chorągwiami litewskiego komputu i na sejmikach, a że byli zamożni, wpływowi, więc liczyć się z nimi musieli sami nawet wszechpotężni na Litwie i Żmudzi Radziwiłłowie.

Za panowania Jana Kazimierza, patriarchą wszystkich Billewiczów był Herakliusz Billewicz, pułkownik lekkiego znaku, podkomorzy upicki. Ten nie

mieszkał w gnieździe rodzinnem, które dzierzył pod owe czasy Tomasz, miecznik rosieński; zaś do Herakliusza należały Wodokty, Lubicz i Mitruny, leżące w pobliżu Laudy, naokół, jakoby morzem, ziemianami drobnej szlachty oblane.

Prócz Billewiczów bowiem, kilka było tylko większych domów w okolicy, jak Sołohuby, Montwiłłowie, Schyillingowie, Koryznowie, Sicińscy (choć i drobnej braci tychże nazwisk nie brakło), zresztą całe porzecze Laudy usiane było gęsto tak zwanymi „okolicami“, albo mówiąc zwyczajnie: zaściankami, zamieszkałemi przez sławną i głośną w dziejach Żmudzi szlachtę laudańską.

W innych okolicach kraju rody brały nazwę od zaścianków, albo zaścianki od rodów, jako bywało na Podlasiu; tam zaś, wzdłuż laudańskiego porzecza, było inaczej. Tam mieszkali w Morezach Stakjanowie, których, owego czasu, Batory osadził za męstwo, okazane pod Pskowem. W Wołmontowiczach, na dobrej glebie roili się Butrymowie, największe chłopcy z całej Laudy, słynni z małomówności i ciężkiej ręki, którzy czasu sejmików, najazdu lub wojen, murem w milczeniu iść zwykli. Ziemie w Drożejkanach i Mozgach uprawiali liczni Domaszewiczowie, słynni myśliwi; ci puszcza Zielonką aż do Wiłkomierza tropem niedźwiedzim chadzali. Gasztowtowie siedzieli w Pacunelach: panny ich słynęły pięknnością, tak, iż wkońcu wszystkie gładkie dziewczęta w okolicy Krakinowa, Poniewieża i Upity pacunelkami nazywano. Sołohubowie Mali byli bogaci w konie i bydło wyborne, na leśnych pastwiskach hodowane; zaś Gościewiczowie w Goszczunach smołę w lasach pędzili, od którego zajęcia zwano ich Gościewiczami Czarnymi albo Dymnami.

Było i więcej zaścianków, było i więcej rodów. Wielu z nich nazwy istnieją jeszcze, ale po większej części i zaścianki nie leżą tak, jak leżały i ludzie innymi w nich imionami się wołają. Przyszły wojny, nieszczęścia, pożary, odbudowywano się nie zawsze na dawnych pogorzeliiskach, słowem: zmieniło się wiele. Ale czasu swego kwitnęła jeszcze stara Lauda w pierwotnym bycie i szlachta laudańska do największej doszła wziętości, gdyż przed niewiele laty, czyniąc pod Łojowem przeciw zbuntowanemu kozactwu, wielką się sławą pod wodzą Janusza Radziwiłła okryła.

Służyli zaś wszyscy laudańscy w chorągwi starego Herakliusza Billewicza; więc bogatsi, jako towarzysze, na dwa konie, ubożsi na jednego, najubożsi w pocztowych. Wogóle szlachta to była wojenna i w zawodzie rycerskim szczególnie rozmiłowana. Natomiast na tych sprawach, które zwykłą materją sejmików stanowiły, mniej się znali. Wiedzieli, że król jest w Warszawie, Radziwiłł i pan Hlebowicz, starosta, na Żmudzi, a pan Billewicz w Wodoktach na Laudzie. To im wystarczało i głosowali tak, jak ich pan Billewicz nauczył, w przekonaniu, że on chce tego, czego i pan Hlebowicz, ten znów z Radziwiłłem idzie w ordynku, Radziwiłł jest ręką królewską na Litwie i Żmudzi, król zaś małżonkiem Rzeczypospolitej, ojcem rzeszy szlacheckiej.

Pan Billewicz był zresztą więcej przyjacielem, niż klientem potężnych oligarchów w Birzach — i to wielce cenionym, bo na każde zawołanie miał tysiąc głosów i tysiące szabel laudańskich, a szabel w rękach Stakjanów, Butrymów, Domaszewiczów, lub Gasztowtów nie lekceważył jeszcze w tym czasie nikt w świecie. Później

dopiero zmieniło się wszystko, właśnie wówczas, gdy pana Herakliusza Billewicza nie stało.

Nie stało zaś tego ojca i dobrodzieja szlachty laudańskiej w r. 1654. Rozpaliła się wówczas wzdłuż całej wschodniej ściany Rzeczypospolitej straszna wojna. Pan Billewicz już na nią nie poszedł, bo nie pozwolił mu na to wiek i głuchota, ale laudańscy poszli. Owoż, gdy przysła wieść, że Radziwiłł pobity został pod Szklowem, a laudańska chorągiew w ataku na najemną piechotę francuską prawie w pień wycięta — stary pułkownik, rażony apopleksją, duszę oddał.

Wieść tę przywiózł niejaki pan Michał Wołodyjowski, młody, ale bardzo wstawiony żołnierz, który w zastępstwie pana Herakliusza, laudańskim z ramienia Radziwiłła przewodził. Resztki ich przybyły także do zagród ojczystych, znękane, pogięzione, zgłodzone i śladem całego wojska na hetmana wielkiego narzekając, że ufny w groźbę swego imienia, w urok zwycięzcy, z małą siłą na dziesięćkroć liczniejszą potęgę się rzucił, a przez to pogrążył wojsko, kraj cały.

Lecz wśród ogólnych narzekań ani jeden głos nie podniósł się przeciw młodemu pułkownikowi, panu Jerzemu Michałowi Wołodyjowskiemu. Owszem ci, co uszli z pogromu, wystawiali go pod niebiosa, cuda opowiadając o jego doświadczeniu wojskowym i czynach. I jedyną to było pociechą dla laudańskich niedobitków wspominać o przewagach, których pod przewodem pana Wołodyjowskiego dokonali: jako w ataku przebili się niby przez dym, przez pierwsze kupy pośledniejszego żołnierza; jak potem na francuskich najemników wpadłszy, cały regiment najprzedniejszy w puch na szablach roznieśli, przyczem pan Wołodyjowski własną ręką

ściął tegoż regimentu oberszta; jako nakoniec otoczeni i w cztery ognie wzięci, salwowali się po desperacku z zamętu, gęstym trupem padając i nieprzyjaciela łamiąc.

Słuchali z żalem, ale i dumą, owych opowiadań ci z laudańskich, którzy wojskowo w kompucie litewskim nie służąc, obowiązani byli tylko w pospolitem ruszeniu stawać. Spodziewano się też powszechnie, że pospolite ruszenie, ostateczna kraju obrona, wkrótce zostanie zwołane. Była już zgóry umowa, że w takim razie pan Wołodyjowski zostanie obrany laudańskim rotmistrzem, bo choć się do miejscowego obywatelstwa nie liczył, nie było odeń między miejscowem obywatelstwem sławniejszego. Niedobitkowie mówili jeszcze o nim, że samego hetmana z toni wyrwał. To też cała Lauda na rękę go prawie nosiła, a okolica wydzierała go okolicy. Kłócili się zwłaszcza Butrymi, Domaszewicze i Gasztowtowie, u których ma zostać na dłużej gościną. On zaś tak sobie owę bitną szlachtę upodobał, że gdy okruchy wojsk radziwiłłowskich ciągnęły do Birż, by tam jako tako po kłęsce przyjść do sprawy — on z innymi nie odszedł, ale jeżdżąc z zaścianku do zaścianku, w Pacunelach u Gasztowtów wreszcie stałą rezydencyą założył, u pana Pakosza Gasztowta, który nad wszystkimi w Pacunelach miał zwierzchność.

Co prawda, nie mógłby był pan Wołodyjowski żadną miarą do Birż jechać, gdyż zachorował obłożnie, najprzód przysły nań złe gorączki, potem od kontuzyi, którą był pod Cybichowem otrzymał, odjęto mu prawą rękę. Trzy panny Pakoszówny, słynne z urody pacunelki, wzięły go w czułą opiekę i poprzysięgły tak sławnego kawalera do pierwotnego zdrowia doprowadzić,

szlachta zaś kto żyw był, zajęła się pogrzebem dawnego swego wodza, pana Herakliusza Billewicza.

Po pogrzebie otwarto testament nieboszczyka, z którego pokazało się, iż stary pułkownik dziedziczką całej fortuny, z wyjątkiem wsi Lubicza, uczynił wnuczkę swą Aleksandrę Billewiczównę, łowczankę upicką, opiekę zaś nad nią, dopókiby zamąż nie poszła, powierzył całej szlachcie laudańskiej...

....„Którzy, jako mnie życzliwymi byli (głosił testament) i miłością za miłość płacili, niechże i sierocie tak będą, a w tych czasach zepsucia i przewrotności, gdy przed swawolą ludzką nikt bezpieczny, ani próżny bojaźni być nie może — niechaj sieroty przez pamięć moją od przygody strzegą.

„Baczyć także mają, aby fortuny w bezpieczeństwie zażywała, z wyjątkiem wsi Lubicza, którą panu Kmicicowi, młodemu chorążemu orszańskiemu daję, daruję i zapisuję, aby w tem przeszkody jakiej nie miał. Ktoby zaś się tej przychylności mojej dla W-nego Andrzeja Kmicica dziwował, albo w tem krzywdę wnuczki mojej urodzonej Aleksandry upatrywał, wiedzieć ma i powinien, iżem od ojca urodzonego Jędrzeja Kmicica jeszcze z młodych lat, aż do dnia śmierci, przyjaźni i zgoła braterskiego afektu doznawał. Z którym wojny odprawowałem i życie mi po wielekroć ratował, a gdy złość i invidia panów Sicińskich wydrzeć mi fortunę chciały — i do niej mi dopomógł. Tedy ja, Herakliusz Billewicz, podkomorzy upicki, a razem grzesznik niegodny, przed srogim sądem bożym dziś stojący, przed czterema laty (żyw jeszcze i nogami po nizinie ziemskiej chodząc) do pana Kmicica, ojca miecznika Orszańskiego się udałem, aby wdzięczność i przyjaźń stateczną ślubo-

wać. Tamże, za wspólną zgodą, postanowiliśmy obyczajem dawnym szlacheckim i chrześcijańskim, że dzieci nasze, a mianowicie syn jego Andrzej z wnuczką moją Aleksandrą, łowczanką, stało uczynić mają, aby z nich potomstwo na chwałę Bożą i pożytek Rzeczypospolitej wyrosło. Czego sobie najmocniej życzę i wnuczkę moją Aleksandrę do posłuszeństwa tu wypisanej woli obowiązuję, chybaby pan chorąży orszański (czego Bóg nie daj) szpetnymi uczynkami sławę swą splamił i bezecnym był ogłoszony. A jeśliby substancją swą rodzinną utracił, co przy tamtej ścianie, wedle Orszy, łącznie zdarzyć się może, tedy go ma pod błogosławieństwem za męża mieć, choćby też i od Lubicza odpadł, nic na to nie zważać.

„Wszelako, jeśliby za szczególną łaską Boga, wnuczka moja chciała na chwałę Jego panieństwo swe ofiarować i zakonny habit przywdziać, tedy wolno jej to uczynić, albowiem chwała Boża przed ludzką iść powinna“

W takito sposób rozporządził fortuną i wnuczką pan Herakliusz Billewicz, czemu nikt się bardzo nie dziwił. Panna Aleksandra zdawna wiedziała co ją czeka i szlachta zdawna o przyjaźni między Billewiczem a Kmicicami słyszała — zresztą umysły w czasach kłęski czem innem były zajęte, tak, że wkrótce i mówić o testamencie przestano.

Mówiono tylko o Kmicicach nieustannie we dworze w Wodoktach, a raczej o panu Andrzeju, bo stary miecznik nie żył już także. Młodszy pod Szklowem z własną chorągwią i orszańskimi wolentarzami stawał. Później zniknął z oczu, ale nie przypuszczano, żeby zginął, gdyż śmierć tak znacznego kawalera pewnieby nie uszła niepostrzeżenie. Familianci to bowiem byli w Or-

szańskiem Kmicie i panowie znacznych fortun, ale tamte strony płomień wojny zniszczył. Powiaty i ziemie całe zmieniały się w głuche pola, kruszyły się fortuny, ginęli ludzie. Po złamaniu Radziwiłła nikt już silniejszego oporu nie dawał. Gosiewski, hetman polny, sił nie miał; koronni hetmanowie wraz z wojskami na Ukrainie ostatkiem wojsk walczyli i wspomóc go nie mogli, również jak i Rzeczpospolita przez wojny kozackie wyczerpana. Fala zalewała kraj coraz dalej, gdzieniegdzie tylko o warowne mury się odbijając, ale i mury padały jedno za drugim, jak upadł Smoleńsk. Województwo Smoleńskie, w którym leżały fortuny Kmiciców, uważano za stracone. W powszechnem zamieszaniu, w powszechnej twodze rozproszyli się ludzie, jak liście wichrem rozegnane i nikt nie wiedział, co się z młodym chorążym orszańskim stało.

Ale że do starostwa Żmudzkiego wojna jeszcze nie doszła, ochłonęła zwolna szlachta laudańska po klęsce szkłowskiej. „Okolice“ poczęły się zjeżdżać i naradzać tak o rzeczy publicznej, jak o sprawach prywatnych. Butrymowie, najskorsi do boju, przebąkiwali, że trzeba będzie na kongresa pospolitego ruszenia do Rosień jechać, a potem do Gosiewskiego, by pomścić szkłowską przegraną; Domaszewicze myśliwi poczęli się zapuszczać lasami, puszczą Rogowską, aż pod zastępy nieprzyjacielskie, wieści z powrotem przywożąc; Gościewicze Dymni w dymach mięso na przyszlą wyprawę wędzili. W sprawach prywatnych postanowiono bywałych i doświadczonych ludzi na odszukanie pana Andrzeja Kmicica posłać.

Składali owe rady starsi laudańscy pod przewodem Pakosza Gasztowta i Kassyana Butryma, dwóch

patryarchów okolicznych — wszystka zaś szlachta, której ufność, jaką w niej położył zmarły pan Billewicz, wielce pochlebiła, poprzysięgła sobie wiernie stać przy literze testamentu i pannę Aleksandrę prawie rodzicielską opieką otoczyć. To też, gdy czasu wojny, nawet w stronach, do których wojna nie doszła, zrywały się niesnaski i zawichrzenia, na brzegach Laudy wszystko pozostało spokojnie. Żadnych dyferencyj nie podniesiono, nie było żadnego worywania się w granice majątności młodej dziedziczki; nie przesypywano kopców, nie wycięto cechowanych sosen na rubieżach lasów, nie zajechano pastwisk. Owszem wspomagano zasobną samą przez się dziedziczkę, czem która „okolica“ mogła. Więc Stakjanowie nadrzeczni nadsyłali ryby solonej, z Wołmontowicz od mrukliwych Butrymów przychodziły zboża, siano od Gasztowtów, zwierzyzna od Domaszewiczów myśliwych, smoła i dziegieć od Gościewiczów Dymnych. O pannie Aleksandrze nikt inaczej w zaściankach nie mówił, jak „nasza panna“, a piękne pacunelki wyglądały pana Kmicica bogdaj tak samo niecierpliwie, jak ona.

Tymczasem przyszły wieści zwołujące szlachtę — więc poczęto ruszać się na Laudzie. Kto z pacholecia wyrosł na męża, kogo nie pochylił wiek, ten na koń siadać musiał. Jan Kazimierz przybył do Grodna i tam miejsce generalnego zboru naznaczył. Tam też ciągnięto. Ruszyli w milczeniu pierwsi Butrymowie, za nimi inni, a Gasztowtowie naostatku, jak zawsze czynili, bo im od pacunerek żal było odjeżdżać. Szlachta z innych stron kraju w małej tylko stawiała się liczbie i kraj pozostał bez obrony, ale Lauda pobożna stanęła w całości.

Pan Wołodyjowski nie ruszył, bo nie mógł jeszcze ręką władać, więc właśnie jako wojski między pacu-
nelkami pozostał. Opustoszały „okolice“ i jeno starcy
z białogłowami zasiadali wieczorem przy ogniskach.
Cicho było w Poniewieżu i Upicie — czekano wszędy
na nowiny.

Panna Aleksandra również zamknęła się w Wodo-
ktach, nikogo prócz sług i swych opiekunów laudań-
skich nie widując.

ROZDZIAŁ I.

Przyszedł nowy rok 1652. Styczeń był mroźny, ale suchy; zima tęga przykryła Żmudź świętą grubym na łokieć, białym kozuchem; lasy gięły się i łamały pod obfitą okiścią, śnieg olśniewał oczy w dzień przy słońcu, a nocą przy księżycu migotały jakoby iskry niknące po stężalej od mrozu powierzchni; zwier zbliżał się do mieszkań ludzkich, a ubogie szare ptastwo stukało dziobem do szyb, szedzia i śnieżnemi kwiatami okrytych.

Pewnego wieczora siedziała panna Aleksandra w izbie czeladnej, wraz z dziewczętami dworskimi. Dawnyto był zwyczaj Billewiczów, że gdy gości nie było, to z czeladzią spędzali wieczory, śpiewając pieśni pobożne i przykładem swym prostactwo budując. Tak też czyniła i panna Aleksandra, a to tem łacniej, że między jej dziewczkami dworskimi same były prawie szlachcianki, sieroty bardzo ubogie. Te robotę wszelką, choćby najgrubszą, spełniały i przy paniach służebnemi były, a wzamian za to ćwiczyły się w obyczajności, lepszego doznając od prostych dziewczek traktowania. Były jednak między nimi i chłopki, mową głównie się różniące, bo wiele z nich popolsku nie umiało.

Panna Aleksandra wraz z krewną swoją panną Kulwiecówną siedziały wpośrodku, a dziewczęta po bokach na ławach; wszystkie kądziel przędły. Na potężnym kominie, ze zwieszonym okapem, paliły się kłody sosnowe i karpy, to przygasając, to znów strzelając jasnym, wielkim płomieniem lub iskrami, w miarę jak stojący wedle komina wyrostek przyrzuczał drobniejszych brzeźniaków i łuczywa. Gdy płomień strzelił jaśniej, widać było ciemne, drewniane ściany ogromnej izby z nadzwyczaj niskim, belkowanym sufitem. U belek wisały na niciach różnokolorowe gwiazdki, uczynione z opłatków, trzęsące się w ciepłe, a zza belek wyglądały motki czesanego lnu, zwieszające się na obie strony, jakby tureckie zdobyczne buńczuki. Cały niemal pułap był niemi założony. Po ścianach ciemnych błyszczały, jakoby gwiazdy, statki cynowe, większe i mniejsze, stojące lub poopierane na długich półkach dębowych.

W głębi przy drzwiach kudłaty Żmudzin huczał gwałtownie żarnami, mrużąc pod nosem pieśń monotonną, panna Aleksandra przesuwiała w milczeniu paciorki różańca, prządki przędły, nic jedna do drugiej nie mówiąc.

Światło płomienia padało na ich młode, rumiane twarze, one zaś z rękoma wzniesionymi ku kądzielom, lewą podszczypując len miękki, prawą kręcąc wrzeciona, przędły gorliwie, jakby na wyścigi, surowymi spojrzeniami panny Kulwiecówny podniecane. Czasem też spoglądały na się bystremi oczkami, a czasem na pannę Aleksandrę, jakby w oczekiwaniu, rychło Żmudzinowi mleć zakaże i pieśń pobożną rozpocznie; ale z robotą nie ustawały i przędły, przędły; wiły się nici, warczały

wrzeciona, migotały druty w ręku panny Kulwiecówny, a kudłaty Żmudzin w żarna huczał.

Chwilami jednak przerywał robotę, widocznie coś się w żarnach psuło, bo jednocześnie rozlegał się jego gniewny głos:

— Padłś!

Panna Aleksandra podnosiła głowę, jakby rozbudzona ciszą, która następowała po okrzykach Żmudzina; wówczas płomień oświecał jej twarz i poważne błękitne oczy, patrzące spod brwi czarnych.

Była to urodziwa panna o płowych włosach, bladej cerze i delikatnych rysach. Miała piękność białego kwiatu. Żałobna suknia dodawała jej powagi. Siedząc przed tym kominem, była tak w myślach pogrążona, jak w śnie; zapewne nad dolą własną rozmyślała, gdyż losy jej były w zawieszeniu.

Testament przeznaczał ją na żonę człowieka, którego nie widziała od lat dziesięciu, a że dobiegała dopiero dwudziestu, więc pozostało jej tylko niejasne wspomnienie dziecinne jakiegoś burzliwego wyrostka, który za czasu swego pobytu z ojcem w Wodoktach, więcej z rusznicą po bagnach latał, niż na nią patrzył.

— Gdzie on jest i jaki on jest teraz? — oto pytania, które cisnęły się na myśl poważnej pannie.

Znała go wprawdzie jeszcze z opowiadań nieboszczyka podkomorzego, który na cztery lata przed śmiercią przedsięwziął był daleką podróż do Orszy. Otóż, wedle tych opowiadań, miał to być „wielkiej fantazyi kawaler, choć gorączka okrutny“. Po owym układzie o małżeństwo dzieci, zawartym między starym Bilewiczem a Kmicicem ojcem, miał ów kawaler przyjechać zaraz do Wodoktów akomodować się pannie; tym-

czasem wybuchła wielka wojna i kawaler zamiast do panny, pociągnął na pole beresteckie. Tam postrzelony, leczył się w domu; potem ojca schorzałego i bliskiego śmierci pilnował; potem znowu była wojna — i tak zeszyły owe cztery lata. Teraz od śmierci starego pułkownika upłynął już kawał czasu, a o Kmicicu słuch przepadł.

Miała tedy o czem rozmyślać panna Aleksandra, a może tęskniła do nieznanego. W sercu czystym, właśnie dlatego, że jeszcze miłości nie zaznało, nosiła wielką gotowość do kochania. Iskry tylko trzeba było, żeby na tem ognisku rozpałił się płomień spokojny, ale jasny, równy i jak znicz litewski niegasnący.

Więc niepokój ogarniał ją, czasem luby, a czasem przykry i dusza jej ciągle zadawała sobie pytania, na które nie było odpowiedzi, a raczej dopiero miała nadzieję z pól dalekich. Więc pierwsze pytanie było: zali on z dobrej woli ją zaślubił i gotowością na jej gotowość odpowie? W owych czasach układy rodzicielskie o małżeństwo dzieci bywały rzeczą zwykłą, a dzieci, choćby po śmierci rodziców, związane pod błogostawieństwem, dotrzymywały najczęściej układu. W samem więc zeswataniu jej nie widziała panienska nic nadzwyczajnego, ale że dobra wola nie zawsze z obowiązkiem chodzi w parze, więc i ta troska obciążała płową główkę panny: „Czy on mnie pokocha?“ I potem już stado myśli opadło ją, jak stado ptastwa opada drzewa, samotnie na rozległych polach stojące. Ktoś ty jest? jakiś jest? żyw chodzisz po świecie? czy może już gdzie tam poległeś? . . Dalekoś ty, czy blisko? . . . Otwarte serce panny, jak drzwi otwarte na przyjęcie miłego gościa, mimowoli wołało ku dalekim stronom, ku lasom i polom śnieżnym,

nocą przykrytym: „Bywaj junaku! bo niemasz nic gorszego w świecie nad oczekiwanie!”

Wtem, jakby w odpowiedzi na wołanie, z zewnątrz, właśnie z owych śnieżnych dalekości nocą pokrytych, doszedł głos dzwonka.

Panna drgnęła, lecz oprzytomniawszy, wnet przypomniała sobie, że to z Pacunelów przysyłało każdego prawie wieczora do apteczki po leki dla młodego pułkownika, myśl tę potwierdziła panna Kulwiewówna, mówiąc:

— To od Gasztowtów po dryjakiew.

Nieregularny głos dzwonka, targanego przy dyszlu, brzmiał coraz wyraźniej; nakoniec ucichł nagle, widocznie sanki zatrzymały się przed domem.

— Obacz, kto przyjechał — rzekła panna Kulwiewówna do obracającego żarna Żmudzina.

Żmudzin wyszedł z czeladnej, lecz po małej chwili pojawił się z powrotem i biorąc znów za drag od żaren, rzekł z flegmą:

— Panas Knitas.

— A słowo stało się ciałem! — wykrzyknęła panna Kulwiewówna.

Prządki zerwały się na równe nogi; kądziele i wrzeciona pospadały na ziemię.

Panna Aleksandra wstała także; serce jej biło jak młotem, na twarz występowały rumieńce, a po nich bladość; ale odwróciła się umyślnie od komina, żeby wzruszenia nie okazać.

Wtem, we drzwiach, pojawiła się wyniosła jakaś postać, w szubie i czapce futrzanej na głowie. Młody mężczyzna postąpił na środek izby i poznawszy, że się znajduje w czeladnej, spytał dźwięcznym głosem, nie zdejmując czapki:

— Hej! a gdzie to wasza panna?

— Jestem — odpowiedziała dość pewnym głosem Billewiczówna.

Usłyszawszy to przybyły, zdjął czapkę, rzucił ją na ziemię i skłoniwszy się rzekł:

— Jam jest Andrzej Kmicic.

Oczy panny Aleksandry spoczęły błyskawicą na twarzy Kmicica, a potem znów wbiły się w ziemię; przez ten czas jednak zdołała panienska dojrzeć płową jak żyto, mocno podgoloną czuprynę, smagłą cerę, siwe oczy, bystro przed się patrzące, ciemny wąs i twarz młodą, orlikowatą, a wesołą i junacką.

On się zaś w bok ujął lewą ręką, prawą do wąsa podniósł i tak mówił:

— Jeszczem w Lubiczu nie był, jeno tu ptakiem śpieszyłem do nóg panny łowczanki się pokłonić. Prosto z obozu mnie tu wiatr przywiał, daj Boże, szczęśliwy.

— Waćpan wiedziałeś o śmierci dziadusia podkomorzego? — spytała panna.

— Nie wiedziałem, alem go łzami rzewnemi opłakał, dobrodzieja mojego, gdym się o jego zgonie od owych szaraków dowiedział, którzy z tych stron do mnie przybyli. Szczery to był przyjaciel, nieledwie brat mego nieboszczyka rodzica. Pewnie waćpannie wiadomo dobrze, że przed czterema laty aż pod Orszę do nas przybył. Wtedy mi to waćpannę obiecał i konterfekt pokazał, do którego po nocach wzdychałem. Byłbym tu wcześniej przyjechał, ale wojna nie matka: ze śmiercią jeno ludzi swata.

Zmieszła nieco panienkę ta śmiała mowa, więc chcąc ją na co innego odwrócić, rzekła.

— To waćpan jeszcze swojego Lubicza nie widział?

— Czas na to będzie. Tu pierwsze służby i droższy legat, który najprzód chciałbym odziedziczyć. Jeno mi się waćpanna tak od komina odwracasz, żem do tąd i w oczy spojrzeć nie mógł. Ot! tak! odwróć się waćpanna, a ja od komina zajdę! — ot — tak!

To rzekłszy, śmiały żołnierz chwycił niespodziewającą się takiego postępku Oleńkę za ręce i ku ognisku odwrócił, tak nią jak frygą zakręciwszy.

Ona zaś zmieszała się jeszcze bardziej i nakrywszy oczy długimi rzęsami, stała tak światłem i własną pięknnością zawstydzona. Kmicic puścił ją wreszcie i uderzył się po kontuszu.

— Jak mi Bóg miły, rarytet! Dam na sto mszy po moim dobrodzieju, że mi cię zapisał. Kiedy ślub?

— Jeszcze nie prędko, jaszczem nie waćpana — odrzekła Oleńka.

— Ale będziesz, choćbym ten dom miał podpalić! Na Boga! myślałem, że konterfekt pochlebiony, ale tu, widzę, malarz wysoko mierzył, a chybił. Sto bizunów takiemu i piece mu malować, nie one specyały, któremi oczy pasę Miżoż to taki legat dostać, niech mię kule biją!

— Dobrze nieboszczyk dziaduś mi powiedział, żeś waćpan gorączka.

— Tacy u nas wszyscy w Smoleńskim, nie jak wasi Żmudzini. Raz, dwa! i musi być, jak chcemy, a nie, to śmierć!

Oleńka uśmiechnęła się i rzekła już pewniejszym głosem, podnosząc na kawalera oczy:

— Ej! to chyba Tatarzy u was mieszkają?

— Wszystko jedno! a waćpanna moją jesteś z woli rodziców i po sercu.

— Po sercu, to jeszcze nie wiem.

— Niechbyś nie była, tobym się nożem pchnął!

— Śmiejący się to waćpan mówisz, ale i my to jeszcze w czeladnej! Proszę do komnat. Po długiej drodze pewnie się i wieczerza przygodzi, proszę!

Tu Oleńka zwróciła się do panny Kulwiecówny:

— Ciotuchna pójdzie z nami?

Młody chorąży spojrział bystro:

— Ciotuchna? — spytał — jaka ciotuchna?

— Moja, panna Kulwiecówna,

— A to i moja! — odparł, zabierając się do rąk całowania. — Dla Boga! toż ja mam w chorągwi towarzysza, który się zwie Kulwiec-Hippocentaurus. Czy nie krewniak, proszę?

— To z tych samych! — odrzekła dygając stara panna.

— Dobry chłop, ale wicher, jak i ja! — dodał Kmicic.

Tymczasem wyrostek ukazał się ze światłem, więc przeszli do sieni, gdzie pan Andrzej szubę z siebie rzucił, a potem na drugą stronę, do komnat gościennych.

Zaraz po ich odejściu, prządki zbiły się w ciasną gromadkę i nuż jedna przez drugą gadać a uwagi czynić. Strojny młodzian podobał się im bardzo, więc i nie szczędziły mu słów, wzajemnie się w pochwałach przesadzając.

— Łuna od niego bije; — mówiła jedna — kiedy wszedł, myślałam, że królewicz.

— A czy ma jak ryś, aż niemi kłóje: — odrzekła druga — takiemu się nie przeciw!

— Najgorzej się przeciwiać! — odpowiedziała trzecia.

— Panną, jak wrzecionem okręci! Ale już to znać, że mu się udała bardzo, bo i komużby się ona nie udała?

— Ale i on nie gorszy, nie bój się! Żeby ci się taki zdarzył, poszłabyś i do Orszy, choć to podobno na końcu świata.

— Szczęśliwa panna!

— Bogatym zawsze lepiej na świecie. Ej, ej! złotoż to, nie rycerz.

— Mówiły pacunelki, że i ten rotmistrz, któren jest u pacunelk, u Starego Pakosza, piękny kawaler.

— Nie widziałam ja go, ale gdzie jemu do pana Kmicica! Już takiego chyba na świecie niema!

— Padł! — zawołał nagle Żmudzin, któremu znów się coś w żarnach popsuło.

— A nie pójdziesz ty kudłaty ze swojemi wymysłami! Dajże już pokój, bo się i dosłyszeć nie można!... Tak, tak! trudno lepszego, jak pan Kmicic, na całym świecie znaleźć! Pewnie i w Kiejdanach takiego niema!

— Taki to się i przyśni!

— Niechby się ono i przyśnił!...

W takito sposób rozprawiły ze sobą szlachcianki w czeladnej. Tymczasem nakrywano co duchu w izbie stołowej, a w gościnnej mówiła panna Aleksandra samnasam z Kmicicem, bo ciotka Kulwiecówna poszła krzątać się wedle wieczerzy.

Pan Andrzej nie zdejmował wzroku z Oleńki i oczy iskrzyły mu się coraz bardziej, nakoniec rzekł:

— Są ludzie, którym majątność nad wszystko mil-

sza, inni za zdobyczą na wojnie gonią, inni się w koniach kochają, ale jabym waćpanny za żadne skarby nie oddała! Dalibóg, im więcej patrzę, tem większa ochota do żeniaczki, żeby choć i jutro! Już tę brew, to chyba waćpanna korkiem przypalonym malujesz?

— Słyszałam, że tak płoche czynią, ale jam nie taka.

— A oczy jakoby z nieba! Od konfuzyi słów mnie brakuje.

— Nie bardzoś waćpan skonfundowany, gdy tak obcesem na mnie nastajesz, aż mnie i dziwno.

— To też obyczaj nasz smoleński: do niewiast, czy w ogień, śmiało iść. Musisz, królowo, do tego przywyknąć, bo tak zawsze będzie.

— Musisz waćpan odwyknąć, bo nie może tak być.

— Może się i poddam, niech mnie usieką! Wierz, waćpanna, nie wierz, a radbym ci nieba przychylić! Dla ciebie, mój królu, gotówem się i obyczajów innych uczyć, bo wiem to do siebie, żem żołnierz prostak i w obozie więcej bywałem, niżli na pokojach dworskich.

— Ejże, nicto nie szkodzi, bo i mój dziaduś żołnierzem był, ale dziękuję za dobrą chęć! — odrzekła Oleńka i oczy jej spojrzały tak słodko na pana Andrzeja, że mu odrazu serce jak wosk stopniało, i odrzekł:

— Waćpanna mnie na nitce będziesz wodzić!

— Oj, niepodobny waćpan do takich, których na nitce wodzą! Najtrudniej to z niestatecznymi.

Knicie ukazał białe, jakoby wilcze zęby, w uśmiechu.

— Jakto! — rzekł — małżożto ojcowie nałamali

na mnie różeg w konwencie, abym do statku przyszedł i różne piękne maksymy spamiętał, przewodniczki żywota....

— A którążeś najlepiej spamiętał?

— „Kiedy kochasz, padaj do nóg“ ot tak!

To rzekłszy, pan Kmicic już był na kolanach, panienka zaś wołała, chowając nogi pod stołek:

— Dla Boga! tego w konwencie nie uczyli! Daj waćpan pokój, bo się rozgniewam... i ciotka zaraz przyjdzie....

On zaś, klęcząc ciągle, podniósł głowę w górę i w oczy jej patrzył.

— A niech i cała chorągiew ciotek nadciągnie, nie zaprę się ochoty!

— Wstańże waćpan.

— Już wstaję.

— Siadaj waćpan.

— Już siedzę.

— Zdrajca z waćpana, Judasz!

— A, nieprawda, bo jak całuję, to szczerze!...

Chcesz się przekonać?

— Ani się waćpan waż!

Panna Aleksandra śmiała się jednak, a od niego aż łuna biła młodości i wesołości. Nozdrza mu latały, jak młodemu żrebcowi szlachetnej krwi.

— Aj! aj! — mówił — coto za oczki, jakie liczko! Ratujcież mnie wszyscy święci, bo nie usiedzę!

— Nie trzeba wszystkich świętych wzywać. Siedziałeś waćpan cztery lata, aniś tu zajrzał, to siedź i teraz!

— Ba! znałem jeno konterfekt. Każę tego malacza w smołę a potem w pierze wsadzić i po rynku

w Upicie biczem pędzać. Już powiem wszystko szczerze: chcesz waćpanna, to przebacz — nie, to szyję utnij! Myślałem sobie tedy, na ów konterfekt poglądnąc: gładka gadzina, bo gładka, ale gładkich nie brak na świecie — mam czas! Ojciec nieboszczyk napędzał, żeby to jechać, a ja zawsze jedno: mam czas! żeniaczka nie przepadnie! panny na wojnę nie chodzą i nie giną. Nie przeciwiełem się ze wszystkim woli ojcowskiej, Bóg mi świadek, ale chciałem wpierw wojny zażyć, jakoż na własnej skórze praktykowałem. Teraz dopiero poznaję, że byłem głupi, bo mogłem i żeniaty na wojnę iść, a tu mnie delicye czekały. Chwała Bogu, że całkiem mnie nie usiekli. Pozwól, waćpanna, rączki ucałować.

— Lepiej nie pozwolę.

— Tedy nie będę pytał. U nas w Orszańskim mówią: prosz, a nie dają, to sam weź!

Tu pan Andrzej przypiął się do rączki panienki i całować ją począł, a panienka nie wzbraniała zanadto, żeby nieżyczliwości nie okazać.

Wtem weszła panna Kulwiecówna i widząc, co się dzieje, podniosła oczy do góry. Nie zdała jej się ta konfidencya, ale nie śmiała strofować, natomiast zaprosiła na wieczerzę.

Poszli tedy oboje, wzięwszy się pod ręce, jakby rodzeństwo, do jadalnej izby, w której stał stół nakryty, a na nim wszelkich potraw obficie, zwłaszcza wędlin wybornych i omszały gąsiorek wina, moc dającego. Dobrze było ze sobą młodym, rażno i wesoło. Panna już była po wieczerzy, więc tylko pan Kmicie zasiadł i jeść począł z tą samą żywością, z jaką przedtem rozmawiał.

Oleńka spoglądała nań z boku, rada, że je i pije,

potem zaś, gdy nasycił pierwszy głód, zaczęła znów wypytywać:

— To waćpan nie zpod Orszy jedziesz?

— Bo ja wiem zkąd!... Dziś tu bywałem, jutro tam! Takem pod nieprzyjaciela podchodził, jako wilk pod owce i co tam można było urwać, tom urwał.

— A żeś się to waćpan ważył takiej potędze opowiadać, przed którą sam hetman wielki musiał ustąpić?

— Żem się ważył? Jam na wszystko gotów, taka we mnie natura!

— Mówił to i nieboszczyk dziaduś... Szczęście, żeś waćpan nie zginął.

— E! nakrywali mnie tam czapką i ręką, jako ptaka w gnieździe, ale co nakryli, tom uskoczył i gdzieindziej ukąsił. Naprzykrzyłem się tak, że jest cena na moją głowę... Wyborny półgęsek!

— W imię Ojca i Syna! — zawołała z nieudanem przerażeniem Oleńka, spoglądając jednocześnie z uwielbieniem na tego młodziana, który razem mówił o cenie na swą głowę i o półgęsku.

— Chybaś miał waćpan potęgę wielką do obrony?

— Miałem oczywiście swoich dragoników, bardzo przednich, ale mi się w miesiąc wykruszyli. Potem z wolentarzami chodziłem, których zbierałem, gdzie mogł, nie przebredzając. Dobrzy pachołkowie do bitwy, ale łotry nad łotrami! Ci, co nie poginęli, prędzej czy później pójdą wronom na frykasy...

To rzekłszy, pan Andrzej znów się rozśmiał, wychylił kielich wina i dodał:

— Takich drapichróstów jeszcze waćpanna nie widziała. Niech im kat świeci! Oficerowie, wszystko szlachta z naszych stron, familianci, godni ludzie, ale

prawie na każdym jest kondemnatka. Siedzą teraz w Lubiczu, bo co miałem innego z niemi robić?

— To waćpan z całą chorągwią do nas przyciągnął?...

— Tak jest. Nieprzyjaciel zamknął się w miastach, bo zima okrutna! Moi ludzie też się zdarli, jako miotły od ciągłego zamiatania, więc mi książę wojewoda hiberny w Poniewieżu naznaczył. Dalibóg, dobrze to zasłużony wypoczynek!

— Jedz waćpan, proszę.

— Jabym dla waćpanny i truciznę zjadł!... Zostawiłem tedy część mojej hołoty w Poniewieżu, część w Upicie, a godniejszych kompanionów do Lubiczam w gościnę zaprosił... Ci przyjdą waćpannie czołem bić.

— A gdzie waćpana laudańscy ludzie znaleźli?

— Oni mnie znaleźli, gdym i tak już do Poniewieża na hiberny szedł. Byłbym i bez nich tu przyciągnął.

— Pijno waćpan...

— Jabym dla waćpanny i truciznę wypił...

— Ale o śmierci dziadusia i o testamencie, to laudańscy dopiero waćpanu powiedzieli?

— A, o śmierci to oni. Panie, świeć nad duszą mego dobrodzieja! Czy to waćpanna wysłałaś do mnie tych ludzi?

— Tego sobie waćpan nie myśl. O żałobie myślałam i modlitwie, więcej o niczem...

— Oni też to samo mówili... Ho! harde jakieś szaraki!... Chciałem im dać nagrodę za fatygę, to jeszcze się na mnie zachnęli i nuż przymawiać, że to może orszańska szlachta munsztułuki bierze, ale laudańska nie! Bardzo mi szpetnie przymawiali! Co ja

słyszając, myślę sobie tak: nie chcecie pieniędzy, każe wam dać po sto bizunów.

Na to panna Aleksandra chwyciła się za głowę.

— Jezus Marya! i waćpan to uczynił?

Kmicie spojrział zdziwiony.

— Nie przestraszaj się waćpanna... Nie uczyniłem, choć się dusza zawsze we mnie na takich szlachetków przewraca, którzy równymi nam się być mienią. Ale sobie pomyślał: okrzyczą mnie niewinnie w okolicy za gwałtownika i jeszcze przed waćpanną obmówią.

— Wielkie to szczęście! — rzekła oddychając głęboko Oleńka — bo inaczej na oczybym waćpana widzieć nie mogła.

— A to jakim sposobem?

— Mała to szlachta, ale starożytna i sławna. Dziaduś nieboszczyk zawsze się w niej kochał i na wojnę z niemi chodził. Wiek życia razem przesłużyli, a czasu pokoju w dom ich przyjmował. Stara to domu naszego przyjaźń, którą waćpan szanować musisz, Masz przecie serce i nie popsujesz tej świętej zgody, w której żyliśmy dotąd!

— To ja o niczem nie wiedziałem! niech mnie usieką, jeśli wiedział! A przyznaję, że ta bosa szlachetczyzna jakoś mi nie idzie do głowy. U nas, kto chłop, to chłop, a szlachta wszystko familianci, którzy po dwóch na jedną kobyłę nie siadają... Dalibóg! że takim szerepetkom nic do Kmiciców, ani do Billewiczów, jak piskorzom nic do szczuk, choć i to, i to ryba

— Dziaduś powiadał, że substancya nic nie stanowi, jeno krew i poczciwość, a to poczciwi ludzie, inaczejby ich dziaduś opiekunami moimi nie czynił.

Pan Andrzej zdumiał i otworzył szeroko oczy.

— Ich? opiekunami waćpanny dziaduś uczynił? wszystką szlachtę laudańską?...

— Tak jest. Waćpan się nie marszcz, bo nieboszczyka wola święta. Dziwno mi to, że wysłańcy tego waćpanu nie powiedzieli?

— Byłbym ich... ale nie może to być! Przecie tu jest kilkanaście zaścianków... wszyscyż to oni nad waćpanną sejmują? zali i nade mną będą sejmikować, czym po ich myśli, czy nie?... E! nie żartujno, waćpanna, bo się we mnie krew burzy!

— Panie Andrzeju, ja nie żartuję... święta i szczerą prawdę mówię. Nie będą oni sejmikowali nad waćpanem, ale jeśli ich nie odepchniesz, pychy nie okażesz, to nietylko ich, ale i mnie za serce ujmiesz. Będę razem z nimi waćpanu dziękowała, całe życie... całe życie, panie Andrzeju...

Głos jej drżał, jak prośba pieściwa, ale on nie rozmarszczał brwi i chmurny był. Gniewem wprawdzie nie wybuchnął, choć chwilami przelatowały mu jakby błyskawice po twarzy, ale odrzekł z wyniosłością i dumą:

— Tegom się nie spodziewał! Szanuję wolę nieboszczyka i tak myślę, że pan podkomorzy mógł ten drobiazg szlachecki do czasu mego przybycia opiekunami waćpanny uczynić, ale gdym tu już raz nogą stanął, nikt inny, prócz mnie, opiekunem nie będzie. Nietylko owe szaraki, ale i sami Radziwiłłowie birzańscy nic tu do opieki nie mają.

Panna Aleksandra spowaźniała i odrzekła po krótkiej chwili milczenia:

— Żle waćpan czynisz, że się dumą unosisz. Kondycye dziadzia nieboszczyka albo trzeba wszystkie przy-

jąć, albo wszystkie odrzucić — rady innej nie widzę. Laudafscy nie będą się przykrzyć, ani też narzucać, bo to godni ludzie i spokojni. Tego waćpan nie przypuszczaj, żeby oni ci ciężcy byli. Gdyby tu jakieś niesnaski powstały, tedyby mogli słowo rzec, ale tak mnie mam, że wszystko pójdzie zgodnie i spokojnie, a wtedy taka to będzie opieka, jakby jej nie było...

On pomilczał jeszcze chwilę, potem ręką kiwnął i rzekł:

— Prawdać to, że ślub wszystko zakończy. Nie ma się o co spierać, niech jeno siedzą spokojnie i nie wtrącają się do mnie, bo dalibóg, nie dam sobie w wąsy dmuchać; zresztą, mniejsza o nich! Przyzwól waćpanna na ślub prędki, to będzie najlepiej!

— Nie wypada teraz o tem mówić w czasie żałoby...

— Aj! a długo będę musiał czekać?

— Sam dziaduś napisał, żeby nie dłużej, jak pół roku.

— Wysznę do tego czasu, jak trzaska. Ale się już nie gniewajmy. Jużes waćpanna tak zaczęła na mnie surowie spoglądać, jak na winowajcę. Bogdajże cię, mój królu złoty! Com ja winien, kiedy natura we mnie taka: gdy mnie gniew na kogo uchwyci, tobym go rozdarł, a gdy przejdzie, tobym zszył!

— Strach z takim żyć — odrzekła już weselej Oleńka.

— No! zdrowie waćpanny! Dobre to wino, a u mnie szabla i wino, to grunt. Jaki tam strach ze mną żyć? Waćpanna to mnie usidlisz swojemi oczkami i w niewolnika obrócisz, mnie, którym nikogo nad sobą znosić nie chciał. Ot, i teraz! wolałem z chorągiewką

na własną rękę chodzić, niż panom hetmanom się kłaniać... Mój królu złoty! jeśli ci się co we mnie nie spodoba, to i przebac, bom się manier pod harmatami uczył, nie we fraucymerach — w zgieńku żołnierskim, nie przy lutni. U nas tam niespokojna strona, szabli z ręki nie popuść. To też, choć tam i kondemnatka jaka na kim cięży, choć go i wyrokami ścigają — nie to! Ludzie go szanują, byle fantazyą miał kawalerską. Exemplum: moi kompanowie, którzy gdzieindziej dawnoby w wieżach siedzieli... swoją drogą godni kawalerowie! Nawet białogłowy u nas w bótach i przy szabli chodzą i partyom hetmanią, jako pani Kokosińska, stryjna mego porucznika czyniła, która teraz kawalerską śmiercią poległa, a synowiec pod moją komendą za nią się mścił, choć jej za życia nie kochał. Gdzie nam dworności się uczyć, choćby największym familiantom? Ale to rozumiemy: wojna — to stawać, sejmik — gardłować, a mało języka — to dalejże szablą! Ot, co jest! takiego mnie nieboszczyk podkomorzy poznał i takiego dla waćpanny wybrał!

— Jam zawsze za wolą dziadusia szła chętnie — odparła, spuszcżając oczy, panienska.

— A dajże jeszcze ręcżyny ucałować, moja słodka dziewczyno! Dalibóg, okrutnieś mi do serca przypadła! Tak mnie sentyment rozebrał, że nie wiem, jak do owego Lubicza trafię, którego jeszcze nie widział.

— Dam waćpanu przewodnika...

— Ej, obejdzie się. Już ja przywykłem tłóć się po nocach. Mam pachółka z Poniewieża, który powinien drogę znać. A tam mnie Kokosiński z kompanami czeka... wieley to familianci u nas Kokosińscy, którzy się Pypką pieczętują... Tego niewinnie bezecnym

ogłoszono, za to, że panu Orpiszewskiemu dom spalił i dziewczkę porwał, a ludzi wyciął... Godny towarzysz!... Dajże jeszcze ręczyny. Czas, widzę, jechać!

Wtem północ poczęła bić zwolna na wielkim gdańskim zegarze, w jadalnej izbie stojącym.

— Dla Boga! czas! czas! — zawołał Kmicic. — Nic tu już nie wskóram! Miłujeszże mnie choć na obwinienie palca?

— Kiedyindziej odpowiem. Przecie będziesz mnie waćpan odwiedzał?

— Codzień! chybaby się ziemia pode mną rozpadła. Niech mnie usieką!...

To rzekłszy, Kmicic wstał i wyszli oboje do sieni. Sanki czekały już przed gankiem, więc ubrał się w szubę i żegnać ją począł, prosząc, by do komnat wróciła, bo z ganku zimno leci.

— Dobranoc, królowo miła, — mówił — śpij smaczno, bo ja, to chyba oka nie zmrużę, o twojej gładkości rozmyślając!

— Byles waćpan czego szpetnego nie upatrył. Ale lepiej dam waćpanu człowieka z kagankiem, bo to i wilków pod Wołmontowiczami nie brak.

— A cóżto ja koza, żebym się wilków miał bać? Wilk żołnierzowi przyjaciel, bo często się z jego ręki pożywi. Wzięło się też i bandolecik do sanek. Dobranoc, najmiłsza, dobranoc!

-- Z Bogiem!

To rzekłszy, Oleńka cofnęła się, a pan Kmicic ruszył ku gankowi. Ale po drodze, w szparze uchylonych drzwi do czeladnej, dojrzał kilka par oczu dziewcząt, które spać się nie pokładły, aby go ujrzeć raz jeszcze. Tym posłał pan Andrzej żołnierskim obyczajem

całusa od ust ręką i wyszedł. Po chwili zabręczał dzwonek i jał brzęczeć zrazu głośno, potem coraz bardziej mdlejącym dźwiękiem, coraz słabiej, wreszcie ustał.

Cicho się zrobiło w Wodoktach, aż ta cisza zdziwiła pannę Aleksandrę; w uszach jej jeszcze brzmiały słowa pana Andrzeja, słyszała jeszcze jego śmiech szczery, wesoły, w oczach stała bujna postać młodzieńca, a teraz po tej burzy słów, śmiechu i wesołości, takie dziwne nastąpiło milczenie. Paniątka nadstawiała uszu, czy nie dosłyszysz jeszcze choć tego dzwonka od sanek. Ale nie! już on tam dzwonił gdzieś w lasach, pod Wołmontowiczami. Więc mocna tęsknota ogarnęła dziewczynę — i nigdy nie czuła się tak samotną na świecie.

Zwolna wzięwszy świecę, przeszła do izby sypialnej i kłękła do pacierzy. Zaczynała je z pięć razy, nim wszystkie z należytą powagą odmówiła. Ale potem jej myśli, jakby na skrzydłach, pognały do tych sanek i do tej postaci w nich siedzącej... Bór z jednej strony, bór z drugiej, w środku szeroka droga, a on sobie jedzie... pan Andrzej! Tu Oleńce wydało się, że widzi, jak na jawie, płową czuprynę, siwe oczy i śmiejące się usta, w których błyszczały białe, jak u młodego psiaka, zęby. Trudno bowiem chciała przed sobą zapierać się poważna panna, że jej się okrutnie podobał ów rozhukany kawaler. Zaniepokoił ją trochę, trochę przestraszył, ale jakże pociągnął zarazem właśnie tą fantazją, tą wesołą swobodą i szczerością. Aż się wstydziła, że jej się podobał nawet ze swojej pychy, kiedy to na wzmiankę o opiekunach, głowę jakby turecki dzianet podniósł i mówił: „Sami nawet Radziwiłłowie birżańscy nic tu do opieki nie mają“... To nie niewieściuch, to mąż prawdziwy! — mówiła

sobie panna. Żołnierz jest, jakich dziadus najwięcej miłował... Bo i warto!

Tak rozmyślała panienka — i to ją ogarniała błogość niczem niezmacona, to niepokój, ale i ten niepokój był jakiś luby. Potem zaczęła się rozbierać, gdy drzwi skrzypnęły i weszła ciotka Kulwiecówna ze świecą w rękę.

— Strasznieście długo siedzieli! — rzekła. — Nie chciałam młodym przeszkadzać, żebyście się sami pierwszym razem nagadali. Grzeczny wydaje się kawaler. A tobie jak się udał?

Panna Aleksandra zrazu nic nie odpowiedziała, jeno bosemi już nóżkami przybiegła do ciotki, zarzuciła jej ręce na szyję, a złożywszy swą jasną głowę na jej piersiach, rzekła pieszczotliwym głosem:

— Ciotuchna, aj, ciotuchna!

— Oho! — mruknęła stara panna, podnosząc w górę oczy i świecę.

ROZDZIAŁ II.

We dworze w Lubiczu, gdy przedeń pan Andrzej zajechał, okna gorzały i gwar dochodził aż na podwórze. Czeladź, usłyszawszy dzwonek, wypadła przed sień, by pana witac, bo wiadano od kompanionów, że przyjedzie. Witano go zatem pokornie, całując po rękach i podejmując pod nogi. Stary włodarz Znikis stał w sieni z chlebem i solą i bił pokłony czołem; wszyscy poglądali z niepokojem i ciekawością, jak też przyszły pan wygląda. On zaś kieskę z talarami na tacę rzucił i o towarzyszów pytał, zdziwiony, że żaden naprzeciw jego gospodarskiej mości nie wyszedł.

Ale oni nie mogli wyjść, bo już ze trzy godziny byli za stołem, zabawiając się kielichami i może nawet nie zauważyli brzęczenia dzwoneków za oknem. Gdy jednak wszedł do izby, ze wszystkich piersi wyrwał się gromki okrzyk: „haeres! haeres przyjechał!“ i wszyscy kompanionowie, zerwawszy się z miejsca, poczęli iść do niego z kielichami. On zaś wziął się pod boki i śmiał się, poznawszy, jako sobie już dali rady w jego domu i zdążyli podpić, nim przyjechał. Śmiał się coraz mocniej, widząc, że przewracają zydle po drodze i słaniają się i idą z powagą pijacką. Przed innymi szedł olbrzymi

pan Jaromir Kokosiński, Pypką się pieczętujący, żołnierz i burda sławny, ze straszliwą blizną przez czoło, oko i policzek, z jednym wąsem krótszym, drugim dłuższym, poręcznik i przyjaciel pana Kmicica, „godny kompanion“, skazany na utratę czci i gardła w Smoleńskim za porwanie panny, zabójstwo i podpalenie. Jegoto teraz osłaniała wojna i protekcyja pana Kmicica, który był mu rówieśnikiem i fortuny ich w Orszańskim, póki swojej pan Jaromir nie przehulał, leżały o miedzę. Szedł on tedy teraz, trzymając w obu rękach roztruchanik, uszniak, dębniakiem wypełniony. Za nim szedł pan Ranicki, herbu Suche Komnaty, rodem z województwa mściśławskiego, z którego był banitem za zabójstwo dwóch szlachty posesyonatów. Jednego w pojedynku usieknął, drugiego bez boju z rusznicy zastrzelił. Mienia nie posiadał, choć macosze ziemie po ojcach odziedziczył. Wojna go także przed katem chroniła. Zawadyaka to był w ręcznym spotkaniu niezrównany. Trzecim z kolei był Rekuć Leliwa, na którym krew nie ciężyla, chyba nieprzyjacielska. Fortunę on zato w kości przegrał i przepił — od trzech lat przy panu Kmicicu się wieszał. Z nim szedł czwarty, pan Uhlik, także Smoleńszczanin, za rozpedzenie trybunału bezezecnym ogłoszony i na gardło skazany. Pan Kmicic go ochraniał, gdyż na czekaniu pięknie grywał. Był prócz nich i pan Kulwiec-Hippocentaurus, wzrostem Kokosińskiemu równy, siłą jeszcze go przewyższający — i Zend kawalkator, który zwierza i wszelkie ptastwo udawać umiał, człowiek niepewnego pochodzenia, choć się szlachcicem kurlandzkim powiadał; będąc bez fortuny, konie Kmicicowi ujeżdżał, za co lafę pobierał.

Ci tedy otoczyli śmiejącego się pana Andrzeja;
Kokosiński podniósł uszniak do góry i zaintonował:

Wypijże z nami, gospodarzu miły,
gospodarzu miły!
Byś pić mógł z nami, aże do mogiły,
aże do mogiły!...

Inni powtórzyli chórem, poczem pan Kokosiński
wręczył Kmicicowi uszniak, a jemu samemu podał
zaraz inny puharek pan Zend.

Kmicic podniósł w górę roztruchan i zakrzyknął:

— Zdrowie mojej dziewczyny!

— Vivat! Vivat! — krzyknęły wszystkie głosy,
aż szyby poczęły drżeć w ołowianych oprawach.

— Vivat! Przejdzie żałoba, będzie weselisko!

Pytania poczęły się sypać:

— A jakoż wygląda? Hej! Jędrus! bardzo gładka?
Czy taka, jak sobie imaginowałeś? Jestli druga taka
w Orszańskim?

— W Orszańskim? — zawołał Kmicic — kominy
przy niej naszymi orszańskimi pannami zatykać!...
Do stu piorunów! niemasz takiej drugiej na świecie!

— Tegośmy dla cię chcieli! — odpowiedział pan
Ranicki. — A no, kiedy wesele?

— Jak się żałoba skończy.

— Furda żałoba! dzieci się czarne nie rodzą,
jeno białe!

— Jak będzie wesele, to nie będzie żałoby. Ostro
Jędrusiu!

— Ostro Jędrusiu! — poczęli wołać wszyscy
razem.

— Już tam chorażętom orszańskim tęskno z nieba
na ziemię! — krzyknął Kokosiński.

— Nie daj czekać niebożętom!

— Mości panowie! — rzekł cieniem głosem Rekuć-Leliwa — popijem się na weselu, jak nieboskie stworzenia!

— Moi mili barankowie — odpowiedział Kmicic — pofolgujcie mi, albo lepiej mówiąc: idźcie do stu dyabłów, niechże się po moim domu obejrzą!

— Na nic to! — odparł Uhlik. — Jutro oględziny, a teraz pospołu do stołu: jeszcze tam parę gąsiorków z pełnemi brzuchami stoi.

— My tu już za ciebie oględziny odprawili. Złote jabłko ten Lubicz! — rzekł Ranicki.

— Stajnia dobra! — wykrzyknął Zend — jest dwa bachmaty, dwa husarskie przednie, para żmudzinów i para kałmuków i wszystkiego po parze, jak oczu w głowie. Stadnię jutro obejrzym.

Tu Zend zarzął jak koń, a oni się dziwili, że tak doskonale udaje i śmieli się.

— Takież tu porządki? — spytał uradowany Kmicic.

— I piwniczka jako się patrzy — zapiszczał Rekuć — ankary smoliste i gąsiory spleśniałe, jakoby chorągwie w ordynku stoją.

— To chwała Bogu! siadajmy do stołu!

— Do stołu! do stołu!

Ale zaledwie siedli i ponalewali kielichy, gdy Ranicki znów zerwał się.

— Zdrowie podkomórzego Billewicza!

— Głupi! — odparł Kmicic. — Jakżeto? nieboszczyka zdrowie pijesz?

— Głupi! — powtórzyli inni. — Zdrowie gospodarskie!

— Wasze zdrowie!...

— By nam się w tych komnatach dobrze działało!

Kmicie rzucił mimowoli okiem po izbie jadalnej i ujrzał na poczerńiałej ze starości modrzewiowej ścianie rząd oczu surowych, w siebie utkwionych. Oczy te patrzyły ze starych portretów Billewiczowskich, wiszących nisko, na dwa łokcie od ziemi, bo i ściana była niska. Nad obrazami, długim, jednostajnym szeregiem, wisiały czaszki żubrzej, jeleniej, łosiej, w koronach z rogów, niektóre już zczerniałe, widocznie bardzo stare, inne połyskujące białością. Wszystkie cztery ściany były niemi ubrane.

— Łowy tu muszą być przednie, bo widzę i zwierza dostatek! — rzekł Kmicie.

— Jutro zaraz pojedziem, albo pojutrze. Trzeba i okolice poznać — odparł Kokosiński. — Szczęśliwys ty Jędrusiu, że masz gdzie głowę przytulić!

— Nie tak jak my! — jęknął Ranicki.

— Wypijemy na pocieszenie! — rzekł Rekuć.

— Nie! nie na pocieszenie! — odpowiedział Kulwicz-Hippocentaurus — ale jeszcze raz za zdrowie Jędrusia, naszego rotmistrza kochanego! Onto, moi moi panowie, przytulił nas tu w Lubiczu, nas biednych exulów, bez dachu nad głową.

— Słusznie mówi! — zawołało kilka głosów. — Nie taki głupi Kulwicz, jak się wydaje.

— Ciężka nasza dola! — pisał Rekuć. — W tobie cała nadzieja, że nas za wrota, sierot biednych, nie wygonisz.

— Dajcie pokój! — mówił Kmicie — co moje, to i wasze!

Na to powstali wszyscy ze swych miejsc i poczęli

go w ramiona brać. Łzy rozczulenia płynęły po tych twarzach srogich i pijackich.

— W tobie cała nadzieja, Jędrusiu! — wołał Kokosiński — choć na grochowinach pozwól się przespać, nie wyganiaj!

— Dajcie spokój! — powtarzał Kmicic.

— Nie wyganiaj, i tak nas wygnali, nas szlachtę i familiantów! — wołał żałośnie Uhlik.

— Do stu kaduków! któż was wygania: jedzcie, pijcie, czego u dyabła chcecie?

— Nie przecz Jędrusiu — mówił Ranicki, na którego twarz wystąpiły cętki, jak na skórze rysia — nie przecz Jędrusiu, przepadliśmy z kretesem...

Tu się zaciął, przyłożył palec do czoła, jakby głowę wysilał i nagle rzekł, spojrzawszy baraniami oczyma na obecnych:

— Chyba, że się fortuna odmieni!

A wszyscy zawrzaśli zaraz chórem;

— Co się nie ma odmienić!

— Jeszcze za swoje zapłacimy.

— I do fortun dojdziem.

— I do godności!

— Bóg niewinnym błogosławi. Dobra nasza, mości panowie!

— Zdrowie wasze! — zawołał Kmicic.

— Święte twoje słowa, Jędrusiu! — odparł Kokosiński, nadstawiając mu swe pucołowate policzki. — Bodaj nam się lepiej działa!

Zdrowia zaczęły krążyć, czupryny dymić. Gadali wszyscy jeden przez drugiego, a każdy siebie tylko słuchał, z wyjątkiem pana Rekucia, bo ten głowę spuścił na piersi i drzemał. Po chwili Kokosiński jął śpiewać:

„Len mędiła na mędlicy!“ — co widząc pan Uhlik, dobył z zanadru czekanika i nuż wtórować, a pan Ranicki, wielki fechtmistrz, fechtował się gołą ręką z niewidzialnym przeciwnikiem, powtarzając półgłosem:

— Ty tak, ja tak! ty tniesz, ja mach! raz! dwa! trzy! — szach!

Olbrzymi Kulwiec - Hippocentaurus wytrzeszczał oczy i przypatrywał się pilnie czas jakiś Ranickiemu, nakoniec kiwnął ręką i rzekł:

— Kiep z ciebie! Machaj zdrów, a taki Kmicicowi na szable nie dotrzymasz.

— Bo jemu nikt nie dotrzyma, ale ty się spróbuj!

— I ze mną na pistolety nie wygrasz.

— O dukat strzał.

— O dukat! A gdzie i do czego?

Ranicki powlókł wzrokiem naokoło, nakoniec wykrzyknął, wskazując na czaszki:

— Między rogi! o dukat!

— O co? — spytał Kmicic.

— Między rogi! o dwa dukaty! o trzy! dawajcie pistolety!

— Zgoda! — krzyknął pan Andrzej. — Niech idzie o trzy. Zend! po pistolety!

Poczęli krzyczeć wszyscy coraz głośniej i targować się ze sobą; tymczasem Zend wyszedł do sieni i po małej chwili wrócił z pistoletami, workiem kul i rogiem z prochem.

Ranicki chwycił za pistolet.

— Nabity? — spytał.

— Nabity!

— O trzy! cztery! pięć dukatów! — wrzeszczał pijany Kmicic.

— Cicho! Chybisz, chybisz!

— Trafie, patrzcie!... at! do tej czaszki, między rogi... raz, dwa...

Wszyscy zwrócili oczy na potężną czaszkę łosią, wiszącą wprost Ranickiego; on zaś wyciągnął rękę. Pistolet chwiał mu się w dłoni.

— Trzy! — wykrzyknął Kmicic.

Strzał huknął, izba napełniła się dymem prochowym.

— Chybił, chybił! ot, gdzie dziura! — wołał Kmicic, wskazując ręką na ciemną ścianę, z której kula odłupała wiór jaśniejszy.

— Do dwóch razy sztuka!

— Nie! dawaj mnie! — wołał Kulwiec.

W tej chwili wpadła na odgłos strzału przerażona czeladź.

— Precz! precz! — krzyknął Kmicic. — Raz! dwa! trzy!...

Znów huknął strzał, tym razem drzazgi posypały się z kości.

— A dajcie i nam pistolety! — zakrzyknęli wszyscy naraz.

I zerwawszy się, poczęli grzmocić pięściami po karkach pacholków, chcąc ich do pośpiechu zachęcić. Nim upłynął kwadrans, cała izba grzmiała wystrzałami. Dym przesłonił światło świec i postacie strzelających. Hukom wystrzałów towarzyszył głos Zenda, który krakał jak kruk, kwilił jak sokół, wył jak wilk, ryczał jak tur. Co chwila przerywał mu świst kul; drzazgi leciały z czaszek, wióry ze ścian i z ram por-

tretów; w zamieszaniu postrzelono i Billewiczów, a Raniccki wpadłszy w furję, siekł ich szablą.

Zdumiona i wylękła czeladź, stała jakby w obłąkaniu, poglądając wytrzeszczonemi oczyma na tę zabawę, która do napadu tatarskiego była podobną. Psy poczęły wyć i szczekać. Cały dom zerwał się na nogi. Na podwórzu zebrały się kupki ludzi. Dziewki dworskie biegły pod okna i przykładając twarze do szyb, płaszcząc nosy, spoglądały co się dzieje w środku.

Dojrzał je nakoniec pan Zend; świsnął tak przeraźliwie, że aż w uszach wszystkim zadzwoniło i krzyknął:

— Mości panowie! sikorki pod oknami! sikorki!

— Sikorki! sikorki!

— Dalejże w płasy! — wrzeszczały niesforne głosy.

Pijana czereda skoczyła przez sień na ganek. Mróz nie otrzeźwił głów dymiących. Dziewczęta krzycząc w niebogłoso, rozbiegły się po całym podwórzu; oni zaś gonili je i każdą schwytaną odprowadzali do izby. Po chwili poczęły się płasy wśród dymu, złamków kości, wiórów, wkoło stołu, na którym porozlewane wino utworzyło całe jeziora

Takto bawili się w Lubiczu pan Kmicic i jego dzika kompania.

ROZDZIAŁ III.

Przez następne dni kilka, codziennie bywał pan Andrzej w Wodoktach i codziennie wracał więcej rozkochany i coraz bardziej podziwiał swoją Oleńkę. Przed kompanionami też ją pod niebiosa wychwalał, aż pewnego dnia rzekł im:

— Moi mili barankowie, pojedziecie dziś czołem bić, potem zaś umówiliśmy się z dziewczyną, że do Mitrunów wszyscy wyruszymy, aby sanny w lasach zażyć i tę trzecią majątność obaczyć. Ona też nas tam podejmować będzie gościnnie, a wy się przystojnie zachowajcie, bo na bigos posiekam, którenby jej w czemkolwiek uchybił...

Kawalerowie chętnie skoczyli się ubierać i wkrótce cztery pary sań wiozło ochoczą młodzież do Wodoktów. Pan Kmicic siedział w pierwszych, bardzo ozdobnych, kształt niedźwiedzia srebrzystego mających. Ciągnęły je trzy kałmuki zdobyczne, w pstrą uprząż przybrane, we wstążki i pióra pawie, wedle mody w Smoleńskiem, którą od dalszych sąsiadów Smoleńszczanie przyjęli. Powoził parobek, siedzący w szyi niedźwiedziej. Pan Andrzej, przybrany w zieloną aksamitną bekieszę, spinaną na złote pętlice, a podbitą sobolami i w soboli

kołpaczek z czaplem piórem, wesół był, ochoczy i tak mówił do siedzącego obok pana Kokosińskiego:

— Słuchaj Kokoszko! Podswawoliliśmy pono przez te dwa wieczory nad miarę, a zwłaszcza pierwszego, gdy się to czaszkom i portretom dostało. Ba, dziewczęta były jeszcze gorsze. Zawsze dyabeł Zenda podnieci, a potem na kim się skrupi! — na mnie! Boję się, żeby ludzie nie rozgadali, bo tu chodzi o moję reputacyą.

— Powieście się na twojej reputacyi, bo na nic innego nie zdalna, tak jak i nasze.

— A kto temu winien, jeśli nie wy? Pamiętaj, Kokoszko, że to i w Orszańskim mieli mnie przez was za niespokojnego ducha i języki na mnie ostrzyli, jak noże na osetce.

— A kto pana Tumgrata na mrozie przy koniu prowadził? Kto owego koroniarza usiekł, który się pytał, czy w Orszańskim, już na dwóch nogach chodzą, czyli jeszcze na czterech? Kto panów Wyzińskich ojca i syna poszczerbił? Kto sejmik ostatni rozpędził?

— Sejmik rozpędziłem w Orszańskim, nie gdzie indziej, to domowa rzecz. Pan Tumgrat odpuścił mi umierając, a co reszty, to nie wymawiaj, gdyż pojedynek najniewinniejszemu się zdarzy.

— Jam ci też wszystkich nie wymienił, o inkwizycjach wojskowych także nie wspomniałem, których dwie cię w obozie czeka.

— Nie mnie, ale was, bom ja tyle jeno winien, zem wam obywatelów rabować dozwolił. Ale mniejsza z tem. Stulże pysk, Kokoszko, i nie powiadaj o niczem Oleńce, ani o pojedynkach, ani zwłaszcza o owem strzelaniu do portretów i o dziewczętach. Gdyby się wy-

dało, na was winę złożyć. Czeladzi już wspomniałem i dziewczkom, że niechby które słowem wspomniało, każę pasy drzeć.

— Każ się podkuć, Jędrusiu, kiedy się tak dziewczyny boisz. Inny ty byłeś w Orszańskim. Widzę to już, widzę, że będziesz na pasku chodził, a to na nic! Któryś filozof starożytny powiada: „Jak nie ty Kachnę, to Kachna ciebie!“ Dałeś się już we wszystkim usidlić.

— Głupis Kokoszko! A co do Oleńki, będziesz i ty z nogi na nogę przestępował, jak ją zobaczysz, bo białogłowy z tak grzecznym umysłem drugiej nie znaleźć. Co dobre, to ona zaraz pochwali, a co złe, tego zganić nie omieszka, bo wedle cnoty sądzi i w niej ma gotową miarę. Tak ją już nieboszczyk podkomorzy wychował. Zechcesz przed nią fantazyą kawalerską okazać i pochwalisz się, żeś prawo zdeptał, to ci potem jeszcze wstyd: bo zaraz rzeknie, że zacny obywatel tego czynić nie powinien, gdyż to jest przeciw ojczyźnie... Tak ona rzeknie, a tobie jakby w pysk dał i aż ci dziwno, żeś wprzód sam tego nie rozumiał... Tfu! wstyd! warcholiliśmy się okrutnie, a teraz trzeba przed cnotą i niewinnością oczami świecić... Najgorsze były te dziewczęta!...

— Wcale nie były najgorsze. Słyszałem, że tu po zaściankach szlachcianki, jako krew z mlekiem i podobno zgoła nie odporne.

— Kto ci to powiadał? — spytał żywo Kmicic.

— Kto powiadał? Kto, jeśli nie Zend. Wczoraj dzianeta dereszowatego próbując, pojechał do Wołmontowicz; przejechał jeno drogą, ale widział siła sikerek, bo z niesporów wracały. „Myślałem (powiada), że z konia zlecę, tak chędogie i gładkie“. A co na którą

spojrzał, to mu zaraz zęby pokazała. I nie dziw! Co teższe chłopcy między szlachtą, to do Rosień poszli, a sikorkom przykrzy się samym.

Kmnicie trącił kułakiem w bok towarzysza:

— Pojedziemy, Kokoszko, kiedy wieczorem, niby zbłądziwszy — co?

— A twoja reputacya?

— O do dyabła! Stulże gębę. Jedźcie sami, kiedy tak; albo lepiej zaniechajcie i wy! Nie obesłoby się bez hałasów, a z tutejszą szlachtą chcę zgodnie żyć, bo ich opiekunami Oleńki nieboszczyk podkomorzy wyznaczył.

— Mówiłeś o tem, alem nie chciał wierzyć. Zkąd mu taka konfidencya z szarakami?

— Bo na wojnę z niemi chadzał i to słyshałem jeszcze w Orszy, jak mawiał, że cnotliwa krew w tych laudańskich. Ale, żeby ci prawdę, Kokoszko, powiedzieć, to i mnie zrazu dziwno było, bo to tak, jakoby ich stróżami nade mną uczynił.

— Musisz się im akomodować i do wiechciów w bótach kłaniać.

— Wpierw ich powietrze wydusi. Cicho bądź, bo mi gniewno! Oni to będą mi się kłaniali i służyli. Chorągiew to gotowa na każde zawołanie.

— Już tam kto inny będzie tej chorągwi rotmistrzował. Powiadał Zend, że tu jest jakiś pułkownik między niemi... Zapomniałem przezwiska... Wołodjowski, czy kto? On pod Szkłowem im przywodził. Dobrze podobno stawali, ale ich tam i wyczესano!

— Słyshałem ja o jakimś Wołodjowskim, sławnym żołnierzu... Ale oto Wodokty już widać.

— Hej, dobrze tu ludziom na tej Żmudzi, bo

wszędy okrutne porządki. Stary musiał być zawołany gospodarz... I dwór, widzę, jak się patrzy. Ich tu rządziej nieprzyjacieli pali, to się i budować mogą.

— Myślę, że o tej swawoli w Lubiczu nie może ona jeszcze wiedzieć — rzekł, jakby do siebie samego, Kmicic.

Poczem zwrócił się do towarzysza:

— Moja Kokoszko, zapowiadam tobie, a ty powtórz jeszcze raz innym, że tu musicie się przystojnie zachować, a niech który sobie w czemkolwiek pofolguje, jak mi Bóg miły, na sieczkę potnę.

— No! ależ cię osiodłali!

— Osiodłali, nie osiodłali — tobie zasię!

— Nie patrz mi na Kasię, bo ci do niej zasię! — rzekł flegmatycznie Kokosiński.

— Pal z bata! — krzyknął na woźnicę Kmicic.

Pachołek, stojący w szyi srebrzystego niedźwiedzia, zakręcił batem i wystrzelił bardzo sprawnie, inni woźnice poszli za jego przykładem i zajechali wśród trzaskania, rażno, wesoło, jakoby kulig.

Wysiadłszy z sanek, weszli najprzód do sieni ogromnej jak spichlerz, niebielonej, a ztąd prowadził pan Kmicic do jadalnej izby, przybranej jak w Lubiczu, w czaszki pobitych zwierząt. Tu się zatrzymali, poglądając pilnie i ciekawie na drzwi do sąsiedniej komnaty, z których wyjść miała panna Aleksandra. Tymczasem, mając widocznie w pamięci ostrzeżenie pana Kmicica, rozmawiali ze sobą tak cicho, jak w kościele.

— Tyś chłop mowny: — szeptał pan Uhlik do Kokosińskiego — ty ją powitasz od nas wszystkich.

— Układałem sobie przez drogę — odrzekł pan

Kokosiński, — ale nie wiem czyli będzie dość gładko, bo mi Jędrus do konceptu przeszkadzał.

— Byle z fantazją! co ma być, niech będzie! Ot, idzie już!...

Panna Aleksandra weszła rzeczywiście i zatrzymała się trochę u proga, jakby zdziwiona tak liczną kompanią, a i pan Kmicic stał przez chwilę jak wryty od podziwu nad jej urodą, bo ją dotąd tylko wieczorami widywał, a przy dniu wydawała się jeszcze piękniejsza. Oczy jej miały barwę chabru, czarna brew nad niemi odbijała od białego czoła jak heban, a płowy włos lśnił się jakby korona na głowie królowej, i patrzyła śmiało, oczu nie spuszczając, jako pani w swoim domu gości przyjmująca, z jasną twarzą, odbijającą jeszcze jaśniej od czarnej jubki, obramowanej gronostajami. Tak poważnej i wyniosłej panny nie widzieli jeszcze ci wojakowie, przywykli do innego pokroju niewiast, to też stali szeregiem, jakoby na popisie chorągwi i szurgając nogami, kłaniali się także szeregiem, a pan Kmicic sunął naprzód i ucałowawszy kilkanaście razy rękę panienki, rzekł:

— Otom ci przywiózł, mój klejnocie, kormilitonów moich, z którymi ostatnią wojnę odbywałem.

— Honor to dla mnie niemały — odrzekła Billewiczówna — przyjmować w domu tak godnych kawalerów, o których cnocie i wybornych obyczajach już od pana chorążego słyszałam.

To powiedziawszy, uchwyciła się koniuszczkami palców za suknię i podnosząc ją nieco, dygnęła z nadzwyczajną powagą, a pan Kmicic wargi przygryzł, ale jednocześnie aż pokraśniał, że tak jego dziewczyna mówiła śmiało.

Godni kawalerowie, szurgając wciąż nogami, trącali jednocześnie pana Kokosińskiego.

— Hajda! wystąp!

Pan Kokosiński posunął się krok naprzód, chrząknął i tak rozpoczął:

— Jaśnie wielmożna panno podkomorzanko...

— Łowczanko — poprawił Kmicic.

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko, a nam wielce miłościwa dobrodziko! — powtórzył zmieszany pan Jaromir — wybacz waćpanna, jeżeli się w godności pomylił...

— Niewinna to omyłka — odrzekła panna Aleksandra — i nie ona tak wymownemu kawalerowi nie ujmie...

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziko, a nam wielce miłościwa pani!... Nie wiem, co mi w imieniu całego Orszańskiego więcej wystawiać przystoi, czy nadzwyczajną waćpanny dobrodziki urodę i cnotę, czy niewypowiedzianą szczęśliwość rotmistrza i kommilitona naszego, pana Kmicica, bo chociażbym się wzbił pod obłoki, chociażbym samych obłoków dosięgnął... samych, mówię, obłoków...

— A zleźże już raz z tych obłoków! — zakrzyknął Kmicic.

Na to kawalerowie parsknęli jednym ogromnym śmiechem i nagle, wspomniawszy na przykaz Kmicica, chwycili się rękoma za wąsy.

Pan Kokosiński zmieształ się do najwyższego stopnia, zaczerwienił i rzekł:

— Witajcieże sami, poganie, kiedy mnie konfundujecie!

Wtem panna Aleksandra ujęła się znowu koniuszczkami palców za suknię.

— Nie sprostałabym ja waćpanom w wymowie — rzekła — ale to wiem, że niegodna tych hołdów, które mi w imieniu całego Orszańskiego składacie.

I znowu dygnęła z nadzwyczajną powagą, a orszańskim zabijakom jakoś nieswojsko było wobec tej dwornej panny. Starali się pokazać jak ludzie grzeczni i nie szło im w ład. Więc poczęli się ciągnąć za wąsy, mruzczyć, kłaść ręce na szable, aż Kmicic rzekł:

— Przyjechaliśmy tu niby kuligiem, w tej myśli, żeby waćpannę zabrać i do Mitrunów przez lasy przewieźć, jako wczoraj była ugoda. Sanna okrutna a i pogodę zdarzył Bóg mroźną.

— Jużem ja ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów wysłała, żeby nam posiłek przyrzadziła. A teraz maluczko waćpanowie poczekacie, jeno się nieco ciepłej przydzieję.

To rzekłszy, zawróciła się i wyszła, a Kmicic skoczył do towarzyszy.

— A co, mili barankowie? nie księżna?... A co Kokoszko? to mnie, mówiłeś, osiodłała, a czemu to jako żak przed nią stałeś?... Gdzieś taką widział?

— Nie trzeba mi było w gębę dmuchać, choć nie neguję, że się do takiej osoby mówić nie spodziewałem.

— Nieboszczyk podkomorzy — rzekł Kmicic — więcej z nią w Kiejdanach, na dworze księcia wojewody, albo u państwa Hlebowiczów przesiadywał i tamto tych górnych manier nabrała. A uroda — co?... Pary jeszcze nie umiecie z gęby puścić!

— Pokazaliśmy się jak kpy! — rzekł ze złością Ranicki — ale największy kiep Kokosiński!

— O zdrajco! mnieś to łokciem pchał, trzeba ci było samemu ze swoją cętkowaną gębą wystąpić!

— Zgoda, barankowie, zgoda! — rzekł Kmicic. — Dziwić się wam wolno, ale nie kłócić.

— Jabym za nią w ogień skoczył! — zawołał Rekuć. — Zetnij Jędrus, ale tego nie zaprę!

Kmicic jednak nie myślał ścinać, owszem kontent był, wasa pokręcał i tryumfalnie na towarzyszków po-
glądał. Tymczasem weszła panna Aleksandra, ubrana już w kuni kołpaczek, pod którym jasna jej twarz wy-
dawała się jeszcze jaśniejszą. Wyszli na ganek.

— To temi saniami pojedziem? — pytała pa-
nienka, ukazując na srebrzystego niedźwiedzia — je-
szczem też słuszniejszych sani w życiu nie widziała.

— Nie wiem, kto tam niemi przedtem jeździł, bo
zdobyczne. Teraz my we dwoje będziemy jeździli i bar-
dzo się nadadzą, gdyż i u mnie w herbie panna na
niedźwiedziu się prezentuje. Są inni Kmicicowie, któ-
rzy się Chorągwiami pieczętują, ale ci idą od Filona
Kmity Czarnobylskiego, a ten zaś nie był z tego domu,
z którego wielcy Kmitowie się wywodzili.

— A onego niedźwiadka kiedyżeś waćpan zdo-
był?

— A teraz, w tej już wojnie. My biedni exules,
którzyśmy od fortun odpadli, to jeno mamy, co wojna
łupem da. A żem tej pani wiernie służył, więc i na-
grodziła.

— Dałby Bóg szczęśliwszą, bo ta jednego nagro-
dzi, a całej ojczyźnie miłej łzy wyciska.

— Bóg to odmieni i hetmani.

To mówiąc, Kmicic otulał panienkę fartuchem od
sani, pięknym, z białego sukna i białymi wilkami pod-

szylim; potem sam siadł, krzyknął na woźnicę: „ruszaj!“ i konie zerwały się z miejsca do biegu.

Zimne powietrze pędem uderzyło o ich twarze, więc zaniemówili i słychać było tylko świst zmarzłego śniegu pod płozami, parskanie koni, tętent i krzyk woźnicy.

Wreszcie pan Andrzej pochylił się ku Oleńce:

— Dobrze waćpannie?

— Dobrze — odrzekła, podnosząc zarękawek i przytulając go do ust, by pęd powietrza zatamować.

Sanie gnały jak wichur. Dzień był jasny, mroźny. Śnieg migotał, jakby kto nań iskry sypał; z białych dachów chat, podobnych do kup śnieżnych, strzelały wysokimi kolumnami dymy różowe. Stada wron polatywały przed saniami wśród bezlistnych drzew przydrożnych, z krakaniem donośnym. O dwie staje za Wodoktami wpadli na szeroką drogę, w ciemny bór, który stał głuchy, sędziwy i cichy, jakby spał pod obfitą okiścią. Drzewa, migotając w oczach, zdawały się uciekać gdzieś w tył za sanie, a oni lecieli coraz prędzej i prędzej, jak gdyby rumaki skrzydła miały. Od takiej jazdy głowa się zawraca i upojenie ogarnia, więc ogarnęło i pannę Aleksandrę. Przechyliwszy się w tył, zamknęła oczy, całkiem pędowi się oddając. Poczowała słodką niemoc i zdało jej się, że ten bojarzyn orszański porwał ją i pędzi wichrem, a ona mdlejąca nie ma siły się oprzeć, ani krzyknąć... I lecą, lecą coraz szybciej... Oleńka czuje, że obejmują ją jakieś ręce... czuje wreszcie na wargach jakoby pieczęć rozpaloną i palącą... oczy się jej nie chcą odemknąć, jakoby w śnie. I lecą — lecą! Senną pannę zbudził dopiero głos pytający:

— Miłujeszzę mnie?

Otworzyła oczy:

— Jako duszę własną!

— A ja na śmierć i żywot!

I znowu soboli kołpak Kmicica pochylił się nad kunim Oleńki. Sama teraz nie wiedziała, co ją upaja więcej, pocałunki, czy ta jazda zaczarowana?

I lecieli dalej, a ciągle borem, borem! Drzewa uciekały w tył całemi pułkami. Śnieg szumiał, konie parskały, a oni byli szczęśliwi.

— Chciałbym do końca świata tak jechać! — zawołał Kmicic.

— Co my czynimy? to grzech! — szepnęła Oleńka.

— Jaki tam grzech! Daj jeszcze grzeszyć.

— Nie można. Mitruny już niedaleko.

— Daleko czy blisko, wszystko jedno!

I Kmicic podniósł się w saniach, wyciągnął ręce dogóry i począł krzyżeć, jakoby w pełnej piersi radości nie mógł pomieścić:

— Hej — ha! hej — ha!

— Hej! a hop! hoop! ha! — odezwali się towarzysze z tylnych sani.

— Czego waćpanowie tak pokrzykujecie? — pytała panna.

— A ot, tak! z radości! A zakrzyknijno i waćpanna!

— Hej — ha! — rozległ się dźwięczny, cieniutki głosik.

— Mojaż ty królowo! Do nóg ci padnę!

Kompania się będą śmieli.

Po upojeniu ogarnęła ich wesołość szumna, szalona, jako i jazda była szalona. Kmicic począł śpiewać:

„Patrzy dziewczyna, patrzy ze dworu,
„Na bujne pola!
„Matus! rycerze idą od boru,
„Oj inoż dola!
„Córúś nie patrzaj — rączkami oczy
„Zatkni białemi,
„Bo ci serduszko z piersi wyskoczy
„Na wojnę z niemi“.

— Kto waćpana wyuczył tak wdzięcznych pieśni? — pytała panna Aleksandra.

— Wojna, Oleńko. W obozie my to sobie z tęskności śpiewali.

Dalszą rozmowę przerwało gwałtowne wołanie z tylnych sani: „Stój! stój! hej tam — stój!“

Pan Andrzej odwrócił się gniewny i zdziwiony, z kąd towarzysom przyszło do głowy wołać na nich i wstrzymywać, gdy w tem o kilkadziesiąt kroków za saniami dojrzał jeźdźca, zbliżającego się co koń wyskoczy.

— Na Boga! to mój wachmistrz Soroka; coś się musiało tam stać! — rzekł pan Andrzej.

Tymczasem wachmistrz zbliżywszy się, osadził konia tak, że ten aż przysiadł na zadzie, i począł mówić zdyszaniem głosem:

— Panie rotmistrzu! ..

— Co tam, Soroka?

— Upita się pali; biją się!

— Jezus Marya! — zakrzyknęła Oleńka.

— Nie bój się waćpanna... kto się bije?

— Żołnierze z mieszczanami. W rynku pożar!

Mieszczanie się zaciekli i po prezydyum do Poniewieża posłali, a jam tu skoczył do waszej miłości. Ledwie tchu mogę złapać...

Przez czas tej rozmowy, sanie idące z tyłu nadjechały; Kokosiński, Ranicki, Kulwiec-Hippocentaurus, Uhlik, Rekuć i Zend, wyskoczywszy na śnieg, otoczyli kołem rozmawiających.

— O co poszło? — pytał Kmicic.

— Mieszczanie nie chcieli obroków dawać, ani koniom, ani ludziom, że to asygnacyi nie było; żołnierze poczęli gwałtem brać. Oblegliśmy burmistrza i tych, którzy się w rynku zatarasowali. Poczęto ognia dawać i zapaliliśmy dwa domy; teraz gwałt okrutny i we dzwony biją...

Oczy Kmicica poczęły świecić gniewem.

— To i nam trzeba na ratunek! — zakrzyknął Kokosiński.

— Wojsko łyczkowie oprymują! — wołał Ranicki, któremu plamy czerwone, białe i ciemne całą twarz zaraz pokryły. — Szach, szach! mości panowie!

Zend zaśmiał się zupełnie tak, jak śmieje się puszczyk, aż się konie zestrasyły, a Rekuć podniósł oczy w górę i pisał:

— Bij! kto w Boga wierzy! z dymem łyków!

— Milczeć! — huknął Kmicic, aż las odegrzmiał, a stojący najbliżej Zend zatoczył się, jak pijany. — Nic tam po was! nie potrzeba tam siekaniny!... Siadać wszyscy w dwoje sani, mnie jedne zostawić i jechać do Lubicza. Tam czekać, chyba bym przysłał po sukurs.

— Jako? — zaoponował Ranicki.

Ale pan Andrzej położył mu rękę pod szyję i tylko oczyma straszniej jeszcze zaświecił.

— Ni pary z gęby! — rzekł groźnie.

Umilkli; widać się go bali, chociaż tak zwykle byli z nim poufale.

— Wracaj Oleńko do Wodoktów — rzekł Kmicic — albo jedź po ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów. Ot! i kulik się nie udał. Wiedziałem, że oni tam spokojnie nie usiedzą... Ale zaraz tam będzie spokojniej, jeno łbów kilka zleci. Bądź waćpanna zdrowa i spokojna, pilno mi będzie z powrotem...

To rzekłszy ucałował jej ręce i otulił ją w wilczurę; potem siadł do innych sani i zakrzyknął na woźnicę:

— Do Upity!

ROZDZIAŁ IV.

Upłynęło kilka dni, a Kmicic nie wracał, ale za to do Wodoktów przyjechało trzech szlachty laudańskiej, na zwiady do panienki. Przyjechał więc Pakosz Gasztowt z Pacunelów, ten, który gościł u siebie pana Wołodyjowskiego, patriarchy zaścianka, słynny z bogactw i sześciu córek, z tych trzy były za trzema Butrymami, a dostały każda po sto bitych talarów wiana, prócz wyprawy i inwentarzy. Drugi przyjechał Kassyan Butrym, najstarszy człowiek na Laudzie, dobrze Batoręgo pamiętający, a z nim zięć Pakosza, Józwa Butrym. Ten, choć w sile wieku, nie miał bowiem więcej jak lat pięćdziesiąt, a na popis pospolitego ruszenia do Rosień nie poszedł, albowiem w wojnach kozackich kula armatnia stopę mu urwała. Zwano go także z tego powodu kuternogą, albo Józwą Beznogim. Był to straszliwy szlachcic, siły niedźwiedziej i wielkiego rozumu, ale surowy, zgryźliwy, ostro ludzi sądzący. Z tego powodu obawiano się go nieco w stolicach, bo przebaczać ani sobie, ani innym nie umiał. Bywał także niebezpieczny, gdy podpił, ale zdarzało mu się to rzadko.

Ci tedy przyjechali do panny, która przyjęła ich wdzięcznie, choć odrazu domyśliła się, że na zwiady

przyjeżdżają i usłyszeć coś od niej o panu Kmicicu pragną.

— Bo my do niego chcemy jechać z pokłonem, aleć to podobno jeszcze z Upity nie wrócił — mówił Pakosz — tak do ciebie przyjechaliśmy pytać, kochanieńko, kiedy można?

— Myślę, że tylko co go nie widać — odrzekła panna. — Rad on wam, opiekunowie, będzie z całej duszy, bo siła dobrego słyszał o was i dawniej od dziadusia i teraz ode mnie.

— Byle nas nie chciał przyjąć, jak Domaszewiczów przyjął, gdy do niego z wieścią o śmierci pułkownika przyjechali! — mruknął ponuro Józwa.

Panna dosłyszała i odparła zaraz żywo:

— Wy o to nie bądźcie krzywi. Może i niedość politycznie ich przyjął, ale już tu swoją omyłkę wyznał. Trzeba też pamiętać, że z wojny szedł, na której tyle trudów i zmartwień przebył! Żołnierzowi się nie dziwić, choć i na swego fuknie, bo to u nich humory, jako szable ostre.

Pakosz Gasztowt, który z całym światem zawsze chciał być w zgodzie, kiwnął ręką i rzekł:

— My też się i nie dziwili! Dzik na dzika fuknie, jak go znagła zobaczy, czemużby człek na człeka nie miał fuknąć! My pojedziem do starego Lubicza pokłonić się panu Kmicicowi, aby z nami żył, na wojnę i do puszczy chodził, jako nieboszczyk pan podkomorzy.

— Tak już powiedz, kochanieńko, udał ci się, czy nie udał? — pytał Kassyan Butrym. — Tażto nasza powinność pytać?

— Bóg wam zapłać za troskliwość. Zaczny to ka-

waler pan Kmicic, a choćbym też co przeciw upatrzyła, nie godziłoby się o tem mówić.

— Aleś nic nie upatrzyła, duszo ty nasza najmilsza?

— Nic! Zresztą nikt go tu nie ma prawa sądzić, a broń Boże, nieufność pokazać! Bogu lepiej dziękujmy!

— Co tu zawczasu dziękować! Jak będzie za co, to i dziękować, a nie, to nie dziękować — odpowiedział posepny Józwa, który jako prawdziwy Żmudzin, bardzo był ostrożny i przewidujący.

— A o ślubie wy mówili? — pytał znów Kassyan.

Oleńka spuściła oczy:

— Pan Kmicic chce jak najprędzej...

— Ot, co! jeszczeby nie kciał! — mruknął Józwa — chybaby głupi! A któryżto niedźwiedz nie kce miodu z barci? Ale poco się śpieszyć, czyto nie lepiej zobaczyć, co za człowiek jest? Ojczy Kassyane, taż już powiedzcie, co macie na języku, nie drzemcie jako zając o południu pod skibą!

— Jać nie drzemię, jeno sobie w głowę patrzę, coby rzec — odpowiedział staruszek. — Pan Jezus powiedział tak: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! My też panu Kmicicowi źle nie życzym, aby i on nam nie życzył, co daj Boże, amen!

— Byle był po naszej myśli! — dodał Józwa.

Billewiczówna zmarszczyła swe sokole brwi i rzekła z pewną wyniosłością:

— Pamiętajcie asanowie, że nie sługę mamy przyjmować. On tu panem będzie i jego wola ma być, nie nasza. On i w opiece musi waćpanów zastąpić.

— To znaczy, żeby my się już nie wtrącali? — pytał Józwa.

— To znaczy, żebyście mu przyjaciółmi byli, jako on chce być wam przyjacielem. Przecież on tu własnego dobra strzeże, którem każdy wedle upodobania rządzi. Zali nieprawda, ojcze Pakoszu?

— Święta prawda! — odrzekł pacunelski staruszek.

A Józwa znów zwrócił się do starego Butryma:

— Nie drzemcie, ojcze Kassyanie!

— Jać nie drzemię, jeno w głowę patrzę.

— To mówcie, co widzicie.

— Co widzę? ot co widzę... Familiant to jest pan Kmicic, z wielkiej krwi, a my chudopachołki! Żołnierz przytem sławny; sam on jeden oponował się nieprzyjacielowi, gdy wszyscy ręce opuścili. Daj Boże takich jak najwięcej! Ale kompanią ma nicpotem!... Panie sąsiedzie Pakoszu, cóżeście to od Domaszewiczów słyszeli? że to wszystko ludzie bezecni, przeciw którym infamie są i kondemnaty i protesta i inkwizycye. Katowskie to syny! Ciężcy byli nieprzyjacielowi, ale i obywatelstwu ciężcy. Palili, rabowali, gwałty czynili! ot, co jest! Żeby to tam kogo usiekli albo zajęchali, to się i zacnym zdarza, ale oni podobnoć zgoła tatarskim procederem żyli i dawnoby im po wieżach gnić przyszło, gdyby nie protekeya pana Kmicica, któren jest możny pan! Ten ich miłuje i osłania i przy nim się wieszają, jak latem bąki przy koniu. A teraz tu przyjechali i już wszystkim wiadomo, co zacz są. To pierwszego dnia w Lubiczu z bandoletów palili — i do kogo? — do wizerunków nieboszczyków Billewiczów, na co pan Kmicic nie powinien był pozwolić, bo to jego dobrodzieje.

Oleńka zatkała oczy rękoma.

— Nie może być! nie może być!

— Może, bo było! Dobrodziejów pozwolił postrzelać, z którymi w pokrewieństwo miał wejść! A potem dziewczki dworskie powciągali do izby dla rozpusty!... Tfu! obraza boska! Tego u nas nie bywało!... Pierwszego dnia zaczęli od strzelania i rozpusty! Pierwszego dnia!

Tu stary Kassyan rozgniewał się i począł stukać kijem w podłogę; na twarz Oleńki były ciemne rumieńce, a Józwa ozwał się:

— A to wojsko pana kmicicowe, które w Upicie zostało, to lepsze? Jacy oficerowie, takie i wojsko! Panu Sołłohubowi bydło zrabowali jacyś ludzie, mówią że pana Kmicica; chłopów meżzagolskich, którzy smołę wieźli, na gościńcu pobili. Kto? Też oni. Pan Sołłohub pojechał do pana Hlebowicza po sprawiedliwość, a teraz znów w Upicie gwałt! Wszystko to przeciw Bogu! Spokojnie tu bywało, jak nigdzie, a teraz choć rusznicę na noc nabijaj i stróżuj, a czemu, bo pan Kmicic z kompanią przyjechał.

— Ojczy Józwo! nie mówcie tak! nie mówcie! — zawołała Oleńka.

— A jak mam mówić? Jeżeli pan Kmicic nie winien, to poco takich ludzi trzyma, poco z takimi żyje? Wielmożna panna mu powiedz, żeby on ich przepędził, albo katu oddał, bo inaczej nie będzie spokoju. A słychana to rzecz strzelać do wizerunków i rozpustę jawnie płodzić? Toż cała okolica jeno o tem gada!

— Co ja mam czynić? — pytała Oleńka. — Może to i źli ludzie, ale on z nimi wojnę odprawiał. Zali wypędzi ich na moję prośbę?

— Jeśli nie wypędzi — mruknął zcicha Józwa — to sam taki!

Wtem w pannie poczęła się krew burzyć przeciw tym towarzyszom, zabijakom i kosterom.

— Zresztą niech tak będzie! Musi ich wypędzić! Niech wybiera mnie albo ich! Jeśli to prawda co mówicie, a dziś jeszcze będę wiedziała, czy prawda, to im tego nie daruję, ani strzelania, ani rozpusty. Jam sama jedna i słaba sierota, ich kupa zbrojna, aleć się nie ulękę...

— My ci pomóżem! — rzekł Józwa.

— Dla Boga! — mówiła Oleńka, unosząc się coraz bardziej — niech sobie czynią, co chcą, ale nie tu w Lubiczu... Niech będą jacy chcą, ich to rzecz, ich szyje odpowiedzą, ale niech pana Kmicica nie podmawiają... do rozpusty... Wstyd! hańba!... Myślałam, że to żołnierze niezgrabni, a to widzę, zdrajcy niegodni, którzy i siebie i jego plamią. Tak jest! źle im z oczu patrzyło, ale ja głupia nie poznałam się na tem. Dobrze! dziękuję wam, ojcowie, żeście mi oczy na tych judaszów otworzyli... Wiem, co mi czynić przystoi.

— To! to! to! — rzekł stary Kassyan. — Cnota przez cię mówi, a my ci pomóżem.

— Wy pana Kmicica nie winujcie, bo choćby co i przeciw stateczności uczynił, to młody jest, a oni go kuszą, oni podmawiają, oni zachęcają do rozpusty przykładem i hańbą na jego imię ściągają! Tak jest! pókim żywa nie będzie tego długo!

Gniew wzbierał coraz więcej w sercu Oleńki i zawziętość przeciw towarzyszom pana Kmicica wzrastała, jak wzrasta ból w ranie świeżo zadanej. Bo też zraniono w niej okrutnie i miłość własną kobiecą i tę ufność, z jaką całe czyste uczucie oddała panu Andrzejowi.

Wstyd jej było za niego i za siebie, a ów gniew i wstyd wewnętrzny szukał przedewszystkiem winnych.

Szlachta zaś rada była, widząc swoją pułkownikównę tak groźną i do stanowczej wojny warchołów orszańskich wyzywającą.

Ona zaś mówiła dalej z roziskrzonym wzrokiem:

— Tak jest! oni winni i muszą pójść precz, nie tylko z Lubicza, ale z całej okolicy.

— My też pana Kmicica nie winujem, serceż ty nasze — mówił stary Kassyan. — My wiemy, że to oni go kuszą. Nie ze złością my tu i jadem przeciw niemu przyjechali, jeno z żalem, że zbytników przy sobie trzyma. Toż i wiadomo, że młody, głupi. I pan starosta Hlebowicz zamłodu był głupi, a teraz nami wszystkimi rządzi.

— A pies? — mówił wzruszonym głosem pacunelski, łagodny staruszek. — Pójdziesz z młodym w pole, a on durny, zamiast za zwierzem iść, to ci koło nóg, padło, swawoli i za poły cię ciąga.

Oleńka chciała coś mówić, ale nagle zalała się łzami.

— Nie płacz! — rzekł Józwa Butrym.

— Nie płacz, nie płacz!... — powtarzali dwaj starcy.

I tak ją pocieszali, ale nie mogli pocieszyć. Po ich odjeździe została troska, niepokój i jakby uraza i do nich i do pana Andrzeja. Dumną pannę bolało coraz głębiej to, że trzeba było go bronić, usprawiedliwiać i tłómaczyć. A ta kompania! Drobne ręce panny zaciśkały się na myśl o nich. W oczach jej stawały jakby na jawie twarze pana Kokosińskiego, Uhlika, Zenda, Kulwieca-Hippocentaura i innych i dostrzegła w nich,

czego pierwiej nie wiedziała: że były to bezczelne twarze, na których błazeństwo, rozpusta i zbrodnia wycisnęły pospołu swe pieczęcie. Obce Oleńce uczucie nienawiści poczęło ją opanowywać, jak parzący ogień.

Lecz w tej rozterce wzrastała zarazem z każdą chwilą uraza i do pana Kmicica.

— Wstyd! sromota! — szeptała do się dziewczyna zbladłemi usty. — Co wieczora wracał ode mnie do dziewczek czeladnych!...

I czuła się sama upokorzona. Nieznośne brzemię tamowało jej oddech w piersiach.

Mroczyło się na dworze. Panna Aleksandra chodziła po izbie pośpiesznym krokiem i w duszy wrzało jej ciągle. Nie była to natura zdolna znosić prześladowania losu i nie bronić się im. Rycerska krew krążyła w tej dziewczynie. Chciałaby natychmiast rozpocząć walkę z tą zgrają złych duchów — natychmiast! Ale co jej pozostaje?... Nic! jeno łzy i prośba, by pan Andrzej rozpędził na cztery wiatry tych hańbiących kompanionów. A jeśli tego uczynić nie zechce?...

— Jeśli nie zechce...

I nie śmiała jeszcze myśleć o tem.

Rozmyślania panienki przerwał pacholek, który wniósł naręcz jałowcowych drewek do komina i rzucawszy je wedle trzonu, począł wygarniać węgle zpod starego popiołu. Nagłe postanowienie przyszło do głowy Oleńce.

— Kostek! — rzekła — siedziesz mi zaraz na koń i pojedziesz do Lubicza. Jeśli pan już wrócił, prosz, żeby tu przyjechał, a jeśli go niemasz, to niech włódarkarz, stary Znikis, siada z tobą i zaraz do mnie przybywa, a żywo!

Chłopak rzucił szczepkę smolnych na węgle, przysypał je pniakami suchego jałowcu i skoczył ku drzwiom.

Jasne płomienie poczęły huczeć i strzelać w kominie. Oleńce stało się zaraz nieco lżej na duszy.

— Może to Pan Bóg jeszcze odmieni! — pomyślała sobie — a może to i nie tak źle było, jak opiekunowie mówili...

I po chwili przeszła do czeladnej siedzieć odwiecznym obyczajem Billewiczowskim ze służbą, prządek pilnować, pieśni pobożne śpiewać.

Po dwóch godzinach wszedł zmarznięty Kostek.

— Znikis jest w sieni! — rzekł. — Pana nie masz jeszcze w Lubiczu.

Panna zerwała się żywo. Włódarz w sieni schylił się jej do nóg.

— A jak tobie zdrowie, jasna dziewczeczko?... Bóg daj najlepsze!

Przeszli do izby stołowej; Znikis stanął przy drzwiach.

— Co u was słyszać? — pytała panienska.

Chłop kiwnął ręką.

— At! pana niema...

— To wiem, że jest w Upicie. Ale w domu, co się dzieje?

— At!...

— Słuchaj Znikis, mów śmieje, włos ci z głowy nie spadnie. Mówią, że pan dobry, jeno kompania swawolniki?

— Żeby to, jasna paniensko, swawolniki!

— Mów szczerze.

— Kiedy, paniensko, mnie nie wolno... ja się boję... Mnie zakazali.

— Kto zakazał?

— Pan...

— Tak? — rzekła panna.

Nastąpiła chwila milczenia. Ona chodziła śpiesznie po pokoju ze ściśniętymi ustami i namarszczoną brwią, on śledził za nią oczyma.

Nagle stanęła przed nim.

— Czyj ty jesteś?

— A Billewiczowski. Jać z Wodoktów, nie z Lubicza.

— Nie wrócisz więcej do Lubicza... tu zostaniesz. Teraz rozkazuję ci gadać wszystko, co wiesz!

Chłop jak stał w progu, tak rzucił się na kolana.

— Panienko jasna, ja tam nie kę wracać, tam sądny dzień!... To panienko zbóje i zbereźniki, tam człek dnia i godziny niepewny.

Billewiczówna zakręciła się w miejscu, jakby strzałą ugodzona. Poblądła bardzo, ale spytała spokojnie:

— Prawdali to, że strzelali w izbie do wizerunków?

— Jak nie strzelali! I dziewczki ciągaliby po komnatach i codzień ta sama rozpusta. We wsi płacz, we dworze Sodoma i Gomora! Woły idą na stół, barany na stół!... Ludzie w ucisku... Stajennego wczoraj niewinnie rozszczepili.

— I stajennego rozszczepili?...

— A jakże! A najgorzej dziewczętom się krzywda dzieje. Już im dworskich niedość i po wsi łowią...

Nastąpiła znowu chwila milczenia. Gorące rumieńce wystąpiły na twarz panny i nie zniknęły już więcej.

— Kiedy się tam pana spodziewają z powrotem?...

— Oni, panienko, nie wiedzą, jeno słyshałem, jak mówili między sobą, że trzeba jutro całej kompanii do Upity ruszyć. Kazali, żeby konie były gotowe. Mają tu wstąpić i panienki o czeladź prosić i o prochy, że tam mogą być potrzebne.

— Mają tu wstąpić?... to dobrze. Idź teraz Znikis do kuchni. Już nie wrócisz do Lubicza.

— A, żeby tobie Bóg dał zdrowie i szczęście!...

Panna Aleksandra wiedziała, co chciała, ale też wiedziała, jak jej należy postąpić.

Nazajutrz była niedziela. Rankiem, nim panie z Wodoktów wyjechały do kościoła, przybyli panowie Kokosiński, Uhlik, Kulwicc-Hippocentaurus, Ranicki, Rekuć i Zend, a za nimi czeladź lubicka, zbrojno i konno, postanowili bowiem kawalerowie iść w pomoc panu Kmicicowi do Upity.

Panna wyszła przeciw nim spokojna i wyniosła, zupełnie inna od tej, która ich witała po raz pierwszy przed kilku dniami; ledwie głową kiwnęła w odpowiedzi na uniżone ich ukłony; ale oni myśleli, że to nieobecność pana Kmicica czyni ją tak ostrożną i nie poznali się na niczem.

Zaraz tedy wystąpił pan Jarosz Kokosiński, śmielszy już niż za pierwszym razem i rzekł:

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziko! My tu po drodze do Upity wstępujemy, aby waćpannie dobrodzice do stópek upaść i o auxilia prosić: jako o prochy, strzelby i żebyś waćpanna czeladzi swej na koń sieć kazała i z nami jechać. Weźmiemy szturmem Upitę i łyżkom trochę krwi upuścimy.

— Dziwi mnie — odrzekła Billewiczówna — że waćpanowie do Upity jedziecie, gdyż sama słyszałam, jak pan Kmicic wam spokojnie w Lubiczu siedzieć przykazał, a tak myślę, że jemu przystoi rozkazywać, a waszmościom słuchać, jako podkomendnym.

Kawalerowie, usłyszawszy te słowa, spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Zend wysunął wargi, jak gdyby chciał poptasiemu zagwizdać, Kokosiński począł się głaskać szeroką dłonią po głowie⁴:

— Jako żywo! — rzekł — myślałby kto, że waćpanna do ciurów pana Kmicica mówisz. Prawda jest, żeśmy mieli w domu siedzieć, ale gdy czwarty dzień idzie, a Jędrusia niema, przyszliliśmy do takowej konwikcyi, że się tam mógł znaczny jakiś tumult uczynić, w którym i nasze szable się przygodzą.

— Pan Kmicic nie na bitwę pojechał, jeno żołnierzy swawolników karać, coby się i waćpanom przytrafić mogło, gdybyście przeciw rozkazowi wystąpili. Zresztą prędzejby się tam tumult i siekanina przy was mogła zdarzyć.

— Trudno nam z waćpanną deliberować. Prosim tylko o prochy i ludzi.

— Ludzi i prochów nie dam, słyszysz mnie waćpan!

— Czy ja dobrze słyszę? — rzekł Kokosiński. — Jakto waćpanna nie dasz? Kmicicowi, Jędrusiowi na ratunek, będziesz waćpanna żałowała? Wolisz, żeby go co złego spotkało?

— Co go może najgorszego spotkać, to waćpanów kompania!

Tu oczy dziewczyny poczęły ciskać błyskawice, i podniósłszy głowę, postąpiła kilka kroków ku zabi-
jakom, a oni cofali się przed nią w zdumieniu.

— Zdrajcy! — rzekła — wyto go jak złe duchy do grzechu kusicie, wy go namawiacie! Ale znam już was, waszę rozpustę, wasze bezecne uczynki. Prawo was ściga, ludzie się od was odwracają, a ohyda na kogo pada? — na niego — przez was banitów i infamisów!

— Hej! na rany boskie, towarzysze! słyszycie? — zakrzyknął Kokosiński. — Hej! co to jest? zali nie śpiemy, towarzysze?

Billewiczówna postąpiła krok jeszcze i ukazując ręką na drzwi:

— Precz ztąd! — rzekła.

Warchołowie pobledli trupio i żaden z nich nie zdobył się na słowo odpowiedzi. Jenó zęby ich poczęły zgrzytać, ręce drgać ku rękojęściom, a oczy ciskać złe błyskawice. Ale po chwili dusze w nich upadły z trwogi. Toż ten dom był pod opieką potężnego Kmicica, toż ta zuchwała panna była jego narzeczoną. Więc zgryźli w milczeniu gniew, a ona ciągle stała z roziskrzonym okiem, ukazująca palcem na drzwi.

Nakoniec pan Kokosiński rzekł przerywanym wściekłością głosem:

— Kiedy nas tu tak wdzięcznie przyjęto... to... nie pozostaje nam nic innego... jak pokłonić się... politycznej gospodyni i pójść... dziękując za gościnę...

To rzekłszy, skłonił się czapką z umyślną uniżonością aż do ziemi, a za nim kłaniali się i inni i wychodzili kolejno. Gdy drzwi zamknęły się za ostatnim, Oleńka upadła wyczerpana na krzesło, dychając ciężko, bo nie miała tyle sił, ile odwagi.

Oni zaś zgromadzili się na radę przed gankiem, naokół koni, ale żaden nie chciał pierwszy przemówić.

Wreszcie Kokosiński rzekł:

— Cóż milj barankowie?

— A cóż?

— Dobrze wam?

— A tobie dobrze?

— Ej! żeby nie Kmicic! ej, żeby nie Kmicic! — rzekł Ranicki, zacierając konwulsyjnie ręce — pohulali-
byśmy tu z panienką ponaszemu!...

— Idź, zdrzyj z Kmicicem! — zapiszczał Re-
kuć. — Stań mu!

Raniciego twarz, jak skóra rysia, cała była już
pokryta piętnami.

— I jemu stanę i tobie warchole, gdzie chcesz!

— A to i dobrze! — rzekł Rekuć.

Obaj porwali się do szabel, ale olbrzymi Kulwiec-
Hippocentaurus wtoczył się pomiędzy nich.

— Na tę pięść! — rzekł, potrząsając jakoby boch-
nem chleba. — na tę pięść! — powtórzył — pierwszemu,
który szablę wyciągnie, łeb roztrzaskam!

To rzekłszy, poglądał to na jednego, to na dru-
giego, jakoby pytając niemo, który pierwszy zechce po-
próbować; ale oni, tak zagadnięci, uspokoili się zaraz.

— Kulwiec ma racją! — rzekł Kokosiński. — Moi
mili barankowie, potrzeba nam teraz zgody więcej niż
kiedykolwiek... Jabył radził ruszać coprędzej do
Kmicica, żeby zaś ona go prędzej nie obaczyła, bo opisa-
łaby nas jako dyabłów. Dobrze, że tam żaden na nią
nie warknął, choć mnie samemu świerzbiały ręce i ję-
zyk... Ruszajmy do Kmicica. Ma ona go na nas pod-
bechtać, to lepiej my go wpierw podbechtajmy. Nie daj
Boże, aby nas opuścił. Zarazby tu obławę na nas, jak
na wilków, uczyniono.

— Furda! — rzekł Ranicki. — Nic nam nie uczy-

nią. Teraz wojna; mało to ludzi po świecie bez dachu i chleba się włóczy? Zbierzem sobie partyą, towarzysze mili, i niech nas wszystkie trybunały ścigają. Daj rękę Rekuć, odpuszczam ci!

— Byłbym ci uszy obciął, — zapiszczał Rekuć — ale już pogódźmy się! wspólna nas konfuzya spotkała.

— Kazać pójść precz takim jak my kawalerom! — rzekł Kokosiński.

— I mnie, w którym senatorska krew płynie! — dodał Ranicki.

— Ludziom godnym! familiantom!

— Żołnierzom zasłużonym!

— I exulom!

— Sierotom niewinnym!

— Mam bóty wyporkiem podszyte, ale już mi nogi marzną — rzekł Kulwicz. — Co będziemy jak dziady pod tym domem stali; nie wyniosą nam tu piwa grzanego! Nic tu po nas! Siadajmy i jedźmy. Czeladź lepiej odesłać, bo co po nich bez strzelb i broni, a sami jedźmy.

— Do Upity!

— Do Jędrusia, przyjaciela zacnego! Przed nim się poskarżym.

— Bylebyśmy go nie minęli.

— Na koń, towarzysze! na koń!

Siedli i ruszyli stępa, gniew i wstyd przezuwając. Za bramą Ranicki, którego złość trzymała jeszcze jak za gardło, odwrócił się i pogroził pięścią dworowi.

— Ej, krwi mi! ej, krwi!

— Niechby się tylko z Kmicicem pokłócili — rzekł Kokosiński — przyjechalibyśmy tu jeszcze z hubką.

— Może to być.

— Boże nam pomóż! — dodał Uhlik.

— Pogańska córka, cieciorka zaciekała!..

Tak klnąc i sierdząc się na pannę, a czasem na siebie samych warcząc, dojechali do lasu. Ledwie minęli pierwsze drzewa, ogromne stado wron zawichrzyło się nad ich głowami. Zend począł zaraz krakać przeraźliwie; tysiące głosów odpowiedziało mu z góry. Stado zniżyło się tak, że aż konie poczęły się lękać szumu skrzydeł.

— Stul gębę! — krzyknął na Zenda Ranicki. — Jeszcze nieszczęście wykraczesz! Kraczą nad nami te wrońska, jakby nad padliną...

Ale inni śmieli się, więc Zend krakał ciągle. Wrony zniżały się coraz bardziej i tak jechali, jak wśród burzy. Głupi! nie umieli odgadnąć złej wróżby.

Za lasem ukazały się już Wołmontowicze, ku którym kawalerowie ruszyli rysią, bo mróz był srogi i zmarzli bardzo, a do Upity było dosyć jeszcze daleko. Ale w samej wsi musieli zwolnić. Na szerokiej drodze zaścianku pełno było ludzi, jak zwyczajnie przy niedzieli. Butrymowie i Butrymówny wracali piechotą i saniami z Mitrunów, z odpustu. Szlachta poglądała na nieznanym jedźców, w pół się domyślając, coto za jedni. Młode szlachcianki słyszały już o rozpuszcie w Lubiczu i o sławnych jawnogrzesznicach, których pan Kmicie przyprowadził, więc przypatrywały im się jeszcze ciekawiej. Oni zaś jechali dumnie, w pięknych postawach żołnierskich, w zdobycznych aksamitnych ferezyach, w kołpakach rysich i na dzielnych koniach. Znać było jednak, że to żołnierze zawołani: miny rześiste i harde, prawe ręce wparte w boki, głowy podniesione. Nie ustępowali też nikomu, jadąc szeregiem i pokrzykując od

czasu do czasu: „Z drogi!“ Jaki taki z Butrymów spojrzał z pode łba, ale ustąpił; oni zaś gwarzyli między sobą o zaścianku.

— Uważcie, mości panowie,— mówił Kokosiński — jakietu chłopy rosłe; jeden w drugiego jak tur, a każdy wilkiem patrzy.

— Żeby nie ten wzrost i żeby nie szablika, można by ich wziąć za chamów — rzekł Uhlik.

— Obaczcie te szablice! czyste powyrki, jak mi Bóg miły! — zauważył Ranicki. — Chciałbym się z którym popróbować!

Tu pan Ranicki począł gołą dłonią szermować.

— Onby tak, jabym tak! Onby tak, jabym tak — i szach!

— Łatwo sobie możesz owe gaudium uczynić — zauważył Rekuć. — Z nimi nie trzeba wiele.

— Wolałbym się ja z temi oto dziewczętami popróbować! — rzekł nagle Zend.

— Świece nie panny! — wykrzyknął z zapałem Rekuć.

— Co waś mówisz: świece? — sosny! A pyski u każdej, jakoby krokoszem malowane.

— Ciężko i na szkapie usiedzieć na taki widok!

Tak rozmawiając, wyjechali z zaścianka i znów ruszyli rysi. Po pół godziny drogi przybyli do karczmy zwanej Doły, która leżała na pół drogi między Wołmontowiczami i Mitrunami. Butrymi i Butrymówny zatrzymywali się w niej zwykle, idąc i wracając z kościoła, aby odpocząć i rozgrzać się w czasie mrozów. To też przed zajazdem spostrzegli kawalerowie kilkanaście sani, wystanych grochowinami i tyleż koni posiadanych.

— Napijmy się gorzałki, bo zimno! — rzekł Kokosiński.

— Nie zawadzi! — odparł chór jednogłośnie.

Zsiedli z koni, zostawili je u słupów, a sami weszli do szynkowej izby, ogromnej i ciemnej. Zastali tu moc ludzi. Szlachta siedząc na ławach lub stojąc gromadami przed szynkwasem, popijała piwo grzane, a niektórzy krupniczek warzony z masła, miodu, wódki i korzeni. Sami to byli Butrymowie, chłopcy duże, ponure i tak małowówne, że w izbie prawie nie było słyhać gwaru. Wszyscy ubrani w szare kapoty z samodziału albo rosieńskiego pakłaku, podbite baranami, w pasy skórzane, przy szablach w czarnych żelaznych pochwach; przez tę jednostajność ubioru czynili pozór wojska. Ale byli to po części ludzie starzy od lat sześćdziesięciu lub wyrostkowie do dwudziestu. Ci dla omłotów zimowych w domach zostali; reszta, mężczyźni w sile wieku, ruszyli do Rosień.

Ujrawszy orszańskich kawalerów, odsunęli się od szynkwasu i poczęli im się przypatrywać. Piękny modelunek żołnierski podobał się tej wojowniczej szlachcie; czasem też który słowo puścił: „To z Lubicza?” — „Tak, pana Kmicicowa kompania!” — „To ci?” — „A jakże!”

Kawalerowie pili gorzałkę, ale krupniczek zbyt pachniał. Zwietrył go pierwszy Kokosiński i kazał dać. Obsiedli tedy stół, a gdy przyniesiono dymiący saganek, poczęli pić, spoglądając na izbę, na szlachtę i przymrużając oczy, bo w izbie było ciemnowo. Okna śnieg zasął, a długi, niski otwór gruby, w której palił się ogień, pozasłaniały całkiem jakieś figury plecami ku izbie odwrócone.

Kiedy już krupnik począł krążyć w żyłach kawa-

lerów, roznosząc po ich ciałach ciepło przyjemne, ożywiły im się zaraz humory, strapione po przyjęciu w Wodoktach i Zend począł nagle krakać jak wrona, tak dokładnie, że wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

Kawalerowie śmieli się, szlachta zaczęła się zbliżać rozweselona, zwłaszcza młodzi, potężni wyrostkowie o szerokich barach i puciołowatych policzkach. Siedzące przy grubie przed ogniem postacie odwróciły się ku izbie i Rekuć pierwszy dostrzegł, iż były to niewiasty.

A Zend zamknął oczy i krakał, krakał — nagle przestał i po chwili obecni usłyszeli głos duszonego przez psy zająca; zajęc beczał w ostatniej agonii, coraz słabiej, ciszej, potem zawrzasał rozpaczliwie i zamilkł na wieki — a na jego miejsce rogacz odezwał się potężnie, jak z rykowiska.

Butrymowie stali zdumieni, chociaż Zend już przestał. Spodziewali się jeszcze co usłyszeć, ale tymczasem usłyszeli tylko piskliwy głos Rekuć:

— Sikorki siedzą wedle gruby!

— A prawda! — rzekł Kokosiński, przysłaniając oczy ręką.

— Jako żywo! — powtórzył Uhlik — jeno w izbie tak ciemno, żem nie mógł rozeznąć.

— Ciekaw jestem, co one tam robią?

— Może na tańce przychodzą.

— A poczekajcie, spytam! — rzekł Kokosiński.

I podniósłszy głos, pytał:

— Miłe niewiasty, a cóże tam czynicie wedle gruby?

— Nogi grzejem! — ozwały się cienkie głosy.

Wówczas kawalerowie wstali i zbliżyli się do ogniska. Siedziało przy niem na długiej ławie z dziesięć nie-

wiaś, starszych i młodszych, trzymających bosc nogi na klocu, leżącym wedle ognia. Z drugiej strony kłoca suszyły się przemokłe od śniegu bóty.

— To waćpanny nogi grzejecie? — pytał Kokośiński.

— Bo zmarzły.

— Bardzo grzeczne nóżki! — zapiszczał Rekuć, pochylając się ku kłocowi.

— At! odczep się waszmość! — rzekła jedna z szlachcianek.

— Radbym ja się przyczepić, nie odczepić, ile że mam sposób pewny, lepszy od ognia na zmarzłe nóżki, którego sposób jest następujący: jeno potańcować z ochotą, a zamróż pójdzie precz!

— Kiedy potańcować, to potańcować! — rzekł pan Uhlik. — Nie potrzeba ni skrzypków, ni basetli, bo ja wam zagram na czekaniku.

I wydobywszy ze skórzanej pochewki, wiszącej przy szabli, nieodstępny instrument, grać począł, a kawalerowie sunęli w podrygach do dziewcząt i nuż je ściągać z ławy. One niby się broniły, ale więcej krzykiem, niż rękoma, bo naprawdę nie były bardzo od tego. Może i szlachta rozochociłaby się zkolei, bo przeciw potańcowaniu w niedzielę, po mszy i w zapusty, niktby bardzo nie protestował, ale reputacya „kompanii“ była już zbyt znana w Wołmontowiczach, więc pierwszy olbrzymi Józwa Butrym, ten, który stopy nie miał, wstał z ławicy i zbliżywszy się do Kulwieca-Hippocentaury, chwycił go za pierś, zatrzymał i rzekł ponuro:

— Jeśli się waszmości chce tańca, to może ze mną?...

Kulwiec-Hippocentaurus oczy przymrużył i począł wąsami ruszać gwałtownie.

— Wolę z dziewczyną — odrzekł — a z waścią to chyba potem. . .

Wtem nadbiegł Ranicki, z twarzą już pocętkowaną plamami, bo już burdę poczuł.

— Coś za jeden, zawalidrogo? — pytał, chwytając za szablę.

Uhlik przestał grać, a Kokosiński zakrzyknął:

— Hej, towarzysze! do kupy! do kupy!

Ale już za Józwą sypnęli się Butrymowie, starcy potężni i wyrostki ogromne; poczęli się także skupiać, pomrukując, jak niedźwiedzie.

— Czego chcecie, guzów szukacie? — pytał Kokosiński.

— At! co gadać! poszli precz! — rzekł z flegmą Józwa.

Na to Ranicki, któremu chodziło o to, aby czasem nie obyło się bez bójki, uderzył Józwę rękojeścią w pierś, aż się rozległo w całej izbie i krzyknął:

— Bij!

Rapiery zabłyśły, rozległ się wrzask niewiast, szcęk szabel, zgiełk i zamieszanie. Wtem olbrzymi Józwa wycofał się z potyczki, porwał stojącą wedle stołu z gruba ciosaną ławę i podniósłszy ją, jakby leciuchną deseczkę, zakrzyknął:

— Rum! rum!

Kurz wstał z podłogi i przestonił walczących, jeno w zamęcie jęki poczęły się odzywać. . .

ROZDZIAŁ V.

Tegoż samego dnia wieczorem przyjechał pan Kmicic do Wodoktów, na czele stukilkunastu ludzi, których ze sobą z Upity przyprowadził, żeby ich do Kiejdan hetmanowi W. odesłać, sam uznał bowiem, że w tak małym miasteczku niemasz dla większej liczby ludzi pomieszczenia i że po ogłodzeniu mieszczan, żołnierz musi się uciekać do gwałtów, zwłaszcza taki żołnierz, który tylko strachem przed dowódcą w karności może być utrzymany. Dość bowiem było spojrzeć na wolontarzy pana Kmicica, żeby dojść do przekonania, iż gorszego gatunku ludzi trudno było w całej Rzeczypospolitej znaleźć. I Kmicic nie mógł mieć innych. Po pobiciu hetmana W., nieprzyjaciel zalał cały kraj. Resztki wojsk regularnych litewskiego komputu cofnęły się na pewien czas do Birż i Kiejdan, aby tam przyjść do sprawy. Szlachta smoleńska, witebska, połocka, mściławska i mińska, albo pociągnęła za wojskiem, albo chroniła się w województwach jeszcze niezajętych. Ludzie śmielszego ducha między szlachtą zbierali się do Grodna, do pana podskarbiego Gosiewskiego, tam bowiem naznaczały punkt zborny uniwersały królewskie, zwołujące pospolite ruszenie. Niestety! mało było

takich, którzy usłuchali uniwersałów, ci zaś nawet, co poszli za głosem obowiązku, ściągali się tak opieszale, że tymczasem naprawdę nikt oporu nie dawał, prócz pana Kmicica, który czynił to na własną rękę, pobudzany więcej fantazyą rycerską, niż patryotyzmem. Łatwo jednak zrozumieć, że w braku wojsk regularnych i szlachty, brał ludzi, jakich mógł znaleźć — więc takich, których obowiązek do hetmanów nie ciągnął i którzy nie mieli nic do stracenia. Nagarnęło się tedy do niego zawalidrogów bez dachu i domu, ludzi niskiego stanu, zbiegłej z wojska czeladzi, zdziczałych borowych, pachotków miejskich lub łotrzyków prawem ściganych. Ci pod chorągwią spodziewali się znaleźć ochronę, a przytem łupami się pożywić. W żelaznych rękach Kmicicowych zmienili się oni w śmiałych żołnierzy, śmiałych aż do szaleństwa i gdyby sam Kmicic był statecznym człowiekiem, mogli byli znaczne Rzeczypospolitej oddać przysługi. Ale Kmicic był sam swawolnikiem, w którym dusza kipiała ustawicznie; zresztą zkad miał brać prowiant i broń i konie, gdy jako wolentarz, nie posiadający nawet listów zapowiednich, nie mógł ze skarbu Rzeczypospolitej żadnej spodziewać się pomocy. Brał więc gwałtem, często na nieprzyjacielu, często i na swoich. Oporu nie znosił i za najmniejszy karał srodze.

W ustawicznych podjazdach, walkach i napadach zdziczał, przyzwyczał się do krwi przelewu, tak, że nie lada co mogło poruszyć w nim, dobre zresztą z natury, serce. Zakochał się w ludziach gotowych na wszystko i niepohamowanych. Imię jego zastępnęło wkrótce złowrogo. Mniejsze oddziały nieprzyjacielskie nie śmiały się wychylać z miast i obozów w stronach, w których straszliwy partyzant grasował. Ale i miejscowe obywa-

telstwo, zniszczone przez wojnę, bało się jego ludzi mało mniej, niż nieprzyjaciół. Zwłaszcza gdzie oko Kmicica osobiście nie spoczywało nad nimi, gdzie komendę brali jego oficerowie: Kokosiński, Uhlik, Kulwicz, Zend, a szczególnie najdzikszy i najokrutniejszy, lubo z wysokiej krwi pochodzący Ranicki — tam zawsze można było pytać: obrońcyli to, czy napastnicy? Kmicic karał czasem i swoich ludzi, gdy mu nie pod humor co przyszło, bez miłosierdzia; ale częściej stawał po ich stronie, nie dbając na prawa, na łyż i życie ludzkie.

Kompanionowie, prócz Rekucia, na którym krew niewinna nie ciążyła, jeszcze podmawiali młodego wodza, by coraz bardziej cugłów swej bujnej naturze popuszczał.

Takięto było Kmicicowe wojsko.

Teraz właśnie zabrał on swą hołotę z Upity, by ją do Kiejdan odesłać. Gdy się tedy zatrzymali przed dworem w Wodoktach, panna Aleksandra aż przeraziła się, ujrawszy ich przez okno; tak byli do hajdamaków podobni. Każdy inaczej zbrojny, jedni w hełmach pobranych na nieprzyjacielu, drudzy w czapkach kozackich, w kapuzach, w kapturach, niektórzy w wypłowiałych ferezyach, inni w kozuchach, z rusznicami, spisami, łukami i berdyszami, na chudych, poszerzeniałych koniach, ubranych w rzędziki polskie, moskiewskie, tureckie. Uspokoiła się dopiero Oleńka, gdy pan Andrzej, hoży i wesoły jak zawsze, wpadł do izby i zaraz z niezmierną żywością do rąk jej przypadł.

Ona zaś, choć poprzednio postanowiła przyjąć go z powagą i zimno, jednak nie mogła zapanować nad radością, którą jej sprawiło jego przybycie. Przytem może i chytróść niewieścia grała w tem pewną rolę, bo trzeba

było powiedzieć panu Andrzejowi o wypędzeniu za drzwi kompanii, więc chciała go sobie przebiegła dziewczyna najprzód zjednać. A zresztą, tak ją witał szczerze, z taką miłością, że resztki urazy stopniały jak śnieg przy płomieniu.

— Miłuj mnie! niemasz wątpliwości! — pomyślała.

A on mówił:

— Jużem się tak stęsknił, żem całą Upitę chciał spalić, byle do cię jak najprędzej lecieć. Niechże ich tam mróz ściśnie tych łyków.

— Jam też była niespokojna, żeby tam do bitwy nie przyszło. Chwała Bogu, żeś waćpan przyjechał.

— I! co za bitwa! Żołnierze poczeli trochę łyków tarmosić...

— Aleś to waćpan uspokoił?

— Zaraz ci powiem wszystko, jak się zdarzyło, mój klejnocie, jeno sobie usiędę trochę, bom się strudził. Ej! ciepłoż tu, ej! miło w tych Wodoktach, jako właśnie w raju. Radby tu człowiek po wiek siedział i w one śliczne oczy patrzył i nigdy nie wyjeżdżał... Ale napić się czego ciepłego nie zawadziłoby także, bo na dworze mróz okrutny.

— Zaraz każę waćpanu wina z jajami zgrzać i sama przyniosę.

— A dajże i moim wisielcom jaką baryłczynę gorzałki i każ ich do obory puścić, żeby się jeno od paru bydlęcego nieco rozgrzali. Tołuby mają wiatrem podszyte i srodze pokostnieli.

— Niczego im nie pożałuję, bo to waćpańscy żołnierze.

To rzekłszy, uśmiechnęła się tak, aż Kmicicowi

w oczach pojaśniało i wysunęła się jak kotka cicho, by w czeladnej wszystko zarządzić.

Kmicic chodził po izbie i po czuprynie się głaskał, to znów wąsa młodego pokręcał, namysławiac się: jak jej opowiedzieć, co się w Upicie zdarzyło.

— Trzeba szczerą prawdę wyznać — mruzczał pod nosem — niema rady, choćby kompania mieli się śmiać, że mnie tu już na pasku wodzą...

I znów chodził i znów czuprynę na czoło nagarniał, wreszcie zniecierpliwiał się, że dziewczyna długo nie wraca.

Tymczasem pacholik wniósł światło, pokłonił się w pas i wyszedł, a potem zaraz weszła wdzięczna gosposia, niosąc sama w obu rękach błyszczącą cynową tacę, na niej garnuszek, z którego wychodziła wonna para zagrzanego węgryzyna i puharek, rznity ze szkła, z herbem Kmiciców. Stary Billewicz dostał go w swoim czasie od ojca pana Andrzeja, gdy u niego w gościnie bawił.

Pan Andrzej, ujrawszy gosposię, poskoczył ku niej.

— Hej! — zawołał — rączyny obydwie zajęte, nie wymkniesz mi się!

I przechylił się przez tacę, a ona cofała swoją jasną główkę, bronioną tylko przez opar, wychodzący z garnuszką.

— Zdrajca! dajże waćpan spokój, bo upuszczę polewkę...

Ale on się groźby nie uląkł, poczem zakrzyknął:

— Jak Bóg w niebie, od takich delicyj rozum może się pomieszać!

— Waćpanu dawno się już pomieszał... Siadaj, siadaj.

Usiadł posłusznie; ona zaś nalała mu polewki w puharek.

— Mówże teraz, jakieś to w Upicie winnych sądził?

— W Upicie? Jako Salomon!

— To i chwała Bogu!... Na sercu mi to, żeby wszyscy w okolicy mieli waćpana za statecznego i sprawiedliwego człowieka. Jakże to tedy było?

Kmicie pociągnął dobrze polewki, odetchnął i rzekł:

— Muszę opowiadać od początku. Było tak: Upominali się łyczkowie z burmistrzem o asygnacye na prowianty od hetmana wielkiego, albo od pana podskarbiego. „Waćpanowie (mówili żołnierzom) jesteście wolentarzami i egzakcyi nie możecie czynić. Kwatery dajem z łaski, a prowianty damy wtedy, gdy się okaże, że nas zapłaca“.

— Mieli słuszność, czy nie mieli?

— Słuszność wedle prawa mieli, ale żołnierze mieli szable, a postaremu, kto ma szablę, ten ma zawsze lepszą racją. Powiadają tedy łyczkom: „Zaraz my tu na waszej skórze wypiszemy asygnacye!“ I wnet stał się tumult. Burmistrz z łyczkami zatarasowali się w ulicy, a moi ich dobywali; nie obeszło się bez strzelaniny. Zapalili niebożęta żołnierze dla postrachu parę stodoł, kilku też łyczków uspokoili...

— Jakto uspokoili?

— Kto weźmie szablę po łbie, to spokojny jak trusia.

— Dla Boga! toż to zabójstwo!

— Właśnie na to przyjechał. Żołnierze zaraz do mnie z narzekaniami i skargami na opresyą, w jakiej żyją, że to ich niewinnie prześladowają. „Brzuchy mamy puste — mówili — co nam czynić?” Kazałem burmistrzowi, by się stawił. Namyslał się długo, ale wreszcie przyszedł z trzema innymi. Kiedyś to nie zaczęła płakać: „Niechby już i asygnacyi nie dawali — prawią — ale czemu biją, czemu miasto palą? Jeść i pić bylibyśmy dali za dobre słowo, ale oni chcieli słoniny, miodów, specyałów, a my sami ubodzy ludzie, tego nie mamy. Prawem się będziem bronić, a wasza mość przed sądem za swoich żołnierzków odpowiesz“.

— Bóg waćpana będzie błogosławił — zawołała Oleńka — jeśliś sprawiedliwość, jako się godzi uczynił!

— Jeśliś uczynił?...

Tu pan Andrzej skrzywił się jak student, który ma się do winy przyznać i czuprynę począł ręką na czoło nagarniać.

— Mój królu! — zawołał wreszcie żalonym głosem — mój klejnocie!... nie gniewaj się na mnie...

— Cóżes znów waćpan uczynił? — pytała niespokojnie Oleńka.

— Kazałem dać po sto batożków burmistrzowi i radnym! — wyrecytował jednym tchem pan Andrzej.

Oleńka nie odrzekła nic, jeno ręce wsparła na kolanach, głowę spuściła na piersi i pograżyła się w milczeniu.

— Zetnij szyję! — wołał Kmicic — ale nie gniewaj się!... Jeszczem wszystkiego nie wyznał...

— Jeszcze? — jęknęła panna.

— Bo to oni potem posłali do Poniewieża o pomoc. Przyszło sto głupich pacholków z oficyerami.

Tych przepłoszyłem, a oficerów... na Boga, nie gniewaj się!... kazałem gołych pognać kańczugami po śniegu, tak, jakem raz panu Tumgratowi w Orszańskim uczynił...

Billewiczówna podniosła głowę; surowe jej oczy pałały gniewem, a purpura wystąpiła na policzki.

— Waćpan nie masz wstydu i sumienia! — rzekła.

Kmicic spojrział zdziwiony, zamilkł na chwilę, potem spytał zmienionym głosem:

— Prawdęli mówisz, czy udajesz?

— Prawdę mówię, że hajdamaki godny to uczynek, nie kawalera!... Prawdę mówię, bo mi reputacya waćpana na sercu leży, bo mi wstyd, żeś ledwo przyjechał, już cię całe obywatelstwo ma za gwałtownika i palcami ukazuje!...

— Co mi tam wasze obywatelstwo! Dziesięciu chałup jeden pies strzeże i jeszcze niewiele ma roboty.

— Ale niemasz infamii na tych chudopachołkach, niemasz hańby na niczyjem imieniu. Nikogo tu sądy ścigać nie będą, prócz waćpana!

— Ej, niechże cię o to głowa nie boli. Każdy sobie pan w naszej Rzeczypospolitej, kto jeno ma szablę w garści i ładajaką partyą zebrać potrafi. Co mi uczynią, kogo ja się tu boję?

— Jeśli waćpan nikogo się nie boisz, to wiedz o tem, że ja się boję gniewu Bożego... i też ludzkich się boję, i krzywd! A hańbą z nikim dzielić się nie chcę; chociażem niewiasta słaba, przecie mi miła cześć imienia może więcej, niż niejednemu, który się kawalerem powiada.

— Na Boga! nie groźże mi rekużą, bo mnie jeszcze nie znasz..

— O, wierzę, że i mój dziad waćpana nie znał!

Oczy Kmicica poczęły iskry sypać, ale i w niej się rozigrała krew billewiczowska.

— Rzucaj się waćpan, zgrzytaj! — mówiła śmiało dalej — jać się nie ulęknę, chociażem sama, a wać masz całą chorągiew rozbójników pod sobą; niewinność moja mnie broni!... Myślisz, że nie wiem, iżescie w Lubiczu wizerunki postrzelali i że dziewczęta na rozpustę ciągacie?... Wać to mnie nie znasz, jeśli myślisz, że zmilczę pokornie. Chcę poczciwości od waćpana i tego wymagać żaden mi testament nie zabroni... Owszem, wola mego dziada jest, żebym tylko poczciwego żoną była...

Kmicic widocznie zawstydził się tych sprawek lubickich, bo spuściwszy głowę, spytał cichszym już głosem:

— Kto ci o owem strzelaniu mówił?

— Wszystka szlachta z okolicy o tem mówi.

— Zapłacę ja tym szarakom, zdrajcom, za życzliwość! — odparł posepnie Kmicic. — Ale to stało się popijanemu... w kompanii... jako, że żołnierze pohamować się nie umieją. A co do dziewcząt, to jam ich nie ciągał.

— Wiem, że to owi bezwstydnicy, owi zbóje do wszystkiego waćpana podmawiają...

— To nie zbóje, to moi oficyerowie...

— Ja tym waćpana oficyerom kazała pójść precz. z mego domu!

Oleńka spodziewała się wybuchu, tymczasem z największem zdziwieniem spostrzegła, że wiadomość o wypędzeniu kompanionów żadnego na Kmicicu nie

uczyniła wrażenia, a nawet przeciwnie, zdawała mu się humor poprawiać.

— Kazałaś im pójść precz? — spytał.

— Tak jest.

— A oni poszli?

— Tak jest.

— Dalibóg, kawalerska w tobie fantazyja! Okrutnie mi się to podoba, bo niebezpieczna rzecz z takimi ludźmi zdrzeć. Niejeden już ciężko za to zapłacił. Ale i oni znają mores przed Kmicicem!... Widzisz! wynieśli się pokornie jak barankowie — widzisz! a czemu? bo się mnie boją!

Tu pan Andrzej spojrział chełpliwie na Oleńkę i wąsa począł pokręcać; ją zaś rozgniewała do reszty ta zmienność humoru i ta niewczesna chełpliwość, więc rzekła wyniośle i z naciskiem:

— Waćpan musisz wybrać między mną a nimi, inaczej być nie może!

Kmicic zdawał się nie spostrzegać tej stanowczości, z jaką Oleńka mówiła i odpowiedział niedbale, prawie wesoło:

— A poco mnie wybierać, kiedy ja i ciebie mam i ich mam! Waćpanna możesz sobie w Wodoktach czynić, co się podoba; ale jeżeli moi kompaniowie żadnej tu krzywdy, ani swawoli się nie dopuścili, to zacóż mam ich wyganiać? Waćpanna tego nie rozumiesz, co to jest służyć pod jedną chorągwią i wojnę razem odbywać... Żadne krewieństwo tak nie łączy, jak wspólna służba. Wiedz o tem, że oni mało tysięcy ratowali mi życie; że ich prawo ściga, to tembardziej muszę im dać przytułek. Szlachta to prawie wszystko i familianci, za wyjątkiem Zenda, któren

jest niepewnego pochodzenia, ale takiego kalwakatora nie masz w całej Rzeczypospolitej. Prócz tego, gdybyś go waćpanna słyszała, jak zwierza i ptastwo wszelakie udaje, samabyś go polubiła.

Tu pan Andrzej rozśmiał się, jakby żaden gniew, żadne nieporozumienie nie miało nigdy miejsca między nimi, a ona aż załamala ręce, widząc, jak z rąk jej się wymyka ta wichrowata natura. To wszystko, co mówiła mu o opinii ludzkiej, o potrzebie statku, o nieślawie, zeslizgiwało się po nim, jak grot po pancerzu. Nierozbudzone sumienie tego żołnierza nie umiało odczuć jej oburzenia na każdą niesprawiedliwość, na każdą bezecną swawolę. Jakże tu do niego trafić, jak przemówić ?

— Niech się dzieje wola Boża! — rzekła wreszcie. — Skoro się mnie waćpan wyrzekasz, to idźże swoją drogą! Bóg zostanie nad sierotą!

— Ja się ciebie wyrzekam? — pytał Kmicic z największym zdumieniem.

— Tak jest! jeśli nie słowy, to uczynkami; jeśli nie ty mnie, to ja ciebie... Bo nie pójdę za człowieka, na którym ciężą łzy ludzkie i krew ludzka, którego palcami wytykają, bannitem, rozbójnikiem zowią i za zdrajcę mają!

— Za jakiego zdrajcę?... Nie przywodźże mnie do szaleństwa, abym zaś czego nie uczynił, czegobym potem żałował. Niechże we mnie piorun zaraz trzaśnie, niech mnie czarci dziś obłuszcza, jeśli ja zdrajca, ja, którym przy ojczyźnie wtedy stawał, kiedy wszyscy ręce opuścili!

— Waćpan przy niej stajesz, a czynisz to, co i nieprzyjaciel, bo ją depcesz, bo ludzi w niej katu-

jesz, bo na prawa boskie i ludzkie nie dbasz. Nie! choćby mi się i serce rozdarło, nie chcę cię mieć takiego, nie chcę!...

— Nie gadaj mi o rekuzie, bo się wścieknę! Ratujeź mnie anieli! Nie zechcesz mnie po dobrej woli, to cię i tak wezmę, choćby tu wszystka hołota z zaścianków, choćby sami Radziwiłłowie, sam nawet król i wszyscy dyabli rogami przystępu bronili, a choćbym miał duszę czartu zaprzedać...

— Nie wzywajże złych duchów, bo cię usłyszą! — zakrzyknęła Oleńka, wyciągając przed siebie ręce.

— Czego ode mnie chcesz?

— Bądź uczciwy!...

Umilkli oboje i nastała cisza. Słyszeć było tylko sapanie pana Andrzeja. Ostatnie słowa Oleńki przedarły jednak pancierz, pokrywający jego sumienie. Czuł się upokorzony. Nie wiedział co jej odrzec, jak się bronić. Potem począł chodzić szybkimi krokami po izbie; ona siedziała nieruchomie. Zawisła nad nimi niezgoda, rozjątrzenie i żal. Było im ze sobą ciężko i to długie milczenie stawało im się coraz nieznośniejsze.

— Bądź zdrowa! — rzekł nagle Kmicic.

— Jedź waćpan i niech cię Bóg natchnie inaczej! — odrzekła Oleńka.

— Pojadę! Gorzki mi był twój napitek, gorzki chleb! Żółcią i octem mnie tu napojono!

— A waćpan to myślisz, żeś mnie słodyczą napoił? — odrzekła głosem, w którym drgały łzy.

— Bądź zdrowa!

— Bądź zdrów!...

Kmicic postąpił ku drzwiom, nagle zwrócił się, i poskoczywszy ku niej, chwycił ją za obie ręce i rzekł:

— Na rany Chrystusa! czy ty chcesz, żebym trupem w drodze z konia spadł?

Wówczas Oleńka wybuchnęła płaczem; on objął ją i trzymał w ramionach całą dygocącą, powtarzając przez zaciśnięte zęby:

— Bijże mnie, kto w Boga wierzy! bij, nie żałuj! Nakoniec wybuchnął:

— Nie płacz, Oleńko! Dla Boga, nie płacz! Com ci winien! Uczynię wszystko, co chcesz. Tamtych wyprawię... w Upicie załagodzę... będę żył inaczej... bo cię miłuję... Dla Boga! serce mi się rozpęknie... uczynię wszystko... jeno nie płacz... i miłuj mnie jeszcze...

Tak on ją uspakajał i pieścił; ona zaś, wypłakawszy się, rzekła:

— Jedź już waćpan. Bóg zgodę między nami uczyni. Ja nie mam urazy, jeno ból w sercu...

Księżyc wytoczył się już wysoko nad białe pola, gdy pan Andrzej ruszył z powrotem do Lubicza, a za nim pośląpali żołnierze, rozciągnawszy się wężem po szerokim gościńcu. Jechali przez Wołmontowicze, ale krótszą drogą, bo mróz popętał bagna i można było po nich przejeżdżać bezpiecznie.

Wachmistrz Soroka przybliżył się do pana Andrzeja.

— Panie rotmistrzu, — spytał — a gdzie nam stanąć w Lubiczu?

— Ruszaj precz! — odpowiedział Kmicic.

I jechał na przodzie, nic do nikogo nie mówiąc. W sercu nurtował mu żal, chwilami gniew, ale przede wszystkim złość na samego siebie. Pierwszato była noc w jego życiu, w której czynił rachunek sumienia

i rachunek ten ciążył mu gorzej od najcięższego pancerza. Oto przyjechał w te strony z nadszarpniętą reputacją i cóż uczynił, aby ją poprawić? Pierwszego dnia pozwolił na strzelanie i rozpustę w Lubiczu i zmyślił, że do niej nie należał, bo należał; potem pozwalał każdego dnia. Dalej: żołnierze skrzywdzili mieszczan, a on tej krzywdy dopełnił. Gorzej! rzucił się na prezydium poniewieskie, pobił ludzi, puścił gołych oficerów na śniegi... Uczynią mu proces — przegra. Skażą go na utratę majątku, czci, może i gardła. A przecież nie będzie mógł, jak dawniej, zebrawszy partyą zbrojnej hołoty, drwić sobie z praw, bo zamierza się ożenić, osiąść w Wodoktach, służyć nie na własną rękę, ale w kompucie; tam prawo go znajdzie i dosięgnie. Prócz tego, choćby mu uszło bezkarnie, jest coś szpetnego w tych postępkach, jest coś niegodnego rycerza. Może swawola da się załagodzić, ale pamięć jej zostanie i w sercach ludzkich i w jego własnem sumieniu i w sercu Oleńki...

Tu, gdy wspomniał, że ona jednak nie odepchnęła go jeszcze, że wyjeżdżając, czytał w jej oczach przebaczenie, wydała mu się tak dobrą, jak anieli niebiescy. I ot! brała go ochota wrócić nie jutro, ale zaraz wrócić, co koń wyskoczy, i paść jej do nóg, i prosić o zapomnienie, i całować te słodkie oczy, które łzami zrosiły dzisiaj twarz jego.

Chciało mu się samemu ryknąć płaczem i czuł, że tak miłuje tę dziewczynę, jak nigdy w życiu nikogo nie miłował. „Na Pannę Najświętszą! — myślał w duszy — uczynię, co ona zechce; opatrzę kompanów suto i wyprawię na kraj świata, bo prawda jest, że oni mnie do złego podniecają“.

Tu przyszło mu do głowy, że przybywszy do Lubicza, zastanie ich najpewniej pijanych, albo z dziewczętami i chwyciła go taka złość, że mu się chciało szablą uderzyć na kogokolwiek, choćby na tych żołnierzy, których prowadził i siec ich bez miłosierdzia.

— Dam ja im! — mrucał, targając wąs — jeszcze mnie takim nie widzieli, jak zobaczą...

Tu zaczął konia z szaleństwa ostrogami bóść i za trenzlę targać i szarpać, aż rumak rozhukał się, a Soroka widząc to, mrucał do żołnierzy:

— Rotmistrz się zbiesił. Nie daj Bóg wpaść mu pod rękę...

Jakoż pan Andrzej biesił się rzeczywiście. Naokoło był wielki spokój. Księżyc świecił pogodnie, niebo iskrzyło się tysiącami gwiazd, najmniejszy wiatr nie poruszał gałęzi na drzewach — jeno w sercu rycerza wrzała burza. Droga do Lubicza wydała mu się tak długa, jak nigdy. Jakaś nieznana dotąd trwoga zaczęła nań nadlatywać z mroku, z głębin leśnych i z pól zalanych zielonawem światłem księżyca. Wreszcie zmęczenie ogarnęło pana Andrzeja, gdyż zresztą, co prawda, całą zesłą noc spędził w Upicie, na pijatyce i hulance. Ale chciał trud trudem zabić, otrząsnąć się z niepokoju szybką jazdą, zwrócił się więc do żołnierzy i zakomenderował:

— W konie!...

Pomknął, jak strzała, a za nim cały oddział. I w tych lasach i na pustych polach lecieli, jak ów orszak piekielny rycerzy krzyżackich, o których lud powiada na Żmudzi, iż czasami, wśród jasnych nocy miesięcznych, zjawiają się i pędzą przez powietrze, zwiastując wojnę i klęski nadzwyczajne. Tętent leciał

przed nimi i za nimi; z koni zaczęła para buchać i dopiero, gdy śniegiem pokryte dachy lubickie ukazały się na zawrocie, zwolnili biegu.

Kołowrot zastali otwarty szeroko. Kmicica zdziwiło, że gdy podwórzec zaroił się ludźmi i końmi, nikt nie wyszedł zobaczyć, ani spytać, co są za jedni. Spodziewał się zastać okna błyszczące od światła, usłyszeć głos uhlikowego czekanika, skrzypków, albo wesole okrzyki biesiady; tymczasem w dwóch tylko oknach izby jadalnej migotało niepewne światełko, zresztą było ciemno, cicho, głucho. Wachmistrz Soroka zeskoczył pierwszy z konia, by potrzymać strzemię rotmistrzowi.

— Iść spać! — rzekł Kmicie — kto się zmieści w czeladnej, niech śpi w czeladnej, a inni w stajniach. Konie wstawić do obór, stodoł i przynieść im siana z odryny.

— Słucham! — odpowiedział wachmistrz.

Kmicie zszedł z konia. Drzwi od sieni otwarte były na rozcież, a sień wyziębiona.

— Hej tam! jest tam kto? — wołał Kmicie.

Nikt się nie ozwał.

— Hej tam! powtórzył głośniej.

Milczenie.

— Popili się! — mruknął pan Andrzej.

I ogarnęła go taka wściekłość, że począł zębami zgrzytać. Jadąc, wstrząsał się z gniewu na myśl, że zastanie pijatykę i rozpustę, teraz ta cisza drażniła go jeszcze bardziej.

Wszedł do izby jadalnej. Na ogromnym stole palił się kaganek łojowy czerwonym, dymiącym światłem. Pęd powietrza, które wpadło z sieni, chwiało płomieniem, tak, iż przez chwilę nie mógł pan Andrzej

nie dojrzeć. Dopiero, gdy migotanie uspokoiło się, dojrzał szereg postaci, leżących równo pod ścianą.

— Popili się na umor, czy co? — mruknął niespokojnie.

Następnie zbliżył się niecierpliwie do pierwszej postaci z brzegu. Twarzy jej nie mógł widzieć, bo była pograżona w cieniu, ale po białym skórzanym pasie i po białej pochwie na czekanik poznał pana Uhlika i począł go trącać bez ceremonii nogą.

— Wstawajcie tacy synowie! wstawajcie!...

Ale pan Uhlik leżał nieruchomy, z rękoma opadłymi bezwładnie po bokach ciała, a za nim leżeli inni; żaden nie ziewnął, nie drgnął, nie przebudził się, nie mruknął. W tejże chwili pan Kmicic spostrzegł, że wszyscy leżą na wznak, w jednakowej pozycji i jakiegoś straszne przecucie chwyciło go za serce.

Poskoczywszy do stołu, porwał drżącą ręką kaganek i przysunął go ku twarzom leżących.

Włosy powstały mu na głowie, tak straszny widok uderzył jego oczy... Uhlika wyłącznie mógł poznać po białym pasie, bo twarz i głowa przedstawiały jedną bezkształtną masę, krwawą, ohydną, bez oczu, nosa i ust — tylko wąsy ogromne sterczały z tej okropnej kałuży. Pan Kmicic świecił dalej... Drugi z kolei leżał Zend z wyszczerzonymi zębami i wyszłemi na wierzch oczyma, w których zeszkliło się przedśmiertne przerażenie. Trzeci z kolei Ranicki, oczy miał przymknięte, a po całej twarzy cętki białe, krwawe i ciemne. Pan Kmicic świecił dalej... Czwarty leżał pan Kokosiński, najmilszy Kmicicowi ze wszystkich towarzyszków, bo dawny sąsiad bliski. Ten zdawał się spać spokojnie, jeno z boku, w szyi, widać mu było dużą ranę, zape-

wne sztychem zadana. Piąty z kolei leżał olbrzymi pan Kulwicz-Hippocentaurus z żupanem podartym na pierśsiach i posiekaną gęstemi razami twarzą. Pan Kmicic przybliżał kaganek do każdej twarzy, a gdy wreszcie szóstemu, Rekuciovi, w oczy zaświecił, zdało mu się, że powieki nieszczęsnego zadrgały trochę od blasku.

Więc postawił na ziemi kaganek i zaczął wstrząsać zlekka rannym.

— Rekuć, Rekuć! — wołał — to ja, Kmicic!...

Za powiekami poczęła drgać i twarz, oczy i usta otwierały się i zamykały naprzemian.

— To ja! — rzekł Kmicic.

Oczy Rekucia otwarły się na chwilę zupełnie — poznał twarz przyjaciela i jęknął zcicha:

— Jędrus!... księdza!...

— Kto was pobił?! — krzyczał Kmicic, chwytając się za włosy.

— Bu-try-my... — ozwał się głos tak cichy, że ledwie dostłyszalny.

Poczem Rekuć wyprężył się, zesztyniał, otwarte oczy stanęły mu w słup — i skonał.

Kmicic poszedł w milczeniu do stołu, postawił na nim kaganek — sam siadł na krześle i począł rękoma wodzić po twarzy, jak człowiek, który ze snu się zbudziwszy, sam nie wie, czy już się rozbudził, czy widzi jeszcze senne obrazy przed oczyma.

Następnie znów spojrział na leżące w mroku ciała. Zimny pot wystąpił mu na czoło, włosy zjeżyły się na głowie i nagle krzyknął tak strasznie, że aż szyby zadrgały w oknach:

— Bywaj kto żyw! bywaj!...

Żołnierze, którzy roztasowawali się w czeladnej,

posłyszeli ów krzyk i pędem wpadli do izby. Kmicic ukazał im ręką na leżące pod ścianą trupy.

— Pobici! pobici! — powtarzał chrapliwym głosem.

Oni rzucili się patrzeć; niektórzy nadbiegli z łuczycywem i poczęli w oczy świecić nieboszczykom. Po pierwszej chwili zdumienia wszczął się gwar i zamieszanie. Przylecieli i ci, którzy już się byli pokładli w stajniach i oborach. Dom cały zajaśniał światłem, zaroił się ludźmi, a wśród tego zamętu, nawoływań, pytań, jedni tylko pobici leżeli pod ścianą równo i cicho, obojętni na wszystko i — przeciw swej naturze — spokojni. Dusze z nich wyszły, a ciała nie mogły rozbudzić ani surmy do bitwy, ani brzęk kielichów do uczty.

Tymczasem w gwarze żołnierskim coraz bardziej przemagały okrzyki groźby i wściekłości. Kmicic, który dotąd był jakby nieprzytomny, zerwał się nagle i zakrzyknął:

— Na koń!...

Ruszyło się, co żyło, ku drzwiom. Nie upłynęło i pół godziny, już stu przeszło jeźdźców leciało na złamanie karku po szerokiej, śnieżnej drodze, a na ich czele leciał pan Andrzej, jakby go zły duch opętał, bez czapki, z gołą szablą w ręku. W ciszy nocnej rozlegały się dzikie okrzyki:

— Bij! morduj!...

Księżyc dosięgnął właśnie najwyższej wysokości w swej drodze niebieskiej, gdy nagle blask jego począł się mieszać i zlewać z różowym światłem, wychodzącym jakby zpod ziemi; stopniowo niebo czerwieniło coraz bardziej, rzekłbyś od zorzy wstającej, aż wreszcie krwawa czerwona łuna oblała całą okolicę. Jedno mo-

rze ognia szalało nad olbrzymim zaściankiem Butrymów, a dziki żołnierz Kmicicowy, wśród dymu, pożogi i iskier buchających słupami do góry, mordował w pień przerażoną i zślepiłą z trwogi ludność...

Zerwali się ze snu mieszkańcy pobliskich zaścianków. Większe i mniejsze gromady Gościewiczów i Dymnych, Stakjanów, Gasztowtów i Domaszewiczów, zbierały się po drogach, przed domami i poglądając w stronę pożaru, podawały sobie z ust do ust trwożliwe wieści: „Chyba nieprzyjaciel wtargnął i pali Butrymów... To niezwykajny pożar!”

Huk rusznic, dochodzący od czasu do czasu z od-dali, potwierdzał te przypuszczenia.

— Pójdźmy na pomoc! — wołali śmielsi — nie dajmy braciom ginąć...

A gdy tak mówili starsi, już młodszy, którzy dla omłotów zimowych nie poszli do Rosień, siadali na koń. W Krakinowie i w Upicie poczęto bić w dzwony po kościołach.

W Wodoktach ciche pukanie do drzwi zbudziło pannę Aleksandrę.

— Oleńko! wstawaj! — wołała panna Franciszka Kulwiecówna.

— Niech ciotunia wejdzie! Co tam się dzieje?

— Wołmontowicze się palą!

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

— Strzały aż tu słyhać, tam bitwa! Boże zmi-łuj się nad nami!

Oleńka krzyknęła strasznie, poczem wyskoczyła z łóżka i poczęła śpiesznie szaty narzucać. Ciało jej dygotało, jak we febrze. Ona jedna domyśliła się odrazu, coto za nieprzyjaciel napadł nieszczęsnych Butrymów.

Po chwili wpadły rozbudzone niewiasty z całego domu z płaczem i szlochaniem. Oleńka rzuciła się na kolana przed obrazem, one poszły za jej przykładem i wszystkie poczęły odmawiać głośno litaniją za konających.

Były zaledwie w połowie, gdy gwałtowne kołatanie wstrząsnęło drzwiami od sieni. Niewiasty zerwały się na równe nogi, okrzyk trwogi wyrwał się im z piersi.

— Nie otwierać! nie otwierać!

Kołatanie ozwało się z podwójną siłą, rzekłbyś: drzwi wyskoczą z zawias. Tymczasem, między zgromadzone niewiasty, wpadł pacholik Kostek.

— Panienko! — wołał — jakiś człek stuka, otwierać, czy nie?

— Samli jest?

— Sam.

— Idź, otwórz!

Pachołek skoczył, ona zaś chwyciwszy świecę, przyszła do izby jadalnej, za nią panna Franciszka i wszystkie prządki.

Zaledwie zdołała postawić świecę na stole, gdy w sieni dał się słyszeć szcęk żelaznej zapory, skrzywienie otwieranych drzwi i przed oczyma niewiast ukazał się pan Kmicie, straszny, czarny od dymu, krwawy, zadyszany i z obłąkaniem w oczach.

— Koń mi pod lasem padł! — krzyknął — ści-gają mnie!...

Panna Aleksandra utkwiła weń oczy:

— Waśc spaliłeś Wołmontowicze?

— Ja!... ja!...

Chciał coś dalej mówić, gdy wtem od strony drogi

i lasu doszedł odgłos okrzyków i tętent koni, który zbliżał się z nadzwyczajną szybkością.

— Dyabli po mą duszę!... dobrze! — krzyknął jakby w gorączce Kmicic.

Pańska Aleksandra w tejże chwili zwróciła się do prządek:

— Jeśli będą pytać, powiedzcie, iż niemasz tu nikogo, a teraz do czeladncj i ze światłem tu przyjsć!...

Poczem do Kmicica:

— Waść tam! — rzekła ukazując na przyległą izbę.

I prawie przemocą wepchnąwszy go przez otwarte drzwi, zamknęła je natychmiast.

Tymczasem zbrojni ludzie zapełnili podwórzec i w mgnieniu oka Butrymi, Gościewiczze, Domaszewicze i inni wpadli do domu. Ujrzawszy pannę, wstrzymali się w izbie jadalnej — ona zaś stojąc ze świecą w ręku, zamykała sobą drogę do dalszych drzwi.

— Ludzie! co się dzieje? czego tu chcecie? — pytała, nie mrużąc oczu przed groźnymi spojrzeniami i złowrogim blaskiem gołych szabel.

— Kmicie spalił Wołmontowicze! — krzyknęła chórem szlachta. — Pomordował mężów, niewiasty, dzieci! Kmicie to uczynił!...

— My ludzi jego wybili! — rozległ się głos Butryma Józwy — a teraz jego głowy chcemy!...

— Jego głowy! krwi! Rozsiekać zbójcę!

— Gońcie go! — zawołała panna. — Czegoż tu stoicie? gońcie!

— Zali nie tu się schronił? My konia pod lasem znaleźli...

— Nie tu! Dom był zawarty! Szukajcie w stajniach i oborach.

— W las uszedł! — zawołał jakiś szlachcic. —
Hajże, panowie bracia!

— Milczeć! — huknął potężnym głosem Józwa
Butrym. — Panno! — rzekł. — Nie ukrywaj go!...
To człek przekłęty!

Oleńka podniosła obie ręce nad głowę:

— Przeklinam go wraz z wami!...

— Amen! — krzyknęła szlachta. — Do zabudo-
wań i w las! Odnajdziem go! Hajże na zbója!

— Hajże! Hajże!

Szczęk szabel i stąpanie rozległo się nanowo.
Szlachta wypadła przed ganek i siadała coprędzej na
koń. Część jej szukała jeszcze czas jakiś w zabudo-
waniach, w stajniach, oborach, w odrynie — potem
głosy poczęły się oddalać w stronę lasu.

Panna Aleksandra nadśluchiwała, dopóki zupeł-
nie nie znikły, poczem zapukała gorączkowo do drzwi
komnaty, w której ukryła pana Andrzeja.

— Niema już nikogo! wychodź waść!

Pan Kmicic wytoczył się z izby, jak pijany.

— Oleńka! — zaczął.

Ona wstrząsnęła rozpuszczonemi włosami, które
pokrywały niby płaszczem jej plecy.

— Nie chcę cię widzieć, znać! Bierz konia,
i uchodź ztąd!...

— Oleńka! — jęknął Kmicic, wyciągając ręce.

— Krew na waćpana rękę, jako na Kainowem! —
krzyknęła, odskakując jakby na widok węża. — Precz,
na wieki!...

ROZDZIAŁ VI.

Dzień wstał blady i oświecił kupę gruzów w Wołmontowiczach, zgliszcza domów, zabudowań gospodarskich, popalone lub pocięte mieczami trupy ludzkie i końskie. W popiołach, wśród dogasających węgli, gromadki wybladłych ludzi szukały ciał nieboszczyków lub ostatków mienia. Było dzień żałości i klęski dla całej Laudy. Rojna szlachta odniosła wprawdzie zwycięstwo nad oddziałem Kmicica, ale ciężkie i krwawe. Prócz Butrymów, którym padło najwięcej, nie było zaścianka, w którymby wdowy nie opłakiwały mężów, rodzice synów lub dzieci ojców. Tem trudniej przyszło laudańskim pokonać napastników, że co najtężsi mężowie byli nieobecni, jeno starcy lub młodzieńcy w zaraniu młodości brali udział w walce. Jednakże z Kmicicowych ludzi nie ocalał żaden. Jedni dali gardła w Wołmontowiczach, broniąc się tak zaciekle, iż ranni jeszcze walczyli, innych wyłowiono następnego dnia po lasach i wybito bez litości. Sam Kmicic jak w wodę wpadł. Gubiono się w przypuszczeniach, co się z nim stało? Niektórzy twierdzili, że się dostał do puszczy Zielonki, a ztamtąd do Rogowskiej, gdzie chyba jedni Domaśzewicze mogli go wysledzić. Wielu twierdziło też, że

do Chowańskiego zbiegnie i nieprzyjaciół naprowadzi, ale były to, co najmniej, obawy przedwczesne.

Tymczasem niedobitki Butrymów pociągnęły do Wodoktów i stanęły tam jakby obozem. Dom pełen był niewiast i dzieci. Co się nie zmieściło, poszło do Mitrunów, które panna Aleksandra całe pogorzelncom oddała. Prócz tego około stu zbrojnych ludzi, którzy się zmieniali kolejno, stanęło w Wodoktach do obrony; spodziewano się bowiem, że pan Kmicic nie da za wygraną i lada dzień o pannę zbrojno może się pokusić. Przysłały i znaczniejsze w okolicy domy, jako Schelingowie, Sołohuby i inni, kozaczków nadwornych i hajduków. Wodokty wyglądały jakby miasto, spodziewające się oblężenia. A zaś pomiędzy zbrojnymi ludźmi, pomiędzy szlachtą, między gromadami niewiast, chodziła żałobna panna Aleksandra, blada, bolesna, słuchając ludzkiego płaczu i ludzkich przekleństw na pana Kmicica, które jakby mieczami przesywały jej serce, bo przecież ona była pośrednią przyczyną wszelkich nieszczęść. Dla niejto przybył w te okolice ów mąż szalony, który zburzył spokój i krwawą pamięć po sobie zostawił, prawa podeptał, ludzi pobił, wsie jak bisurmanin nawiedził ogniem i mieczem. Aż dziw było, że jeden człowiek mógł tyle złego w tak krótkim przeciągu czasu uczynić i to człowiek ani zły zupełnie, ani zupełnie zepsuty. Jeśli kto, to panna Aleksandra, która go najbliżej poznała, wiedziała o tem najlepiej. Była cała przepaść między samym panem Kmicicem a jego uczynkami. Ale właśnie dlatego jakież ból sprawiała pannie Aleksandrze myśl, że ten człowiek, którego pokochała całym pierwszym impetem młodego serca, mógł być inny; że miał w sobie takie przymioty,

które mogły go uczynić wzorem rycerza, kawalera, sąsiada; że mógł zyskać zamiast wzgardy, podziw i miłość ludzką — zamiast przekleństw, błogosławieństwa.

Więc chwilami zdawało się pannie, że to jakieś nieszczęście, jakaś siła wielka a nieczysta popchnęła go do tych wszystkich gwałtów, które spełnił, a wówczas chwycił ją żal prawdziwie niezmierny nad tym nieszczęśliwym i niewygasła miłość nurtowała nanowo w sercu, podsycana świeżym wspomnieniem jego postaci rycerskiej, słów, zaklęć, kochania.

Tymczasem sto protestów oblatowano przeciw niemu w grodzie, sto procesów mu groziło, a pan starosta Hlebowicz wysłał pachołków dla chwytania przestępcy.

Prawo musiało go potępić.

Jednakże od wyroków do ich wykonania było jeszcze daleko, bo bezład wzrastał coraz bardziej w Rzeczypospolitej. Wojna straszliwa zawisła nad krajem i zbliżała się krwawymi krokami ku Żmudzi. Potężny Radziwiłł birżański, który sam jeden mógł prawo zbrojno poprzeć, zbyt był sprawami publicznymi zajęty, a jeszcze bardziej pogrążony w wielkich zamiarach, dotyczących się domu własnego, który chciał wynieść nad wszystkie inne w kraju, choćby kosztem dobra publicznego. Inni też magnaci więcej o sobie niż o Rzeczypospolitej myśleli. Pękały już bowiem od czasów wojny kozackiej wszystkie spojenia w potężnej budowie tej Rzeczypospolitej.

Kraj ludny, bogaty, pełen dzielnego rycerstwa, stawał się łupem postronnym, a natomiast samowola i swawola podnosiły coraz bardziej głowę i mogły urągać prawu, tyle siły czuły za sobą.

Uciśnieni przeciw uciskającym najlepszą i niemal jedyną we własnych szablach mogli znaleźć obronę; więc też i Lauda cała, protestując przeciw Kmicicowi w grodach, długo jeszcze nie zsiadła z konia, gotowa przemoc przemocą odeprzeć.

Ale upłynął miesiąc, a o Kmicicu nie było wieści. Ludzie jęli lżej oddychać. Moźniejsza szlachta odwołała zbrojną czeladź, którą na straż do Wodoktów była wysłała. Drobniejszej braci tęskno było do robót i wczasów po zaściankach, więc także poczęła się zwolna rozjeżdzać. A gdy wojenne humory uspokajały się w miarę jak czas płynął, coraz większa przychodziła owej ubogiej szlachcie ochota prawem nieobecnego nękać i w trybunałach swoich krzywd dochodzić. Bo choć samego Kmicica nie mogły wyroki osiągnąć, pozostał przecie Lubicz, wielka i piękna majątność, gotowa za poniesione szkody nagroda i zapłata. Ochotę do procesów podtrzymywała przytem w laudańskiej braci bardzo gorliwie panna Aleksandra. Dwakroć zjeżdżali się do niej na narady starsi laudańscy, a ona w owych naradach nietylko brała udział, ale przewodniczyła im, zadziwiając wszystkich zgoła nie niewieścim umysłem i sądem tak trafnym, iż mógł jej go niejeden palestrant pozazdrościć. Chcieli tedy starsi laudańscy Lubicz zbrojno zająć i Butrymom go oddać, ale „panienka“ odradziła stanowczo.

— Nie płąćcie gwałtem za gwałt, — mówiła — bo i wasza sprawa zła będzie; niechaj cała niewinność stanie po waszej stronie. On, człowiek możny i skoli-gacony, znajdzie i w trybunałach popleczników, a gdy najmniejszy pozór dacie, możecie nową krzywdę ponieść. Niechże wasza racya będzie tak jasna, aby każdy

sąd, choćby z braci jego złożony, nie mógł inaczej, jeno na waszą stronę przysądzić. Mówcie Butrymom, by ani statków, ani bydła nie brali i całkiem Lubicz w spokoju zostawili. Co im potrzeba, to im z Mitru-nów dam, gdzie więcej jest wszelkiego dobra, niż kiedykolwiek było w Wołmontowiczach. A jeśliby pan Kmicic napowrót się tu zjawił, niechże i jego zostawią w spokoju, póki wyroków nie będzie, ani niech na jego zdrowie nie godzą. Pomnijcie, że póty tylko, póki on żyw, macie na kim krzywd waszych poszukiwać.

Tak mówiła mądra panna ze statecznym umysłem, a oni sławili jej mądrość, nie zważając, że odwłoka może wyjść także i na korzyść pana Andrzeja, a przynajmniej, że mu życie zabezpiecza. Może też i chciała Oleńka to życie niefortunne przed nagłą przygodą zabezpieczyć? Ale szlachta usłuchała jej, bo przywykła z dawnych, przedawnych czasów, wszystko, co wychodzi z ust Billewiczowskich za ewangelią uważać — i Lubicz pozostał nietknięty — i pan Andrzej, gdyby się był zjawił, mógłby być do czasu spokojnie w Lubiczu osiąść.

Lecz on się nie zjawił. Natomiast w półtora miesiąca później przyszedł do panienki posłaniec z listem, jakiś obcy człowiek, nikomu nieznanym. List był od Kmicica, pisany w następujące słowa:

„Sercem ukochana, najdroższa, nieodżałowana Oleńko! Wszelkiemu to jest przyrodzone stworzeniu, a zwłaszcza człowiekowi, choćby i najlichszemu, że za krzywdy swoje mścić się musi, a ktoby mu co złego uczynił, tedy on mu tem samem rad płaci. A że ja wyciąłem tę hardą szlachtę, to Bóg widzi, iż nie stało się to z żadnego okrucieństwa, ale dlatego, że towa-

rzyszów moich — wbrew prawom boskim i ludzkim — bez uwagi na ich młodość i wysokie urodzenie, tak nielitościwą śmiercią pomordowali, jakaby ich nigdzie, nawet u Kozaków lub Tatarów, spotkać nie mogła. Nie będę zaprzeczał, że i gniew mnie prawie nadludzki opanował, ale któż będzie się dziwił gniewowi, który w krwi przyjacielskiej rozlanej początek bierze? Duchy to ś. p. Kokosińskiego, Ranickiego, Uhlika, Rekucia, Kulwieca i Zenda, w kwiecie wieku i sławy niewinnie posieczonych, uzbroiły ramię moje, wtedy właśnie, gdy — świadczę się Bogiem! — o zgodzie jeno i przyjaźni ze wszystką szlachtą laudańską zamyślał, chcąc żywot mój całe odmienić, wedle słodkich rad twoich. Słuchając skarg przeciw mnie, nie odrzucaj i mojej obrony i osądź sprawiedliwie. Żal mi teraz tych ludzi w zaścianku, bo może i niewinnym się dostało, ale żołnierz, mszcząc się krwi bratniej, niewinnych od winnych odróżnić nie umie i nikogo nie respektuje. Bogdajby się to nie stało, co mi w twoich oczach zaszkodzić mogło. Za cudze grzechy i winy, za gniew sprawiedliwy, najcięższa dla mnie pokuta, bo straciwszy ciebie, w desperacyi sypiam i w desperacyi się budzę, niemogąc ciebie, ani kochania zapomnieć. Niechże mnie nieszczęsnego trybunały osądzą, niech sejmy wyroki potwierdzą, niech włożą mnie do trąby, do infamii, niech ziemia rozstąpi się mi pod nogami, wszystko zniosę, wszystko przecierpię, jeno ty, na Boga! nie wyrzucaj mnie z serca. Uczynię wszystko, co zechcą, oddam Lubicz, oddam po ewakuacyi nieprzyjacielskiej i majątności orszańskie; mam ruble zdobywcze w lasach zakopane, i te niech biorą, byleś mi rzekła, że mi wiary dotrzymasz, jako ci dziad nieboszczyk

z tamtego świata nakazuje. Ocaliłaś mi życie, ocalże i duszę moją, daj krzywdy nagrodzić, pozwól żywot na lepsze odmienić, bo już to widzę, że gdy ty mnie opuścisz, to mnie Pan Bóg opuści i desperacya popchnie mnie do gorszych jeszcze uczynków...“

Ile tam głosów litośnych podniosło się w duszy Oleńki na obronę pana Andrzeja, któż zgadnie, któż wypisać potrafi! Miłość, jako nasionko leśne z wiatrem szybko leci, ale gdy drzewem w sercu wyrośnie, to chyba razem z sercem wyrwać ją można. Billewiczówna była z tych, co sercem uczciwem mocno kochają, więc łzami oblała ten list Kmiciców. Ale nie mogła przecież za pierwszym słowem o wszystkim zapomnieć, wszystkiego przebaczyć. Skrucha Kmicica była zapewne szczerą, ale dusza pozostała dziką i natura niepohamowana pewno nie zmieniła się tak przez owe wypadki, aby o przyszłości można było myśleć bez trwogi. Nie słów, ale uczynków trzeba było na przyszłość ze strony pana Andrzeja. Zresztą, jakżeto mogła powiedzieć człowiekowi, który okrwawił całą okolicę, którego imienia nikt po obu brzegach Laudy nie wymawiał bez przekleństwa: „przybywaj, za trupy, pożogę, krew i łzy ludzkie, oddaję ci swą miłość i swoją rękę“.

Więc odpisała mu inaczej:

„Jakom waćpanu rzekła, że nie chcę cię znać i widzieć, tak wytrwam w tem, choćby mi się serce miało rozedrzyć. Krzywd takich, jakie tu waćpan ludziom wyrządziłeś, nie płaci się ni majątnością, ni pieniędzmi, bo umarłych wskrzesić nie można. Nie majątność też waćpan utraciłeś, ale sławę. Niechże ci ta szlachta, którąś popalił i pomordował, przebaczy,

to ci i ja przebaczę; niech ona cię przyjmie, to i ja cię przyjmę; niech ona pierwsza za tobą się wstawi, tedy jej orędownictwa wysłucham. A jako się to nigdy stać nie może, tak i waćpan szukaj gdzieindziej szczęścia, najpierw zaś boskiego, nie ludzkiego przebaczenia, bo ci boskie potrzebniejsze...*

Panna Aleksandra polała łzami każde słowo listu, potem zapieczętowała go Billewiczowskim sygnetem i sama wyniosła go posłańcowi.

— Zkąd jesteś? — pytała, obrzucając wzrokiem tę dziwną postać pół-chłopa, pół-sługi.

— Z lasu, panoczko.

— A gdzie twój pan?

— Tego mi niewolno powiedzieć... Ale on ztąd daleko; ja pięć dni jechał i szkapę zmordował.

— Masz talara! — rzekła Oleńka. — A twój pan nie w chorobie?

— Zdrowy on junak, jak tur.

— A nie w głodzie? nie w ubóstwie?

— On bogaty pan.

— Idź z Bogiem.

— Kłaniam do nóg.

— Powiedz panu... czekaj... powiedz panu... niech go Bóg wspomaga...

Chłop odszedł — i znowu zaczęły płynąć dnie, tygodnie bez wieści o Kmicicu; przychodziły zato publiczne, jedna od drugiej nieszczęśliwsze. Wojska moskiewskie Chowańskiego coraz szerzej zalewały Rzeczpospolitą. Nie licząc ziem ukraińskich, w samym Wielkiem Księstwie województwa połockie, smoleńskie, witebskie, mścisławskie, mińskie i nowogródzkie były zajęte; jeno część wileńskiego, brzesko-litewskie, trockie

i starostwo żmudzkie oddychały jeszcze wolną pierśią, ale i te z dnia na dzień spodziewały się gości.

Na ostatni widać szczebel niemocy zesła Rzeczpospolita, gdy nie mogła dać oporu tym właśnie siłom, które lekceważono aż dotąd i z którymi zawsze rozprawiano się zwycięsko. Prawda, że siły te wspomagał nieugaszony i odradzający się ciągle bunt Chmielnickiego, prawdziwa hydra stugłowa; pomimo jednak buntu, pomimo wyczerpania sił w poprzednich wojnach, i statyści i wojownicy zaręczali, że samo tylko Wielkie Księstwo mogło i było w stanie nietylko napór odeprzeć, ale jeszcze chorągwie swe zwycięsko poza własne granice przenieść. Na nieszczęście, niezgoda wewnętrzna stawała owej możności na przeszkodzie, paraliżując usiłowania tych nawet obywateli, którzy życie i mienie w ofierze nieść byli gotowi.

Tymczasem w ziemiach jeszcze niezajętych chroniły się tysiące zbiegów, tak ze szlachty, jak ludu prostego. Miasta, miasteczka i wsie na Żmudzi pełne były ludzi przywiedzionych klęskami wojny do nędzy i rozpaczki. Miejscowa ludność nie mogła ani pomieścić wszystkich, ani dać im dostatecznego pożywienia — więc nieraz marli z głodu, mianowicie ludzie niskiego stanu; nieraz przemocą brali to, czego im odmawiano, ztąd zamieszki, bitwy i rozboje stawały się coraz częstsze.

Zima była nadzwyczajna w swej surowości. Przyszedł wreszcie kwiecień, a śniegi leżały grubo, nietylko w lasach, ale i na polach. Gdy zeszłoroczne zapasy wyczerpały się, a nowych jeszcze nie było, począł grasować głód, brat wojny. I rozpościerał swe panowanie coraz szerzej. Wyjechawszy z domu nietrudno było

spotkać trupy ludzkie, leżące po polach, przy drogach, skostniałe, ogryzione przez wilki, które rozmnożywszy się nadzwyczajnie, całemi stadami podchodziły pod wsie i zaścianki. Wycie ich mieszało się z wołaniem ludzkim o litość; po lasach bowiem, po polach i tuż koło wsi licznych połyskiwały nocami ogniska, przy których nędzarze rozgrzewali przemarzłe członki, a gdy kto przejeżdżał, tedy biegli za nim, prosząc o grosz, o chleb, o miłosierdzie, jęcząc, przeklinając i grożąc zarazem. Strach zabobonny zdjął umysły ludzkie. Wielu mówiło, że te wojny tak niepomysłne i te nieszczęścia dotąd niebywałe, do imienia królewskiego są przywiązane. Tłómaczono chętnie, że litery: J. C. R. wybite na pieniążkach, znaczą nietylko *Joannes Casimirus Rex*, ale i *Initium Calamitatis Regni*. A jeśli w prowincjach, jeszcze przez wojnę niezajętych, powstawał taki przestрах i bezład, łatwo się domyśleć, co działo się w tych, które już deptała ognista stopa wojny. Cała Rzeczpospolita była rozprzężona, targana przez partye, chora i w gorączce, jak człowiek przed śmiercią. Przepowiadano także nowe wojny zewnętrzne i domowe. Jakoż powodów nie brakło. Różne potężne w Rzeczypospolitej domy, ogarnięte wichrem niezgody, poglądały na się, jakby nieprzyjacielskie państwa, a za nimi całe ziemie i powiaty tworzyły przeciwne obozy. Tak właśnie było na Litwie, gdzie waśń sroga między Januszem Radziwiłłem, hetmanem wielkim, a Gosiewskim, hetmanem polnym, a zarazem podskarbin W. Ks. L., prawie w otwartą zmieniała się wojnę. Po stronie podskarbiego stanęli możni Sapiehowie, którym oddawna była solą w oku potęga Radziwiłłowskiego domu. Tych stronnicy ciężkimi zaiste w. hetmana

obarczali zarzutami: iż pragnąc tylko sławy dla siebie, wojsko pod Szklowem wytracił i kraj na łup wydał; że więcej, niż szczęścia Rzeczypospolitej, pożądał dla swego domu prawa zasiadania w sejmach cesarstwa niemieckiego; że nawet o udzielnej koronie zamyślał, że katolików prześladował...

I przychodziło nieraz już do bitew między partyzantami stron obu, niby bez wiedzy patronów, patronowie zaś stali na się skargi do Warszawy, waśń ich odbijała się i na sejmach — na miejscu zaś rozpręgała swawolę i zapewniała bezkarność, bo taki Kmicic pewny mógł być opieki jednego z tych potentatów, skoroby po jego stronie przeciw drugiemu stanął.

A tymczasem nieprzyjaciel szedł naprzód, gdzie-niegdzie się tylko o zamki odbijając, zresztą swobodnie i bez oporu.

W takich okolicznościach wszyscy w laudańskiej stronie musieli żyć w czujności i pod bronią, zwłaszcza, że hetmanów nie było w pobliżu, obaj bowiem uciekali się z wojskami nieprzyjacielskimi, niewiele wprowadzić wskórać mogąc, ale przynajmniej podjazdami go szarpiąc i przystęp do wolnych jeszcze województw tamując. Osobno i Paweł Sapieha odpór dawał i sławę zyskiwał. Janusz Radziwiłł, wojownik wstawiony, którego imię samo aż do Szklowskiej przegranej groźne było nieprzyjacielowi, odniósł nawet kilka znaczniejszych korzyści. Gosiewski, to bił się, to układami próbował napór wstrzymywać; obaj wodzowie ściągali wojska z leż zimowych i zkład mogli, wiedząc, że z wiosną wojna rozgorzeje nanowo. Ale wojsk było mało, skarb pusty, a pospolite ruszenie z województw już zajętych ściągać się nie mogło, bo je nieprzyjaciel

hamował. „Trzeba było o tem przed Szklowską potrzebą pomyśleć — mówili Gosiewszczycy — teraz za późno“. I istotnie było za późno. Koronne wojska przyjsć z pomocą nie mogły, bo wszystkie były na Ukrainie i w ciężkiej pracy przeciw Chmielnickiemu, Szeremetowi i Buturlinowi.

Wieści tylko o walkach bohaterskich, dochodzące z Ukrainy, o miastach zdobytych, o pochodach niebawących, krzepiły nieco upadłe serca i do obrony zachęcały. Brzmiały też głośną sławą imiona hetmanów koronnych, a obok nich imię pana Stefana Czarnckiego coraz się częściej na ustach ludzkich zjawiało, ale sława za wojska, ani za pomoc starczyć nie mogła, więc hetmani litewscy ustępowali zwolna, nie przestając kłócić się ze sobą po drodze.

Wreszcie Radziwiłł stanął na Żmudzi. Wraz z nim powrócił chwilowy spokój w stronie laudańskiej. Jenokalwini ośmieleni bliskością swego naczelnika, podnosili po miastach głowy, krzywdy czyniąc i na kościoły napadając, ale zato przywódcy rozmaitych watah wolentarskich i partyj niewiadomo czyich, którzy pod barwą Radziwiłła, Gosiewskiego lub Sapiechów kraj niszczyli, pokryli się w lasy, rozpuścili swych łotrzyków — i ludzie spokojni lżej odetchnęli.

A ponieważ od zwątpienia łatwe jest przejście do nadziei, więc znagła lepszy duch zapanował na Laudzie. Panna Aleksandra siedziała spokojnie w Wodoktach. Pan Wołodyjowski, który wciąż mieszkał w Pacunelach, a teraz właśnie zwolna do zdrowia powracać począł, rozpuszczał wieści, że król na wiosnę przyjdzie z zaciężnymi chorągwiami, poczem wnet cała wojna inny obrót weźmie. Pokrzepiona szlachta po-

częła wychodzić z pługami w pola. Śniegi też potajały, i na brzezynie ukazały się pierwsze pędy. Lauda rozlała szeroko. Pogodniejsze niebo jaśniało nad okolicą. Lepszy duch wstępował w ludzi.

Wtem zaszedł wypadek, który znów zamącił laudańską ciszę, ręce oderwał od lemieszów i nie pozwolił szablom pokryć się rdzą czerwoną.

ROZDZIAŁ VII.

Pan Wołodyjowski, sławny i stary żołnierz, choć człowiek młody, siedział, jako się rzekło, w Pacunelach u Pakosza Gasztowta, patriarchy pacunelskiego, który miał reputacją najbogatszego szlachcica między wszystką drobną bracią laudańską! Jakoż trzy córki, które były za Butrymami, wyposażył hojnie dobrem srebrem, dawszy każdej po talarów sto, prócz inwentarzy i wyprawy tak pięknej, że i niejedna szlachcianka familiarantka lepszej nie miała. Inne trzy córki były w domu pannami i te pilnowały pana Wołodyjowskiego, któremu ręka to przychodziła do zdrowia, to martwiała znowu, gdy zdarzyły się stoty na świecie. Wszyscy laudańscy zajmowali się wielce tą ręką, bo ją widzieli przy robocie pod Szklowem i Sepielowem i ogólne było mniemanie, że lepszej trudno było znaleźć na całej Litwie. Otaczano też młodego pułkownika we wszystkich okolicach czcią nadzwyczajną. Gasztowtowie, Domaszewicze, Gościewicz i Stakjanowie, a za nimi inni, dosyłali wiernie do Pacunelów ryby, grzyby i zwierzynę, i siano dla koni, i smołę do kałamaszek, aby rycerzowi i jego czeladzi na niczem nie zbywało. Ilekroć

czuł się słabszym, jeździli na wyścigi po cyrulika do Poniewieża, słowem, wszyscy przesadzali się w usługach.

Panu Wołodyjowskiemu tak też było dobrze, że choć w Kiejdanach mógł mieć i wygody lepsze i medyka sławnego na zawołanie, przecie w Pacunelach siedział, a stary Gasztowt rad go podejmował i prawie prochy przed nim zdmuchiwał, bo podnosiło to nadzwyczajnie jego znaczenie w całej Laudzie, iż tak znamienitego ma gościa, któryby i samemu Radziwiłłowi honoru mógł przymnożyć.

Po pobiciu i wypędzeniu Kmicica, poszła rozmiłowana w panu Wołodyjowskim szlachta po rozum do głowy i uczyniła projekt ożenienia go z panną Aleksandrą. „Co będziem dla niej męża po świecie szukać! — mówili starzy na umyślnej sesyi, na której onę sprawę roztrąsano. — Gdy tamten zdrajca bezecnemi uczynkami tak się splamił, iż jeśli jest żyw, katu oddany być powinien, tedy i panna musiała go już z serca wyrzucić, bo tak było i w testamencie, w osobnej klauzuli przewidziane. Niechże pan Wołodyjowski się z nią żeni. Jako opiekunowie możemy na to pozwolić, a tak i ona zacnego kawalera i my sąsiada i wodza dostaniem“.

Gdy zdanie to jednogłośnie zawotowane zostało, pojechali starsi najprzód do pana Wołodyjowskiego, który niewiele myśląc, na wszystko się zgodził, a potem do „panienki“, która jeszcze mniej myśląc, stanowczo się sprzeciwiła. — „Lubiczem — rzekła — jeden tylko nieboszczyk miał prawo rozporządzać i majątność nie prędzej może być panu Kmicicowi odjęta, aż sądy na utratę gardła go skazą, a co się tyczy mego zamażpójścia, nawet o tem nie wspominajcie. Zadużo mam w sobie boleści, żebym o czemś podobnem myśleć mogła...“

Tamtego z serca wyrzuciłam, a tego, choćby był najgodniejszy, nie przywożcie, bo wcale do niego nie wyjdę“.

Nie było co rzec na tak stanowczą odmowę i szlachta wróciła do domów wielce zmartwiona: mniej zmartwił się pan Wołodujowski, a najmniej młode Gasztowtówny: Terka, Maryśka i Zonia. Rosły to były dziewczęta i rumiane, miały włosy jak len, oczy jak niezabudki, a plecy szerokie. Pacunelki w ogóle słynęły z piękności; gdy szły kupą do kościoła, rzekłbyś: kwiaty na łące! Do tego stary Gasztowt i na edukacją nie żałował. Organista z Mitrunów nauczył je sztuki czytania, pieśni kościelnych, a najstarszą Terkę i gry na lutni. Mając dobre serca, tkliwie opiekowały się panem Wołodujowskim, jedna starając się ubiec drugą w czujności i staraniach. O Maryśce mówiono, że zakochana w młodym rycerzu; wszelako nie było w tej gadaninie całej prawdy, gdyż wszystkie trzy, nie ona jedna, były na zabój zakochane. On też lubił je bez miary, szczególnie Maryskę i Zonię, bo Terka na zdradliwość męską zbytnio miała zwyczaj narzekać.

Nieraz bywało długimi wieczorami zimowemi, stary Gasztowt, podpiwszy krupniczkiem, spać idzie, a one z panem Wołodujowskim siedzą wedle komina: milutka Terka kądziel przedzie, słodka Marysia darcie kwapiu się zabawia, a Zonia nici z wrzecion na motki nawija. Lecz gdy pan Wołodujowski zacznie opowiadać o wojnach, które przeżył, albo o dziwach, które widział w różnych magnackich domach, to robota ustanie, dziewczęta w niego jak w tęczę patrzą i coraz to któraś wykrzyknie z podziwu: „Ach! ja nie żyję na świecie! Kochanieńcyż wy moi!“ — a druga odpowie: „*Cała noc* oka nie zmruję!“

Pan Wołodjowski zaś, w miarę jak do zdrowia przychodził i szablą już chwilami zupełnie swobodnie zaczął władać, coraz był weselszy i coraz chętniej opowiadał. Pewnego tedy wieczora, zasiedli jak zwykle po wieczerzy przed okapem, zpod którego rażne światło padało na całą ciemną izbę, ale zrazu zaczęli się przekomarzać. Chciały dziewczęta opowiadania, a pan Wołodjowski prosił Terkę, żeby mu też coś zaśpiewała przy lutni.

— Sam waszmość zaśpiewaj! — odpowiedziała, odpychając instrument, który jej pan Wołodjowski podawał — ja mam *robotę*. Bywając po świecie, musiałeś się różnych pieśni wyuczyć.

— Pewnie, zem się wyuczył. Ale już dziś niech tak będzie: ja zaśpiewam najprzód, a waćpanna po mnie. *Robota* nie przepadnie. Żeby tak białogłowa jaka prosiła, pewniebyś się nie przeciwiała, mężczyźnie zawsze oporna.

— Bo warto.

— Zali i mną tak waćpanna pogardzasz?

— At, gdzie tam! Śpiewaj już wasza mość.

Pan Wołodjowski zabrzdakał w lutnię, nastroił pocieszna minę i zaintonował fałszywym głosem:

Przyjechałem w takie miejsce,
Gdzie mnie żadna panna niej-chce!...

— Ot! to niesprawiedliwość! — przerwała Marysia, zarumieniwszy się jak malina.

— To jest żołnierska piosenka — rzekł pan Wołodjowski — którąśmy śpiewali w hibernach, chcąc, żeby się jaka dobra dusza nad nami użaliła.

— Jabym się pierwsza użaliła.

— Dziękuję waćpannie. Kiedy tak, to nie mam poci dłużej śpiewać i lutnię w godniejsze ręce oddaję.

Terka tym razem nie odepchnęła instrumentu, bo ją poruszyła pieśń pana Wołodyjowskiego, w której istotnie było więcej chytrości, niż prawdy, więc uderzyła zaraz w struny i złożywszy buzię „w ciupo“, poczęła śpiewać :

Nie kodź do lasu, czypać bzu,
I nie wierz kłopcui, jako psu!
Bo każdy kłopiec ma w sobie jad,
Kiedy cię kocha, powiedz mu: „at!“

Pan Wołodyjowski tak się rozweselił. że aż się za boki uchwycił z radości i zakrzyknął :

— Wszyscyżto chłopcy zdrajcy? A wojskowi, moja dobrodziko?

Panna Terka silniej zesnurowała buzię i odśpiewała z podwójną energią :

Jeszcze gorsze psy, jeszcze gorsze psy!

— Nie uważaj, wasza mość, na Terkę, ona zawsze taka! — rzekła Marysia.

— Jak nie mam uważać — rzecze pan Wołodyjowski — gdy całemu stanowi wojskowemu tak szpetnie przymówiła, że ze wstydu nie wiem, gdzie oczy podziać.

— Wasza mość chcesz, żebym śpiewała, a potem sobie ze mnie dworujesz i wyśmiewasz — odpowiedziała nadąsana Terka.

— Nie napadam ja na śpiewanie, jeno na sens dla wojskowych okrutny — odparł rycerz; — co do śpiewania, muszę przyznać, żem i w Warszawie tak wybornych gorgów nie słyssał. Waćpannę tylko w pluderki przy-

brać, a mogłabyś u świętego Jana śpiewać, któren kościół jest katedralny i królestwo mają w nim swój ganeczek.

— A czemużby to ją w pluderki trzeba ubierać? — spytała najmłodsza Zonia, zaciekawiona wzmianką o Warszawie i o królestwie.

— Bo tam w chórze białogłowy nie śpiewają, jedno mężczyźni i młode chłopcy; jedni grubemi głosami, jak żaden tur nie zaryczy; inni cienko, że i na skrzypcach cienie nie można. Słyszałem ich wielokroć, gdyśmy z naszym wielkim i nieodżałowanym wojewodą ruskim na elekcyą terażniejszego pana naszego miłościwego przyjechali. Cuda to prawdziwe, aż dusza z człowieka ucieka! Siła tam muzykantów: jest Forster, sławny subtelnemi gorgami, i Kapuła, i Dzań Batysta, i Elert, przedni do lutni, i Marek, i Mielczewski grzecznie komponujący. Ci wszyscy, kiedy to razem w kościele hukną, to jakobyś chóry serafińskie na jawie słyszał.

— Ot, to i pewno! jako żywo! — rzekła, składając ręce Marysia.

— A króla, wasza mość, często widywał? — pytała Zonia.

— Tak z nim gadałem, jak z waćpanną. Po beresteckiej potrzebie za głowę mię ścisnął. Mężny to pan i tak miłościwy, że kto go raz ujrzał, musi go pokochać.

— My go i nie widziawszy kochamy!... A koronę zali zawsze ma na głowie?

— Zaśby tam co dnia w koronie chadzał; żelaznejby na to trzeba głowy. Korona sobie w kościele wypoczywa, od czego i powaga jej rośnie, a król jegomość

kapelusz czarny nosi, brylantami zdobiony, od których światłość na cały zamek bije...

— Powiadają, że zamek królewski, to nawet i od kiejdańskiego wspanialszy?

— Od kiejdańskiego? Fraszka przy nim kiejdański! Srogi to budynek, cały murowany, że drzewa i nie upatrzysz. Naokoło są dwa rzędy pokoiów, jeden od drugiego zacniejszy. W nichto waćpanny ujrzycie rozmaite wojny i wiktorye, pendzlem na ścianach wyobrażone, jako to: sprawy Zygmunta III i Władysława; napatrzeć się temu nie można, bo wszystko jakoby żywe; dziw, że się nie rusza i że ci, co się biją, krzyku nie czynią. Ale już tego nikt udać nie potrafi, choćby najlepszy malarz. Niektóre zaś komnaty całe od złota; krzesła i ławy bisiozem albo lamą kryte, stoły z marmuru i alabastru, a co sepetów, puzder, zegarów, w dzień i w nocy czas pokazujących, tegoby na wołowej skórze nie spisać. Dopieroż król z królową po onych komnatkach chodzą i dostatkiem się cieszą; a wieczorem mają teatrum, kwoli większej jeszcze rozrywki...

— Cóżto takiego teatrum?

— Jakżeby to waćpantom powiedzieć... To jest takie miejsce, gdzie komedye grają i skoki włoskie miSTERNE wyprawują. Komnata to tak wielka, jak niejeden kościół, cała w zacne kolumny. Po jednej stronie siedzą ci, co chcą się dziwować, a po drugiej stronie kunszty są ustawione. Te podnoszą się i schodzą na dół; inne śrubami w rozmaite obracają się strony; raz okazują ciemność z chmurami, znów przyjemną światłość; na wierzchu niebo ze słońcem albo z gwiazdami, spodem ujrzyś czasem piekło okropne...

— O Jezu! — zawołały paćnelki.

— ...Z dyabłami. Czasem morze niezmierne, na nim okręty i syreny. Jedne osoby spuszcza się z nieba, inne wychodzą z ziemi.

— Jenobym piekła widzieć nie chciała — zakrzyknęła Zonia — i dziwno mi to, że ludzie na tak okropny widok nie puciekają.

— Nietylko nie uciekają, ale jeszcze przyklepują od uciechy, — odrzekł pan Wołodyjowski — bo to wszystko udane, nie prawdziwe, i przeżegnawszy, nie znika. Niemasz w tem sprawy złego ducha, jeno ludzka przemyślność. Nawet i biskupi tam z królestwem przychodzą i rozmaici dygnitarze, którzy potem razem z królem przed spaniem do uczy siadają.

— A zrana i w dzień co czynią?

— To zależy od humorów. Rano wstawszy, łażni zażywają. Jest tam taka komnata, w której niemasz podłogi, jeno cynowy dół, jako srebro błyszczący, a w tym dole woda.

— Woda w komnacie... słyszałyście?

— Tak jest... i przybywa jej albo ubywa, wedle woli; może też być ciepła, albo zgoła zimna, bo tam są rury z kuraskami, taką i owaką niosące. Pokręcisz waćpanna kuraskiem, aż tu się leje, że i pływać można w komnacie, jako w jeziorze... Żaden król nie ma takiego zamku, jak nasz pan miłościwy, to wiadoma rzecz, i posłowie zagraniczni toż samo powiadają: żaden też nad tak zacnym narodem nie panuje, bo choć są różne grzechne nacye na świecie, przecie Bóg naszą szczególnie w miłosierdziu swoim przyozdobił.

— Szczęśliwy nasz król! — westchnęła Terka.

— Pewnie, że byłby on szczęśliwy, gdyby nie sprawy publiczne, gdyby nie wojny niefortunne, które Rzecz-

pospolitą gnębią za grzechy i niezgodę naszą. Wszystko to na barkach królewskich i wymówki mu jeszcze za nasze winy na sejmach czynią. A co on winien, że go słuchać nie chcą? . . . Ciężkie czasy nadeszły na ojczyznę i tak ciężkie, jakich jeszcze nie bywało. Najlichszy nieprzyjaciel już nas lekceważy, nas, którzyśmy z cesarzem tureckim szczęśliwie do niedawna wojowali. Takto Bóg pychę karze. Chwałaż mu, że mi już ręka chodzi dobrze w zawiasiech. . . bo, czas, wielki czas za miłą ojczyznę się upomnieć i w pole ruszyć. Grzech w takich terminach próżnować.

— Jeno waćpan o wyjeździe nie wspominaj.

— Trudno ma być inaczej. Dobrze mi tu między waćpankami, ale im mi lepiej, tem mi gorzej. Niech tam mądrzy na sejmach racye dają, a żołnierzowi tęskno w pole. Póki życia, póty służby. Po śmierci Bóg, który w serca patrzy, najlepiej takich nagrodzi, co nie dla promocyi, ale z afektu dla ojczyzny służą. . . a podobno coraz mniej takich i dlatego przyszła na nas czarna godzina.

Oczy Marysi poczęły wilgotnieć, aż wkońcu łzami wezbrały, które wypłynęły na rumiane jagody.

— Waćpan pójdziesz i zapomnisz, a my tu już chyba poschniemy. Któż nas tu będzie bronił od napastników.

— Pojadę, ale wdzięczność zachowam. Rzadko tak uczciwych ludzi, jak w Pacunelach! . . . Waćpanny zawsze się tego Kmicica boicie?

— Pewnie, że się boimy. Dzieci nim tu matki straszą, jak wilkołakiem.

— Nie wróci on już, a choćby i wrócił, nie będzie miał ze sobą tych swawolników, którzy, miarkując z te-

go, co ludzie mówią, gorsi byli od niego. Szkoda to nawet jest, że tak dobry żołnierz tak się splamił i sławę i majątność utracił.

— I pannę.

— I pannę. Siła o niej dobrego powiadają.

— Po całych dniach ona nieboga teraz jeno płacze i płacze...

— Hm! — rzekł pan Wołodyjowski — przecie nie po Kmicicu płacze?

— Ktoto wie! — rzekła Marysia.

— To tem gorzej dla niej, bo on już nie wróci; pan hetman odesłał część laudańskich do domu, to i siły teraz są. Bez sądubyśmy go zaraz rozsiekali. Musi on o tem wiedzieć, że laudańscy wrócili i ani nosa nie pokaże.

— Mają podobno nasi znowu ruszyć, — rzekła Terka — bo jeno na krótko dostali do domu pozwolenie.

— E! — rzecze pan Wołodyjowski — hetman rozpuścił ich, bo pieniędzy w skarbie niemasz. Desperacya prawdziwa! Gdy ludzie najpotrzebniejsi, to trzeba ich odsyłać... Ale już dobranoc waćpannom, czas spać. A niech się tam której pan Kmicic z mieczem ognistym nie przyśni...

To rzekłszy pan Wołodyjowski, wstał z ławy i zabierał się do odejścia, ale zaledwie uczynił krok ku alkierzowi, kiedy nagle uczynił się hałas w sieni i głos jakiś począł krzyżeć za drzwiami przeraźliwie:

— Hej tam! na miłosierdzie Boskie! otwórzcie prędzej, prędzej!...

Dziewczęta przerażyły się okropnie; pan Wołodyjowski skoczył po szablę do alkierza, ale nie zdołał

jeszcze z nią wrócić, gdy Terka odsunęła i do izby wpadł nieznaną człek, który rzucił się do nóg rycerza.

— Ratunku, jasnie pułkowniku!... Panna porwana!...

— Jaka panna?

— W Wodoktach...

— Kmicie! — wykrzyknął pan Wołodyjowski.

— Kmicie! — zawołały dziewczęta.

— Kmicie! — powtórzył posłaniec.

— Ktoś ty jest? — pytał pan Wołodyjowski.

— Włódarz z Wodoktów.

— My jego znamy! — rzekła Terka — on dryjakiew dla waszej mości woził.

Wtem zza pieca wylazł rozespany stary Gasztowt, a we drzwiach ukazało się dwóch czeladników pana Wołodyjowskiego, których hałas zwabił do izby.

— Konie siodłać! — krzyknął pan Wołodyjowski. — Jeden niech do Butrymów rusza, drugi konia mnie podaje!

— U Butrymów ja już był — rzekł włódarz — bo tam najbliżej. Oni mnie do waszej miłości przysłali.

— Kiedy panna porwana? — pytał Wołodyjowski.

— Dopieroco... Tam jeszcze czeladź rzną... ja konia dopadł.

Stary Gasztowt przetarł oczy.

— Co? panna porwana?

— Tak jest... Kmicie ją porwał! — rzekł pan Wołodyjowski — Jedziem z pomocą!

To rzekłszy, zwrócił się do posłańca:

— Ruszaj do Domaszewiczów, — rzekł — niech z rusznicami przybywają!

Nuże i wy kozy! — krzyknął nagle stary na

córki. — Nuże kozy! ruszać na wieś, budzić szlachtę, niech się szabel imają! Pannę porwał Kmicic... co?... Boże odpuść! zbój, warchoł... co?

— Pójdźmy i my budzić — rzekł Wołodziejowski — będzie prędzej. Chodź wasze! Konie, słyszę, już są.

Jakoż po chwili siedli na koń, z nimi dwóch czeladników: Ogarek i Syruć. Wszyscy puścili się drogą, między chatami zaścianku, bijąc we drzwi, w okna i krzycząc w niebogłosy:

— Do szabel! do szabel! Panna w Wodoktach porwana! Kmicic w okolicy!...

Słyszac te wołania, jaki taki wypadal z chaty partrzeć, co się dzieje, a zrozumiawszy o co rzecz idzie, poczynał sam wrzeszczeć: „Kmicic w okolicy! Panna porwana!“ — i tak wrzeszcząc, ruszał na łeb na szyję ku zabudowaniom konia kulbaczyć, albo do chaty, szablika po ścianie w ciemności macać. Coraz więcej głosów powtarzało: „Kmicic w okolicy!“ — ruch czynił się w zaścianku, światła poczęły błyskać, rozległ się płacz kobiet, szczekanie psów. Nakoniec szlachta wysypała się na drogę, po części konno, a w części pieszo. Nad gromadą głów ludzkich połyskiwały w cieniu szable, piki, rohatyny, a nawet i widły żelazne.

Pan Wołodziejowski rzucił okiem na oddział, wnet rozesał kilkunastu w różne strony, a sam z resztą ruszył naprzód.

Jezdni szli na czele, piesi za nimi i ciągnęli ku Wołmontowiczom, by się z Butrymami połączyć. Godzina była dziesiąta z wieczora, noc jasna, lubo księżyc jeszcze nie zeszedł. Ci ze szlachty, których świeżo z wojny hetman W. odesłał, zaraz zwarli się w szeregi; inni,

mianowicie piesi, szli mniej sprawnie, czyniąc brzęk bronią, gawędząc i ziewając głośno, a chwilami klnąc wrażego Kmicica, który ich słodkiego wczasu pozbawił; tak doszli aż pod Wołmontowicze, przed którymi wysunął się ku nim zbrojny oddział.

— Stój! kto jedzie? — zaczęły wołać głosy z owego oddziału.

— Gasztowtowie!

— My Butrymi, Domaszewicze już są.

— Kto u was dowodzi? — pytał pan Wołodyjowski.

— Józwa Beznogi, do usług pana pułkownika.

— Macie wieści?

— Do Lubicza ją porwał. Przeszli bagnami, by przez Wołmontowicze nie przechodzić.

— Do Lubicza? — pytał ze zdziwieniem pan Wołodyjowski. — Cóż on się tam myśli bronić? przecie Lubicz nie forteca?

— W siłę widać ufa. Ludzi przy nim ze dwieście! Pewnie też dostatki chce z Lubicza zabrać; wozy mają ze sobą i koni luźnych kupę. Musiał nie wiedzieć o powrocie naszym z wojska, bo śmiało sobie poczyna.

— Dobra nasza! — rzekł pan Wołodyjowski. — To nam się nie wymknie. Strzelby ile u was?

— U nas Butrymów sztuk ze trzydzieści, u Domaszewiczów dwa razy tyle.

— Dobrze. Niech pięćdziesiąt ludzi ze strzelbami ruszy pod waszcią bronić przepraw na bagnach — żywo! Reszta pójdzie ze mną. O siekierach pamiętać!

— Wedle rozkazu!

Uczynił się ruch; mały oddział ruszył truchtem ku bagnom pod Józwą Beznogim.

Tymczasem nadjechało kilkunastu Butrymów, rozesłanych poprzednio do innej szlachty.

— Gościewiczów nie widać? — pytał pan Wołodyjowski.

— A! to wasza mość pan pułkownik!... Chwała Bogu! — zawołali nowoprzybyli. — Gościewicz idą już... słyszeć ich przez las. Wasza mość wie, że do Lubicza ją porwał?

— Wiem. Niedaleko z nią zajędzie.

Rzeczywiście Kmicic nie obliczył jednego niebezpieczeństwa swej zuchwałej wyprawy; oto nie wiedział, że znaczne siły szlachty przybyły właśnie do domów. Sądził, że zaścianki są puste, jak było za czasów jego pierwszego pobytu w Lubiczu; tymczasem teraz, licząc z Gościewiczami, bez Stakjanów, którzy nie mogli przybyć na czas, pan Wołodyjowski mógł wyprowadzić przeciw niemu około trzystu szabel — i to ludzi przywykłych do boju i wyćwiczonych.

Jakoż coraz więcej szlachty nadciągało do Wołomontowicz. Przyszli wreszcie i Gościewicz, za którymi się dotąd oglądano. Pan Wołodyjowski sprawił oddział i aż mu serce rosnęło na widok wprawy i łatwości, z jaką stanęli w ordynku. Na pierwszy rzut oka poznać było można, że to żołnierze, nie zwyczajna niesforna szlachta. Pan Wołodyjowski ucieszył się jeszcze i dla tego, bo sobie pomyślał, że wkrótce dalej ją poprowadzi.

Poszli tedy rysią ku Lubiczowi, owym borem, przez który Kmicic dawniej przelatywał. Było już dobrze po północy. Księżyc wypłynął wreszcie na niebo i oświecił las, drogę i ciągnących wojowników, rozłamał blade promienie na ostrzach pik, odbijał się w szablach

błyszczących. Szlachta gwarzyła zcicha o nadzwyczajnem zdarzeniu, które ich wyrwało z pościeli.

— Chodzili tu rozmaici ludzie: — mówił jeden z Domaszewiczów — myśleliśmy, że to zbiegowie, a to pewnie byli jego szpiegi.

— A jakże. Codzień też obce dziady zachodziły do Wodoktów, niby po jałmużnę — odrzekł drugi.

— A coto za żołnierz przy Kmicieu?

— Czeladź z Wodoktów mówią, że Kozacy. Pewnie się Kmicie z Chowańskim albo z Żółtareńką zwiąchał. Dotąd był zbójem, teraz zdrajca to już oczywisty.

— Jakżebyto on mógł Kozaków aż tu przyprowadzić?

— Z tak wielką watahą nie łatwo się przemknąć? Toć pierwsza lepsza nasza chorągiew byłaby go zatrzymała po drodze.

— Po pierwsze mógł lasami iść, a po drugie, małożto panów z dworskimi kozakami się uwija? Kto ich tam odróżni od nieprzyjaciół; jeśli ich pytano, to się nadwornymi semenami powiadali.

— Będzie on się bronił, — mówił jeden z Gościewiczów — bo człek jest mężny i rezolutny, ale nasz pułkownik da sobie z nim rady.

— Butrymowie też sobie zaprzysięgli, że choćby mieli jeden na drugim paść, już on im nie ujdzie ztąd żywy. Oni na niego najzawziętsi.

— Ba! a jak go usieczem, to na kim będą swoich krzywd dochodzić? Lepiejby było żywcem go pojmać i sprawiedliwości oddać.

— Co tam teraz o sądach myśleć, kiedy wszyscy głowy potracili. Czy waszmościom wiadomo, co ludzie mówią, że i od Szwedów może przyjść wojna?

— Niechże Bóg zachowa!... Moskiewska potęga i Chmielnicki! Szwedów tylko brak, a jużby ostatni termin na Rzeczpospolitą przyszedł.

Wtem pan Wołodyjowski, jadący na przodzie, odwrócił się i rzekł:

— Cicho tam, waszmościowie!

Szlachta umilkła, bo Lubicz już było widać. Po kwadransie drogi przysunęli się o niecałą staję ode dworu. Wszystkie okna były oświecone; jasność biła aż na podwórze, na którym pełno było zbrojnych ludzi i koni. Nigdzie żadnych straży, żadnych ostrożności — widocznie pan Kmicic ufał aż nadto swym siłom. Zbliżywszy się jeszcze więcej, pan Wołodyjowski za jednym rzutem oka poznał Kozaków, z którymi tyle się nawojował jeszcze za życia wielkiego Jeremiego, a później pod Radziwiłłem, więc mruknął zeicha sam do siebie:

— Jeśli to są obcy Kozacy, to ten warchoł przebrał miarę!

I patrzył dalej, zatrzymawszy cały oddział. Na podwórzu krzątania była okrutna. Jedni Kozacy świecili pochodniami, inni biegali na wszystkie strony, wychodzili z domu i wchodzili napowrót, wynosili rzeczy, pakowali toboły na wozy; inni wyprowadzali konie ze stajen, bydło z obór; krzyki, nawoływania i rozkazy krzyżowały się na wszystkie strony. Blask pochodni oświecał jakoby przeprowadzkę świętojańską dzierżawcy do nowego majątku.

Krzysztof Domaszewicz, starszy między Domaszewiczami, przysunął się do pana Wołodyjowskiego.

— Wasza mość! — rzekł — cały Lubicz chcą zapakować na wozy.

— Nie wywozą — odparł pan Wołodyjowski —

nie tylko Lubicza, ale i skóry własnej. Nie poznają jednak Kmicica, który jest żołnierz doświadczony. Ani jednej straży.

— Bo potęgę ma wielką; widzi mi się, będzie nad trzysta ludzi. Żebyśmy byli z wojska nie wrócili, mógłby w biały dzień przejść z wozami przez wszystkie zaścianki.

— Dobrze! — odrzekł pan Wołodyjowski. — Wszak to do dworu ta jedna droga prowadzi?

— Ta jedna, bo ztyłu stawy i bagna.

— To dobrze... Z koni waszmościowie!

Posłuszna rozkazowi szlachta wnet zeskoczyła z kulbak; następnie szeregi piesze zwały się w długą linię i poczęły otaczać dom wraz z zabudowaniami.

Pan Wołodyjowski z głównym oddziałem zbliżył się wprost do kołowrotu,

— Czekać komendy! — rzekł z cicha. — Nie strzelać przed rozkazem!

Kilkadziesiąt zaledwie kroków dzieliło szlachtę od kołowrotu, gdy spostrzeżono ich wreszcie z podwórca. Kilkunastu ludzi skoczyło razem do płotów i przechyliło się przez nie, pilnie wpatrując się w ciemność, a groźne głosy wołać poczęły:

— Hej! a szto za lude?

— Alt! — zakrzyknął pan Wołodyjowski. — Ognia!

Wystrzały ze wszystkich rusznic, jakie miała szlachta, huknęły naraz; ale jeszcze echo ich nie odbiło się o zabudowania, gdy znów rozległ się głos pana Wołodyjowskiego:

— Biegim!

— Bij, zabij! — odkrzyknęli laudańscy, rzucając się naprzód, jak potok.

Kozacy odpowiedzieli strzałami, lecz nie mieli już czasu nabić powtórnie. Hurma szlachty przypadła do kołowrotu, który wnet runął pod parciem zbrojnych mężów. Walka zawrzała na podwórzu, wśród wozów, koni, tobołów. Najprzód szli murem potężni Butrymowie, najsroźsi w ręcznym spotkaniu i najzacieklejsi przeciw panu Kmicicowi. Szli, jak stado odyńców idzie przez młode krze leśne, łamiąc, depcząc, niweczając i tnąc zapamiętałe; za nimi walili Domaszewicze i Gościewiczze.

Kmicicowi bronili się mężnie zza wozów i pak; poczęto też strzelać ze wszystkich okien domu i z dachu, ale rzadko, bo pochodnie zdeptane zagasty i trudno było swoich od nieprzyjaciół odróżnić. Po chwili wyparto Kozactwo z podwórza ku domowi i stajniom; rozległy się krzyki o litość. Szlachta tryumfowała.

Ale gdy została sama na podwórzu, wnet ożywił się ogień z domu. Wszystkie okna zjeżyły się rurami muszkietów i grad kul począł sypać się na podwórze. Największa część Kozaków schroniła się do domu.

— Pod dwór! do drzwi! — zawołał pan Wołodziejowski.

Rzeczywiście pod samymi ścianami strzały szkodzić nie mogły ani z okien, ani z dachu. Położenie jednak oblegających było trudne. O szturmie do okien niepodobna im było pomyśleć, bo tam przywitałby ich ogień w same twarze; kazał więc pan Wołodziejowski drzwi rąbać.

Ale i to nie szło łatwo, były to bowiem raczej wrzeczadze, niż drzwi, zbudowane z dębowych krzyżniaków, nabijanych raz przy razie olbrzymiemi gwoź-

dziami, na których potężnych łbach szczybiły się siekiery, nie mogąc drzewa zachwycić. Najsilniejsze chłopcy parli od czasu do czasu ramionami i to próżno. Drzwi miały ztyłu żelazne sztaby, a oprócz tego podparto je od wewnątrz drągami. Butrymowie jednak rąbali z wściekłością. Do drzwi kuchennych i wiodących ze skarbczyka szturmowali Domaszewicze i Gościewicze.

Po godzinie próżnych usiłowań zmienili się ludzie przy siekierach. Niektóre krzyżniaki wypadły, ale na ich miejsce ukazały się rury muszkietów. Huknęły znów strzały. Dwóch Butrymów padło na ziemię z przestrzeloną piersią. Inni zamiast się zmieszać, rąbali tem zaciekłej.

Z rozkazu pana Wołodyjowskiego pozatykano otwory kłębami, uczynionemi z kapot. W tymże czasie nowe okrzyki ozwały się od strony drogi, to Stakjanowie przybywali na pomoc braci, a za nimi zbrojni chłopcy z Wodoktów.

Przybycie tych nowych posiłków strwożyło widocznie obleżonych, bo wnet jakiś głos począł wołać gromko za drzwiami:

— Stój tam! nie rąb! słuchaj... Stój, do stu dyabłów!... rozmówmy się!

Wołodyjowski kazał przerwać robotę i spytał:

— Kto mówi?

— Chorąży orszański, Kmicic! — brzmiała odpowiedź. — A z kim mówi?

— Pułkownik Michał Jerzy Wołodyjowski.

— Czołem! — ozwał się głos zza drzwi.

— Nie czas na powitania... Czego waść chcesz?

— Mnieby słuszniej zapytać: czego waść chcesz?

Nie znasz mnie, ja ciebie... czemu mnie napadasz?

— Zdrajco! — zakrzyknął pan Michał. — Ze mną są ludzie laudańscy, którzy z wojny wrócili i ci mają z tobą obrachunki za rozbój i za krew niewinnie przełaną, i za tę pannę, którąś teraz porwał! A wiesz, co to jest *raptus puellae*? Musisz tu gardło dać!

Nastała chwila milczenia.

— Nie nazwałbyś mnie drugi raz zdrajcą, — rzekł znów Kmicic — gdyby nie te drzwi, które nas dzielą.

— To je otwórz... tego ci nie bronię!

— Pierwej jeszcze niejeden kondel laudański nogami się nakryje. Nie weźmiecie mnie żywym!

— To cię zdechłego za łeb wywleczem. Wszystko nam jedno!

— Słuchaj waść dobrze i zakonotuj, co powiem. Jeśli nas nie poniechacie, mam tu baryłkę prochu i loncik już tlejący; dom wysadzę, wszystkich, co tu są i siebie... tak mi dopomóż Bóg! Chodźcie mnie teraz brać!

Tym razem nastąpiła jeszcze dłuższa chwila milczenia. Pan Wołodyjowski szukał napróżno odpowiedzi. Szlachta poczęła spoglądać po sobie przerażona. Tyle było dzikiej energii w słowach Kmicica, że w groźbę uwierzyli wszyscy. Całe zwycięstwo mogło być jedną iskrą w proch rozwiane i Billewiczówna stracona na wieki.

— Dla Boga! — mruknął któryś z Butrymów — to szalony człek! On to gotów uczynić.

Nagle panu Wołodyjowskiemu przyszła szczęśliwa, jak mu się zdawało, myśl do głowy.

— Jest inny sposób! — zakrzyknął. — Wychodź ze mną zdrajco na szable! Położysz mnie, to odjedziesz wolno!

Przez jakiś czas nie było odpowiedzi. Serca laudańskich były niespokojnie.

— Na szable? — spytał wreszcie Kmicic. —
Może to być!

— Jeśli tchórz nie oblatuje, to i będzie!

— Parol kawalerski, że odjadę wolno?

— Parol...

— Nie może być! — krzyknęło kilka głosów między Butrymami.

— Cicho waściowie, do stu dyabłów! — huknął pan Wołodujowski — a nie, to niech siebie i was prochem wysadza.

Butrymowie zamilkli, po chwili jeden z nich rzekł:

— Będzie tak, jak wasza mość chce...

— A cóżtam? — pytał szydersko Kmicic. —
Szaraczki się zgadzają?

— I zaprzysięgną na mieczach, jeżeli waść chcesz.

— Niech przysięgają!

— Kupą tu waszmościowie, kupą! — wołał pan Wołodujowski na szlachtę, stojącą pod ścianami i otaczającą cały dom.

Po chwili wszyscy zebrali się pod głównymi drzwiami i wnet wieść, że Kmicic chce się prochami wysadzić, rozniosła się na wszystkie strony. Stali tedy, jak w kamienie zmienieni ze zgrozy; tymczasem pan Wołodujowski podniósł głos i mówił wśród ciszy grobowej:

— Wszystkich tu obecnych waszmościów biore na świadki, żem pana Kmicica, chorążego orszańskiego, wyzwał na bitwę samowtór, i to mu przyrzekłem, iż jeśli mnie położy, odjedzie wolno, nie doznając w tem od waszmościów przeszkody, co mu na rękojeściach

zaprzysiąc musicie, na Boga Najwyższego i święty krzyż...

— Poczekajcie jeno! — zawołał Kmicie — wolno ze wszystkimi ludźmi odjadę i pannę ze sobą zabiorę.

— Panna tu zostanie — odparł pan Wołodyjowski — a ludzie w jasyr do szlachty pójdą.

— Nie może być.

— To się prochami wysadzaj! Już my jej odzałowali, a co do ludzi, to się ich spytaj, co wolą...

Nastała znów cisza.

— Niechże tak będzie — rzekł po chwili Kmicie. — Nie dziś ją porwę, to za miesiąc. Nie skryjcie jej pod ziemią! Przysięgajcie!

— Przysięgajcie! — powtórzył pan Wołodyjowski.

— Przysięgamy na Boga Najwyższego i święty krzyż. Amen!

— No, wychodź, wychodź waść! — rzekł pan Michał.

— Pilno waszmości na tamten świat?

— Dobrze, dobrze! jeno prędzej.

Sztaby żelazne, trzymające drzwi od wewnątrz, poczęły szcękać.

Pan Wołodyjowski usunął się wtył, a za nim szlachta, by miejsce uczynić. Wnet drzwi otworzyły się i ukazał się w nich pan Andrzej, rosły, smukły jak topola. Brzask już był na świecie i pierwsze blade światelka dnia padły na jego twarz hardą, rycerską, a młodą. Stanąwszy we drzwiach, spojrzał śmiało na czeredę szlachty i rzekł:

— Zaufałem waszmościom... Bóg wie, czym dobrze uczynił, ale mniejsza z tem!... Który tu pan Wołodyjowski?

Mały pułkownik wysunął się naprzód.

— Jam jest! — odrzekł.

— Ho! nie na wielkoluda waszmość wyglądasz — rzekł Kmicic, czyniąc przymówkę do wzrostu rycerza — spodziewałem się znacznieszą figurę znaleźć, choć ci to muszę przyznać, żeś widać żołnierz doświadczony.

— Nie mogę tego waści przyznać, boś straży zaniedbał. Jeśliś taki do szabli, jak do komendy, to i nie będę miał roboty.

— Gdzie staniemy? — spytał żywo Kmicic.

— Tu... podwórzec równy jak stół.

— Zgoda! gotuj się na śmierć.

— Takiś waśc pewien?

— Widać, żeś w orszańskim nie bywał, skoro o tem wąpizsz... Nietylkom pewien, ale i żal mi waćpana, bom o tobie jako o sławnym żołnierzu słyszał. Dlatego ostatni raz mówię: zaniechaj mnie! Nie znamy się... poco mamy sobie w drogę wchodzić? Czemu na mnie nastajesz?... Dziewka testamentem mi przynależy, jako i ta majątność i Bóg widzi, swego tylko dochodzę... Prawda jest, zem szlachtę w Wołmontowiczach wysiekl, ale niechże Bóg sądzi, kto tu pierwiej został skrzywdzony. Swawolnicy byli moi oficerowie, czy nie swawolnicy, mniejsza z tem, dość, że tu nikomu zła nie uczynili, a wybito ich do nogi, jako psów wściekłych, za to, że z dziewczętami w karczmie chcieli potańczyć. Niechże będzie krew za krew! Potem mi i żołnierzy wysieczono. Na rany Boskie zaprzysięgnę, zem tu bez złych chęci w te strony przyjechał, a jakże mnie tu przyjęto?... Ale niech będzie krzywda za krzywdę. Jeszcze swego dołożę, szkody nagrodzę... posąsiedzku. Lepiej wolę tak, jak inaczej...

— A jacyżto ludzie z waćpanem teraz przyszli? Zkądże wziąłeś tych pomocników? — pytał pan Wołodyjowski.

— Zkąd wziąłem, to wziąłem. Nie przeciw ojczyźnie ich zaciągnąłem, ale by prywaty swojej dochodzić.

— Takiśto?... Więc dla prywaty z nieprzyjacielem się połączyłeś? A czemu mu za onę usługę zapłacisz, jeśli nie zdradą?... Nie, bratku, nie przeszkadzałbym ja ci układać się z tą szlachtą, ale wezwać nieprzyjaciela w pomoc, inna rzecz. Nie wykręcisz się sianem. Stawajno teraz, stawaj, bo wiem, że cię tchórz oblatuje, choć się za orszańskiego mistrza podajesz.

— Chciałeś! — rzekł Kmicic, stając w pozycji.

Ale pan Wołodyjowski nie śpieszył się i nie wydobywając jeszcze szabli, obejrzał się naokoło po niebie. Świtało już. Na wschodzie pierwsza złota i błękitna wstążka rozciągnęła się świetlistem pasmem, na podwórzu jednak dość było jeszcze ciemno, zwłaszcza zaś przed domem mrok panował zupełny.

— Dobrze się dzień zaczyna — rzekł pan Wołodyjowski — ale słońce nieprędko jeszcze wejdzie. Może waść życzyysz, żeby nam poświecili?

— Wszystko mi jedno.

— Mości panowie! — zawołał pan Wołodyjowski, zwracając się do szlachty — a skoczyćno po wiechetki i po łuczywo, będzie nam jaśniej w tym orszańskim tańcu.

Szlachta, której żartobliwy ton młodego pułkownika dziwnie dodawał otuchy, kopnęła się raźnie ku kuchni; niektórzy poczęli zbierać podeptane wczasie bitwy pochodnie i po niejakiem czasie blisko pięćdzie-

sią czerwonych płomieni zamigotało w bladym mroku porannym. Pan Wołodyjowski ukazał je szablą Kmicicowi.

— Patrz waść, istny kondukt!

A Kmicie odparł odrazu:

— Pułkownika chowają, to i pompa być musi!

— Srogi smok z waści!...

Tymczasem szlachta zatoczyła w milczeniu krąg naokół rycerzy; wszyscy podnieśli zapalone drzazgi w górę, za nimi umieścili się inni, ciekawi i niespokojni; w środku przeciwnicy mierzyli się oczyma. Ciśsza uczyniła się okrutna, jeno węgielki spalone obsuwały się z szelestem na ziemię. Pan Wołodyjowski wesół był, jak szczygieł w pogodny ranek.

— Zaczynaj waść! — rzekł Kmicie.

Pierwszy szczeńk ozwał się echem w sercach wszystkich patrzących; pan Wołodyjowski przyciął, jakby z niechcenia, pan Kmicie odbił i przyciął z kolei, pan Wołodyjowski znów odbił. Suchy szczeńk stawał się coraz szybszy. Wszyscy dech wstrzymywali. Kmicie atakował z furją, pan Wołodyjowski zaś lewą rękę w tył założył i stał spokojnie, czyniąc niedbale ruchy bardzo małe, prawie nieznaczne; zdawało się, że chciał siebie tylko osłonić, a zarazem oszczędzić przeciwnika — czasem cofnął się o mały krok w tył, czasem postąpił naprzód — widocznie badał biegłość Kmicica. Tamten rozgrzewał się, ten był chłodny, jak mistrz próbujący ucznia, i coraz spokojniejszy; wreszcie ku wielkiemu zdumieniu szlachty, przemówił:

— Pogawędzimy — rzekł — nie będzie nam się czas dłużyć... Aha! to ta orszańska metoda?... wi-
dać tam sami musicie groch młócić, bo waćpan ma-

chasz jak cepem... Okrutnie się zmachasz. Zaliś to naprawdę w Orszańskim najlepszy?... Ten cios jeno u pachotków trybunalskich w modzie... Ten kurlandzki... dobrze się nim od psów opędać. Uważaj waćpan na koniec szabli... Nie wyginaj tak dłoni, ho patrz, co się stanie... Podnieś!...

Ostatnie słowa wymówił pan Wołodujowski dobitnie, jednocześnie zatoczył półkole, dłoń i szablę pociągnął ku sobie i nim patrzący zrozumieli, co znaczy: „podnieś“ — już szabla Kmicica, jak wywleczona igła z nitki, furknęła nad głową pana Wołodujowskiego i upadła mu za plecami; on zaś rzekł:

— To się nazywa wyłuskiwać szablę.

Kmicic stał blady, z obłąkanemi oczyma, chwiał się, zdumiony niemniej od szlachty laudańskiej; mały pułkownik zaś usunął się w bok i ukazawszy na leżącą na ziemi szerpentynę, powtórzył po raz drugi: — Podnieś!

Przez chwilę zdawało się, że Kmicic rzuci się na niego z gołemi rękoma... Już, już był gotów do skoku, już pan Wołodujowski, przysunawszy rękojeść do piersi, nadstawił ostrze, ale pan Kmicic rzucił się na szablę i wpadł z nią na straszliwego przeciwnika.

Szmery głośne poczęły się zrywać w kole patrzących i koło ścieśniało się coraz bardziej, a za niem uformowało się drugie, trzecie. Kozacy Kmicicowi wtykali głowy między ramiona szlachty, jakby całe życie w najlepszej z nią żył zgodzie. Mimowolne okrzyki wyrывały się z ust widzów; czasem rozlegał się wybuch niepohamowanego, nerwowego śmiechu; poznali wszyscy mistrza nad mistrzami.

Ten zaś bawił się okrutnie, jak kot z myszą —

i pozornie coraz niedbalej robił szablą. Lewą rękę wysunął zza pleców i wsunął w kieszeń hajdawerów. Kmicic pienił się, rzęził, nakoniec chrapliwe słowa wyszły mu z gardzieli przez zaciśnięte usta:

— Kończ... waść!... wstydu oszczędź!...

— Dobrze! — rzekł Wołodyjowski.

Dał się słyszeć świst krótki, straszny, potem stłumiony krzyk... jednocześnie Kmicic rozłożył ręce, szabla wypadła mu z nich na ziemię... i runął twarzą do nóg pułkownika...

— Żyje — rzekł Wołodyjowski — nie padł na wznak!

I zagiąwszy poję Kmicicowego żupana, począł nią ocierać szablę.

Zawrzała szlachta jednym głosem, w tych zaś krzykach brzmiało coraz wyraźniej:

— Dobić zdrajcę!... dobić... rozsiekać!...

I kilku Butrymów biegło z dobytymi szablami. Nagle stało się coś dziwnego; oto rzekłbyś: mały pan Wołodyjowski urósł w oczach — szabla najbliższego Butryma wyleciała mu z ręki śladem Kmicicowej, jakby ją wichur porwał — pan Wołodyjowski zaś krzyknął z iskrzącymi oczyma:

— Wara!... wara!... Teraz on mój, nie wasz!... Precz!...

Umilkli wszyscy, bojąc się gniewu tego męża, on zaś rzekł:

— Nie potrzeba mi tu jatek!... Waszmościowie szlachtą będąc, powinniście rozumieć kawalerski obyczaj, aby rannego nie dobijać. Nieprzyjacielowi nawet tego się nie czyni, a cóż dopiero przeciwnikowi w pojedynku zwyciężonemu.

— On zdrajca! — mruknął któryś z Butrymów. — Takiego godzi się bić.

— Jeśli on zdrajca, tedy panu hetmanowi oddany być powinien, aby karę poniósł i stanął za przykład innym. Zresztą, jakom wam rzekł: mój on teraz, nie wasz. Jeśli wyżyje, to wam wolno będzie krzywd waszych przed sądem dochodzić i z żywego lepszą mieć będziecie satysfakcją, niż z umarłego. A kto tu umie rany opatrywać?

— Krzych Domaszewicz. On zdawna wszystkich na Laudzie opatruje.

— Niechże go zaraz opatrzy, potem na łożę go przenieść, a ja pójdę tę nieszczęsną pannę pocieszyć.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski zasunął szabelkę do pochwy i wszedł przez porąbane drzwi do domu. Szlachta poczęła łowić i wiązać rapciami ludzi Kmicicowych, którzy odtąd mieli orać rolę w zaściankach. Poddawali się też bez oporu; ledwo kilkunastu, wypadłszy przez tylne okna domu, skoczyło ku stawom, ale tam wpadli w ręce czekających Stakjanów. Jednocześnie szlachta wzięła się do rabunku wozów, na których łup znalazł się dość obfity; niektórzy radzili zrabować i dom, ale bano się pana Wołodyjowskiego, a może obecność w domu Billewiczówny wstrzymywała zuchwalszych. Swoich poległych, między którymi było trzech Butrymów i dwóch Domaszewiczów, złożyła szlachta na wozy, aby ich po chrześcijańsku pochować, dla zabitych Kmicicowych kazano kopać chłopotom rów za ogrodem.

Pan Wołodyjowski zaś szukając panny, przetrząsnął cały dom i znalazł ją dopiero w skarbczyku, położonym w rogu, do którego prowadziły maleńkie

a ciężkie drzwi z izby sypialnej. Była to mała komnatka, o wąskich, grubo kratowanych oknach zbudowana w kwadrat, z murów tak potężnych, że pan Wołodyjowski poznał natychmiast, iż choćby Kmicie był dom wysadził prochem, ta izba byłaby ocalała z pewnością. To dało mu lepsze o Kmicicu mniemanie. Panna siedziała na skrzyni niedaleko drzwi, z głową spuszczoną, z twarzą prawie zasłoniętą włosami i całkiem nie podniosła jej, słysząc wchodzącego rycerza. Myślała zapewne, że to sam Kmicie lub kto z jego ludzi. Pan Wołodyjowski stanął we drzwiach, zdjął czapkę, chrząknął raz i drugi, a widząc, iż i to nie pomaga, ozwał się:

— Mościa panno... wolna jesteś!...

Wówczas zpod narzuconych włosów spojrzwały na rycerza oczy błękitne, a potem wychyliła się z nich twarz śliczna, choć blada i jakby nieprzytomna. Pan Wołodyjowski spodziewał się podziękowań, wybuchu radości, tymczasem panna siedziała nieruchomie i tylko patrzyła nań błędnie; więc rycerz ozwał się po raz drugi:

— Przyjdź waćpanna do siebie, Bóg wejrzał na niewinność... Jesteś wolna i możesz wracać do Wołoktów.

Tym razem w spojrzeniu Billewiczówny więcej było przytomności. Powstawszy ze skrzyni, strząsnęła wtył włosy i spytała:

-- Kto waćpan jesteś?

— Michał Wołodyjowski, pułkownik dragoński wojewody wileńskiego.

— Słyszałam bitwę... strzały?... Mów waćpanu...

— Tak jest. Myto przyszli waćpannie na ratunek...

Billewiczówna oprzytomniała zupełnie.

— Dziękuję waści! — rzekła pośpiesznie cichym głosem, w którym przebijał się śmiertelny niepokój. — A z tamtym, co się stało?...

— Z Kmicicem? Nie bój się waćpanna: leży bez duszy na podwórzu... i jam to, nie chwaląc się, sprawił.

Wołodyjowski wyrzekł to z pewną chępliwością, ale, jeśli spodziewał się podziwu, to zawiódł się srodcze. Billewiczówna nie odrzekła ani słowa, natomiast zachwiała się na nogach i rękoma poczęła szukać oparcia za sobą, nakoniec siadła ciężko na tejże samej skrzyni, z której przed chwilą się podniosła.

Rycerz poskoczył ku niej żywo:

— Co waćpannie jest?

— Nic... nic... Czekać waść... pozwól... To pan Kmicic zabity?...

— Co mnie pan Kmicic! — przerwał Wołodyjowski — tu o pannę chodzi!

Wówczas siły jej nagle wróciły, bo się podniosła znowu i spojrzawszy mu wprost w oczy, wykrzyknęła z gniewem, zniecierpliwieniem i rozpaczą:

— Na Boga żywego, odpowiadaj! zabity?...

— Pan Kmicic ranny — odpowiedział zdumiony pan Wołodyjowski.

— Żyje?...

— Żyje.

— Dobrze! Dziękuję waści...

I chwiejnym jeszcze krokiem skierowała się ku drzwiom. Wołodyjowski stał przez chwilę, ruszając

mocno wąsikami i kręcąc głową; następnie mruknął sam do siebie:

— Zali mi ona dziękuje za to, że Kmicic ranny, czy za to, że żyje?

I wyszedł za nią. Zastał ją w przyległej izbie sypialnej, stojącą pośrodku, jakby skamieniałą. Czterech szlachty wynosiło właśnie Kmicica; dwóch pierwszych, postępując bokiem, ukazało się we drzwiach, a między ich rękoma zwieszała się ku ziemi blada głowa pana Andrzeja, z zamkniętymi oczyma i soplami czarnej krwi we włosach.

— Wolno tam! — mówił idący za nimi Krzych Domaszewicz — wolno przez próg. Niech mu tam który głowę podtrzyma. Wolno!...

— A czem będziem trzymać, kiedy ręce zajęte — odpowiedzieli idący w przdzie.

W tej chwili panna Aleksandra zbliżyła się ku nim, blada tak jak i Kmicic, i podłożyła mu obie ręce pod martwą głowę.

— To panienka! — rzekł Krzych Domaszewicz.

— To ja... ostrożnie... — odrzekła cichym głosem.

Pan Wołodyjowski patrzył i wąsikami srodze ruszał.

Tymczasem złożono Kmicica na łożu. Krzych Domaszewicz począł obmywać mu głowę wodą, potem przyłożył przygotowany poprzednio plaster do rany i rzekł:

— Teraz jeno niech leży spokojnie... Ej, żelazna to głowa, że od takiego ciosu na dwoje nie pękła. Może i będzie zdrów, bo młody. Ale tego dostał...

Następnie zwrócił się do Oleńki:

— Daj panienka ręce umyć... Ot, tu jest woda. Miłosierne w tobie serce, żeś dla tego człeka nie bała się pokrwawić.

Tak mówiąc, wycierał jej dłonie chustą, a ona bladła i mieniała się w oczach. Wołodyjowski znów poskoczył ku niej.

— Nic tu po waćpannie! Okazałaś chrześcijańskie miłosierdzie nad nieprzyjacielem... wracaj do domu.

I podał jej ramię; ale ona nawet nie spojrzała na niego, natomiast zwróciwszy się do Krzycha Domaszewicza, rzekła:

— Panie Krzysztofie, wyprowadź mnie!

Wyszli oboje, a i pan Wołodyjowski za nimi. Na podwórzu szlachta zaczęła krzykać na jej widok i wiwatować, a ona szła blada, chwiejąca się, z zacisniętymi ustami i ogniem w oczach.

— Niech żyje nasza panna! Niech żyje nasz pułkownik! — wołały potężne głosy.

W godzinę później wracał pan Wołodyjowski na czele laudańskich ku zaściankom. Słońce już weszło, ranek na świecie był radosny, prawdziwie wiosenny. Laudańscy cłapali kupą bezładną po gościńcu, gwarząc o wypadkach ubiegłej nocy i sławiąc pod niebiosa pana Wołodyjowskiego, a on jechał zamyślony i milczący. Z myśli nie schodziły mu te oczy, patrzące zpoza rozpuszczonych włosów, ta postać wysmukła i wspaniała, choć zgięta smutkiem i bólem.

— Dziw, jak cudna! — mruzczał sam do siebie — istna księżniczka... Hm! ocaliłem jej cnotę,

a pewnie i życie, bo choćby prochy nie wysadziły skarbczyka, byłaby ze samego strachu umarła... Powinna być wdzięczna... Ale kto tam białogłowę wyrozumie... Patrzyła na mnie, jak na pacholika, nie wiem, czy z dumy jakowej, czy z konfuzji...

ROZDZIAŁ VIII.

Te myśli spać mu nie dały następnej nocy. Przez kilka dni ciągle jeszcze rozmyślał o panie Aleksandrze i poznał, że mu głęboko w serce zapadła. Przecieta szlachta laudańska chciała go z nią żenić! Ona wprawdzie zrekurowała mu bez namysłu, ale wtedy ani go znała, ani widziała. Teraz zupełnie co innego. On ją wyrwał pokawalersku z rąk gwałtownika, narażając się na kule i szable; poprostu zdobył ją, jak fortecę... Czyjaż ona, jeśli nie jego? Możli mi czegokolwiek odmówić, choćby i ręki? Nużby popróbował? Nużby z wdzięczności narodził się w niej afekt, jak się to często na świecie zdarza, że ocalona panna zaraz rękę i serce zbawcy oddaje! Gdyby zresztą nawet nie czuła dla niego zrazu afektu, to tembardziej należy mu się o to postarać.

A jeśli ona tamtego jeszcze pamięta i miłuje?

— Nie może być! — powtórzył sobie pan Wołodyjowski — gdyby go nie odpałiła, toby jej gwałtem nie brał.

Okazała wprawdzie nad nim miłosierdzie niezwyčajne, ale niewieścia to rzecz litować się nad rannymi, choćby nieprzyjaciołmi.

Młoda jest, bez opieki, czas jej zamaż. Do klasztoru widocznie nie ma wokacyi, bo jużby poszła. Było czasu dość. Tak gładką pannę ustawicznie będą rozmaici kawalerowie turbowali: jedni dla majątku, drudzy dla urody, trzeci dla zacności krwi. Ejże, miło jej będzie mieć taką obronę, której skuteczność własnemi oczyma oglądać mogła.

— A i tobie czas się ustatkować, Michałku! — mówił do siebie pan Wołodyjowski. — Młodyś jeszcze, ale lata prędko bieżą. Fortuny się nie dostążysz, chyba więcej ran w skórze. A bałamuctwom koniec będzie.

Tu panu Wołodyjowskiemu przesunął się przez pamięć cały szereg panien, do których już wzdychał w życiu. Były między niemi i bardzo urodziwe i z wielkiej krwi idące, ale milszej nie było i zacniejszej. Toż ten ród i tę pannę ludzie sławili w całej okolicy i z oczu jej patrzyła taka uczciwość, że nie daj Panie Boże nikomu gorszej żony.

Czuł pan Wołodyjowski, że mu się trafia gratka, jaka się drugi raz może nie trafić, a to tem bardziej, że pannie taką niepospolitą usługę oddał.

— Co tu zwłóczyć! — mówił sobie. — Czego lepszego się doczekam? Trzeba tentować.

Ba! ale tu wojna za pasem. Ręka zdrowa. Wstyd rycerzowi w zaloty chodzić, gdy ojczyzna ręce wyciąga i ratunku prosi. Pan Michał miał zacne serce żołnierskie i choć od pacholęcia prawie służył, choć we wszystkich wojnach, jakie za jego czasów były, udział brał — wiedział przecie co ojczyźnie winien i o spoczynku nie myślał.

Ale właśnie dlatego, że nie dla zysków, zasług, chlebów, jeno z duszy całej ojczyźnie służył i sumienie

... miał pod tym względem czyste, czuł swą wartość i to dodawało mu otuchy.

— Inni się warcholili, a jam się bił — myślał sobie. — Pan Bóg żołnierzykowi nagrodzi i teraz mu dopomoże.

Poznał jednak, że skoro nie było czasu na zaloty, trzeba było prędko działać i wszystko odrazu na hazard wystawić: pojechać, oświadczyć się z miejsca i albo po przyspieszonych zapowiedziach ślub wziąć, albo zjeść arbuza.

— Jadłem nieraz, zjem i teraz! — mruzczał pan Wołodyjowski, ruszając żółtymi wąsikami. — Co mi szkodzi!

Była jednak pewna strona w tem nagłym postanowieniu, która mu się nie podobała. Oto zadawał sobie pytanie: czy jadąc z oświadczeniem tak zaraz po uratowaniu panny, nie będzie podobny do natrętnego wierzyciela, który chce, aby mu jak najprędzej i z lichwą dług spłacono?

— Może to i nie będzie pokawalersku?

Ba! ale zacóż żądać wdzięczności, jeśli nie za usługę? A jeśli ów pośpiech nie pójdzie po sercu pannie, jeśli się nań skrzywi, to jej przecie można powiedzieć: „Mościa panno, rok bym w zaloty jeździł i w ślepki ci patrzył, alem żołnierz, a tam trąby na wojnę grają!”

— Taki pojedę! — mówił sobie pan Wołodyjowski.

Lecz po chwili znowu inna myśl przyszła mu do głowy. A jeśli ona odpowie: „Idźże waćpan na wojnę, mości żołnierzu, a po wojnie będziesz rok do mnie jeździł i w ślepki mi patrzył, bo ja człowiekowi, którego nie znam, duszy i ciała odrazu nie oddam“.

Wtedy wszystko przypadnie.

Że przypadnie, czuł to pan Wołodyjowski doskonale; bo pominąwszy pannę, którą przez ten czas inny wziąć może, nie był pan Wołodyjowski pewny własnej stałości. Sumienie mu to mówiło, że w nim samym afekt zapalał się, bywało, tak jak słoma, ale i gasł jak słoma.

Wtedy wszystko przypadnie!... I kołatajże się dalej, żołnierzu, tułacz, z obozu do obozu, z bitwy na bitwę, bez dachu na świecie, bez duszy żywej bliskiej. Rozglądaj się po wojnie na cztery strony świata, nie wiedząc, gdzie głowę poza cekhauzem złożyć!

Ostatecznie pan Wołodyjowski nie wiedział, co czynić.

Ciasno mu się jakoś uczyniło w pacunelskim dworku i duszno, więc wziął czapkę, by wyjść trochę na drogę i słońca majowego zażyć. W progu natknął się na jednego z ludzi kmicicowych, w niewolę wziętych, którego staremu Pakoszowi przypadł w udziale. Kozak grzał się na słońcu i na bandurze brzdąkał.

— A co ty tu robisz? — zapytał pan Wołodyjowski.

— Hraju, pane — odpowiedział Kozak, podnosząc wynędzniałą twarz.

— Zkąd ty jesteś? — pytał dalej pan Michał, kontent, że ma jakowąś w rozmyślaniach przerwę.

— Zdaleka, pane, zpod Wiahla.

— Czemużes to nie umknął, jako reszta twoich towarzyszków? O, tacy synowie! Darowała was szlachta życiem w Lubiczu, by mieć roboczną, a wyście zaraz poumykali, zaledwie z was łyka zdjęto.

— Ja nie ucieknę. Tu zdechnę, jak sobaka.

— Takżeś tu sobie upodobał?

— Komu lepiej na polu, to umyka, a mnie tu lepiej. Ja miał nogę przestrzeloną, a tu mnie ją obwinęła szlachcianka, starego córka, i dobre słowo rzekła. Takiej ja krasawicy na oczy nie widział... Naco mnie odchodzić?

— Któraż ci tak dogodziła?

— Marysia.

— I ty już ostaniesz?

— Jeśli zdechnę, to i wyniosą, a nie, to ostaną.

— Zali myślisz u Pakosza córkę wysłużyć?

— Nie znaju, pane.

— Pierwiejby takiemu hołyszowi śmierć dał, niż córkę.

— U mnie czerwiece w lesie zakopane: dwie garści.

— Z rozboju?

— Z rozboju, pane.

— Choćbyś i garniec miał, toś chłop, a Pakosz szlachcic.

— Ja z bojarów putnych.

— Jeśliś ty z bojarów putnych, toś gorzej niż chłop, boś zdrajca. Jakżeto mogłeś nieprzyjacielowi służyć?

— Ja mu i nie służył.

— A zkądże was pan Kmicic brał?

— Z gościńca. Ja służył u pana hetmana polnego, ale potem chorągiew rozlazła się, bo nie było co jeść. Do domu nie miałem poco wracać, bo spalony. Inni na gościniec poszli rozbijać, tak i ja z nimi poszedł.

Pan Wołodyjowski zdziwił się mocno, gdyż aż do-

jął sądził, że pan Kmicic napadł Oleńkę z siłami, pożyczonemi u nieprzyjaciela.

— To pan Kmicic nie od Trubeckiego was dostał?

— Było między nami najwięcej takich, co przedtem u Trubeckiego i Chowańskiego służyli, ale taki od nich zbiegli na gościńce.

— I dlaczego wy za panem Kmicicem poszli?

— Bo on sławny ataman. Nam mówili, że na kogo on krzyknie, żeby za nim szedł, to jakby mu talarów w mieszek nasypał. Dlatego my poszli. No, Bóg nie poszczęścił!

Pan Wołodyjowski począł głową kręcić i rozmyślać, że jednak tego Kmicica zanadto uczerniono; potem spojrzął na wybladłego bojarczyka i znów głową pokręcił.

— Także ty ją miłujesz?

— Oj! tak, pane!

Pan Wołodyjowski odszedł, a odchodząc pomyślał: Ot! rezolutny człowiek. Ten sobie głowy nie łamał; pokochał i zostaje. Tacy najlepsi... Jeśli naprawdę on z putnych bojarów, toćto tenże gatunek, co i zaściankowa szlachta. Jak swoje czerwienice wygrzebie, może mu stary Marysię odda. A czemu? Bo w palce nie stukał, jeno się zawziął, że ją dostanie. Zawezmę się i ja!

Tak rozmyślając, szedł pan Wołodyjowski drogą po słońcu, czasem stawał i w ziemię oczy wbijał lub je w niebo podnosił; to znów szedł dalej, aż nagle ujrzął lecące po niebie stadko dzikich kaczek.

Wówczas począł sobie z nich wróżyć: jechać, nie jechać?... Wypadło mu, żeby jechać.

— Pojadę, nie może być inaczej!

To rzekłszy, zawrócił do domu; ale po drodze wstąpił jeszcze do stajenki, przed którą dwóch czeladniczków jego w kości grało.

— Syruć, — rzekł pan Wołodajowski — a grzywa u Basiora zapleciona?

— Zapleciona, panie pułkowniku!

Pan Wołodajowski wszedł do stajni. Basior odezwał mu się od drabinki; rycerz zbliżył się, poklepał go po boku, następnie jął liczyć warkocze na karku.

— Jechać... nie jechać... jechać...

Wróżba wypadła znów pomyślnie.

— Konie siodłać i samym się przybrać uczciwie! — zakomenderował pan Wołodajowski.

Zaczem prędko już poszedł do domu i począł się stroić. Wdział bóty wysokie, rajtarskie, żółte, z klapkami na podbiciu i złoconemi ostrogami, a mundur nowy, czerwony; do tego rapierek w stalowej pochwie, przedni, z gardą złotem przerabianą; do tego półpancerzyk z jasnej stali pokrywający tylko wierzchnią część piersi pod szyję; miał i kołpaczek rysy z pięknem piórem czaplem, ale że ten do polskiego tylko ubioru pasował, więc go zostawił w skrzyni, a na głowę wdział hełm szwedzki z czólenkiem i wyszedł przed ganek.

— Gdziето wasza miłość jedzie? — pyta go stary Pakosz, siedzący na przyzbie.

— Gdzie jadę? Słuszna, abym tej tam waszej panny o zdrowie spytał, bo za grubijaninaby mnie wziąć mogła.

— Od waszej miłości aż łuna bije. Kiep każdy gil! Jużby chyba panna oczu nie miała, żeby się zaraz nie zakochała...

Wtem nadbiegły dwie młodsze panny Pakoszówny, wracające z południowego udoju, każda ze skopkiem w rękę. Ujrawszy pana Wołodyjowskiego, stanęły jak wryte ze zdziwienia.

— Król, nie król? — rzekła Zonia.

— Wasza miłość jak na wesele! — dodała Maryska.

— Może z tego i wesele być, — zaśmiał się stary Pakosz — bo do panny naszej jedzie.

Nim stary skończył, napełniony szkopek wyleciał z rąk Marysi i struga mleka polała się aż pod nogi pana Wołodyjowskiego.

— Uważaj na to, co trzymasz! — rzekł gniewliwie Pakosz — ot, koza!

Marysia nie odrzekła nic, podniosła szkopek i odeszła cicho.

Pan Wołodyjowski siadł na koń, za nim uszykowało się dwóch jego czeladniczków i ruszyli trójką ku Wodoktom. Dzień był piękny. Słońce majowe grało na napierśniku i hełmie pana Wołodyjowskiego, tak iż gdy zdaleka migotał między wierzhami, zdawało się, że to drugie słońce posuwa się drogą.

— Ciekaw jestem, czy będę wracał z pierścieniem, czy arbuzem? — rzekł do siebie rycerz.

— Co wasza miłość mówi? — spytał pacholek Syruc.

— Głupis!

Pacholek ściągnął napowrót wtył konia, a pan Wołodyjowski mówił dalej:

— Całe szczęście, że to nie pierwszyczna.

Ta myśl dodawała mu nadzwyczajnej otuchy.

Gdy przybył do Wodoktów, panna Aleksandra

nie poznała go w pierwszej chwili, aż jej musiał nazwisko swoje powtórzyć. Wówczas powitała go uprzejmie, ale poważnie i z pewnym przymusem; on zaś wcale się zręcznie przedstawił, bo choć żołnierz, nie dworak, długo jednak na różnych dworach przebywał i między ludźmi się ocierał. Skłonił się jej więc ze czcią wielką i rękę na sercu położywszy, tak mówił:

— Przybyłem tu o zdrowie waćpanny dobrodziejki się wywiedzieć, czyli od strachu jakiego szwanku nie poniosło, co powinienbym był na drugi dzień uczynić, ale nie chciałem się naprzykrzać.

— Bardzo to pięknie ze strony waszmości, że ocaliwszy mnie z takiej toni, jeszcześ mnie w pamięci zachował... Siadaj waszmość, boś mi wdzięcznym gościem.

— Moja mościa panno! — odpowiedział pan Michał. — Gdybym ja o waćpannie zapomniał, tedy nie byłbym godny tej łaski, jaką Bóg na mnie zesłał, pozwalając mi tak godną personę sekundować.

— Nie! Jamto winna Bogu dziękować najprzód, a waszmości zaraz potem...

— Kiedy tak, to już dziękujemy oboje, bo ja o nic więcej go nie proszę, jeno żebym i nadal mógł bronić waćpanny, ile razy będzie potrzeba.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski ruszył woskowanemi wąsikami, które mu wyżej nosa sterczały, bo kontent był z siebie, że odrazu wszedł *in medias res* i swój sentyment jakoby na stole położył. Ona zaś siedziała zmieszana i milcząca, ale tak piękna, jak dzień wiosenny. Słabe rumieńce wystąpiły jej na policzki, a oczy nakryła długimi rzęsami, od których padały cienie na jagody.

— Dobry znak ta konfuzya — pomyślał pan Wołodyjowski.

I odchrząknawszy, mówił dalej:

— Waćpanna wiesz, żem ja po jej dziadku laudańskimi ludźmi dowodził?

— Wiem; — odpowiedziała Oleńka — dziaduś nieboszczyk sam na ostatnią wyprawę iść nie mógł, ale okrutnie był rad, słysząc, komu książę wojewoda wileński tę chorągiew oddał, i mówił, że zna waćpana z reputacyi jako sławnego żołnierza.

— Takżeto o mnie mówił?

— Sama słyszałam, jak waści pod niebiosa wynosił, a potem laudańscy ludzie to samo po wyprawie czynili.

— Prosty ja żołnierz, niegodzien, żeby mnie wynosili nietylko pod niebiosą, ale i wyżej od innych. Wszelako rad jestem, żem dla waćpanny nie zupełnie obcy, bo już nie pomyślisz, że ci nieznany i niepewny gość razem z deszczem ostatnim z chmur spadł. Milej to zawsze wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Siła ludzi się włości, którzy się familiantami powiadają i w godności stroją, a Bóg wie kim są, może często i nie szlachtą.

Pan Wołodyjowski umyślnie tak nakierował rozmowę, aby o sobie mógł powiedzieć, co zacz jest, jakż Oleńka zaraz odrzekła:

— Waćpana o to nikt nie posądzi, bo i tu na Litwie jest szlachta tego samego imienia.

— Ale ci się Ossoryą pieczętują, a jam jest Korczak Wołodyjowski i my się z Węgiei wywodzimy, od pewnego dworzanina Attyli, który dworzanin, ścigany będąc od nieprzyjaciół, ślub Najświętszej Pannie uczy-

nił, iż się z pogańskiej wiary na katolicką nawróci, jeśli z żywotem ujdzie. Tej obietnicy dotrzymał, gdy trzy rzeki szczęśliwie przebył, te same właśnie, które w herbie nosimy.

— To waćpan nie z tych stron rodem?

— Nie, mościa panno. Ja z Ukrainy, z ruskich Wołodyjowskich i do tej pory mam tam wioszczynę, którą teraz nieprzyjaciel zajął, ale ja wojskowo od młodu służyć, mniej dbając o substancją, niż o despekta ojczyźnie przez postronnych czynione. Służyłem od najmłodszych lat u wojewody ruskiego, naszego nieopłakanego księcia Jeremiasza, z którym też wszystkie wojny odprawowałem. Byłem i pod Machnówką i pod Konstantynowem i zbarskie wytrzymywałem głody, a po Beresteckiej sam nasz pan miłościwy za głowę mnie ścisnął. Bóg mi świadek, mościa panno, że nie przyjechałem się tu chwalić, ale chcę, byś waćpanna wiedziała, że nie łuszczybochenek żaden, który krzykiem nadrabia, a krwi żałuje, jeno że mi życie w uczciwej służbie zbiegło, w której się trochę sławy uszczknęło, a sumienia niczem nie zbrudziło. Tak mi Panie Boże dopomóż! A oprócz tego mogą to i godni ludzie poświadczyć!

— Żebyto wszyscy byli do waćpana podobni! — westchnęła panna.

— Waćpannie pewnie na myśli stoi ów gwałtownik, który na nią bezbożną rękę śmiał podnieść?

Panna Aleksandra wbiła oczy w podłogę i nie odrzekła ani słowa.

— Ma on za swoje, — mówił dalej pan Wołodyjowski — choć mi mówiono, że zdrow będzie, to jednak od kary się nie wywinie. Wszyscy zacni ludzie

go potępili i aż nadto, bo powiadają, że się z nieprzyjacielem związał, aby od niego posiłki otrzymać, co jest nieprawda, gdyż ci ludzie, z którymi waćpannę napadł, wcale nie od nieprzyjaciela pochodzą, jeno z gościńca nazbierani.

— Zkąd to waćpan wiesz? — spytała żywo panna, podnosząc na pana Wołodyjowskiego swoje niebieskie oczy.

— Od samych tych ludzi. Dziwny to człowiek, ów Kmicic, bo gdym mu sam zdradę przed pojedynkiem zadał, tedy nie zaprzeczył, chociaż niesłusznie go posądziłem. Pycha widać w nim dyabelska.

— I waćpan to mówisz wszędy, że on nie zdrajca?

— Nie mówiłem, bom sam nie wiedział, ale teraz będę mówił. Toć nie godzi się, choćby na największego wroga, takiego oszczerstwa rzucać.

Oczy panny Aleksandry spoczęły po raz wtóry na małym rycerzu z wyrazem sympatii i wdzięczności.

— Z waćpana tak zacny człowiek, tak zacny, jak rzadko!...

Pan Wołodyjowski zaczął raz poraz ruszać wąsikami z ukontentowania.

— Do rzeczy Michałku! — rzekł do siebie w myśli. Poczem głośno do panny:

— Więcej waćpannie powiem!... Sposób pana Kmicica ganię, ale nie dziwię mu się, że się dobijał o waćpannę, przy którejby sama Wenus za dziewczkę służyć mogła. Desperacyato go popchnęła do złego uczynku i pewnie raz jeszcze go popchnie, jeśli mu się sposobność nadarzy. Jakżeto przy tak nadzwyczajnej urodzie sama i bez opieki zostaniesz? Więcej jest takich Kmiciców na świecie, więcej zapałów wzbudzisz,

na więcej przygód cnotę swą narazisz. Bóg mi zesłał łaskę, iżem mógł cię uwolnić, ale już mnie trąby Gradywa wołają... Któż nad tobą będzie czuwał?... Moja mościa panno! posądzają żołnierzy o płochosć, ale niesłusznie. I u mnie serce nie ze skały i obojętne na tyle wyborynych wdzięków zostać nie mogło...

Tu pan Wołodyjowski upadł na oba kolana przed Oleńką.

— Moja mościa panno! — mówił klęcząc. — Dziedziczyłem chorągiew po twoim dziadku, dozwólże mi i wnuczkę odziedziczyć. Zdaj mnie opiekę nad sobą, dozwól pokosztować słodkości wzajemnego afektu, weź mnie za stałego opiekuna, a będziesz i spokojna i bezpieczna, bo choć odjadę na wojnę, samo imię bronić cię będzie.

Panna zerwała się z krzesła i słuchała ze zdumieniem pana Wołodyjowskiego, a on tak jeszcze mówił dalej:

— Ubogim żołnierz, alem szlachcic i człek uczciwy i na to ci przysięgam, że ni na mojej tarczy, ni na mojem sumieniu najmniejszej plamy nie znajdziesz. Grzeszę może pośpiechem, ale i to wyrozumiej, bo mnie ojczyzna woła, której dla ciebie nawet nie odstąpię... Nie pocieszyszże mnie? nie dodasz otuchy? nie rzekniesz dobrego słowa?

— Waćpan żądasz ode mnie niepodobieństwa... Na Boga! Nie może to być! — odpowiedziała ze strachem Oleńka.

— Od twojej woli zależy...

— Właśnie dlatego wręcz waćpanu odpowiadam: nie!

Tu panna zmarszczyła brwi.

— Mości panie! winnam ci wiele, nie zapieram. Żądaj, czego chcesz, wszystkom oddać gotowa, prócz ręki.

Pan Wołodyjowski wstał.

— Waćpanna mnie nie chcesz? he?

— Nie mogę!

— I to ostatnie słowo waćpanny?

— Ostatnie i nieodwołalne.

— A może jeno pośpiech waćpannie się nie podobą? Dajże mnie nadzieję!

— Nie mogę, nie mogę...

— Niemasz tedy tu dla mnie szczęścia, jako go i gdzieindziej nie było! Moja mościa panno, nie ofiarujże mi zapłaty za usługę, bom nie po nią przyjechał, a żem ręki prosił, to nie za zapłatę, jeno po dobrej woli. Gdybyś mi rzekła, że ją oddajesz, bo musisz, to takżebym nie przyjął. Jak niema woli, to niema i doli. Wzgardziłaś mną... bodaj ci się nikt gorszy nie trafił. Wychodzę z tego domu, jak i wszedłem... jeno że nie powrócę więcej. Za nic mnie tu mają. Niech i tak będzie. Bądźże szczęśliwa choćby z tym samym Kmiciem, boś może właśnie o to gniewna, żem między was szablę włożył. Kiedy on ci lepszy, toś ty istotnie nie dla mnie.

Oleńka chwyciła się rękoma za skronie i powtórzyła kilkakrotnie:

— Boże, Boże, Boże!

Ale ta jej boleść nie przejednała pana Wołodyjowskiego, który skłoniwszy się, wyszedł zły i gniewny; poczem zaraz siadł na koń i odjechał.

— Noga moja więcej tam nie postoi — rzekł głośno.

Pachołek Syruc, jadący ztyłu, przysunął się zaraz.

— Co wasza mość mówi?

— Głupiś! — odpowiedział pan Wołodyjowski.

— To już mnie wasza mość powiedział, jakeśmy w tamtą stronę jechali.

Nastało milczenie; poczem pan Michał znowu mruzczyć począł:

— Niewdzięcznością mnie tam nakarmiono... Wzgardą za afekt zapłacono... Przyjdzie chyba do śmierci w kawalerstwie służyć. Tak już napisano. Jechałże sę tak taki los!... Co rusz, to rekuza... Niemasz sprawiedliwości na tym świecie!... Co ona sobie przeciw mnie upatrzyła?

Tu pan Wołodyjowski zmarszczył brwi i począł silnie pracować głową; nagle uderzył się dłonią po nodze.

— Wiem już! — zakrzyknął — ona tamtego jeszcze miłuje... nie może inaczej być.

Ale ta uwaga nie rozjaśniła mu twarzy.

— Tem ci też gorzej dla mnie, — pomyślał po chwili — bo jeśli ona go po tem wszystkiem jeszcze miłuje, to i nie przestanie go miłować. Co miał uczynić najgorszego, to już uczynił. Na wojnę ruszy, sławy nabędzie, reputacyą poprawi... I nie przystoi mu w tem przeszkadzać... raczej trzeba dopomóc, bo to dla ojczyzny korzyść... Ot, co jest! żołnierz on dobry... Ale czem ją tak skaptował? kto zgadnie... Inni mają już takowe szczęście, że byle na niewiastę spojrzal, ta i w ogień za nim gotowa... Żeby tak wiedzieć, czem się to dzieje, albo jakowego inkluza dostać, możeby i człowiek co wskórał. Zasluga do niczego z białogłową

nie dojdiesz! Dobrze powiedział pan Zagłoba, że liszka a niewiasta to najzdradliwsze stworzenie na świecie. A taki żal mi, że wszystko przepadło! Okrutnie to gładka podwika i cnotliwa, jak powiadają. Ambitne to widać, jak lichy... Kto to wie, czy ona za niego pójdzie, chociaż go miłuje, bo ją ciężko zawiódł i obraził... Przecie on mógł spokojnie do niej dojść, a wolał się warcholić... Gotowa się całkiem wyrzec i zamążpójścia i dzieci... Mnie ciężko, ale i jej niebodze może jeszcze ciężej...

Tu pan Wołodujowski rozczulił się nad dołą Oleńki i począł głową kręcić, ustami cmokać, wreszcie rzekł:

— Niech jej tam Bóg sekunduje! Nie mam do niej urazy! Nie pierwsza to dla mnie rekuza, a dla niej pierwsza boleść. Niebożatko ledwie zipie od trosków, jeszcze jej oczy wyklół tym Kmicicem i do reszty żółcią napoił. Nie godziło mi się tego czynić i naprawić wypada. Bodaj mnie kule biły, bom pogrubijsku postąpił. Napiszę do niej list, ażeby odpuściła, a potem w czym będę mógł, to i pomogę.

Dalsze rozmyślania pana Wołodujowskiego przerwał pachołek Syruc, który przysunawszy się znów, rzekł:

— Proszę waszej mości, tożto tam na górze pan Charłamp z kimś drugim jedzie.

— Gdzie?

— A ot, tam!

— Prawda, że dwóch jeźdźców widać, ale pan Charłamp został się przy księciu wojewodzie wileńskim. Po czymże ty go z tak daleka poznajesz?

— A po bułance. Dyć ją całe wojsko zna.

— Jako żywo, że konia widać bułanego... Ale może być inny.

— Kiedy ja i chód jej poznaję... Już to pan Charłamp z pewnością.

Popędzili obaj konie, a jadący naprzeciw uczynili toż samo i wkrótce pan Wołodyjowski poznał, że to istotnie pan Charłamp nadjeżdża.

Był to porucznik piatyhorskiej chorągwi litewskiego komputu, dawny znajomy pana Wołodyjowskiego, stary żołnierz i dobry. Niegdyś wadzili się mocno z małym rycerzem, ale potem, służąc razem i wojny odbywając, polubili się wzajemnie. Pan Wołodyjowski poskoczył tedy żywo i otworzywszy ręce, wołał:

— Jakże się miewasz, Nosaczu?! Zkądżeś się tu wziął?

Towarzysz, który istotnie na przezwisko Nosacza zasługiwał, bo nos miał potężny, wpadł w objęcia pułkownika i witali się radośnie; poczem odsapnąwszy, rzekł:

— Do ciebie umyślnie przyjechał z ekspedycją i z pieniędzmi.

— Z ekspedycją i z pieniędzmi? A od kogo?

— Od księcia wojewody wileńskiego, naszego hetmana. Przysłał ci list zapowiedni, abyś zaraz zaczął zaciąg czynić i drugi dla pana Kmicica, który też się ma w tej okolicy znajdować.

— I dla pana Kmicica?... Jakże to we dwóch będziemy w jednej okolicy zaciągali?

— On ma jechać do Troków, a ty masz zostać w tej okolicy.

— Zkądżeśto wiedział, gdzie mnie szukać?

— Sam pan hetman pilnie o ciebie wypytywał, aż

mu ludzie tutejsi, którzy tam jeszcze służą, powiedzieli, gdzie cię znaleźć i ja jechałem napewno... W wielkich tam zawsze jesteś faworach!... Słyszałem księcia naszego pana, jak sam mówił, że nie spodziewał się po wojewodzie ruskim niczego odziedziczyć, a tymczasem największego rycerza odziedziczył.

— Dałby mu Bóg i szczęście wojenne odziedziczyć... Wielki to dla mnie honor, że mam zaciąg czynić i zaraz się do tego wezmę... Ludzi wojennych tu nie brak, byle było za co ich na nogi postawić. A pieniądze siła przywiozłeś?

— Jak przyjedziesz do Pacunelów, to policzysz.

— Toś i do Pacunelów już trafił? Strzeż się jeno, bo tam ładnych dziewcząt, jak maku w ogrodzie.

— Dlatego i pobyt ci tam smakował!... Czekażże, mam i drugi list prywatny hetmana do ciebie.

— To dawaj!

Pan Charłamp wyjął pismo z małą pieczęcią radziwiłłowską, a pan Wołodyjowski otworzył i zaczął czytać:

„ Mości panie pułkowniku Wołodyjowski!

„Znając szczerą waćpana służenia ojczyźnie intencją, posyłam ci list zapowiedni, abyś zaciąg czynił, i nie tak, jako się zwyczajnie czyni, ale z pilnością wielką, bo periculum in mora. Chceszli nas uradować, to niechże chorągiew na koniec lipca, najdalej na pół sierpnia, będzie już na nogach i do pochodu gotowa. Kłopotliwo nam to, z kąd waszmość koni dobrych weźmiesz, zwłaszcza, że i pieniądze posyłamy skąpo, gdyż więcej na panu podskar bim, po staremu nam nieprzyjaznym, nie mogliśmy wydebić. Połowę z tych pieniędzy panu Kmicicowi j. m. p. oddaj, dla którego pan Charłamp także

list zapowiedni wiezie. Spodziewamy się po nim, iż gorliwie nam w tem usłuży. Ale że uszu naszych doszła wieść o jego swawolach w Upickiem, tedy najlepiej waćpan list dla niego przeznaczony od Charłampa odbierz i sam uznaj, czy mu go oddać. Jeślibyś uważał zbyt nie na nim gravamina, hańbę czyniące, tedy nie oddawaj: obawiamy się bowiem. aby nieprzyjaciele nasi, jako pan podskárbi i pan wojewoda witebski, krzyków nie podnieśli, że podobne funkcyje niegodnym osobom powierzamy. Gdybyś jednak uznawszy, że tam nic wielkiego niema list oddał, niechże się Kmicic stara największą w służbie usilnością winy swe zmazać, a na żadne terminy w sądach nie staje, bo on do naszej hetmańskiej należy inkwizycyi i my go sądzić będziemy, nikt inny, ale po funkcyi spełnionej. Polecenie to nasze uważaj wmość zarazem za dowód zaufania, jakie w rozumie i wiernych służbach wmości pokładamy.

Janusz Radziwiłł,

Książę na Bierzach i Dubinkach, Wojewoda Wileński.

— Okrutnie się tam pan hetman o konie dla ciebie troszczy — rzekł pan Charłamp, gdy mały rycerz skończył czytać.

— Pewnie, że o konie będzie trudno — odpowiedział pan Wołodyjowski. — Tutejszej małej szlachty siła stanie na pierwszy odgłos, ale oni jeno mierzyny żmudzkie mają, niebardzo do służby zdatne. Na dobrą sprawę trzebaby im wszystkim dać inne.

— To dobre konie, znam ja je zdawna, okrutnie wytrwałe i zwrotne.

— Ba! — rzekł pan Wołodyjowski — ale urody małej a lud tutejszy rosły. Jak ci na takich koniach w szyku staną, to rzekłbyś: chorągiew na psach siedzi.

Ot, kłopot!... Wezmę ja się gorliwie do roboty, bo i samemu mi pilno. Zostawże mnie list zapowiedni do Kmicica, jako pan hetman nakazuje, sam mu go oddam. Bardzo mu w porę przyszedł.

— A czemu?

— Bo tu tatarską modą sobie poczynął i panny w jasyr brał. Tyle nad nim procesów i terminów, ile ma włosów na głowie. Niemasz tygodnia, jak się z nim w szable biłem.

— E! — rzekł Charłamp — jeśliś ty się z nim w szable bił, to on teraz leży.

— Ale już się ma lepiej. Za jaki tydzień, dwa, zdrow będzie. Co tam słyhać *de publicis*?

— Żle, postaremu... Pan podskarbi Gosiewski zawsze z naszym księciem w emulacyi, a jak hetmani niezgodni, to i sprawy ładem nie idą. Przecie trochęmy się poprawili, i tak myślę, że byle zgody, to sobie z tym nieprzyjacielem rady damy. Bóg pozwoli, że jeszcze na ich karkach pojedziemy aż do ich państwa. Wszystkiemu winien pan podskarbi!

— A inni powiadają, że właśnie hetman wielki.

— To zdrajcy. Wojewoda witebski to tak powiada, bo oni się zdawna z panem podskarbibym powąchali.

— Wojewoda witebski zacny obywatel.

— Zali i ty po sapieżyńskiej stronie przeciw Radziwiłłom stoisz?

— Ja stoję po stronie ojczyzny, po której wszyscy stać powinni. W tem to i zło, że się nawet i żołnierze na strony dzielim, zamiast bić. A że Sapieha zacny obywatel, tobym i przy samym księciu powiedział, chociaż pod nim służę.

— Próbowali ludzie godni zgodę czynić, ale to na

nic! — rzekł Charłamp. — Okrutnie teraz posłańcy od króla do naszego księcia latają. . . Mówią, że coś się tam nowego na świecie kluje. Spodziewaliśmy się pospolitego ruszenia z królem jegomością — nie przyszło! Powiadają, że gdzieindziej może być potrzebne.

— Chyba na Ukrainę.

— Bo ja wiem! Jeno raz Brochwicz porucznik powiadał, co na własne uszy słyszał. Przyjechał od króla Tyzenhauz do naszego hetmana i coś tam, zamknąwszy się, długo z sobą gadali, czego Brochwicz nie mógł ułoić, ale gdy wychodzili, tedy na własne uszy, powtarzam, słyszał, jak pan hetman mówił: „Z tego może być nowa wojna“. Okrutnieśmy tam wszyscy w głowę zachodzili, co to mogło znaczyć.

— Pewnie się przesłyszał! Z kimżeby nowa wojna? Cesarz lepiej nam teraz życzy, niż naszym nieprzyjaciołom, jako że wypada mu za politycznym narodem się ujmować. Ze Szwedem rozejm jeszcze nie wyszedł i do sześciu lat nie wyjdzie, a Tatarowie nam na Ukrainie pomagają, czego by bez woli Turczyna nie czynili.

— Nie mogliśmy też i my niczego dociec!

— Bo i nic nie było. Ale ja chwałę Boga, że mam nową robotę. Już mi się i tęskno czyniło za wojną.

— To ty chcesz sam list zapowiedni Kmicicowi zawieźć.

• — Przeciem ci mówił, że pan hetman tak nakazuje. Wypadnie mi Kmicica odwiedzić, jako kawalerski jest zwyczaj, a mając list, będę miał lepsze jeszcze zamówienie. Czy mu list oddam, to inna rzecz; namyśle się, bo to woli mojej zostawiono.

— Mnie to i na rękę, ile że mi w drogę pilno. Mam i trzecie zapowiednie pismo do pana Stankiewicza;

potem do Kiejdan kazano mi jechać, armatę, która tam przyjdzie, odebrać; potem do Birż obaczyć, czy wszystko gotowe w zamku do obrony.

— I do Birż?

— Tak jest.

— To mi i dziwno. Żadnych nowych wiktoryj nieprzyjaciel nie otrzymał, więc mu i do Birż, na kurlandzką granicę daleko. A że, jako widzę, nowe chorągwie stawiają na nogi, więc będzie komu bronić nawet i tych krajów, które już pod moc nieprzyjacielską wpadły. Kurlandczycy przecie o wojnie z nami nie myślą. Dobrzy to żołnierze, ale ich mało i sam tylko Radziwiłł mógłby ich jedną ręką przydusić.

— I mnie to dziwno — odpowiedział Charłamp — tem bardziej, że mi także pośpiech zalecono i taką dano instrukcją, iżbym, jeśli co znajdę nie w porządku, zaraz księciu Bogusławowi dawał znać, który Petersona inżyniera ma przysłać.

— Coby to mogło być?! Oby się tylko na jaką wojnę domową nie zanosilo. Niechże nas Bóg od tego strzeże! Już jak tam tylko książę Bogusław do roboty wchodzi, to dyabłu będzie z tego uciecha.

— Nie mów na niego nic. To mężny pan!

— Nie neguję ja mu męstwa, ale więcej w nim Niemca, czyli jakowegoś Francuza, niż Polaka... I o Rzeczpospolitą zgoła nie dba, jeno o dom Radziwiłłowski, żeby to go jak najwyżej wynieść, a wszystkich innych poniżyć. Onto i w księciu wojewodzie wileńskim, naszym hetmanie, pychę podnieca, której mu i bez tego nie brak i owe kłótnie z Sapiehami i Gosiewskim, jego to sadzenia drzewa i frukta.

-- Wielki z ciebie, jak widzę, statysta. Powinie-

neś się, Michałku, coprędzej ożenić, żeby taki rozum nie przepadł.

Wołodyjowski spojrział przeciągle na towarzysza.

— Ożenić?... Hę?

— Juści! A może ty tu gdzie w konkury jeździsz, boś widzę strojny, jak na paradę.

— Dałbyś spokój!

— Ej, przyznaj się...

— Każdy niech swoje arbuzy zjada, a ty o cudze nie pytaj, boś też niejednego dostał. Właśnie też czas teraz o ożenku myśleć, gdy mam zaciąg na głowie.

— A będziesz na lipiec gotowy?

— Na koniec lipca będę, choćbym miał konie zpod ziemi wykopać. Bogu dziękuję, że mi ta robota przyszła, bo inaczej byłaby mnie melankolia zjadła.

Jakoż wieści od hetmana i widoki pracy ciężkiej wielką sprawiły panu Wołodyjowskiemu ulgę i nim dojechali do Pacunelów, prawie nie myślał już o konfuzji, jaka go przed godziną spotkała. Wieść o liście zapowiednim szybko się rozleciała po całym zaścianku. Przyszła zaraz szlachta pytać czy prawda, a gdy pan Wołodyjowski potwierdził, wielkie to uczyniło wrażenie. Ochota była powszechna, lubo turbowali się niektórzy, że to w końcu lipca, przed żniwami, trzeba będzie wyruszyć. Pan Wołodyjowski rozesłał też gońców i do innych okolic, i do Upity, i do znaczniejszych domów szlacheckich. Wieczorem przyjechało kilkunastu Butrymów, Stakjanów i Domaszewiczów.

Dopieroż poczęto się zachęcać wzajem i coraz większą okazywać ochotę i odgrażać się na nieprzyjaciół i zwycięstwa sobie obiecywać. Jedni tylko Butrymowie milczeli, ale im tego za złe nie brano, bo wiadomo było,

że jak jeden człowiek staną. Nazajutrz zawrzało we wszystkich zaściankach, jak w ulach. Ludzie nie gadali już o panu Kmicicu, ni o pannie Aleksandrze, tylko o przyszłej wyprawie. Pan Wołodyjowski z serca także odpuścił Oleńce rekuzę, pocieszając się przytem myślą, że to nie ostatnia, jako i afekt nie ostatni. Tymczasem namyślał się trochę, co ma z listem dla Kmicica uczynić.

ROZDZIAŁ IX.

Zaczęły się tedy dla pana Wołodyjowskiego czasy ciężkiej pracy, rozpisywania listów i rozjazdów. Następnego tygodnia przeniósł się już na rezydencją do Upity i tam zaciąg rozpoczął. Sypała się do niego szlachta chętnie, większa i mniejsza, bo sławę miał głośną. Szczególnie jednak szli laudańscy, którym konie trzeba było obmyślać. Kręcił się też pan Wołodyjowski, jak w ukropie, ale że był obrotny i trudów nie żałował, szło mu dość sporo. W tymże czasie odwiedził i pana Kmicica w Lubiczu, który znacznie już do zdrowia przyszedł i chociaż z łóżka jeszcze nie wstawał, wiadomo już było, że zdrow będzie. Widocznie, o ile pan Wołodyjowski miał szablę ciężką, o tyle rękę lekką.

Poznał go pan Kmicic natychmiast i przybladł trochę na jego widok. Ręką nawet mimowoli do szabli wiszącej nad łóżem sięgnął, ale ochłonawszy, widząc uśmiech na twarzy gościa, wyciągnął ku niemu wychudłą dłoń i rzekł:

— Dziękuję waszmości za odwiedzinę. Godna to takiego kawalera polityka.

— Przyjechałem spytać, czy waść urazy do mnie nie chowasz? — spytał pan Michał.

— Urazy nie chowam, bo mnie nie lada kto zwyciężył, ale gracz pierwszej wody. Ledwie, żem się wyliżał.

— A jakże zdrowie waszmościne ?

— Waćpanu dziw pewno, żem zpod jego ręki żyw wyszedł? Sam też sobie przyznaję, że niemała to sztuka.

Tu pan Kmicic uśmiechnął się:

— No, nie stracona sprawa. Dokończysz mnie, kiedy zechcesz!

— Wcale nie w tym zamiarze tu przyjechałem. . .

— Chybaś waszmość dyabeł — przerwał Kmicic — albo masz inkluzę. Bóg widzi, daleko mi teraz do samochwalstwa, bo z tamtego świata wracam, alem to sobie przed spotkaniem waćpana zawsze myślał: jeżeli nie pierwszy w Rzeczypospolitej na szable, tom drugi. Tymczasem — niesłychana rzecz! Toż jabym pierwszego cięcia nie odbił, gdybyś waćpan chciał. Powiedz mi, gdzie się tak wyuczył?

— Miało się trochę przyrodzonych zdolności — odrzekł pan Michał i ojciec od małego wkładał, który nieraz mi mówił: „Dał ci Bóg niekzemną postać, jeśli się ludzie nie będą ciebie bali, to się będą z ciebie śmieli“. Potem też u wojewody ruskiego w chorągwi służąc, douczyłem się reszty. Było tam kilku mężów, którzy śmiało mogli mi stawić czoło.

— Aza mogli być tacy.

— Mogli, bo byli. Był pan Podbipięta, Litwin, wielki familiant, który w Zbarażu poległ. Panie świeć nad jego duszą! człek tak olbrzymiej siły, że mu się niepodobna było zastawić, bo mógł przeciąć zastawę i przeciwnika. Potem był jeszcze i Skrzetuski, przyja-

ciel mój serdeczny i konfident, o którym waść musia-
łeś słyszeć.

— Jakże! Onto ze Zbaraża wyszedł i przez Ko-
zaków się przedarł. Kto o nim nie słyszał!... To
waść z takiej sfory? i zbaraszczyk?... Czołem! Czo-
łem! Czekażże!.. przecie i ja o waćpanu u wojewody
wileńskiego słyszałem. Wszak waszmości Michał na imię?

— Właściwie, to ja jestem Jerzy Michał, ale że
święty Michał całemu komunikowi niebieskiemu prze-
wodzi, i tyle już nad piekielnemi chorągwiemi odniósł
wiktoryj, przeto jego wolę mieć za patrona.

— Pewnie, że Jerzemu nie równać się z Micha-
łem. Tośto waćpan ten sam Wołodyjowski, o którym
powiadano, że Bohuna usieknął?

— Jam jest.

— No, od takiego nie żał po łbie dostać. Dałby
Bóg, żebyśmy przyjaciółmi mogli zostać. Waćpanto
mnie wprawdzie zdrajcą okrzyknąłeś, aleś się w tem
pomylił.

To rzekłszy, pan Kmicic ściągnął brwi, jakby go
rana nanowo zabolęła.

— Przyznaję, że się pomylił, — odrzekł pan
Wołodyjowski — ale nie od waćpana o tem dopiero
się dowiaduję, bo mi to już ludzie twoi powiadali. I wiedz
waszmość o tem, że inaczej nie byłbym tu przyjeżdżał.

— Już ostrzyli, bo ostrzyli tu na mnie języki! —
mówił z goryczą Kmicic. — Niech będzie co chce. Nie-
jedna jest kreska na mnie, przyznaję, ale też i w tej
okolicy ludzie niewdzięcznie mię przyjęli...

— Waść sobie najwięcej zaszкодziłeś tem spale-
niem Wołmontowicz i ostatnim raptem.

— To też mnie procesami gnębią. Leżą już u mnie

terminy do sądów. Choremu przyjść do zdrowia nie dadzą. Spaliłem Wołmontowicze, prawda, i ludzi coś się wysiekło; niechże mnie jednak Bóg sędzi, jeśli to ze swawoli uczynił. Tej samej nocy, przed spaleniem ślub sobie zrobiłem, żyć ze wszystkimi w zgodzie, zjednać sobie owych tutejszych szaraczków, załagodzić nawet łyczków w Upicie, bo tam istotnie podswawoliłem. Wracam tedy do domu i cóż zastaję? Oto moich kompanionów porzniętych jak woły, leżących pod ścianą! Gdym się dowiedział, że to Butrymowie uczynili, wtedy dyabeł we mnie wstąpił... i zemściłem się srogo... Czy waśc uwierzy, za co ich porznięto?... Sam się o tem później dowiedziałem od jednego z Butrymów, którego w lasach napadłem: oto za to, że potańcować w karczynie z szlachciankami chcieli... Ktoby się nie mścił?

— Mój mości panie! — odpowiedział Wołodyszowski — prawda, że za ostro postąpiono z waćpana kompanami, ale czy to ich szlachta pobiła? Nie! Pobiła ich dawniejsza reputacya, jaką tu ze sobą gotową przywieźli, bo żeby tak grzecznym jakim żołnierzom zachciało się potańcować, pewnieby ich za to nie sieczono.

— Niebożęta! — mówił Kmicic, idąc za swoją myślą — gdym teraz oto w gorączce leżał, co wieczora wchodzili temi oto drzwiami, z tamtej oto izby... Widziałem ich koło łoża, jako na jawie, sinych, zbitych, a ciągle jęczeli: „Jędrus! daj na mszę za nasze dusze, bo męki cierpimy!“ To, mówię waści, włosy mi na głowie powstawały, bo i siarką od nich w izbie pachniało... Na mszę już dałem, oby im to co pomogło!

Nastała chwila milczenia.

— A co do raptu, — mówił dalej Kmicic — waćpanu o tem nikt nie mógł powiedzieć, że ona ocalała

mi wprowadzie życie, gdy mnie szlachta ścigała, ale potem kazała iść precz i nie pokazywać się na oczy. Co mi wówczas pozostało?!

— Zawsze to tatarski był sposób.

— Chyba waćpan nie wiesz, co jest afekt, i do jakiej desperacji człowiek przyjść może, gdy to, co najwięcej umiłował, utraci.

— Ja nie wiem co jest afekt? — zakrzyknął z oburzeniem pan Wołodyjowski. — Od czasu jak szablę począłem nosić, zawsze byłem zakochany... Prawda, że się subiectum zmieniało, bo nigdy mi wzajemnością nie wypłacono. Gdyby nie to, nie byłoby wniejszego nademnie Troila.

— Jaki tam i afekt, gdy się subiectum zmienia — rzekł Kmicic.

— Tedy waści powiem co innego, na co własnymi oczyma patrzyłem. Oto pierwszego czasu Chmielniczyny, Bohun, ten sam, który dziś po Chmielnickim największą cieszy się między Kozactwem powagą, porwał Skrzetuskiemu umiłowaną nad wszystko dziewczkę, kniaziównę Kurcewiczównę. To był dopiero afekt! Całe wojsko płakało, widząc Skrzetuskiego desperacją, bo mu broda w dwudziestym którymś roku życia zbiałała, a on zgadnij waść co uczynił?

— Zkąd mam wiedzieć!

— Oto, że ojczyzna była w potrzebie, w poniżeniu, że okrutny Chmielnicki tryumfował, więc on wcale nie poszedł dziewczki szukać. Bolesć Bogu ofiarował i bił się we wszystkich bitwach pod księciem Jeremim, aż pod Zbarażem tak nadzwyczajną chwałą się okrył, że dziś imię jego wszyscy ze czcią powtarzają. Przyłóżże waćpan teraz jego uczynek do swojego i poznaj różnicę.

Kmicie milczał i gryzł wąsy, Wołodyjowski mówił dalej:

— To też Skrzetuskiego Bóg wynagrodził i dziewczkę mu oddał. Zaraz po Zbarażu się pobrali i już troje dzieci spłodzili, chociaż on służyć nie przestał. A waszmość, zamieszki czyniąc, pomagałeś tem samem nieprzyjacielowi i małość żywota nie utracił, nie mówiąc o tem, że przed paru dniami mogłeś pannę na zawsze utracić.

— Jakim sposobem?— rzekł, siadając na łóżku Kmicie — co się z nią działo?

— Nic się nie działo, jeno znalazł się mąż, który ją o rękę prosił i za żonę chciał pojąć.

Kmicie pobladł bardzo, zapadnięte jego oczy poczęły ciskać płomienie. Chciał wstać, zerwał się nawet na chwilę i krzyknął:

— Kto był ten wraży syn? Na żywy Bóg, mów waszmość!

— Ja — rzekł pan Wołodyjowski.

— Waćpan? waćpan? — pytał ze zdumieniem Kmicie. — Jakto?...

— Tak jest.

— Zdrajco! nie ujdzie ci to!... I ona?... na żywy Bóg, mów już wszystko!... ona cię przyjęła?

— Odpaliła z miejsca i bez namysłu.

Nastała chwila milczenia. Kmicie oddychał ciężko i oczyma wpijał się w Wołodyjowskiego, ten zaś rzekł:

— Czemuto mnie zdrajcą nazywasz? Zalim ci brat, albo swat? Zalim ci wiarę złamał? Zwyciężyłem cię w boju i mogłem czynić, co mi się podobało.

— Postaremu jedenby z nas to krwią zapieczę-

tował. Nie szablą, to z rusznicybym waćpana ustrze-
lił i niechby mnie dyabli potem wzięli.

— Chybabys mnie z rusznicy zastrzelił, bo gdyby
mnie nie była odpaliła, tobym i pojedynku drugiego
nie przyjął. Poco miałbym się bić? A wiesz czemu
mnie odpaliła?

— Czemu? — powtórzył jak echo Kmicic.

— Bo ciebie miłuje.

Było to więcej, niż słabe siły chorego znieść mogły.
Głowa Kmicica opadła na poduszki, na czoło wystą-
pił mu pot obfity i leżał czas jakiś w milczeniu.

— Okropnie mi słabo — rzekł po chwili. —
Zkądże... to waść wiesz, że ona... mnie miłuje?

— Bo mam oczy i patrzę, bo mam rozum i miar-
kuję; teraz zwłaszcza, gdym rekuzę dostał, zaraz mi
się w głowie rozjaśniło. Najprzód tedy, gdym po po-
jedynku przyszedł jej powiedzieć, że jest wolna, bom
waćpana usieknął, wnet ją zamoczyło i zamiast wdzię-
czność mi okazać, całkiem mnie sposponowała; po-
wtóre: gdy cię tu Domaszewicze dzwigali, to ci głowę,
jak matka unosiła, a potrzecie, że gdym się jej oświad-
czył, tak mnie przyjęła, jakoby mi kto w pysk dał.
Jeśli te racye waćpanu nie wystarczają, to chyba dla-
tego, żeś przez rozum zacięty i na umyśle szwanku-
jesz.

— Gdyby to była prawda! — odrzekł słabym
głosem Kmicic — tedy mi tu różne maści na rany
przykładają... ale nie byłoby lepszego balsamu od
słów waszmości.

— Zdrajcaże ci to taki balsam przykładają?

— Przebacz już waść. W głowie mi się takie
szczęście nie mieści, żeby ona mnie jeszcze chciała.

— Powiedziałem, że waćpana miłuje, nie powiedziałem, że cię zechce... To weale co innego.

— Jeśli mnie nie zechce, to sobie ten łeb o ścianę rozbije. Inaczej być nie może.

— Mogłoby być, gdybyś waćpan miał szczerą intencją zmazania win. Teraz wojna, możesz iść, możesz posługi znaczne miłej ojczyźnie oddać, męstwem się wślawić, reputacją połatać. Któżto jest bez grzechu? Kto nie ma win na sumieniu? Każdy ma... Ale do pokuty i poprawy każdemu otwarta droga. Wać grzeszyłeś swawolą, to jej odtąd unikaj; grzeszyłeś przeciw ojczyźnie, zamieszki w czasie wojennym czyniąc, to ją teraz ratuj; czyniłeś krzywdy ludziom, to je nagródź... Ot, droga dla waszmości lepsza i pewniejsza, niż rozbijanie sobie łba.

Kmicic patrzył uważnie na Wołodyjowskiego, potem rzekł:

— Waćpan mówisz, jak mój szczerzy przyjaciel.

— Nie jestem waćpana przyjacielem, ale po prawdzie nie jestem i nieprzyjacielem, a tej panny mnie żal, chociaż mnie odpaliła, bom jej też słowo ostre rzekł na odjezdnem. Od rekuzy się nie powieszę, nie pierwszyczna mi, a uraz nie zwykłem chować. Jeżeli więc waćpana na dobrą drogę namówię, to będzie także moja względem ojczyzny zasługa, boś żołnierz dobry i doświadczony.

— Zali mnie czas jeszcze na tę drogę wracać? Tyle terminów na mnie czeka! Z łoża trzeba do sądu zaraz... Chybabym ztąd uciekał, a tego nie chcę. Tyle terminów! A co sprawa, to i wyrok pewny na potępienie.

— Ot, tu jest na to lekarstwo! — rzekł pan Wołodyjowski, wydobywając list zapowiedni.

— List zapowiedni! — wykrzyknął Kmicic — dla kogo?

— Dla waćpana! Nie potrzebujesz do żadnych sądów stawać, bo do hetmańskiej inkwizycyi należysz; słuchaj zaś, co książę wojewoda mi pisze.

Tu pan Wołodyjowski odczytał Kmicicowi prywatny list Radziwiłła, odetchnął, ruszył wąsikami i rzekł:

— Owóż, jak waćpan widzisz, ode mnie zależy, albo ci list zapowiedni oddać, albo go schować.

Niepewność, trwoga i nadzieja odbiły się na twarzy Kmicica.

— A waćpan co uczynisz? — spytał cichym głosem.

— A ja waszmości list oddaję — rzekł pan Wołodyjowski.

Kmicic nie zrazu nie odrzekł, głowę spuścił na poduszki i patrzył czas jakiś w pułap. Nagle oczy poczęły mu wilgotnieć i goście nieznani w tych oczach, łzy, zawisły na rzęsach.

— Niechże mnie końmi rozerwą! — rzekł wreszcie — niech mnie ze skóry obłuszczą, jeśli ja widział zacniejszego człowieka od waszmości... Jeśliś przeze mnie rekuzę dostał, jeśli mnie Oleńka, jak powiadasz, miłuje, inny tem bardziejby się mścił, tem głębiej mnie pograżył... A waszmość mi rękę podajesz i jako z grobu mię wyciągasz!

— Bo nie chcę dla prywaty, ojezyny miłej poświęcać, której waszmość znaczne jeszcze posługi możesz oddać. Ale to waszmości powiem, że gdybyś był owych Kozaków od Trubeckiego albo Chowańskiego pożyczył, tedybym list zatrzymał. Całe to szczęście, żeś tego nie uczynił!

— Przykład, przykład z waćpana innym brać! — odrzekł Kmicie. — Dajże mi rękę. Bóg mi pozwoli czem dobrem się waszmości wypłacić, boś mnie na śmierć i życie zobowiązał.

— To i dobrze, potem o tem! A teraz... uszy waszmość do góry! Nie trzeba ci do żadnych sądów stawać, jeno do roboty się brać. Zasłużysz się ojczyźnie, to ci i ta szlachta odpuści, bo to ludzie na honor ojczyzny bardzo czuli... Możesz jeszcze winy zmasać, reputacją odzyskać i w sławie, jak w słońcu chodzić, a już tam znam jedną pannę, która ci nagrodę za życia obmyśli.

— E! — zakrzyknął z uniesieniem Kmicie — co ja tu będę w łożu gnił, gdy nieprzyjaciel ojczyznę depcze. Hej! jest tam który? sam tu! pacholek, bóty podawaj!... Sam tu! Niechże mnie piorun w tych betach ustrzeli, jeśli będę dłużej w nich parciał!

Uśmiechnął się na to z zadowoleniem pan Wołodyjowski i rzekł:

— Duch w waści od ciała silniejszy, bo ciało jeszcze ci nie dopisze.

To rzekłszy, począł żegnać się, a Kmicie nie puszczał, dziękował i winem chciał traktować.

Jakoż dobrze już miało się ku wieczorowi, gdy mały rycerz opuścił Lubicz i do Wodoktów podążył.

— Najlepiej ją za ostre słowo nagrodzę, — mówił sam do siebie — gdy jej powiem, że Kmicie nie tylko z łoża, ale i z niesławy powstaje... Nie doszczętu to jeszcze zepsuty człowiek, jeno gorączka wielki. Okrutnie ją też pocieszę, i tak myślę, że mnie teraz lepiej przyjmie, niż wtedy, gdy mój samego siebie ofiarowałem...

Tu westchnął poczciwy pan Michał i mruknął:

— Żeby to wiedzieć, czy jest jaka na świecie i dla mnie przeznaczona?

Wśród podobnych rozmyślań dojechał do Wodków. Kudłaty Żmudzin wybiegł do kołowrotu, ale nie śpieszył się otwierać, jeno rzekł:

— Dziedziczki niemasz w domu.

— To wyjechała?

— A wyjechała.

— Gdzie?

— Kto ją wie!

— A kiedy wróci?

— Kto ją wie!

— Gadajże poludzku. Nie mówiła kiedy wróci?

— Bogdaj wcale nie wróci, bo z wozami wyjechała i z tobołami. Z tego miarkuję, że daleko i na długo.

— Tak? — mruknął pan Michał. — Ot! com najlepszego sprawił!...

ROZDZIAŁ X.

Zwyczajnie, gdy cieplejsze promienie słońca poczynają przedzierać się przez zimową chmur oponę i gdy pierwsze pędy ukazują się na drzewach, a zielona ruń zbóż kiełkuje na wilgotnych polach, wstępuje i lepsza nadzieja w serca ludzkie. Ale wiosna 1655 roku nie przyniosła zwykłej pociechy dla strapionych w Rzeczypospolitej ludzi. Cała jej wschodnia granica, od północy aż po dzikie pola na południu, była opasana jakby wstęgą ognistą i wiosenne ulewy nie mogły pogasić pożaru, owszem wstęga owa stawała się coraz szerszą i coraz rozleglejsze zajmowała kraje. A oprócz tego na niebie pojawiły się znaki złej wróżby, zwiastujące większe jeszcze klęski i nieszczęścia. Raz wraz z chmur, przelatujących niebiosa, tworzyły się jakoby wieże wysokie, jakoby flanki forteczne, które następnie zawałyły się z łoskotem. Pioruny biły w ziemię, jeszcze śniegiem pokrytą, lasy sosnowe żółkły, a gałęzie drzew skręcały się w dziwne, chorobliwe kształty; zwierzęta i ptaki padały od jakiejś nieznaney choroby. Nakoniec dostrzeżono i na słońcu plamy niezwyčajne, mające kształt ręki jabłko trzymającej, serca przebitego i krzyża. Umysły trwożyły się coraz bardziej, a zakonnicy gubili

się w dociekaniach, coby owe znaki mogły znaczyć. Dziwna jakaś niespokojność ogarniała wszystkie serca.

Przepowiadano nowe wojny i nagle, Bóg wie zkąd, złowroga wieść poczęła krążyć z ust do ust po wsiach i miastach, że od strony Szwedów zbliżała się nawałnica. Napozór nic nie zdawało się potwierdzać tej wieści, gdyż rozejm ze Szwecją zawarty, miał jeszcze na sześć lat siłę, a jednak mówiono o niebezpieczeństwie wojny i na sejmie, który król Jan Kazimierz złożył 19 Maja w Warszawie.

Coraz więcej niespokojnych oczu zwracało się ku Wielkopolsce, na którą burza najpierwej mogła się zważyć. Leszczyński, wojewoda łęczycki i Naruszewicz, pisarz polny litewski, wyjechali w poselstwie do Szwecyi; ale wyjazd ich, zamiast uspokoić strwożonych, rozniecił większy jeszcze niepokój.

„Legacya ta wojną pachnie“ — pisał Janusz Radziwiłł.

„Gdyby nawała nie groziła z tamtej strony pocóżby ich wysyłano? — mówili inni. — Wszakże ledwie wrócił ze Sztokholmu poprzedni poseł Kanazył; ale widać to jasno, że nic nie sprawił, skoro zaraz po nim tak poważnych wysłano senatorów“.

Wszelako rozsądniejsi ludzie nie wierzyli jeszcze w możliwość wojny.

„Żadnej — twierdzili — Rzeczpospolita nie dała przyczyny, a rozejm trwa w całej sile. Jakżebyto podeptano przysięgi, zgwałcono najświętsze umowy i napađnięto pozbójceku bezpiecznego sąsiada? Szwecya przytem pamięta jeszcze rany, polską szablą zadane pod Kircholmem, Puckiem i Trzecianną! Wszakże to i Gustaw Adolf, który w całej Europie nie znalazł przeci-

wnika, uległ kilkakroć panu Koniecpolskiemu. Nie będą Szwedzi tak wielkiej sławy wojennej w świecie nabytej, na niepewny hazard wystawiać z przeciwnikiem, któremu nigdy w polu dostać nie mogli. Prawda, że i wojną wyczerpana i osłabiona jest Rzeczpospolita; ale samych Prus i samej Wielkopolski, która w wojnach ostatnich wcale nie ucierpiała, wystarczy ten głodny naród przepędzić i za morza do bezpłodnych skał odeprzeć. Nie będzie wojny!“

Na to odpowiadali znów trwożliwi, że jeszcze przed sejmem warszawskim radzono już z namowy króla na sejmiku w Grodnie o obronie pasów granicznych wielkopolskich, że rozpisywano podatki i żołnierza, czegooby przecie nie czyniono, gdyby niebezpieczeństwo nie było bliskie.

I tak chwiały się umysły pomiędzy obawą a nadzieją, ciężka niepewność przygniatała dusze ludzkie, gdy nagle położył jej koniec uniwersał Bogusława Leszczyńskiego, jenerała wielkopolskiego, zwołującego pospolite ruszenie szlachty województw poznańskiego i kaliskiego dla obrony granic od grożącej nawały szwedzkiej...

Wszelka wątpliwość znikła. Okrzyk: „Wojna!“ rozległ się po całej Wielkopolsce i wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej.

Była to nietylko wojna, ale nowa wojna. Chmielnicki wspomagany przez Buturlina, srożył się na południu i wschodzie; Chowański i Trubecki na północy i wschodzie, Szwed zbliżał się z zachodu! Ognista wstęga zmieniała się w koło ogniste.

Kraj był jak obóz obleżony.

A w obozie źle się działo. Jeden już zdrajca, Ra-

dziejowski, uciekł z niego i był w namiocie napastników. Onto prowadził ich na łup gotowy, on wskazywał słabe strony, on miał kusić załogę. A oprócz tego nie brakło ni niechęci, ni zawiści; nie brakło magnatów między sobą zwaśnionych lub za odmówione urzędy na króla krzywych i w każdej chwili sprawę publiczną dla swej prywaty poświęcić gotowych; nie brakło dysydentów, pragnących tryumf swój choćby na grobie ojczyzny uświęcić; a jeszcze więcej było swawolników i ospałych i leniwych i w sobie samych, we własnych wczasach i dostatkach, zakochanych.

Jednakże zasobna i wojną dotąd niepoterana kraina wielkopolska nie żałowała przynajmniej pieniędzy na obronę. Miasta i wsie szlacheckie dostarczyły piechotnego żołnierza tyle, ile go rozpisano i zanim szlachta ruszyła własnymi osobami do obozu, ciągnęły już tam pstre pułki łanowej piechoty, pod wodzą rotmistrzów, przez sejmik wyznaczonych z ludzi, w rzemiośle wojennem doświadczonych.

Wiódł więc pan Stanisław Dębiński łanowców poznańskich, pan Władysław Włostowski kościańskich, a pan Golc, sławny żołnierz i inżynier, wałęckich. Nad kaliskimi chłopcy dzierżył rotmistrzowską buławę pan Stanisław Skrzetuski, z rodu dzielnych wojowników, stryjeczny Jana, słynnego zbaraszczyka. Pan Kacper Żychliński prowadził konińskich młynarzy i sołtysów. Zpod Pызdrów ciągnął pan Stanisław Jaraczewski, który młodość w cudzoziemskich wojnach spędził; zpod Kcyni pan Piotr Skoraszewski, a pan Kościecki zpod Nakła. Nikt jednak w doświadczeniu wojennem nie mógł wyrównać panu Władysławowi Skoraszewskiemu,

którego głosu nawet sam generał wielkopolski i wojewodowie słuchali.

W trzech miejscach: pod Piłą, Ujściem i Wieluniem zalegli rotmistrzowie pasy nadnoteckie, czekając na przybycie szlachty, na pospolite ruszenie zwołanej. Piechurowie sypali szańce od rana do wieczora, ustawicznie oglądając się za siebie, czy pożądana konnica nie nadciąga.

Tymczasem nadjechał pierwszy z dygnitarzy, pan Andrzej Grudziński, wojewoda kaliski i stanął w domu burmistrza z licznym poczem sług, przybranych w białe i błękitne barwy. Spodziewał się, że wnet otoczy go szlachta kaliska, gdy jednak nikt się nie zjawiał, posłał po rotmistrza, pana Stanisława Skrzetuskiego, zajętego sypaniem szanczyków nad rzeką.

— A gdzie moi ludzie? — pytał po pierwszych powitaniach rotmistrza, którego znał od dziecka.

— Jacy ludzie? — rzekł pan Skrzetuski.

— A pospolite ruszenie kaliskie?

Pół pogardliwy, pół bolesny uśmiech pojawił się na czarniawej twarzy żołnierza.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — rzekł — przecie to czas strzyży owiec, a za złe umytą wełnę nie chcą w Gdańsku płacić. Każdy teraz jegomość nad stawem przy myciu, albo nad wagą stoi, słusznie mniemając, że Szwedzi nie uciekną.

— Jakżeto? — odparł zafrasowany wojewoda — niemasz jeszcze nikogo?

— Żywego ducha, prócz piechoty łanowej... A potem żniwa bliskie. Dobry gospodarz z domu nie wyjeżdża w takim czasie!

— Co mi waćpan prawisz?

— A Szwedzi nie uciekną, jeno jeszcze bliżej przyjdą — powtórzył rotmistrz.

Dziobata twarz wojewody poczerwieniała nagle.

— Co mi Szwedzi!... Ale to dla mnie wstyd wobec innych panów będzie, gdy sam się tu jako palec ostaną.

Skrzetuski znów się uśmiechnął.

— Wasza miłość pozwoli sobie powiedzieć, — rzekł — że Szwedzi tu rzecz główna, a wstyd potem. Zresztą, nie będzie go, bo nietylko kaliskiej, ale i żadnej innej szlachty jeszcze niema.

— Powaryowali! — rzekł pan Grudziński.

— Nie, jeno tego pewni, że jeśli oni nie zechcą do Szwedów, to Szwedzi nie omieszkają do nich.

— Czekaj waść! — rzekł wojewoda.

I klasnąwszy na pachołka, kazał sobie podać inkaustu, piór i papieru — następnie usiadł i począł pisać.

Po upływie pół godziny, zasypał kartę, uderzył po niej ręką i rzekł:

— Posyłam jeszcze wezwanie, by się najpóźniej *pro die 27 praesentis* stawili i tak myślę, że przynajmniej w tym ostatnim terminie zechcą *non decesse patriae*. A teraz powiedz mi waćpan: macieli jakie wieści o nieprzyjacielu?

— Mamy. Wittemberg wojska swoje pod Damą na łęgach musztruje.

— Siła ich?

— Jedni mówią, że siedemnaście tysięcy, drudzy, że więcej.

— Hm! to nas i tyle nie będzie. Jak waść sądzisz, zdołamy się oprzeć?

— Jeśli się szlachta nie stawi, to i niema o czem mówić...

— Stawi się, co się nie ma stawić! Wiadoma to rzecz, że pospolite ruszenie zawsze marudzi. Ale ze szlachtą damy sobie radę?

— Nie damy — rzekł sucho Skrzetuski. — Jaśnie wielmożny wojewodo, toż my wcale żołnierzy nie mamy.

— Jakto nie mamy żołnierzy?

— Wasza miłość wie tak dobrze, jak ja, że co jest wojska, to wszystko na Ukrainie. Nie przysłano nam tu ani dwóch chorągwi, choć Bóg jeden wie teraz, która burza groźniejsza.

— Ale piechota, ale pospolite ruszenie?

— Na dwudziestu chłopów ledwie jeden wojnę widział, a na dziesięciu jeden wie, jak rusznicę trzymać. Po pierwszej wojnie będą z nich dobrzy żołnierze, ale nie teraz. A co do pospolitego ruszenia, spytaj wasza miłość każdego, kto się choć trochę na wojnie zna, czy pospolite ruszenie może dotrzymać regularnym wojskiem, jeszcze takim jak szwedzkie, weteranom z całej luterskiej wojny i do zwyczajstw przywykłym.

— Takżeto waść wysoko Szwedów nad swoich wynosisz?

— Nie wynoszę ja ich nad swoich, bo gdyby tu było z piętnaście tysięcy takich ludzi, jacy pod Zbarażem byli, kwarcianych i jazdy, tedybym się ich nie bał, ale z naszymi, daj Boże, abyśmy coś znaczniejszego wskórać mogli.

Wojewoda położył ręce na kolanach i spojrzał bystro wprost w oczy Skrzetuskiemu, jakby chciał w nich jakąś ukrytą myśl wyczytać.

— Tedy poco my tu przyszli? Czy waćpan nie myślisz, że lepiej się poddać?

Zapłonął na to pan Stanisław i rzekł:

— Jeśli mi taka w głowie myśl powstała, każe mnie wasza miłość na pal wbić. Na pytanie, czy wierzę w wiktoryą, odpowiadam jak żołnierz: nie wierzę! — ale pocośmy tu przyszli, to inna materya, na którą jako obywatel odpowiadam: poto, abyśmy nieprzyjacielowi wstręt pierwszy dali, abyśmy zatrzymawszy go na sobie, pozwolili reszcie kraju opatrzeć się i wystąpić, abyśmy ciałami naszymi wstrzymali najazd pōty, póki jeden na drugim nie padniem!

Chwalebna to intencya waszmości, — odpowiedział chłodno wojewoda — ale łatwiej wam żołnierzom o śmierci mówić, niż nam, na których cała odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej, darmo przelanej, spadnie.

— Poto i ma szlachta krew, aby ją przelewała.

— Tak to, tak! Wszyscy gotowiśmy polec, bo zresztą to najłatwiejsza rzecz. Wszelako obowiązek każe nam, których Opatrzność naczelnikami uczyniła, nie samej tylko chwały szukać, ale i za pożytkiem się oglądać. Wojna już tak, jak zaczęta, to prawda, ale przecie Carolus Gustavus pana naszego krewny i musi mieć na to wzgląd. Dlatego należy i paktowania poprobować, bo czasem więcej słowem można wskórać, niżli orężem.

— To do mnie nie należy! — odrzekł sucho pan Stanisław.

Wojewodzie w tejże chwili widocznie toż samo na myśl przyszło, bo skinął głową i pożegnał rotmistrza.

Skrzetuski jednakże do połowy tylko miał słuszność w tem, co mówił o opieszałości szlachty na polspolite ruszenie powołanej. Prawdą istotnie bowiem było, że do ukończenia strzyży owiec mało kto ściągnął do obozu między Piłą a Ujściem, ale pod d. 27 czerwca, to jest na termin w ponownem wezwaniu oznaczony, zaczęto zjeżdżać się dość licznie.

Codziennie tumany kurzu, podnoszące się z powodu suchej i stałej pogody, zwiastowały zbliżanie się coraz nowych zastępów. I jechała szlachta szumnie, konno i koleśno, z pocztami sług, z kredensami, z wozami i obfitością na nich wygod wszelkich, a obciążona tak bronią, iż niejeden za trzech wszelakiego dźwigał oręża, począwszy od kopij, rusznic, bandoletów, szabel, koncerzy i zarzuconych już w owym czasie młotków husarskich, do rozbijania zbroi służących. Starzy praktycy zaraz po tem uzbrojeniu poznawali ludzi nieobytych z wojną i niedoświadczonych.

Ze wszelkiej bowiem szlachty, zamieszkującej obszary Rzeczypospolitej, wielkopolska właśnie najmniej była wojownicza. Tatarzy, Turcy i Kozacy nie deptali nigdy tych okolic, które od czasów krzyżackich zapomniały niemal, jak wygląda wojna w kraju. Kto ze szlachty wielkopolskiej czuł w sobie bojową ochotę, ten się zaciągał do komputu wojsk koronnych i tam stawał tak dobrze jak każdy inny; ale ci natomiast, którzy w domach woleli siedzieć, na prawdziwych się też domatorów zmienili, kochających się w dostatkach, w wczasach, na zawołanych gospodarzy, zasypujących swą wełną i zwłaszcza swoim zbożem, rynki miast pruskich.

Teraz więc, gdy burza szwedzka oderwała ich od spokojnych zajęć, zdawało im się, że na wojnę nie można

się zanadto bronią najeżyć, ani zapasami zaopatrzyć, ani zawielu wziąć pachołków, którzyby ciała i sprzętów pana strzegli.

Dziwnito byli żołnierze, z którymi rotmistrzowie niełatwo do sprawy przyjść mogli. Stawał naprzykład towarzysz z kopią na dziewiętnaście stóp długą i w pancerzu na piersiach, ale w słomianym kapeluszu „dla chłodu“ na głowie; inny w czasie musztry na gorąco narzekał, inny ziewał, jadł lub pił, inny pachołka wołał, a wszyscy w szeregu nie poczytywali za rzecz zdrożną gawędzić tak głośno, że rozkazów oficerów nikt słyszeć nie mógł. I trudno było dyscyplinę wprowadzać, bo się o nią bracia urażała mocno, jako godności obywatelskiej przeciwną. Ogłaszano wprawdzie „artykuły“, ale ich słuchać nie chciano.

Kulą żelazną u nóg tego wojska był nieprzeliczony zastęp wozów, koni zapaśnych i pociągowych, była przeznaczona na spiżę, a zwłaszcza sług pilnujących namiotów, sprzętów, jagieł, krup i bigosów, a wszczynających z lada powodu kłótnie i zamieszanie.

Przeciw takiemuto wojsku zbliżał się od strony Szczecina i nadodrzańskich łęgów Arwid Wittemberg, stary wódz, któremu młodość na wojnie trzydziestoletniej zbiegła, prowadząc siedemnaście tysięcy weteranów w żelazną dyscyplinę ujętych.

Z jednej strony stał bezładny obóz polski, do zbiegowiska jarmarcznego podobny, hałaśliwy, pełen dysput, rozpraw nad rozporządzeniami wodzów i niezadowolenia, złożony z pocziwych wieśniaków, napoczekaniu w piechotę zamienionych i z jegomościów prosto od strzyży owiec oderwanych; z drugiej maszerowały groźne, milczące czworoboki, na jedno skinienie wodzów rozciąga-

jace się z regularnością machin w linie i półkola; zwierające się w kliny i trójkąty tak sprawnie, jak miecz w rękę szermierza; najeżone rurami muszkietów i włóczni, prawdziwi ludzie wojny, zimni spokojni, istni rzemieślnicy, którzy do mistrzostwa doszli w rzemiośle. Któż z ludzi doświadczonych mógł wątpić, jaki będzie rezultat spotkania i na czyją stronę musi paść zwycięstwo?

Jednakże szlachty ściągało się coraz więcej, a przedtem jeszcze poczęli się zjeżdzać dygnitarze wielkopolscy i innych prowincyj, z pocztami przybocznych wojsk i sług. Wkrótce po panu Grudzińskim, zjechał do Piły potężny wojewoda poznański, pan Krzysztof Opaliński. Trzystu hajduków, przybranych w żółte z czerwonym barwy i uzbrojonych w muszkiety, szło przed wojewodzińską karetą; tłum dworzan, szlachty, otaczał jego dostojną osobę; za nimi w szyku bojowym ciągnął oddział rajtarów w takiej barwy jak i hajducki przybranych; sam wojewoda jechał w karecie, mając przy sobie błazna, Stacha Ostrożkę, którego obowiązkiem było posępnego pana przez drogę rozweselać.

Wjazd tak znamienitego dygnitarza, dodał wszystkim serca i otuchy; tym bowiem którzy spoglądali na monarszy niemal majestat wojewody, na tę twarz wspinała, w której, zpod wysokiego jak sklepienie czoła, świeciły oczy rozumne i surowe, na senatorską powagę całej postawy, zaledwie w głowie mogło się pomieścić, by jakiś niefortunny los mógł przypaść w udziale takiej potędze.

Ludziom, przywykłym do czci dla urzędu i osoby, wydawało się, że i sami Szwedzi nie będą chyba śmieli wznieść świętokradzkiej ręki na takiego magnata.

Owszem, ci, którym trwożliwe serce biło w piersiach, uczyli się zaraz bezpieczniejsi pod jego skrzydłami. Witano więc go radośnie i gorąco; okrzyki brzmiały wzdłuż ulicy, którą orszak posuwał się zwolna ku domowi burmistrza, a głowy chyliły się przed wojewodą, widnym jak na dłoni przez szyby poczołostej karety. Na owe ukłony odpowiadał wraz z wojewodą Ostrożka z taką godnością i powagą, jakby wyłącznie jemu były oddawane.

Zaledwie kurz opadł po przejeździe wojewody poznańskiego, gdy gońcy nadbiegli z oznajmieniem, że jedzie stryjeczny jego brat, wojewoda podlaski, Piotr Opaliński, ze swym szwagrem Jakóbem Rozdrażewskim, wojewodą inowrocławskim. Ci przywieźli każdy po sto pięćdziesiąt ludzi zbrojnych, prócz dworzan i sług. Potem nie mijał dzień, by ktoś z dygnitarzy nie zjechał; jako pan Sędziwój Czarnkowski, szwagier Krzysztofa, a sam kasztelan kaliski; Maksymilian Miaskowski, kasztelan krzywiński i Paweł Gębicki, pan międzyrzecki. Miasteczko napełniło się tak dalece ludźmi, że domów brakło na pomieszczenie samych tylko dworzan. Przyległe łąki upstrzyły się namiotami pospolitego ruszenia. Rzekłbyś, że wszystko ptastwo różnobarwne zleciało się do Piły z całej Rzeczypospolitej.

Migotały barwy czerwone, zielone, niebieskie, błękitne, białe, na katankach, żupanach, kubrakach i kontuszach, bo pominąwszy pospolite ruszenie, w którym co szlachcic, to inny strój nosił — pominąwszy służbę pańską — i piechota każdego powiatu w inne przybraną była kolory.

Nadjechali i bazarnicy, którzy nie mogąc się w rynku pomieścić, wybudowali rząd szop wedle mia-

steczka. Sprzedawano w nich przybory wojskowe, od szat do broni i jadła. Polowe garkuchnie dymiły przez dzień i noc, roznosząc w dymach zapach bigosów, jagieł, pieczeni — w innych sprzedawano trunki. Przed szopami roiła się szlachta, zbrojna nie tylko w miecze, ale i w łyżki, jedząc, popijając i rozprawiając, to o nieprzyjacielu, którego jeszcze nie było widać, to o nadjeżdżających dygnitarzach, którym nie żałowano przymówek.

Między grupami szlachty chodził Ostrożka, przybrany w odzież zeszytą z pstrych gałganków z berłem zdobnym dzwonekami i miną z głupia frant. Gdzie się pokazał, otaczano go wnet kołem, on zaś podlewał oliwy do ognia, pomagał obmawiać dygnitarzy i zadawał zagadki, nad którymi szlachta tem bardziej brała się za boki, im bardziej były zjadliwe.

Nie szcędzono w nich nikogo.

Pewnego południa nadszedł przed bazyliki sam wojewoda poznański i wmieszał się między szlachtę, rozmawiając łaskawie, z tym, z owym lub ze wszystkimi i skarżąc się trochę na króla, że wobec zbliżającego się nieprzyjaciela nie przysłał ani jednej chorągwi kwarcianej.

— Nie myślą o nas, mości panowie — mówił — i bez pomocy nas zostawiają. Powiadają w Warszawie, że na Ukrainie i tak wojska zamało i że hetmani nie mogą sobie dać rady z Chmielnickim. Ha, trudno! Miłsza widać Ukraina, niż Wielkopolska... W niełasce jesteśmy, mości panowie, w niełasce! Jako na jatki nas tu wydali...

— A kto winien? — pytał pan Szlichtyng, sędzia wschowski.

— Kto wszystkim nieszczęściom Rzeczypospolitej

winien? — odparł wojewoda — jużci nie my, bracia szlachta, którzy ją piersiami naszymi zasłaniamy.

Słuchającej szlachcie pochlebiło to wielce, że „hrabia na Bninie i Opalenicy“ sam się na równi z nią stawia i do braterstwa się przyznaje, więc zaraz pan Koszucki odpowiedział:

— Jaśnie wielmożny wojewodo! Gdyby tam więcej takich konsyliarzów było przy majestacie, jak wasza miłość, pewnieby tu nas na rzeź nie wydano... Aleć tam podobno ci rządzą, co się niżej kłaniają.

— Dziękuję, panie bracie, za dobre słowo!... Wina tego, co złych doradców słucha. Wolności to tam nasze solą w oku stoją. Im więcej szlachty wyginie, tem *absolutum dominium* będzie do przeprowadzenia łatwiejsze,

— Zali poto mamy ginąć, aby dzieci nasze w niewoli jęczały?

Wojewoda nic nie odrzekł, a szlachta zaczęła spoglądać po sobie i zdumiewać się.

— Więc to tak? — wołały liczne głosy. — Więc poto nas tu pod nóż wysłano? A wierzym! Nie od dziś to o *absolutum dominium* mówią!... Ale skoro na to idzie, to i my potrafimy o naszych głowach pomyśleć!

— I o naszych dzieciach!

— I o naszych fortunach, które nieprzyjaciel *igne et ferro* będzie pustoszył.

Wojewoda milczał.

W dziwny sposób ten wódz dodawał ducha swym żołnierzom.

— Król to wszystkiemu winien! — wołano coraz liczniej.

— A pamiętacie waćpanowie dzieje Jana Olbrachta? — spytał wojewoda.

— Za króla Olbrachta wyginęła szlachta! Zdrada, panowie bracia!

— Król, król zdrajca! — zakrzyknął jakiś głos śmiały.

Wojewoda milczał.

Wtem Ostrożka, stojący przy boku wojewody, uderzył się kilkakroć rękoma po udach i zapiał jak kogut, tak przeraźliwie, że wszystkie oczy zwróciły się na niego.

Następnie zakrzyknął:

— Mości panowie! bracia, serdeńka! posłuchajcie mojej zagadki!

Z prawdziwą zmiennością marcowej pogody oburzenie pospolitaków zmieniło się w jednej chwili w ciekawość i chęć usłyszenia jakiegoś nowego dowcipu błazna.

— Słuchamy! słuchamy! — ozwało się kilkanaście głosów.

Błazen począł mrógać oczyma jak małpa i recytować piskliwym głosem:

Po bracie się pocieszył koroną i żoną,
Lecz pozwolił, by sławę z bratem pogrzebiono;
Podkanclerza wypędził — i z tego dziś słynie,
Że sam jest podkanclerzym... przy podkanclerzynie.

— Król! król! jako żywo! Jan Kazimierz! — poczęto wołać ze wszystkich stron.

I śmiech ogromny, jakby grzmot, rozległ się w zgromadzeniu.

— Niech go kule biją, jak to misternie ułożył! — wołała szlachta.

Wojewoda śmiał się z innymi; następnie, gdy uci-
szyło się nieco, rzekł poważniej:

— I za tęto sprawę my musimy teraz krwią
i głowami nakładać... Ot, do czego doszło!... Ale masz,
błaznie, dukata za dobrą zagadkę.

— Krzysztofku! Krzychu najmiłszy! — odrzekł
Ostrożka — czemu to na innych napadasz, że trefnisiów
trzymają, kiedy sam nietylko mnie trzymasz, ale osobno
za zagadki dopłacasz?... Dajże mnie jeszcze dukata,
to ci powiem drugą zagadkę.

— Taką samą dobrą?

— Jeno dłuższą... Daj najprzód dukata.

— Masz!

Błazen znów wstrząsnął rękoma, jak kogut skrzy-
dłami, znów zapał i zakrzyknął:

— Mości panowie, słuchajcie! Ktoto taki?

Na prywatę narzekał, udawał Katona,
Od szabli wolał pióro z gęsiego ogona:
Po zdrajcy chciał spuścizny, a gdy jej nie dostał,
Wnet totam Rempubicam ostrym rytmem schłostał.
Bodajby szablę kochał, mniej byłoby biedy,
Bo się satyr napewno nie ulękną Szwedy.
On zaś, ledwie wojennych skosztował kłopotów,
Już za zdrajcy przykładem, króla zdradzić gotów.

Wszyscy obecni odgadli tak dobrze tę zagadkę,
jak i poprzednią. Dwa czy trzy zduszone w tejże chwili
śmiechy ozwały się w zgromadzeniu, poczem zapadła
cisza głęboka.

Wojewoda stał się czerwony i tem bardziej się
zmieszał, że wszystkie oczy były w niego utkwione,
a błazen spoglądał to na jednego szlachcica, to na dru-
giego, wreszcie ozwał się:

— Nikt z waszmościów nie odgaduje ktoto taki ?

A gdy milczenie było jedyną odpowiedzią, wówczas Ostrożka zwrócił się z najbezczelniejszą miną do wojewody :

— A ty Krzychu, zali także nie wiesz o jakimto hultaju była mowa?... Nie wiesz ? to płac dukata !

— Masz ! — odrzekł wojewoda.

— Bóg ci zapłać!... Powiedzno mi Krzychu : nie starażes się ty przypadkiem o podkanclerstwo po Radziejowskim ?

— Nie pora na krotofile ! — odparł Krzysztof Opaliński.

I skłoniwszy się czapką wszystkim obecnym :

— Czołem waszmościom!... Pora mi na radę wojenną.

— Na radę familijną, chciales Krzychu powiedzieć — dodał Ostrożka — bo tam wszyscy krewni radzić będziecie, jakby dać drapaka.

Poczem zwrócił się do szlachty i naśladowując wojewodę w ukłonie, dodał :

— A waćpanom w to graj !

I oddalili się obaj ; ale zaledwie uszli kilkanaście kroków, jeden ogromny wybuch śmiechu obił się o uszy wojewody i brzmiał jeszcze długo, zanim utonął w ogólnym gwarze obozu.

Rada wojenna istotnie miała miejsce i wojewoda poznański na niej przydował. Była to szczególna rada ! Brali w niej udział sami tacy dygnitarze, którzy się na wojnie nie znali. Bo magnaci wielkopolscy nie szli i nie mogli iść za przykładem owych „królewiat“ litewskich lub ukraińnych, żyjących w ustawicznym ogniu, jak salamandry

Tam, co wojewoda lub kanclerz, to był wódz, któremu pancerz wygniatał na ciele nigdy nieschodzące czerwone pręgi, któremu młodość zbiegła na stepach lub w lasach od wschodniej strony, wśród zasadzek, walk, gonitw, w obozach lub taborach. Tu byli to dygnitarze, pilnujący urzędów, a choć w chwilach potrzeby chodzili i oni na pospolite ruszenie, jednakże nigdy nie zajmowali naczelnych w czasie wojen stanowisk. Głęboki spokój uspił wojowniczego ducha potomków tych rycerzy, którym niegdyś żelazne hufce krzyżackie nie mogły dotrzymać pola; zmienił w statystów, uczonych i literatów. Dopiero twarda szkoła szwedzka nauczyła ich, czego zapomnieli.

Ale tymczasem zgromadzeni na naradę dygnitarze spoglądali na się niepewnemi oczyma i każdy bał się pierwszy odezwać, czekając, co powie „Agamemnon“, wojewoda poznański.

„Agamemnon“ zaś sam nie znał się poprostu na niczem i mowę swoją rozpoczął znów od narzekania na niewdzięczność i ospałość królewską, na lekkie serce, z jakim całą Wielkopolskę i ich pod miecz wydano. Ale zato jakże był wymowny; jakże wspaniałą czynił postać, prawdziwie rzymskiego senatora godną: głowę przy mówieniu trzymał wzniesioną, czarne jego oczy ciskały błyskawice, usta pioruny, a siwiejąca broda trzęsła się z uniesienia, gdy przyszłe klęski ojczyzny malował.

— W czymże bowiem ojczyzna cierpi? — mówił — jeżeli nie w synach swoich... a my tutaj najpierw ucierpimy. Po naszymi ziemiach, po naszych prywatnych fortunach, zasługami i krwią przodków zdobytych, przejdzie najprzód noga tych nieprzyjaciół, którzy

jako burza zbliżają się ku nam od morza. I zaco my cierpimy? Zaco zajmą nasze trzody, wydepcą zboża, popalą wieś, pracą naszą zbudowane? Czy myśmy krzywdzili Radziejowskiego, który niesłusznie osądzony i jak zbrodniarz ścigany, obcej protekcji szukać musiał? Nie!... Czy my nastajemy, aby ten próżny tytuł króla szwedzkiego, który już tyle krwi kosztował, był w podpisie naszego Jana Kazimierza zachowany? Nie!... Dwie wojny palą się na dwóch granicach — trzebaż było wywołać i trzecią?... Kto winien, niech go Bóg, niech go ojczyzna sądzi!... My umyjmy ręce, bośmy niewinni tej krwi, która będzie przelaną...

I tak dalej piorunował wojewoda; ale gdy przyszło do właściwej materyi, nie umiał rady pożądaney udzielić.

Posłano tedy po rotmistrzów, łanową piechotę dowodzących, a szczególnie po pana Władysława Skoraszewskiego, który był nie tylko rycerz sławny i niezrównany, ale stary praktyk wojenny, znający wojnę jak pacierz. Rad jego istotni nawet wodzowie nieraz słuchali; tem więc skwapliwiej pożądanio ich teraz.

Pan Skoraszewski radził tedy założyć trzy obozy: pod Piłą, Wieluniem i Ujściem, tak blisko, aby w razie napadu mogły sobie wzajem przychodzić w pomoc; a prócz tego całą nadrzeczną przestrzeń, łukiem obozów objętą, obsypać szanćami, któreby nad przepławami panowały.

— Gdy się już okaże — mówił pan Skoraszewski — w którym miejscu nieprzyjacieli będzie przepawy tentował, tedy się tam ze wszystkich trzech obozów w kupę zbierzemy dać mu wstręt należyty. Ja zaś, za zezwoleniem jwm. panów, pójdę z małym pocztem do

Czaplinka. Stracona to pozycja i wczas się z niej cofnę, ale tam najpierwej dowiem się o nieprzyjacielu i jwm. panom dam znać o nim.

Wszyscy zgodzili się na owę radę i poczęto nieco zwawiej krzątać się w obozie. Szlachty zjechało się wreszcie do piętnastu tysięcy. Łanowi sypali szańce na przestrzeni sześciu mil.

Ujście, główną pozycją, zajął ze swymi ludźmi pan wojewoda poznański. Część rycerstwa została w Wieluniu, część w Pile, a pan Władysław Skoraszewski odjechał do Czaplinka, by ztamtąd dawać baczenie na nieprzyjaciela.

Rozpoczął się lipiec; dnie były ciągle pogodne i gorące. Słońce dopiekało na równinach tak mocno, iż szlachta chroniła się po lasach, pomiędzy drzewami, pod których cieniem niektórzy kazali rozbijać swe namioty. Tam też wyprawiano ucztę gwarne i hałaśliwe, a jeszcze więcej hałasu czyniła służba, zwłaszcza przy pławieniu i pojeniu koni, których po kilka tysięcy naraz pędzono trzy razy dziennie do Noteci i Brdy, kłócąc się i bijąc o najlepszy przystęp do brzegu.

Duch jednak, pomimo, iż sam wojewoda poznański działał raczej w ten sposób, aby go osłabić, był z początku dobry.

Gdyby Wittemberg był nadszedł w pierwszych dniach lipca, byłby prawdopodobnie napotkał mocny opór, który w miarę rozgrzewania się ludzi do boju, mógłby się zmienić w niezwalczoną wściekłość, jak tego często bywały przykłady. Bo przecież w żyłach tych ludzi, jakkolwiek odwykłych od wojny, płynęła krew rycerska.

Kto wie, czy drugi Jeremi Wiśniowiecki nie zmie-

niłby był Ujścia w drugi Zbaraż i nie zapisał w tych okopach nowej świetnej kariery rycerskiej. Ale właśnie wojewoda poznański, na nieszczęście, mógł tylko pisać, nie walczyć.

Wittemberg, człowiek nietylko wojnę znający, ale i ludzi, może umyślnie się nie śpieszył. Doświadczenie długoletnie uczyło go, że nowozaciężny żołnierz najniebezpieczniejszy jest w pierwszej chwili zapału i że częstokroć nie męstwa mu brak, ale żołnierskiej cierpliwości, którą tylko praktyka wyrabia. Potrafi on nieraz uderzyć, jak nawałnica, na najstarsze pułki i przejść po ich trupach. Jest to żelazo, które, póki czerwone, drga, żyje, sypie iskry, pali, niszczy, a gdy już wystygnie, jest tylko martwą bryłą.

Jakoż, gdy ubiegł tydzień i drugi, a zaczynał się trzeci, długa bezczynność poczęła ciężyc popopolitemu ruszeniu. Upały były coraz większe. Szlachta nie chciała wychodzić na musztry, tłumacząc się tem, że „konie, cięte przez bąki, nie chcą ustać na miejscu, a jako że w błotnistej okolicy, od komarów wytrzymać nie można...“

Czeladź wszczyniała coraz większe kłótnie o miejsca cieniste, o które i między panami przychodziło do szabel. Jaki taki, skręciwszy wieczorem od wody, wyjeżdżał chyłkiem z obozu, aby nie wrócić więcej.

Nie brakło i z góry złego przykładu. Pan Skoraszewski dał właśnie znać z Czaplinka, że Szwedzi już niedaleko, gdy na radzie wojennej uwolniono do domu pana Zygmunta z Grudnej Grudzińskiego, starościca średzkiego, o co stryj Andrzej, pan wojewoda kaliski, wielce nastawał.

— Jeśli ja mam tu głowę złożyć i gardło dać —

mówił — niechże synowiec po mnie pamięć i sławę odziedziczy, aby zasługa moja nie przepadła.

Tu począł roztkliwiać się nad młodym wiekiem i niewinnością synowca, oraz wynosić jego hojność, z jaką sto piechoty bardzo porządnej dla Rzeczypospolitej na ten termin wystawił. I rada wojenna zgodziła się na prośby stryja.

Zrana dnia 16-go Lipca wyjeżdżał pan staroście w kilkanaście sług otwarcie z obozu do domu, w wigilią niemal oblężenia i bitwy. Tłumy szlachty przeprowadzały go wśród szyderskich okrzyków aż za obóz, a tłumom tym przywodził Ostrożka, który krzyczał zdaleka za odjeżdżającym :

— Mości panie starościcu, daję ci do herbu i nazwiska przydomek : Deest !

— Vivat Deest-Grudziński ! — krzyknęła szlachta.

— A nie płacz za stryjem ! — wołał dalej Ostrożka — równy on ma z tobą kontempt dla Szwedów i niech się jeno pokażą, pewnie się plecami do nich obróci !

Młodemu magnatowi krew biła do twarzy, ale udawał, że obelg nie słyszy, jeno konia bódł ostrogami i tłumy rozpierał, by jak najprędzej znaleźć się poza obozem i swymi prześladowcami, którzy wkońcu bez uwagi na ród i godność odjeżdżającego, poczęli rzucać grudkami ziemi i krzyczeć :

— Masz grudkę, Grudziński !! A ho ! a huzia ! hoc ! hoc ! szarak ! kot !

Uczynił się taki tunult, że aż wojewoda poznański nadbiegł z kilkunastu rotmistrzami uspokajać i tłumaczyć, że staroście tylko na tydzień, dla bardzo pilnych spraw, wziął premissę.

Jednakże zły przykład podziałał — i tego samego dnia znalazło się kilkuset szlachty, którzy nie chcieli być gorszymi od pana starościca, lubo wymykali się z mniejszą asystencyą i ciszej. Pan Stanisław Skrzetuski, rotmistrz kaliski, a stryjeczny słynnego zbarszczyka Jana, włosy rwał na głowie, bo i jego łanowcy, idąc za przykładem „towarzystwa“, poczeli „wyciekać“ z obozu. Złożono znów radę wojenną, w której tłumy szlacheckie koniecznie chciały wziąć udział. Nastąpiła noc burzliwa, pełna krzyków, swarów. Podejrzowano się wzajemnie o zamiar ucieczki. Okrzyki: „Albo wszyscy, albo nikt!“ — przelatywały z ust do ust.

Co chwila zrywały się wieści, że wojewodowie uchodzą — i panował taki rozruch, że wojewodowie musieli się ukazywać po kilkakroć wzburzonym tłumom. Kilkanaście tysięcy ludzi stało do świtania na koniach, wojewoda poznański zaś jeździł między nimi z odkrytą głową, podobien do senatora rzymskiego i powtarzał co chwila wielkie słowa:

— Mości panowie! z wami żyć i i umierać!

Przyjmowano go w niektórych miejscach wiwatami, w innych brzmiały szyderskie okrzyki. On zaś ledwie uciszył tłumy, wracał na radę, spracowany, zachrypły, upojony wielkością własnych słów i przekonany, że tej nocy niepożyte ojczyźnie oddał usługi.

Ale na radzie mniejsze miał słowa na ustach, bo się za brodę i za chochoł targał z rozpaczy, powtarzając:

— Radźcie waszmościowie, jeśli umiecie... Ja umyvam ręce od tego, co się stanie, bo z takim żołnierzem niepodobna się bronić.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — odpowiadał

pan Stanisław Skrzetuski.— Sam nieprzyjaciel powściągnie tę swawolę i te rozruchy. Niech jeno armaty zagrają, niech przyjdzie do obrony, oblężenia, ta sama szlachta w sprawie własnego gardła musi z wałów służyć, nie w obozie się warcholić. Tak już nieraz bywało!

— Z czym się bronić? Armat nie mamy, jeno nasze wiwatówki, dobre do pukania w czasie uczt.

— Pod Zbarażem Chmielnicki miał siedemdziesiąt dział, a książę Jeremi jeno kilkanaście oktaw i granatników.

— Ale miał wojsko, nie pospolitaków; swoje chorągwie w świecie sławne, nie ichmościów od strzyży owiec.

— Posłać po pana Władysława Skoraszewskiego — rzekł pan Sędziwój Czarnkowski, kasztelan poznański. — Uczynić go obożnym. On ma mir u szlachty i w ryzie utrzymać ją potrafi.

— Posłać po Skoraszewskiego! Poco on ma w Drahinu czy w Czaplinku siedzieć! — powtórzył pan Jędrzej Grudziński, wojewoda kaliski.

— Tak jest! to najlepsza rada! — zawołały inne głosy.

I wysłano gońca po pana Władysława Skoraszewskiego — innych postanowień na radzie nie powzięto, natomiast mówiono i narzekano wiele na króla, królową, na brak wojska i opuszczenie.

Ranek następny nie przyniósł ni pociechy, ni uspokojenia. Owszem, bezład stał się jeszcze większy. Ktoś puścił nagle wieść, że różnowiercy, mianowicie kalwini, sprzyjają Szwedom i gotowi są przy pierwszej sposobności przejść do nieprzyjaciół. Co więcej, wieści tej nie zaprzeczył ani pan Szlichtyng, ani panowie Kurna-

towscy, Edmund i Jacek, również kalwini, ale ludzie szczerze ojczyźnie oddani. Sami owszem potwierdzili, że różnowiercy tworzą osobne koło i zmagają się ze sobą, pod wodzą znanego warchoła i okrutnika pana Reja, który zamłodu służąc w Niemczech, jako ochotnik po stronie luterskiej, wielkim był Szwedów przyjacielem. Zaledwie tedy te podejrzenia rozbiegły się między szlachtą, natychmiast kilkanaście tysięcy szabel zabłysło i prawdziwa burza rozpoczęła się w obozie.

— Zdrajców karmimy! żmije karmimy, gotowe kąsać łono rodzicielki! — wołała szlachta.

— Dawajcie ich sam!

— W pień ich!... Zdrada najzaraźliwsza, mości panowie!... Wyrwać kąkol, bo inaczej zginiemy wszyscy.

Wojewodowie i rotmistrze znów musieli uspokajać, ale przyszło im to jeszcze trudniej, niż dnia poprzedniego. Sami zresztą byli przekonani, że pan Rej gotów najotwarciej zdradzić ojczyznę, bo to był człowiek zupełnie cudzoziemski i prócz mowy, nie miał w sobie nic polskiego. Uchwalono też wysłać go z obozu, co zaraz uspokoiło nieco wzburzonych. Jednakże długo jeszcze zrywały się okrzyki:

— Dawajcie ich sam! Zdrada! zdrada!

Dziwne usposobienie zapanowało w końcu w obozie. Jedni upadli na duchu i pogrążyli się w smutku. Ci chodzili w milczeniu błędnymi krokami wzdłuż wałów, puszczając trwożliwy i posępny wzrok na równiny, któremi miał nadciągnąć nieprzyjaciół lub udzielali szepcąc, coraz gorszych nowin.

Innych opanowała szalona, desperacka jakaś wesołość i gotowość na śmierć. Wskutek tej gotowości

wyprawiano uczty i pijatyki, by wesoło ostatnich dni życia użyć. Niektórzy też myśleli o zbawieniu i noc spędzali na modlitwach. Nikt tylko w całym tym ludzkim tłumie nie myślał o zwycięstwie, jakby ono wcale było niepodobnem, a jednak nieprzyjaciel nie miał sił przewyższających: miał więcej dział i wojska lepiej ćwiczone i wodza, który wojnę rozumiał.

A gdy tak z jednej strony obóz polski wrzał, huczał, ucztował, wzburzał się, uciszał, jak morze wichrem smagane, gdy pospolite ruszenie sejmikowało, niby w czasie elekcyi króla — z drugiej strony, po roztoczystych, zielonych łągach nadodrzańskich posuwały się spokojne zastępy szwedzkie.

Szła więc najprzód brygada gwardyi królewskiej; wiódł ją Benedykt Horn, groźny żołnierz, którego imię ze strachem w Niemczech powtarzano; lud doborny, rosły, ubrany w grzebieniaste hełmy z czółnami zachodzącymi na uszy, w żółte skórzane kaftany, zbrojny w rapiery i muszkiety, zimny i uparty w boju i na każde skinienie wodza gotowy.

Karol Szedding, Niemiec, wiódł następną brygadę westgotlandzką, złożoną z dwóch pułków piechoty i jednego ciężkiej rajtaryi, przybranej w pancerze bez naramienników; połowa piechurów miała muszkiety, druga włócznie; przy początku bitwy muszkietnicy stawali na czele, a w razie ataku jazdy cofali się za włóczników, którzy utkwivszy jeden koniec włóczni w ziemię, drugi nadstawiali przeciwko pędzącym koniom. Pod Trzecianną, za czasów Zygmunta III-go, jedna chorągiew hussaryi rozniosła na szablach i kopytach też samą westgotlandzką brygadę, w której obecnie służyli przeważnie Niemcy.

Dwie brygady smalandzkie wiódł Irwin, zwany Bezrękim, bo był prawicę w swoim czasie, broniąc chorągwi, utracił, zato w lewej miał taką siłę, że jednym zamachem odcinał łeb konia; był to żołnierz ponury, kochający tylko wojnę i rozlew krwi, surowy i dla siebie i dla żołnierzy. Gdy inni „kapitanowie“ wyrobili się w ustawicznej wojnie na ludzi rzemiosła, wojnę dla wojny kochających, on pozostał tym samym fanatykiem i mordował ludzi, śpiewając psalmy pobożne.

Brygada westrmlandzka szła pod Drakenborgiem, a helsingerska, złożona ze strzelców w świecie sławnych, pod Gustawem Oxenstierną, krewnym sławnego kanclerza, młodym żołnierzem, wielkie rokującym nadzieje. Nad estgotlandzką pułkownikował Fersen, a nerikską i wermlandzką sprawował sam Wittemberg, który zarazem był naczelnym wodzem całej armii.

Siedemdziesiąt dwa działa wytłaczało brózdę po wilgotnych łągach, a wszystkich żołnierzy było 17 tysięcy, groźnych łupieżników całych Niemiec, a w boju tak sprawnych, że zwłaszcza z piechotą, zaledwie królewskie francuskie gwardye mogły się porównać. Za pułkami ciągnęły wozy i namioty, a pułki szły w szyku, w każdej chwili do boju gotowe.

Las włóczył sterczał nad masą głów, hełmów i kapeluszy, a między tym lasem płynęły ku polskiej granicy wielkie chorągwie błękitne z białymi krzyżami wpośrodku.

Z każdym dniem zmniejszała się odległość, dzieląca dwa wojska.

Nakoniec, w dniu 27 lipca, w lesie pod wsią Heinrichsdorfem, ujrzały zastępy szwedzkie po raz pierwszy słup graniczny polski. Na ten widok całe wojsko uczy-

niło okrzyk ogromny, zagrzmiały trąby, kotły i bębny i rozwinęły się wszystkie chorągwie. Wittemberg wyjechał naprzód w asystencji świetnego sztabu, a wszystkie pułki przechodziły przed nim, prezentując broń, jazda z dobytymi rapierami, działa z zapalonymi lontami. Godzina była południowa, pogoda przepyszna. Powietrze leśne pachniało żywicą.

Szara, zalana promieniami słońca droga, którą przechodziły szwedzkie chorągwie, wybiegając z Heinrichsdorfskiego lasu, gubiła się na widnokręgu. Gdy idące nią wojska przeszły wreszcie las, wzrok ich odkrył krainę wesołą, uśmiechniętą, połyskującą żółtawymi łąkami zbóż wszelakich, miejscami usianą dąbrowami, miejscami zieloną od łąk. Tu i owdzie z kęp drzew, za dąbrowami, hen! daleko, podnosiły się dymy ku niebu; na potrawach widniały pasące się trzody. Tam, gdzie na łąkach przeświecała woda rozlana szeroko, chodziły spokojnie bociany.

Jakaś cisza i słodycz rozlana była wszędzie po tej ziemi, mlekiem i miodem płynącej. I zdawała się roztaczać coraz szerzej i otwierać ramiona przed wojskami, jakby nie najeźdźników witała, ale gości z Bogiem przybywających.

Na ten widok nowy okrzyk wyrwał się z piersi wszystkich żołdaków, mianowicie rodowitych Szwedów, przywykłych do nagiej, biednej, dzikiej przyrody w kraju ojczystym. Serca łupieskiego a ubogiego ludu wezbrały pragnieniem zagarnięcia tych skarbów i dostatków, które wpadały im pod oczy. Zapal ogarnął szeregi.

Ale spodziewali się żołdacy, zahartowani w ogniu trzydziestoletniej wojny, że nie przyjdzie im to łatwo,

boć tę ziemię zbożną zamieszkiwał lud rojny, a rycerski, który umiał jej bronić. Żyła jeszcze w Szwecyi pamięć straszego pogromu pod Kircholmem, gdzie trzy tysiące jazdy pod Chodkiewiczem starło na proch ośmnaście tysięcy najbitniejszego szwedzkiego wojska. W chatach Westgotlandu, Smalandu lub Dalekarlii opowiadano o tych rycerzach skrzydlatych, jak o wielkoludach z sagi. Świeższa była jeszcze pamięć walk za Gustawa Adolfa, bo nie wymarli ludzie, którzy brali w nich udział. Wszakże ów orzeł skandynawski, zanim przeleciał całe Niemcy, po dwakroć połamał szpony o zastępy Konięcpolskiego.

Więc z radością łączyła się w sercach szwedzkich i pewna obawa, której nie był próżen sam wódz naczelny, Wittemberg. Patrzył on na przechodzące pułki piechoty i rajtaryi takim okiem, jakim pasterz patrzy na swą trzodę; następnie zwrócił się do otyłego człowieka, przybranego w kapelusz z piórem i jasną perukę, spadającą na ramiona:

— Wasza miłość upewniasz mnie — rzekł — że z temi siłami można złamać wojska stojące pod Ujściem?

Człowiek w jasnej peruce uśmiechnął się i odrzekł:

— Wasza miłość może zupełnie polegać na mych słowach, za które głową ręczyć gotowem. Gdyby pod Ujściem były wojska regularne i którykolwiek z hetmanów, tedybym pierwszy radził nie kwapić się i poczekać, aż jego królewska mość z całą armią nadciągnie; ale przeciw pospolitemu ruszeniu i tym panom wielkopolskim siły nasze aż zanadto wystarczą.

— A nie przysłaże im jakowych posiłków?

— Posiłków nie przysła z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że wojska wszystkie, których wogóle jest niewiele, zajęte są na Litwie i na Ukrainie; po wtóre, że w Warszawie ani król Jan Kazimierz, ani kanclerze, ani senat, do tej pory nie chcą wierzyć, aby jego królewska mość Karol Gustaw, wbrew rozejmowi i mimo ostatnich poselstw, mimo gotowości do ustępstw, naprawdę rozpoczął wojnę. Ufają, że pokój jeszcze w ostatniej chwili będzie uczyniony... cha! cha!

Tu otyły człowiek zdjął kapelusz, otarł z potu czerwoną twarz i dodał:

— Trubecki i Dołgoruki na Litwie, Chmielnicki na Ukrainie, a my wchodzimy do Wielkopolski... Oto, do czego doprowadziły rządy Jana Kazimierza!

Wittemberg spojrział na niego dziwnym wzrokiem i zapytał:

— A wasza miłość radujesz się tą myślą?

— A ja raduję się tą myślą, bo moja krzywda i moja niewinność będą pomszczone; a prócz tego widzę już jak na dłoni, że szabla waszej miłości i moje rady włożą tę nową, najpiękniejszą w świecie koronę, na głowę Karola Gustawa.

Wittemberg zapuścił wzrok w dal, objął nim lasy, dąbrowy, łągi i łąny zbożne i po chwili rzekł:

— Tak jest! pięknyto kraj i żyzny... Wasza miłość możesz też być pewien, że po wojnie jego królewska mość nikomu innemu wielkorządztwa tu nie powierzy.

Otyły człowiek zdjął znów kapelusz.

— I ja też nie chcę innego mieć pana — dodał, wznosząc oczy ku niebu.

Niebo było jasne i pogodne, żaden piorun nie

spadł i nie skruszył na proch zdrajcy, który swój kraj, jęczący już pod dwiema wojnami i wyczerpany, wydawał na tej granicy w moc nieprzyjaciela.

Człowiek bowiem rozmawiający z Wittembergiem było Hieronim Radziejowski, były podkanclerzy koronny, obecnie Szwedom przeciwko ojczyźnie zaprzędany.

Stali czas jakiś w milczeniu; tymczasem ostatnie dwie brygady, nerikska i wermlandzka, przeszły granicę, za nimi poczęły się wtaczać działa, trąby ciągle jeszcze grały, a huk kotłów i warczenie bębnow głośny kroki żołnierzy i napełniało las złowrogimi echami. Wreszcie ruszył i sztab. Radziejowski jechał koło Wittemberga.

— Oxenstierny nie widać: — rzekł Wittemberg — boję się, czy go jaka przygoda nie spotkała. Nie wiem, jeśli to dobra była rada posyłać go jako trębacza z listami pod Ujście.

— Dobra, — odparł Radziejowski — bo obóz zlustruje, wodzów zobaczy i wyrozumie, co tam myśla, a tegoby lada ciura nie uczynił.

— A jeśli go poznają?

— Jeden Rej go tam zna, a on nasz. Zresztą, choćby go poznali, nie uczynią mu nic złego, jeszcze na drogę opatrzą i nagrodzą... Znam ja Polaków i wiem, że gotowi na wszystko, hyle się przed obcymi jako polityczny naród pokazać. Cała usilność nasza w tem, aby nas obcy chwalili... O Oxenstiernę możesz być wasza miłość spokojny, bo włos mu z głowy nie spadnie. Nie widać go, bo i czas był na powrót za krótki.

— A jak wasza miłość sądzisz, sprawią nasze listy jaki skutek?

Radziejowski rozśmiał się.

— Jeżeli pozwolisz mi wasza miłość być prorokiem, to przepowiem, co się stanie. Pan wojewoda poznański, polityczny to człek i uczony, więc nam bardzo politycznie i bardzo grzecznie odpisze; ale, że lubi za rzymianina uchodzić, tedy jego odpowiedź okrutnie będzie rzymska; powie najprzód, że woli ostatnią kroplę krwi wylać, niż poddać się, że śmierć lepsza od niesławy, a miłość, jaką żywi dla ojczyzny, nakazuje mu paść za nią na granicy.

Radziejowski począł się śmiać jeszcze głośniej, surowa twarz Wittemberga rozjaśniła się także.

— Wasza miłość nie sądzisz, aby on był gotów tak uczynić, jak pisze? — spytał.

— On? — odrzekł Radziejowski. — Prawda, że żywi miłość do ojczyzny, ale inkaustem, a że niezbyt to posilna potrawa, więc i jego miłość chudsza nawet od jego błazna, który mu pomaga rytmy układać. Jestem pewny, że po onej rzymskiej odpowiedzi nastąpią życzenia zdrowia, pomyślności, polecenie się służbom, a nakoniec prośba, byśmy dobra jego i krewnych oszczędzali, za co znów będzie żywił dla nas wdzięczność, wraz ze wszystkimi swymi krewnymi.

— A jakież będzie wostatku skutek naszych listów?

— Że zwątlą ducha do ostatka, że panowie senatorowie rozpoczną z nami układy i że całą Wielkopolskę, bodaj po kilku wystrzałach na wiatr, zajmiemy.

— Obyś wasza miłość był prawdziwym prorokiem...

— Pewien jestem, że tak będzie, bo znam tych ludzi, mam też przyjaciół i stronników w całym kraju

i wiem, jak sobie poczynać... A że niczego nie omieszka, ręczy za to krzywda, która mnie od Jana Kazimierza spotkała i miłość dla Karola Gustawa. Czuli u nas teraz ludzie na własne fortuny, niż na całość Rzeczypospolitej. Wszystkie te ziemie, po których teraz iść będziem, to fortuny Opalińskich, Czarnkowskich, Grudzińskich, a że oni to właśnie stoją pod Ujściem, więc też i mięksi będą przy układach. Co do szlachty, byle jej wolność sejmikowania zaręczyć, pójdzie i ona śladem panów wojewodów.

— Wasza miłość niepożyte swą znajomością kraju i ludzi oddajesz jego królewskiej mości usługi, które nie mogą być bez równie znakomitej nagrody. Z tego, co od waszej miłości słyszę, wnioskuję, że mogę tę ziemię jako naszą uważać.

— Możesz wasza miłość! możesz! możesz! — powtórzył skwapliwie po kilkakroć Radziejowski.

— A więc zajmuję ją w imieniu jego królewskiej mości Karola Gustawa — odparł poważnie Wittemberg.

Gdy tak wojska szwedzkie poczęły deptać za Heinrichsdorfem ziemię wielkopolską, poprzednio jeszcze, bo w dniu 18-ym lipca, przybył do obozu polskiego trębacz szwedzki z listami do wojewodów od Radziejowskiego i Wittemberga.

Pan Władysław Skoraszewski sam poprowadził go do wojewody poznańskiego, a szlachta z pospolitego ruszenia gapiła się ciekawie na „pierwszego Szweda“, podziwiając jego dzielną postawę, twarz męską, żółty wąs, zaczesany w końcach do góry w szeroką szczotkę i minę prawdziwie pańską. Tłumy przeprowadziły go do wojewody, znajomi zwoływali się nawzajem, pokazywano go palcami, śmiano się trochę z bótów zakoń-

czonych ogromną kolistą cholewą i z długiego, prostego rapiera, który różnem przezywano, wiszącego na pendencie, suto srebrem haftowanym; Szwed zaś rzucał także ciekawie oczyma zpod szerokiego kapelusza, jakby chciał obóz zlustrować i siły przeliczyć, to znów przypatrywał się tłumom szlachty, której wschodni ubiór widocznie był dla niego nowością.

Nakoniec wprowadzono go do wojewody, u którego zgromadzeni byli wszyscy dygnitarze, znajdujący się w obozie.

Wnet przeczytano listy i rozpoczęła się narada, trębacza zaś polecił pan wojewoda swym dworzanom, aby uczęstowano go po żołniersku; od dworzan odebrała go szlachta i podziwiając go ciągle, jako osobliwość, poczęła z nim pić na umór.

Pan Skoraszewski przypatrywał mu się również pilnie, ale z tego powodu, iż podejrzewał, że to jakiś oficer za trębacza przebrany; poszedł nawet z tą myślą wieczorem do pana wojewody; ten jednak odrzekł, iż to jest wszystko jedno i aresztować go nie pozwolił.

— Choćby to był i sam Wittemberg, — rzekł — jako poseł tu przybył i odjechać spokojnie powinien... Jeszcze mu każę dać dziesięć dukatów na drogę.

Trębacz tymczasem gawędził łamaną niemieczyzną z tymi ze szlachty, którzy ten język przez stosunki z miastami pruskiemi rozumieli i opowiadał im o zwycięstwach, przez Wittemberga w różnych krajach odniesionych, o siłach, jakie ku Ujściu idą, a zwłaszcza o działach nieznaney dotąd doniosłości, którym nie masz sposobu opierać się. Strapiała się też tem szlachta niemało i różne przesadne wieści poczęły wnet krążyć po obozie.

Tej nocy prawie nikt nie spał w całym Ujściu, bo najprzód koło północy nadeszli ci ludzie, którzy dotychczas w osobnych stali obozach pod Piłą i Wieluniem. Dygnitarze radzili nad odpowiedzią do białego dnia, a szlachcie czas schodził na opowiadaniach o potędze szwedzkiej.

Z pewną gorączkową ciekawością wypytywano trębacza o wodzów, wojsko, broń, sposób walczenia i podawano sobie z ust do ust każdą jego odpowiedź. Bliskość szwedzkich zastępów dodawała niezwykłego interesu wszelkim szczegółom, które nie były tego rodzaju, aby mogły dodać otuchy.

O świtaniu nadjechał pan Stanisław Skrzetuski z wieścią, że Szwedzi przyciągnęli już pod Wałcz, o jeden dzień marszu od polskiego obozu. Powstała natychmiast sroga krętanina; większość koni wraz ze służbą była na paszy na łąkach, więc posyłano po nie na gwałt. Powiaty siadały na koń i stawały chorągwiemi. Chwila przed bitwą bywa dla niewycwiczonego żołnierza najstraszniejszą; więc zanim rotmistrze zdolali wprowadzić jaki taki porządek, przez długi czas panowało przerażające zamieszanie.

Nie było słyhać ni komendy, ni trąbek, tylko głosy wołające ze wszystkich stron: „Janie! Piotrze! Onufry! bywaj!... Żeby cię zabito! dawaj konie!... Gdzie moja służba?... Janie! Piotrze!” Gdyby w tej chwili rozległ się jeden strzał działowy, zamieszanie łatwo w popłoch zamieniłoby się mogło.

Zwolna jednak powiaty stawały w ordynku. Przyrodzone usposobienie szlachty do wojny, zastąpiło poniekąd brak doświadczenia i około południa przedstawiał już obóz dość imponujący widok. Piechota stała

na wałach, podobna do kwiatów w swych różnobarwnych kabatach; dymy unosiły się z zapalonych lontów, a na zewnątrz wałów, pod zasłoną dział, łęgi i równina zaroily się powiatowemi chorągwiemi jazdy, w szyku stojącej na dzielnych koniach, których rzenie budziło echo w pobliskich lasach i napełniało serca zapalem wojennym.

Tymczasem wojewoda poznański wyprawił trębacza z odpowiedzią na listy, brzmiącą mniej więcej tak, jak przepowiedział Radziejowski, a zatem polityczną zarazem i rzymską; poczem postanowił wysłać podjazd na północny brzeg Noteci dla pochwylenia nieprzyjacielskiego języka.

Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, stryjeczny wojewody poznańskiego, miał ruszyć własną osobą z podjazdem, wraz ze swymi dragonami, których sto pięćdziesiąt pod Ujście przyprowadził, a oprócz tego polecono panom rotmistrzom, Skoraszewskiemu Władysławowi i Skrzetuskiemu, wezwać ochotnika ze szlachty, do pospolitego ruszenia należącej, aby i ona zajrzała już przecie w oczy nieprzyjacielowi.

Jeździli tedy obaj przed szeregiem, czyniąc rozkosz oczom moderunkiem swym i postawą; pan Stanisław czarny jak żuk, na podobieństwo wszystkich Skrzetuskich, z twarzą męską, grozną i ozdobioną długą ukośną blizną, od cięcia miecza pozostałą, z kruczą rozwianą na wiatr brodą; pan Władysław tłustawy, z długimi jasnymi wąsami, z odwiniętą wargą dolną i oczyma w czerwonych obwódkach, łagodny i poczciwy, mniej przypominał Marsa, ale niemniej była to szczerza dusza żołnierska, jak salamandra w ogniu się kochająca. rycerz znający wojnę, jako swoje dziesięć

palców i odwagi nieporównanej. Obaj, przejeżdżając szeregi wyciągnięte w długą linią, powtarzali co chwila :

— A nuże, mości panowie, kto na ochotnika pod Szweda? Kto rad prochu powąchać! Nuże, mości panowie, na ochotnika!

I tak przejechali już spory kawał — bez skutku, bo z szeregów nie wysuwał się nikt. Jeden oglądał się na drugiego. Byli tacy, którzy mieli ochotę, i nie strach przed Szwedami, ale nieśmiałość ich wstrzymywała. Niejeden trącał sąsiada łokciem i mówił: „Pójdiesz ty, to i ja pójdę“.

Rotmistrze poczynali się niecierpliwić, aż nagle, gdy przyjechali przed powiat gnieźnieński, jakiś człowiek pstro ubrany wyskoczył na kucu nie z szeregu, ale z za szeregu i krzyknął:

— Mości panowie pospolitaki, ja zostaję ochotnikiem, a wy błaznami!

— Ostrożka! Ostrożka! — zawołała szlachta.

— Taki dobry szlachcic, jak i każdy! — odpowiedział błazen.

— Tfu! do stu dyabłów! — zawołał pan Rosiński, podsędek — dość błazeństw! idę ja!

— I ja! i ja! — zawołały liczne głosy.

— Raz mnie matka rodziła, raz mi śmierć!

— Znajdą się tacy dobrzy, jak i ty!

— Każdemu wolno! Niech się tu nikt nad drugich nie wynosi.

I jak poprzednio nikt nie stawał, tak teraz poczęła się sypać szlachta ze wszystkich powiatów — prześcigać koni, zawadzać jedni o drugich i kłócić naprędce. Stańło w mgnieniu oka z pięćset koni, a jeszcze ciągle wyjeżdżano z szeregów. Pan Skoraszewski

począł się śmiać swoim szczerym, pocziwym śmiechem i wołać:

— Dosyć, mości panowie, dosyć! Nie możemy iść wszyscy.

Poczem obaj ze Skrzetuskim sprawili ludzi i ruszyli naprzód.

Pan wojewoda podlaski połączył się z nimi przy wyjściu z obozu. Widziano ich jak na dłoni, przeprawiających się przez Noteć — poczem zamigotali jeszcze kilkakrotnie na skrętach drogi i znikli z oczu.

Po upływie pół godziny, pan wojewoda poznański kazał rozjeżdżać się ludziom do namiotów, uznał bowiem, że niepodobna ich trzymać w szeregach, gdy nieprzyjaciel jeszcze o dzień drogi odległy. Porozstawiano jednak liczne straże; nie pozwolono wyganiać koni na paszę i wydano rozkaz, że za pierwszym cichem zatrąbieniem przez munsztuk, wszyscy mają siadać na koń i stawać w gotowości.

Skończyło się oczekiwanie, niepewność, skończyły się zaraz swary, kłótnie; owszem: bliskość nieprzyjaciela, jak powiadał pan Skrzetuski, podniosła ducha. Pierwsza szczęśliwa bitwa mogła go nawet podnieść bardzo wysoko i wieczorem zdarzył się wypadek, który zdawał się być nową szczęśliwą wróżbą.

Słońce właśnie zachodziło, oświecając ogromnym, rażącym oczy blaskiem Noteć i zanoteckie bory, gdy po drugiej stronie rzeki ujrzano najprzód tuman kurzu, a potem poruszających się w tumanie ludzi. Wyległo, co żyło, na wały patrzeć, coto za goście; wtem od straży nadbiegł dragon z chorągwi pana Grudzińskiego, dając znać, że podjazd wraca.

— Podjazd wraca!... wracają szczęśliwie!...

Nie zjedli ich Szwedzi! — powtarzano z ust do ust w obozie.

Oni tymczasem, w jasnych kłębach kurzu, zbliżali się coraz bardziej, idąc wolno, następnie przepawali się przez Noteć.

Szlachta przypatrywała im się z rękoma nad oczami, bo blask czynił się coraz większy i całe powietrze przesycone było złotem i purpurowem światłem.

— Hej! coś ich kupa większa, niż wyjechała! — rzekł pan Szlichtyng.

— Jeńców chyba prowadzą, jak mnie Bóg miły! — zakrzyknął jakiś szlachcic, widocznie tchórzem podszyty, który oczom swoim wierzyć nie chciał.

— Jeńców prowadzą! jeńców prowadzą!...

Oni tymczasem zbliżyli się już tak, że twarze można było rozróżnić. Na przedzie jechał pan Skoraszewski, kiwając swym zwyczajem głową i gawędząc wesoło ze Skrzetuskim, za nimi duży oddział konny otaczał kilkudziesięciu piechurów, przybranych w koliste kapełusze. Byli to istotnie jeńcy szwedzcy.

Na ten widok nie wytrzymała szlachta i puściła się naprzeciw wśród okrzyków:

— Vivat Skoraszewski! Vivat Skrzetuski!

Gęste tłumy otoczyły wnet cały oddział. Jedni patrzyli na jeńców, drudzy wypytywali się: „Jako było“ — inni wygrażali Szwedom.

— A hu! A co?! Dobrze wam psiajuchy!... Z Polakami zachciało się wam wojować? Macie teraz Polaków!!

— Dawajcie ich sam!... Na szable ich!... Bi-gosować!...

— Ha, szołdry! ha, pludraki! popróbowaliście polskich szabel?!

— Mości panowie, nie krzyczcie jak wyrostki, bo jeńcy pomyślą, że wam wojna pierwszyczna! — rzekł pan Skoraszewski. — Zwyczajna to rzecz, że się jeńców w czasie wojny bierze.

Ochotnicy, którzy należeli do podjazdu, spoglądali z dumą na szlachtę, która zarzucała ich pytaniami.

— Jakżeto? Łatwo wam się dali? Czy musieliście się zapocić? Dobrze się biją?

— Dobrzy pachołkowie, — odparł pan Rosiński — bronili się znacznie, ale przecie nie z żelaza. Szabla się ich ima.

— Taki nie mogli wam się oprzeć, co?

— Impetu nie mogli wytrzymać.

— Mości panowie, słyszycie, co mówią: impetu nie mogli wytrzymać!... A co?... Impet, to grunt!...

— Pamiętajcie, byle z impetem!... Najlepszy to sposób na Szweda!

Gdyby tej szlachcie kazano w tej chwili skoczyć na nieprzyjaciela, niechybnie nie zabrakłoby jej impetu, ale tymczasem nieprzyjaciela nie było widać — natomiast, dobrze już w noc, rozległ się głos trąbki przed forpocztami. Przybywał drugi trębacz z listem od Wittemberga, wzywającym szlachtę do poddania się. Tłumy, dowiedziawszy się o tem, chciały posłańca rozsiekać, ale wojewodowie wzięli list do deliberacyi, choć treść jego była bezczelna.

Jenerał szwedzki oświadczał, że Karol Gustaw posyła swe wojska krewnemu Janowi Kazimierzowi, jako posiłki przeciw Kozakom, że zatem Wielkopolanie powinni się poddać bez oporu. Pan Grudziński, czytając

to pismo, nie mógł wstrzymać oburzenia i pięścią w stół uderzył, ale wojewoda poznański wnet uspokoił go pytaniem:

— Wierzysz waszmość w zwycięstwo?... Ile dni mogę się bronić?... Chceszli wziąć odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej, która jutro może być przełaną?...

Po dłuższej naradzie postanowiono nie odpowiadać i czekać, co się stanie. Nie czekano już długo. W sobotę, d. 24 lipca, strażę dały znać, że całe wojsko szwedzkie ukazało się naprzeciw Piły. W obozie zawrzało jak w ulu w wilią wyroju.

Szlachta siadała na koń, wojewodowie przebiegali szeregi, wydając sprzeczne rozkazy, aż dopiero pan Władysław wziął wszystko w ręce i przyprowadziwszy do porządku, wyjechał na czele kilkuset ochotników, by popробować harców za rzeką i ludzi z widokiem nieprzyjaciół oswoić.

Szła z nim jazda dość ochotnie, bo harce składały się zwykle z szeregu walk prowadzonych niewielkimi kupami lub pojedynczo, a takich walk, ćwiczona w sztuce robienia szablą, szlachta nie lękała się wcale. Wyszli więc za rzekę i stanęli w obliczu nieprzyjaciela, który zbliżał się coraz bardziej i czerniał długą linią na horyzoncie, jakoby bór świeżo z ziemi wyrosły. Rozwijały się więc pułki konne, piesze, ogarniając coraz szerszą przestrzeń.

Szlachta spodziewała się, że lada chwila sypną się ku niej harcownicy, rajtarzy, ale tymczasem nie było ich widać. Natomiast na wzgórzach, odległych o kilkaset kroków, zatrzymały się niewielkie kupki, w których widać było ludzi i konie i poczęły kręcić się na miejscu,

co ujrawszy pan Skoraszewski, zakomenderował bez zwłoki:

Lewo — w tył!

Ale jeszcze nie przebrzmiał głos komendy, gdy na wzgórkach wykwitły długie białe smugi dymu i niby ptastwo jakieś przeleciało ze świstem między szlachtą, potem huk wstrząsnął powietrzem, a jednocześnie rozległy się krzyki i jęki kilku rannych.

— Stój! — krzyknął pan Władysław.

Ptastwo przeleciało po raz drugi i trzeci — i znów świstowi zawtórowały jęki. Szlachta nie słuchała komendy naczelnika, owszem ustępowała coraz szybciej, krzycząc i pomocy niebieskiej wzywając — następnie oddział rozproszył się w mgnieniu oka po równinie i ruszył skokiem ku obozowi. Pan Skoraszewski kłął — nic nie pomogło.

Zegnawszy tak łatwo harcowników, Wittemberg posuwał się dalej, aż wreszcie stanął naprzeciw Ujścia, wprost przed szańcami, bronionemi przez szlachtę kaliską. Polskie armaty poczęły grać w tejże chwili, ale zrazu nie odpowiadano na owe salwy ze strony szwedzkiej. Dymy układały się spokojnie w jasnym powietrzu w długie pasma, rozciągające się między wojskami, a przez luki między nimi widziała szlachta pułki szwedzkie. piechoty i jazdy, rozwijające się ze straszliwym spokojem, jak gdyby pewne zwycięstwa.

Na wzgórzach zataczano armaty, podsypywano szańczyki, słowem, nieprzyjaciel szykował się, nie zwracając najmniejszej uwagi na kule, które nie dolatując do niego, obsypywały jeno piaskiem i ziemią pracujących przy szańczykach.

Wyprowadził jeszcze pan Stanisław Skrzetuski

dwie chorągwie Kaliszanów, chcąc śmiałym atakiem zmieszać Szwedów, ale nie poszli ochotnie; oddział rozciągnął się zaraz w bezładną kupę, bo gdy odważniejsi parli konie naprzód, tchórzliwsi wstrzymywali je umyślnie. Dwa pułki rajtary, wysłanej przez Wittemberga, po krótkiej walce spędziły z pola szlachtę i gnały pod obóz.

Tymczasem zapadł zmrok i zakończył bezkrwawą walkę.

Strzelano jednak z dział aż do nocy, poczem strzały umilkły, ale w obozie polskim podniosła się taka wrzawa, że słyhać ją było na drugim brzegu Noteci. Powstała ona najprzód z tego powodu, że kilkaset pospolitaków próbowało wymknąć się w ciemnościach z obozu. Inni spostrzegłszy to, poczęli grozić i nie puszczać. Brano się do szabel. Słowa „Albo wszyscy, albo nikt!“ znowu przelatywały z ust do ust. Lecz z każdą chwilą stawało się prawdopodobniejszem, że ujdą wszyscy. Wybuchło wielkie niezadowolenie z wodzów: „Wysłano nas z gołemi brzuchami przeciw armatom!“ — wołali pospolitacy.

Oburzano się również i na Wittemberga, że nie szanując zwyczajów wojennych, przeciw harcownikom nie harcowników wysyła, ale z armat ognia do nich niespodzianie każe dawać. „Każdy poczyna sobie, jak mu lepiej — mówiono — ale świńskiego to narodu obyczaj, czołem do czoła nie stanąć.“ Inni rozpaczali otwarcie. „Wykurzą nas ztąd, jak jaźwca z jamy“ — mówili desperaci. „Obóz źle zatoczony, szańce źle usypane, miejsce do obrony niestosowne.“ Od czasu do czasu odzywały się głosy: „Panowie bracia! ratujcie się!“ A inne wołały: „Zdrada! zdrada!“

Była to noc straszna: zamieszanie i rozprężenie wzrastało z każdą chwilą; rozkazów nikt nie słuchał. Wojewodowie potracili głowy i nie próbowali nawet przywrócić ładu. Niedołęstwo ich i niedołęstwo pospolitego ruszenia okazywało się jasno, jak na dłoni. Witemberg mógłby był tej nocy wziąć wstępny bojem obóz z największą łatwością.

Nastał świt.

Dzień czynił się blady, chmurny i oświecił chaotyczne zbiorowisko ludzi, upadłych na duchu, lamentujących, w znacznej części pijanych, gotowszych na hańbę, niż na walkę. Na domiar złego, Szwedzi, przeprawili się nocą pod Dzieńbowem na drugą stronę Noteci i otoczyli obóz polski.

Z tej strony nie było prawie wcale szanów i nie było zza czego się bronić. Należało otoczyć się wałem bez straty chwili czasu. Skoraszewski i Skrzetuski zaklinali, by to uczyniono, ale nikt już nie chciał o niczem wiedzieć.

Wodzowie i szlachta mieli na ustach jedno słowo: „paktować!“ Wysłano parlamentarzy. W odpowiedzi przybył z obozu szwedzkiego świetny orszak, na czele którego jechali: Radziejowski i generał Wirtz, obaj z zielonemi gałęziami.

Jechali ku domowi, w którym stał wojewoda poznański, ale po drodze zatrzymywał się Radziejowski wśród tłumów szlachty, kłaniał się gałęzią i kapeluszem, uśmiechał się, witał znajomych i mówił donośnym głosem:

Mości panowie, bracia najmilsi! Nie trwóście się! Nie jako wrogowie tu przybywamy. Od was samych zależy, by kropla krwi więcej nie była wycoczona. Jeżeli

chcecie zamiast tyrana, który nastaje na wolności wasze, który o *absolutum dominium* zamyśla, który ojczyznę do ostatniej zguby przywiódł, jeżeli chcecie, powtarzam, pana dobrego, wspaniałego, wojownika tak niezmiernej sławy, że na samo imię jego pierzchną wszyscy nieprzyjaciele Rzeczypospolitej — to oddajcie się w protekcję najjaśniejszemu Karolowi Gustawowi... Mości panowie, bracia najmilsi! Oto wiozę ze sobą poręczenie wszelkich swobód waszych, waszej wolności, religii. Od was samych ocalenie wasze zależy... Mości panowie! Najjaśniejszy król szwedzki podejmuje się przytłumić rebelią kozacką, zakończyć wojnę litewską i on jeden to uczynić potrafi. Ulitujcie się nad ojczyzną nieszczęsną, jeśli nad sobą nie macie litości...

Tu głos zdrajcy 'zadrzał, jakoby łzami przydużony. Słuchała szlachta w zdumieniu, gdzieniegdzie rzadkie głosy zakrzyknęły: „Vivat Radziejowski, nasz podkanclerzy!“ — a on przejeżdżał dalej i znów się kłaniał nowym tłumom i znów słyhać było jego tubalny głos: „Mości panowie, bracia najmilsi!“ Nakoniec obaj z Wirtzem i całym orszakiem znikli w domu wojewody poznańskiego.

Szlachta stłoczyła się przed domem tak ciasno, że po głowach można było przejechać, bo czuła to i rozumiała, że tam w tym domu toczy się sprawa nietylko o nią, ale i o całą ojczyznę. Wyszli słudzy wojewodzińscy w szkarłatnych barwach i poczęli zapraszać poważniejszych „personatów“ do środka. Ci weszli skwapliwie, a za nimi wdarło się kilku mniejszych, a reszta stała pod drzwiami, tłoczyła się do okien, przykładając uszy nawet do ścian.

Milczenie panowało w tłumach głębokie. Stojący bliżej okien słyszeli od czasu do czasu gwar donośnych głosów, wydobywający się z wnętrza izby, jakoby echa kłótni, dysput, sporów... Godzina upływała za godziną — końca tej naradzie nie było.

Nagle drzwi wchodowe otworzyły się z trzaskiem i wypadł z nich pan Władysław Skoraszewski.

Obecni cofnęli się w przerażeniu.

Ten człowiek, zwykle tak spokojny i łagodny, o którym mówiono, że rany mogły się goić pod jego ręką, wyglądał teraz strasznie. Oczy miał czerwone, wzrok obłąkany, odzież rozchlastaną na piersiach; obu rękoma trzymał się za czuprynę i tak wpadłszy, jak piorun, między szlachtę, krzyczał przeraźliwym głosem:

— Zdrada! morderstwo! hańba! Jesteśmy Szwecją już, nie Polską!

I począł ryczeć okropnym głosem, spazmatycznym płaczem i rwać włosy, jak człowiek, który rozum traci. Grobowe milczenie panowało dokoła. Straszne jakieś uczucie ogarnęło wszystkie serca.

Skoraszewski zaś zerwał się nagle, począł biegać między szlachtą i wołać głosem najwyższej rozpacz:

— Do broni! Do broni, kto w Boga wierzy! Do broni! do broni!

Wówczas jakieś szmery poczęły przelatywać po tłumach, jakieś szepty chwilowe, nagłe, urywane, jak pierwsze uderzenia wiatru przed burzą. Wahały się serca, wahały umysły, a w tej rozterce powszechnej uczuć, tragiczny głos wołał ciągle:

— Do broni! do broni!

Wkrótce zawtórowały mu dwa inne: pana Piotra Skoraszewskiego i pana Skrzetuskiego — za nimi nad-

biegł i Kłodziński, dzielny rotmistrz powiatu poznańskiego.

Coraz większe koło szlachty poczęło ich otaczać. Czynił się naokoło szmer groźny, płomienie przebiegały twarze i strzelały z oczu, trzaskano szablami. Władysław Skoraszewski opanował pierwsze uniesienie i począł mówić, ukazując na dom, w którym odbywała się narada:

— Słyszycie, mości panowie, oni tam ojczyznę zaprzędają, jak judasze i hańbią! Wiedźcie, że już nie należym do Polski. Mało im było wydać w ręce nieprzyjaciela was wszystkich, obóz, wojsko, działa. Bogdaj ich zabito! jeszcze podpisali w swoim i waszem imieniu, że wyrzekamy się związku z ojczyzną, wyrzekamy się pana, że cała kraina, grody, warownie i my wszyscy będziem po wieczne czasy do Szwecyi należec. Że się wojsko poddaje, to bywa; ale kto ma prawo ojczyzny i pana się wyrzekać?! Kto ma prawo prowincją odrywać, z obcymi się łączyć, do innego narodu przechodzić, krwi własnej się wyrzekać?! Mości panowie, to hańba, zdrada, morderstwo, paricydyum!... Ratujcie ojczyznę, panowie bracia! Na imię Boga! kto szlachcic, kto cnotliwy, ratunku dla matki! Życie dajmy, krew wylejmy! Nie chciejmy być Szwedami, nie chciejmy, nie chciejmy!... Bogdaj się nie rodził, kto krwi teraz poskapi!... Ratujmy matkę!!

— Zdrada! — krzyknęło już kilkadziesiąt głosów. — Zdrada! rozsiekać!

— Do nas, kto cnotliwy! — krzyczał Skrzetuski.

— Na Szweda! na śmierć! — dodał Kłodziński.

I poszli dalej w obóz, krzycząc: „Do nas! do

kupy! zdrada!“ — a za nimi ruszyło już kilkuset szlachty z gołemi szabłami.

Ale większość niezmierna została na miejscu, a i z tych, co poszli, jaki taki spostrzegłszy, że ich niewiele, poczynął się oglądać i przystawać.

A tymczasem drzwi radnego domu otworzyły się znowu i ukazał się w nich pan wojewoda poznański, Krzysztof Opaliński, mając po prawej stronie jenerała Wirtza, po lewej Radziejowskiego. Za nimi szli: Andrzej Karol Grudziński, wojewoda kaliski, Maksymilian Miaskowski, kasztelan krzywiński, Paweł Gębicki, kasztelan międzyrzecki i Andrzej Słupski.

Krzysztof Opaliński trzymał w ręku zwój pergaminowy ze zwieszającymi się pieczęciami; głowę miał podniesioną, ale twarz bladą, a wzrok niepewny, choć widocznie silił się na wesołość. Ogarnął oczyma tłumy i wśród ciszy śmiertelnej począł mówić dobitnym, lubo nieco zachrypłym głosem:

— Mości panowie! W dniu dzisiejszym podda-
liśmy się pod protekcją najjaśniejszego króla szwedz-
kiego. Vivat Carolus Gustavus rex!

Cisza odpowiedziała wojewodzie; nagle zabrzmiał jakiś pojedynczy głos:

— Veto!

Wojewoda powlókł oczyma w kierunku tego głosu i odrzekł:

— Nie sejmik tu, więc i veto nie na miejscu. A kto chce wetować, niechajże idzie na armaty szwedzkie ku nam wymierzone, które w godzinę z całego obozu jedno rumowisko uczynić mogą.

Tu umilkł, a po chwili spytał:

— Kto mówił: „veto?“

Nikt się nie ozwał.

Wojewoda znów zabrał głos i mówił jeszcze dobitniej :

— Wszelkie wolności szlachty i duchowieństwa będą zachowane, podatki nie będą powiększone a i wybierane będą w tenże sam sposób, jak poprzednio... Nikt nie będzie cierpiał krzywd, ani grabieży; wojska jego królewskiej mości nie mają prawa do konsystencyi w dobrach szlacheckich, ani do innej egzakcyi, niż taka, z jakiej komputowe polskie chorągwie korzystały...

Tu umilkł i słuchał chciwie szmeru szlacheckiego, jakby chciał wyrozumieć jego znaczenie, poczem skinął ręką :

— Prócz tego mamy słowo i obietnicę jenerała Wittemberga, daną w imieniu jego królewskiej mości, iż jeśli cały kraj pójdzie za naszym zbawiennym przykładem, wojska szwedzkie wnet ruszą na Litwę i Ukrainę i nie wprzód ustaną wojować, aż wszystkie ziemie i wszystkie zamki będą Rzeczypospolitej powrócone. Vivat Carolus Gustavus rex!

— Vivat Carolus Gustavus rex! — zawołało kilkaset głosów.

— Vivat Carolus Gustavus! — brzmiało coraz donośniej w całym obozie.

Tu na oczach wszystkich wojewoda poznański zwrócił się do Radziejowskiego i uściskał go serdecznie, potem uściskał Wirtza; poczem wszyscy poczęli się ścisnąć z sobą. Szlachta poszła za przykładem dygnitarzy i radość stała się powszechną. Wiwatowano już tak, że aż echa rozbrzmiewały w całej okolicy. Ale wojewoda poznański prosił jeszcze miłą brać o chwilę ciszy i rzekł serdecznym tonem:

— Mości panowie! Jenerał Wittemberg prosi nas dziś na ucztę do swego obozu, abyśmy przy kielichach sojusz braterski z mężnym narodem zawarli.

— *Wiwat Wittemberg! vivat! vivat! vivat!*

— A potem, mości panowie — dodał wojewoda — rozjedziem się do domów i przy pomocy Bożej rozpoczniem żniwa z tą myślą, żeśmy w dniu dzisiejszym ojczyznę ocalili.

— Potomne wieki oddadzą nam sprawiedliwość — rzekł Radziejowski.

— Amen! — dokończył wojewoda poznański.

Wtem spostrzegł, że oczy mnóstwa szlachty patrzą i przypatrują się czemuś wyżej, ponad jego głowę.

Obrócił się i ujrzał swego błazna, który wspinając się na palce i trzymając jedną ręką za odrzwia, pisał węglem na ścianie radnego domu, tuż nade drzwiami:

„Mane — Tekel — Fares“.

Na świecie niebo pokryło się chmurami i zbierało się na burzę.

ROZDZIAŁ XI.

We wsi Burzec, położonej w ziemi Łukowskiej, na pograniczu województwa Podlaskiego, a należącej podówczas do państwa Skrzetuskich, w sadzie, między dworem a stawem, siedział na ławie stary człowiek, a przy nogach jego bawiło się dwóch chłopaków: jeden pięcio, drugi czteroletni, czarnych i opalonych, jak cyganiątka, a rumianych i zdrowych. Stary człek również czerstwo jeszcze wyglądał, jak tur. Wiek nie zgarbił szerokich jego ramion; z oczu, a raczej z oka, bo jedno miał bielmem pokryte, patrzyło mu zdrowie i dobry humor; brodę miał białą, ale minę gęstą i twarz czerwoną, zdobną na czole w szeroką bliznę, przez którą było widać kość czaszki.

Obaj chłopaki, chwyciwszy za uszy od cholewy jego bóta, ciągnęły je w przeciwną stronę, a on patrzył na staw, oświecony blaskami słonecznymi, w którym ryby rzucały się gęsto, łamiąc gładką powierzchnię toni.

— Ryby tańczują — mrucał sam do siebie. — Nie bójcie się, będziecie wy jeszcze lepiej tańcowały po spuszcie, albo gdy was kucharka będzie nożem skrobała.

Poczem zwrócił się do chłopaków:

— Odczepcie się basatyki od cholewy, bo jak który ucho urwie, to i ja mu urwę. Co za bąki uprzykrzone! Idźcie kulki przewracać po trawie i dajcie mi spokój! Longinkowi się nie dziwię, bo młodszy, ale Jaremka winien mieć już rozum. Wezmę którego utrapieńca i w staw wrzucę!

Ale stary widocznie okrutnie był zawojowany przez chłopaków, bo żaden z nich nie uląkł się groźby; natomiast starszy Jaremka począł go jeszcze silniej ciągnąć za cholewę, tupać nogami i powtarzać:

— Żeby dziadzio był Bohunem i porwał Longinka.

— Odczep się, ty żuku, mówię ci, ty smyku, ty gomółko!

— Żeby dziadzio był Bohunem!

— Dam ja ci Bohuna, poczekaj, jeno matki zawołam!

Jaremka spojrział na drzwi, wychodzące z domu na ogród, ale ujrawszy, że zamknięte i nie widząc nigdzie matki, powtórzył po raz trzeci, wysuwając buzię naprzód:

— Żeby dziadzio był Bohunem!

— Zamęczą mnie te knoty, nie może inaczej być... Dobrze, będę Bohunem, ale raz jeden tylko. Skaranie Boże! Pamiętaj, żebyś się więcej nie naprzykrzał.

To rzekłszy, stary stęknął trochę, podniósł się z ławki, nagle porwał małego Longinka i wydając dzikie okrzyki, począł go unosić w kierunku stawu.

Longinek jednak miał dzielnego obrońcę w osobie Jaremki, który w takich razach nie nazywał się Jaremką, ale panem Michałem Wołodyjowskim, rotmistrem dragońskim.

Pan Michał tedy, zbrojny w pątyk lipowy, zastępujący w nagłym razie szablę, puścił się z impetem za otyłym Bohunem, dognał go wkrótce i począł siekać po nogach bez miłosierdzia.

Longinek, grający rolę mamy, wrzeszczał, Bohun wrzeszczał, Jaremka - Wołodyjowski wrzeszczał; ale męstwo wkońcu przemogło i Bohun, opuściwszy swą ofiarę, począł zmykać z powrotem pod lipę, nakoniec dopadłszy ławki, padł na nią, sapiąc straszliwie i powtarzając:

— Ha, basałyki!... Cud będzie, jeżeli się nie zatchnę...

Lecz nie tu był jeszcze koniec jego męki, gdyż za chwilę później stanął przed nim Jaremka, zarumieniony, z rozwianą czupryną i rozdętymi nozdrzami, podobny do małego czupurnego jastrząbka i jął powtarzać z większą jeszcze, niż poprzednio, energią:

— Żeby dziadzio był Bohunem!

Po wielu naleganiach i uroczystem przyrzeczeniu złożonem przez obydwóch chłopaków, że tym razem będzie to na pewno ostatni raz, historia powtórzyła się znowu z całą dokładnością; poczem już siedli we trzech na ławie i Jaremka począł nalegać:

— Dziadziu! powiedzcie, kto był najmężniejszy.

— Ty, ty! — odrzekł staruszek.

— I wyrosnę na rycerza?

— Pewnie, że wyrośniesz, bo dobra w tobie krew żołnierska. Daj ci Boże, abyś był do ojca podobny, bo przy męstwie mniej byłbyś uprzykrzony... Rozumiesz?

— Powiedzcie, ilu tata zabił?

— Mało sto razy mówiłem! Prędeżyście liście na tej lipie policzyli, niż tych wszystkich nieprzyjaciół,

którycheśmy obaj z waszym ojcem zgładzili. Gdybym miał tyle włosów na głowie, ilum sam położył, balwierze w Łukowskiem porobiliby fortuny — nic, tylko na podgalaniu mi czupryny. Szelmą jestem, jeśliż zeł...

Tu pan Zagłoba — onto był bowiem — spostrzegł, iż nie wypada mu ani zaklinać się, ani przeklinać wobec chłopaków, więc chociaż w braku innych słuchaczów lubił i dzieciom opowiadać o swych dawniejszych przewagach, zamilkł tym razem, zwłaszcza, że ryby w stawie poczęły się rzucać z podwójną siłą.

— Trzeba będzie powiedzieć ogrodnickowi, — rzekł — aby więcierze na noc zastawił; siła zacnych ryb przy samym brzegu się tłócze.

Wtem drzwi domu, wychodzące na ogród, otworzyły się i ukazała się w nich kobieta piękna jak południowe słońce, wysoka, tęga, czarnowłosa, z ciemnymi rumieńcami na twarzy i oczyma jak aksamit. Trzeci chłopak, trzylatek, czarny jak kula agatu, trzymał się za jej suknię, a ona nakrywszy oczy ręką, poczęła patrzeć w kierunku lipy.

Była to pani Helena Skrzetuska, z domu kniaziów Bułhów-Kurcewiczów.

Ujrawszy pana Zagłobę z Jaremką i Longinkiem pod lipą, posunęła się kilka kroków ku fosie, wypełnionej wodą i zawołała:

— A bywajcieño chłopcy! Pewnie tam dziaduniowi dokuczacie?

— Co mają dokuczać! Wcale się tu przystojnie zachowali — odpowiedział pan Zagłoba.

Chłopaki skoczyły ku matce, a ona rzekła:

— Co tatuś woli dziś pić, dębniaczek czyli miód?

— Świnina była na obiad, to miód będzie grzeczniejszy.

— Zaraz przyszlę. Ale niech jeno tatuś nie drzemie na powietrzu, bo febra pewna.

— Dziś ciepło i wiatru niema. A gdzie to Jan, córuchno?

— Poszedł do stodół.

Pani Skrzetuska mówiła panu Zagłobie: ojczy, a on jej: córuchno, choć wcale nie byli krewni. Jej rodzina mieszkała na Zadnieprzu, w dawnym państwie Wiśniowieckim, a co do niego, Bóg jeden wiedział, z kąd był rodem, gdyż sam rozmaicie o tem powiadał. Ale za czasów, gdy jeszcze była panną, Zagłoba znamienite jej oddał usługi i ze straszliwych niebezpieczeństw ratował, więc też oboje z mężem czcili go jako ojca i w całej okolicy niezmiernie był od wszystkich szanowany, tak dla obrotnego rozumu, jak i dla nadzwyczajnego męstwa, którego liczne w różnych wojnach, a mianowicie w kozackich, dał dowody.

Imię jego głośne było w całej Rzeczypospolitej — sam król kochał się w jego opowiadaniach i dówcipie, a wogóle więcej o nim mówiono, niż nawet o panu Skrzetuskim, chociaż pan Skrzetuski przedarł się w swoim czasie z obłożonego Zbaraża przez wszystkie wojska kozackie.

W chwilę po odejściu pani Skrzetuskiej, pacholik przyniósł pod lipę gąsiorek i szklanicę. Pan Zagłoba nalał, następnie zamknął oczy i począł próbować pilnie.

— Wiedział Pan Bóg dlaczego pszczoły stworzył! — mruknął pod nosem.

I jał popijać zwolna, oddychając przytem głęboko spoglądając na staw i za staw, hen, na czarne i sine

bory, ciągnące się jak okiem dojrzeć, po drugim brzegu. Godzina była druga po południu, a niebo bez chmurki. Kwiat lipowy spływał bez szelestu na ziemię, a na lipie między liśćmi śpiewała cała kapela pszczół, które wnet poczęły siadać na zrąbku szklanicy i zgarniać słodki płyn kosmatemi nóżkami.

Nad wielkim stawem, z trzcin odległych, przesłoniętych mgłą oddalenia, podnosiły się czasem stada kaczek, cyranek lub dzikich gęsi i szybowały w błękitnym przezroczu, podobne do czarnych krzyżyków; czasem klucz zórawi zaczerniał wysoko na niebie, grając donośnym krzykiem — zresztą cicho było naokoło i spokojnie i słoneczno i wesoło, jak to bywa w pierwszych dniach sierpnia, gdy zboża już dojrzały, a słońce sypie jakoby złoto na ziemię.

Oczy starego człowieka to podnosiły się ku niebu, ścigając stada ptastwa, to znowu ginęły w oddali, ale coraz senniejsze, w miarę jak miodu w gąsiorku ubywało i powieki ciężyły mu coraz bardziej — pszczoły śpiewały na różne tony swą piosenkę, jakoby umyślnie do poobiedniej drzemki.

— Tak, tak, dał Pan Bóg piękny czas na żniwa — mruknął pan Zagłoba. — I siano dobrze zebrane i żniwa duchem pójdą... Tak, tak...

Tu przymknął oczy, poczem otworzył je znowu na chwilę — mruknął jeszcze: „Zmęczyły mnie dzieciśka...” — i usnął na dobre.

Spał dość długo, ale po pewnym czasie zbudził go lekki powiew chłodniejszego powietrza, oraz rozmowa i kroki dwóch mężów, zbliżających się szybko pod lipę. Jeden z nich był to pan Jan Skrzetuski, słynny zbarszczyk, który od miesiąca wróciwszy od hetmanów z Ukra-

iny, bawił w domu, lecząc się z febry upartej; drugiego nie znał pan Zagłoba, chociaż wzrostem, postawą i nawet rysami twarzy, wielce był do Jana podobny.

— Przedstawiam wam, ojcaszku — rzekł Jan — stryjecznego mego, pana Stanisława Skrzetuskiego ze Skrzetuszewa, rotmistrza kaliskiego.

— Waszmość pan tak do Jana podobny, — odparł Zagłoba, mrógając oczyma i strząsając resztki snu z powiek — że gdziebym waszmości spotkał, zarazbym powiedział: „Skrzetuski!“ Hej, co za gość w domu!

— Miło mi zabrać znajomość z waćpanem dobrodziejem, — odparł Stanisław — tem bardziej, że imię znane mi było dobrze, bo je rycerstwo w całej Rzeczypospolitej ze czcią powtarza i za przykład podaje.

— Nie chwając się, robiło się, co mogło, póki się siłę czuło w kościach. Jeszcze i teraz radby człek wojny pokosztował, bo *consuetudo altera natura*. Ale czemu to waćpanowie tak strapieni jesteście, aż Janowi oblicze pobladło.

— Stanisław straszne przywiózł wieści — odrzekł Jan. — Szwedzi weszli do Wielkopolski i już ją całkiem zajęli.

Pan Zagłoba zerwał się z ławy, jakby mu czterdzieści lat ubyło, otworzył szeroko oczy i począł mimowoli macać się po boku, jakby szukając szabli.

— Jakto? — rzekł — jakto, całą ją zajęli?

— Bo ją wojewoda poznański i inni wydali pod Ujściem w ręce nieprzyjaciela — odparł Stanisław Skrzetuski.

— Dla Boga!... Co waćpan mówisz!... Poddali się!...

— Nietylko się poddali, ale podpisali ugodę,

w której wyrzekli się króla i Rzeczypospolitej... Odtąd tam ma już być Szwecya, nie Polska.

— Na miłosierdzie boskie! Na rany Ukrzyżowanego!... To się chyba świat kończy?... Co ja słyszę?... Jeszcześny wczoraj z Janem mówili o tej groźbie od Szweða, bo były wieści, że idą, ale obaj byliśmy pewni, że to się na niczem skończy, a co najwięcej na wyrzeczeniu się tytułu króla szwedzkiego przez naszego pana, Jana Kazimierza.

— A tymczasem zaczęło się od utraty prowincyi, a skończy się, Bóg wie na czem.

— Przestań waćpan, bo mnie krew zaleje!... Jakże?... I waćpan był pod Ujściem?... i waćpan patrzył na to wszystko własnymi oczyma?... Toż to poprostu zdrada była najzarazliwsza, w dziejach niesłychana!

— I byłem i patrzyłem, a czy to była zdrada, sam waszmość, gdy wszystko usłyszysz, osądzisz. Stałiśmy pod Ujściem, pospolite ruszenie i piechota łanowa, razem z piętnaście tysięcy ludzi i zalegaliśmy pasy nad Notecią *ab incursione hostili*. Prawda, że wojska było mało, a waszmość, jako doświadczony żołnierz, wiesz najlepiej, czy pospolite ruszenie może je zastąpić, a tem bardziej wielkopolskie, gdzie szlachta znacznie od wojny odwykła. Jednakże, gdyby się wódz był znalazł, można było postaremu dać wstręt nieprzyjacielowi i przynajmniej zatrzymać go, póki by Rzeczpospolita jakich posiłków nie obmyśliła. Ale ledwie się Wittemberg pokazał, zaczęto zaraz paktować, nim się kropla krwi polała. Potem przyjechał Radziejowski i sweni namowami sprawił to, co mówiłem, to jest i nieszczęście i hańbę, jakiej przykładowo dotąd nie było.

— Jakże? nikt się nie opierał?... Nikt nie protestował? Nikt zdrady na oczy tym szelmom nie wyrzucił?... Wszyscyż się na zdradę ojczyzny i pana zgodzili?...

— Ginie cnota, a z nią i Rzeczpospolita, bo prawie wszyscy się zgodzili... Ja, dwóch panów Skoraszewskich, pan Ciświcki i pan Kłodziński, czyniliśmy, cośmy mogli, aby ducha między szlachtą do oporu pobudzić. Pan Władysław Skoraszewski mało nie oszalał; lataliśmy po obozie od powiatu do powiatu i Bóg widzi, nie było tych zakłęb, którychbyśmy nie użyli. Ale cóż to pomogło, gdy większość wołała jechać z łyżkami na bankiet, który im Wittemberg obiecał, niż z szablami na bitwę. Widząc to, cnotliwsi rozjechali się na wszystkie strony — jedni do domów, drudzy do Warszawy. Panowie Skoraszewscy ruszyli właśnie do Warszawy i pierwsi wiadomość królowi przywiezła, a ja, nie mając żony, ni dzieci, tu przyjechałem do brata, w tej myśli, że się przecie razem na nieprzyjaciela wybierzemy. Szczęściem, żem waszmościów w domu zastał!

— To waszmość prosto zpod Ujścia?

— Prosto. Tylem tylko po drodze wypoczywał, ile było trzeba dla koni, a i to jeden mi padł ze zmęczenia. Szwedzi muszą już być w Poznaniu i ztamtąd prędko się po całym kraju rozleją.

Tu umilkli wszyscy. Jan siedział z dłońmi opartymi na kolanach, oczy wbił w ziemię i zamyślił się ponuro, pan Stanisław wzdychał, a pan Zagłoba, nie ochłonawszy jeszcze, spoglądał oślepiałym wzrokiem, to na jednego, to na drugiego...

— Złe to są znaki — rzekł wkońcu posępnie Jan. —

Dawniej na dziesięć zwycięstw przychodziła jedna klęska i świat dziwiłszy się męstwem. Dziś przychodzi nie tylko klęski, ale i zdrady — nietylko pojedynczych osób, ale całych prowincyj. Niech Bóg zmiłuje się nad ojczyzną!...

— Dla Boga, — rzekł Zagłoba — widziałem na świecie dużo, słyszę, rozumiem, a jeszcze mi się wierzyć nie chce...

— Co myślisz czynić, Janie? — rzekł Stanisław.

— Pewnie, że w domu nie ostanę, chociaż mnie zimno jeszcze trzęsie. Żonę i dzieci trzeba będzie gdzie bezpiecznie umieścić. Pan Stabrowski, mój krewny, jest łowczym królewskim w puszczy Białowieskiej i w Białowieży mieszka. Choćby cała Rzeczpospolita wpadła w moc nieprzyjaciół, to przecie tam nie trafią. Jutro zaraz żonę i dzieci wyszlę.

— I nie będzie to zbyt ostrożność, — odrzekł Stanisław — bo choć z Wielkopolski tutaj daleko, kto wie, czy płomień wkrótce i tych stron nie ogarnie.

— Trzeba będzie szlachcie dać znać, — rzekł Jan — ażeby się kupili i o obronie myśleli, bo tu jeszcze nikt o niczem nie wie.

Tu zwrócił się do pana Zagłoby.

— A wy, ojczy, pójdziecie z nami, czyli też Helenie zechcecie do puszczy towarzyszyć?

— Ja? — odpowiedział pan Zagłoba — czy pójdę? Chybaby mi nogi korzenie w ziemię puściły, wtedybym nie poszedł, a i to prosiłbym kogo, żeby mnie wykarczował. Tak mi się chce szwedzkiego mięsa znowu pokosztować, jak wilkowi baraniny! Ha! szelmy, pludraki, pończoszni!... Pchły im po łydkach inkursyą czynią, więc nogi ich swędzą i przeto w domu usie-

dzieć nie mogą, jeno do cudzych krajów leżą... Znam ja ich, takich synów, bom jeszcze pod panem Koniecpolskim przeciw nim czynił — a chcecie waszmościowie wiedzieć, kto wziął w jasyr Gustawa Adolfa, to się nieboszczyka pana Koniecpolskiego spytajcie. Nic więcej nie powiem! Znam ja ich, ale i oni mnie znają... Nie może być inaczej, tylko się szelmy zwiedzieli, że Zagłoba się zestarzał. Tak? Poczekajcie! zobaczycie go jeszcze!... Panie! Panie Wszzechmogący! czemuś to tak tę nieszczęsną Rzeczpospolitą rozgrodził, że wszystkie świnie sąsiedzkie włązą do niej teraz i trzy najlepsze prowincye już spyskały! Ot, co jest! Ba! ale któż temu winien, jeśli nie zdrajcy? Nie wiedziała zaraza kogo brać i zacnych ludzi pobrała, a zdrajców zostawiła. Dajże Boże jeszcze raz powietrze na pana wojewodę poznańskiego i na kaliskiego, a zwłaszcza na Radziejowskiego z całą rodziną. A jeśli chcesz więcej obywatelów piekłu przysporzyć, to poszlij wszystkich tych, którzy onę kapitulacją pod Ujściem podpisali. Zestarzał się Zagłoba? zestarzał? zobaczycie! Janie! radźmy prędzej, co czynić, bo jużbym chciał na końskim grzbiecie siedzieć!

— Pewnie, że trzeba radzić, gdzie iść. Na Ukrainę do hetmanów ciężko się przedostać, bo ich tam nieprzyjaciel odciał od Rzeczypospolitej i tylko do Krymu mają wolną drogę. Szczęście, że teraz Tatarzy po naszej stronie. Wedle mojej głowy, trzeba nam będzie do króla do Warszawy ruszyć, pana kochanego bronić!

— Byle był na to czas — odrzekł Stanisław. — Król jegomość musi tam na gwałt zbierać chorągwie i wprzód nim przyjdziemy, na nieprzyjaciela pociągnie, a może i spotkanie już nastąpi.

— I to być może.

— Jedźmy tedy ku Warszawie, byle śpiesznie — rzekł Zagłoba. — Posłuchajcie waćpanowie... Prawda, że nasze imiona groźne są nieprzyjacielowi, ale przecie we trzech niewiele wskóramy, więc jabym radził tak: Skrzyknijmy szlachty na ochotnika, ile się da, żeby tak choć z chorągiewkę panu przyprowadzić! Łatwo ich do tego namówimy, bo i tak muszą ruszyć, gdy przyjdą wici na pospolite ruszenie, więc im to wszystko jedno — a powiemy, że kto przed wiciami dobrowolnie stanie, miłą panu rzecz uczyni. Z większą siłą, więcej można będzie sprawić i przyjmą nas z otwartymi rękoma.

— Nie dziw się waszmość moim słowom, — rzekł pan Stanisław — ale po tem, com widział, takiego do pospolitego ruszenia nabrałem wstrętu, że wołę sam iść, niżeli z tłumem ludzi wojny nieznających.

— To waszmość nie znasz tutejszej szlachty. Tu jednego takiego nie upatrzysz, którenby w wojsku nie służywał. Wszystko ludzie doświadczeni i dobrzy żołnierze.

— Chyba, że tak.

— Zaś miałoby być inaczej? Ale poczekajcieno! Jan to już wie, że gdy raz pocznę głową robić, to mi sposobów nie brak. Dlatego w wielkiej żyłem konfiden-cyi z wojewodą ruskim, księciem Jeremim. Niech Jan zaświadczy, ile razy ten największy w świecie wojownik szedł za moją radą i zawsze na tem wygrał.

— Mówcieno ojczy, co chcecie powiedzieć, bo czasu szkoda — rzekł Jan.

— Co chciałem powiedzieć? Oto, co chciałem powiedzieć: nie ten broni ojczyzny i króla, kto się króla za poły trzyma, ale ten, kto nieprzyjaciela bije: a bije

ten najlepiej, kto pod wielkim wojownikiem służy. Po-
co mamy na niepewne do Warszawy chodzić, kiedy król
jegomość właśnie może już do Krakowa, do Lwowa,
albo na Litwę wyjechał; ja waszmościom radzę, abyśmy
bez zwłoki udali się pod chorągwie hetmana wielkiego
litewskiego, księcia Janusza Radziwiłła. Szczerzy to pan
i wojenny. Chociaż go o pychę pomawiają, pewnie nie
będzie on przed Szwedami kapitulował. To przynaj-
mniej wódz i hetman, jak się należy. Ciasno tam bę-
dzie prawda, bo z dwoma nieprzyjaciółmi robota;
ale zato pana Michała Wołodyjowskiego zobaczymy,
który w kompucie litewskim służy i znów postaremu
do kupy się zbierzem, jako za dawnych czasów. Je-
żeli nie dobrze radzę, niechże mnie pierwszy Szwed
za rapcie w jasyr poprowadzi.

— A kto wie? a kto wie? — odrzekł żywo Jan —
Może tak będzie najlepiej.

— I jeszcze Halszkę z dziećmi po drodze odpro-
wadzimy, bo właśnie przez puszcę przyjdzie nam je-
chać...

— I w wojsku, nie między pospolitakami będziemy
służyli — dodał Stanisław.

— I będziem się bić, nie sejmikować, ani kury
po wsiach i twarogi wyjadać.

— Waszmość to widzę nietylko w wojnie, ale
i w radzie prym możesz trzymać — rzekł pan Stanisław.

— Co? ha?

— Istotnie, istotnie! — rzekł Jan. — Najlepsza
to rada. Postaremu, kupą z Michałem pójdziemy.
Poznasz, Stanisławie, największego żołnierza w Rzeczy-
pospolitej i przyjaciela mego szczerego, brata. Pójdźmy

teraz do Halszki powiedziec jej, żeby się też w drogę szycowała.

— Aza wie ona już o wojnie? — zapytał pan Zagłoba.

— Wie, wie, bo przy niej najpierw Stanisław opowiadał. Cała we łzach nieboga... Ale gdym jej rzekł, że trzeba iść, zaraz mi powiedziała: „Idź!”

— Chciałbym jutro już ruszyć! — zakrzyknął Zagłoba.

— To też wyruszmy jutro i to do dnia — rzekł Jan. — Ty, Stanisławie, musisz być fatigatus wielce po drodze, ale do jutra wywczasujesz się, jak będziesz mógł. Ja dziś jeszcze konie wyszlę z pewnymi ludźmi do Białej, do Łosic, do Drohiczyna i do Bielska, żeby wszędzie świeże były na przeprzążkę. A za Bielskiem puszcza tuż. Wozy z zapasami wyjdą także dzisiaj. Żal z kochanego kąta ruszać w świat, ale wola boska! Tem się pocieszam, że o żonę i dziatki będę bezpieczny, bo puszcza najlepsza to w świecie forteca. Chodźcie waszmościowie do domu, bo czas się ekspedycją zająć.

Poszli.

Pan Stanisław, zdrożony wielce, ledwie się posiliwszy i napiwszy, zaraz spać poszedł, a pan Jan z panem Zagłobą zakrzętnęli się około wyprawy. I że ład był u pana Jana wielki, więc wozy i ludzie ruszyli tegoż jeszcze wieczora, na noc, a nazajutrz w dzień pociągnęła za nimi kolaska, w której siedziała Helena z dziećmi i jedna stara panna, rezydentka. Pan Stanisław, pan Jan, wraz z pięcioma pacholkami, jechali konno koło kolaski. Cały orszak posuwał się żywo, bo po miastach świeże konie czekały.

Tak jadąc i nie wypoczywając nawet nocami, piątego dnia dojechali do Bielska, a szóstego pograżyli się już w puszcę od strony Hajnowszczyzny.

Objęły ich wraz mroki olbrzymiego boru, który podówczas kilkadziesiąt mil kwadratowych okrywał, łącząc się z jednej strony pasmem nieprzerwanem aż hen z puszcą Zielonką i Rogowską, z drugiej z pruskimi borami.

Żaden najeźdnik nie deptał nigdy nogą tych ciemnych głębin, w których człek nieobeznany mógł zabłądzić i błąkać się wkoło, aż póki nie padł z wysilenia lub nie poszedł na łup drapieżnym zwierzętom. Nocami odzywały się tu ryki żubrów i niedźwiedzi, wraz z wyciem wilków i beczaniem chrapliwym rysiów. Niepewne drogi wiodły wśród gęstwy lub gołoborza, obok zwałów, wywrotów, bagien i straszliwych śpiących jezior, do rozrzuconych wsi budników, smolarzy i osaczników, którzy częstokroć przez całe życie nie wychylali się z puszczy. Do Białowieży tylko samej prowadził szerszy gościniec, przerywany Suchą drogą, którą królowie jeździli na łowy. Tędy też od strony Bielska i Hajnowszczyzny jechali Skrzetuscy.

Pan Stabrowski, łowczy królewski, stary samotnik i kawaler, siedzący ustawicznie jak żubr w puszczy, przyjął ich z otwartymi rękami; dzieci zaś mało nie zdusił w pocałunkach. Żył bowiem tylko z osacznikami, szlacheckiej twarzy nie widując, chyba wtedy gdy dwór zjechał na łowy.

Onto zawiadował całym gospodarstwem myśliwskim i wszystkimi smolarniami puszczy. Wielce się strapił wieścią o wojnie, o której się dopiero z ust pana Skrzetuskiego dowiedział.

Częstokroć bowiem tak bywało, że w Rzeczypospolitej paliła się wojna, umierał król, a do puszczy wieść o tem nawet nie dochodziła; dopiero pan łowczy przywoził nowiny, gdy od pana podskarbiego litewskiego wracał, któremu raz do roku rachunki z puszczańskiego gospodarstwa obowiązany był składać.

— Nudno tu będzie, bo nudno! — mówił pan Stabrowski do Heleny — ale przepiecznie, jakby nigdzie na świecie nie było. Żaden nieprzyjaciel nie przedrze się przez te ściany, a choćby i próbował, toby mu osacznicy wszystkich ludzi w lot wystrzelali. Łatwiej Rzeczpospolitą całą zawojować — czego Boże nie daj! — niż puszcę. Dwadzieścia lat już tu żyję, a i ja jej nie znam, bo są miejsca, gdzie dostąpić nie można i gdzie zwierz tylko mieszka, a może i złe duchy mają swoje stące, do których się przed głosami dzwonów kościelnych chronią. Ale my żyjemy pobożemu, bo we wsi jest kaplica; do której ksiądz z Bielska raz na rok zjeżdża. Będzie wam tu, jak w niebie, jeśli nuda nie dokuczy. Zato drzew na opał nie zbraknie...

Pan Jan rad był z całej duszy, że takie schronisko dla żony wynalazł; ale próżno go pan Stabrowski zatrzymywał i ugaszczwał.

Przenocowawszy tylko, ruszyli rycerze nazajutrz świtaniem nawskroś puszczy w dalszą drogę, prowadzeni w labiryncie leśnym przez przewodników, których pan łowczy dostarczył.

ROZDZIAŁ XII.

Gdy pan Jan Skrzetuski ze stryjecznym Stanisławem i panem Zagłobą, po uciążliwej drodze z puszczy, przybyli wreszcie do Upity, pan Michał Wołodyjowski mało nie oszalał z radości, zwłaszcza, że dawno już nie miał o nich żadnej wieści, o Janie zaś myślał, że znajduje się z chorągwią królewską, której porucznikował na Ukrainie u hetmanów.

Brał ich też z kolei w ramiona i wyściskawszy, znowu ścisnął i ręce zacierał; a gdy mu powiedzieli, że pod Radziwiłłem chcą służyć, uradował się jeszcze bardziej na myśl, że nie prędko się rozłączą.

— Chwała Bogu, że do kupy się zbieramy, starzy zbarażczykowie — mówił. — Człowiek i do wojny większą ma ochotę, gdy czuje konfidentów koło siebie.

— To była moja myśl — rzekł pan Zagłoba — bo oni do króla chcieli lecieć... Ale ja powiedziałem: a czemu to nie mamy sobie z panem Michałem starych czasów przypomnieć? Jeśli nam Bóg tak poszczęści, jak z Kozakami i z Tatarami szczęścił, to niejednego Szweda wkrótce mieć będziem na sumieniu.

— Bóg waści natchnął tą myślą! — rzekł pan Michał.

— Ale mi dziwno — rzekł Jan — żeście o Ujściu i o wojnie już wiedzieli. Stanisław ostatnim końskim tchem do mnie przyjechał, a my tak samo tu jechali, myśląc, że pierwsi będziemy nieszczęście zwiastowali.

— Musiała przez Żydów wieść tutaj przyjść, — rzekł Zagłoba — bo oni zawsze najpierwsi wszystko wiedzą i taka między nimi korespondencya, że jak który rano kichnie w Wielkopolsce, to już wieczorem mówią mu na Żmudzi i na Ukrainie: „na zdrowie!“

— Nie wiem, jak to było, ale od dwóch dni wiemy — rzekł pan Michał — i konsternacya tu okrutna... Pierwszego dnia jeszcześmy nie bardzo wierzyli, ale drugiego już nikt nie negował... Co więcej powiem: jeszcze wojny nie było, a rzekłbyś, ptaki o niej śpiewały w powietrzu, bo wszyscy naraz i bez powodu poczęli o niej gadać. Nasz książę-wojewoda musiał się też jej spodziewać i coś przed innymi wiedzieć, bo się kręcił, jak mucha w ukropie i w ostatnich czasach do Kiejdan przyleciał. Zaciągi od dwóch miesięcy z jego rozkazu czyniono. Zaciągałem ja, Stankiewicz i niejaki Kmicic, chorąży orszański, który, jako słyszałem, już gotowiuską chorągiew do Kiejdan odprowadził. Ten się najpierw z nas wszystkich uwinął...

— Znaszże ty, Michale, dobrze księcia-wojewodę wileńskiego? — pytał Jan.

— Jak go nie mam znać, kiedym całą wojnę terazniejszą pod jego komendą odbywał.

— Co wiesz o jego zamysłach? Zacny to pan?

— Wojownik jest doskonały; kto wie, czy po śmierci księcia Jeremiego w Rzeczypospolitej nie największy... Pobili go, prawda, teraz, ale miał sześć ty-

sięcy wojska na ośmdziesiąt... Pan podskarbi i pan wojewoda witebski okrutnie go zato potępiają, mówiąc, iż przez to z tak małą siłą się porwał na ową niezmierną potęgę, ażeby się z nimi wiktoryą nie dzielić. Bóg raczy wiedzieć, jak było... Ale stawał mężnie i sam życia nie szczędził... A ja, którym na wszystko patrzył, tyle tylko powiem, iż gdyby miał dosyć wojska i pieniędzy, noga nieprzyjacielska nie uszłaby z tego kraju. Tak myślę, że szczerze on się teraz weźmie do Szwedów i pewno ich tu nie będiem czekali, ale do Inflant ruszymy.

— Z czegożto suponujesz ?

— Z dwóch powodów : raz, że książę będzie chciał reputacją swą, nieco po cybichowskiej bitwie zachwianą, poprawić, a powtóre, że wojnę kocha...

— Tak jest — rzekł Zagłoba — znam ja go, bośmy razem w szkołach byli i pensa za niego odrabiałem. Zawsze się kochał w wojnie i dlatego lubił ze mną lepiej niż z innymi kompanią trzymać, bom ja także wołał konia i dzidkę niż łacinę.

— Z pewnością, że to nie wojewoda poznański, z pewnością, że to zgoła inny człowiek — rzekł pan Stanisław Skrzetuski.

Wołodujowski począł go wypytywać o wszystko, co się pod Ujściem zdarzyło i za czuprynę się targał, słuchając opowiadania ; wreszcie, gdy pan Stanisław skończył, rzekł :

— Masz waszmość słuszność ! Nasz Radziwiłł do takich rzeczy niezdolny. Pyszny on jak dyabeł i zdaje mu się, że w całym świecie większego rodu od Radziwiłłowskiego niema, prawda ! Oporu on nie znosi, prawda — i na pana podskarbiego Gosiewskiego, zanego człeka, o to zgniewan, że ten nie skacze, jak mu

Radziwiłły zagrają. Na króla jegomości także krzyw, że mu buławy wielkiej litewskiej dość prędko nie dał. . . Wszystko to prawda, jak i to, że woli w bezecnych błędach kalwińskich żyć, niż do prawdziwej wiary się nawrócić; że katolików, gdzie może ciśnie; że zbory heretyków stawia. . . Ale za to przysięgnę, że wolałby ostatnią kroplę swojej pysznej krwi wytoczyć, niż taką kapitulacją, jak pod Ujściem, podpisać. . . Będziem mieli wojny w bród, bo nie skryba, ale wojownik będzie nam hetmanił.

— W to mi graj! — rzekł Zagłoba. — Niczego więcej nie chcemy. Pan Opaliński skryba i zaraz się pokazało, do czego zdalny. . . Najpodlejszy to gatunek ludzi! Każdy z nich niech jeno pióro z kupra gęsi wyciągnie, to zaraz myśli, że wszystkie rozумы pojadł. . . Taki syn innym przymawia, a jak przyjdzie do szabli, to go niemasz. Sam zamłodu rytmy układałem, żeby biało-głowskie serca kaptować i byłbym pana Kochanowskiego w kozi róg z jego fraszkami zapędził, ale potem żołnierska natura wzięła górę.

— Przytem jeszcze i to wam powiem, — rzekł Wołodyjowski — że skoro się tu szlachta ruszy, to się kupa ludzi zbierze, byle pieniędzy nie zabrakło, bo to rzecz najważniejsza.

— Na Boga, nie chcę pospolitaków! — zakrzyknął pan Stanisław. — Jan i jegomość pan Zagłoba znają już moj sentyment, a waszności powiem, że wolę być ciurą w regularnej chorągwi, niż hetmanem nad całym pospolitem ruszeniem.

— Tutejszy lud mężny — odrzekł pan Wołodyjowski — i bardzo sprawny. Mam tego przykład z mojego zaciągu. Nie mogłem pomieścić wszystkich, którzy

się garnęli, a między tymi, których przyjąłem, niemasz i jednego takiego, coby poprzednio nie służył. Pokażę wasiom tę chorągiewkę i upewniam, że gdybyście nie wiedzieli ode mnie, tobyście nie poznali, że to nie starzy żołnierze. Każdy bity i kuty w ogniu, jak stara podkowa, a w szyku stoją, jako triarii rzymscy. Nie pójdzie z nimi tak łatwo Szwedom, jak pod Ujściem z Wielkopolanami.

— Mam nadzieję, że to Bóg wszystko odmieni — rzekł Skrzetuski. — Mówią, że Szwedzi dobrzy pachotkowie, ale przecie nigdy nie mogli naszym wojskom komputerem wytrzymać. Biliśmy ich zawsze — to już wypróbowana rzecz — biliśmy ich nawet wtedy, gdy im przywoził największy wojownik, jakiego kiedykolwiek mieli.

— Co prawda, to okrutnie ciekawy, co też umięją — odpowiedział pan Wołodyjowski — i gdyby nie to, że dwie inne wojny jednocześnie ojczyznę gnębią, wcalebym się o tę szwedzką nie rozgniewał. Popróbowaliśmy i Turków i Tatarów i Kozaków i Bóg wie nie kogo — godzi się teraz Szwedów popróbować. W koronie z tem tylko może być kłopot, że wszystkie wojska z hetmanami na Ukrainie zajęte. Ale tu widzę już, co się stanie. Oto książę wojewoda dotychczasową wojnę panu podskarbiemu Gosiewskiemu, hetmanowi polnemu zostawi, a sam się Szwedami szczerze zajmie. Ciężko będzie, prawda! Wszelako miejmy nadzieję, że Pan Bóg pomoże.

— Jedźmy tedy, nie mieszkając, do Kiejdan! — rzekł pan Stanisław.

— Dostałem też rozkaz, żeby chorągiew mieć w pogotowiu, a samemu się w trzech dniach w Kiejda-

nach stawić — odpowiedział pan Michał. — Ale muszę też waściom ten ostatni rozkaz pokazać, bo już z niego znacznie, że tam książę wojewoda myśli o Szwedach.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski otworzył kluczem sepecik, stojący pod oknem na ławie, wy dobył z niego papier złożony na dwoje i rozwinąwszy, począł czytać.

„Mości panie Wołodyjowski pułkowniku!

„Z wielką radością odczytaliśmy raport waszmości, że chorągiew już na nogach i w każdej chwili może w pochód ruszyć. Trzymaj ją waćpan w czujności i pogotowiu, bo przychodzą tak ciężkie czasy, jakich jeszcze nie bywało, sam zaś przybywaj jak najspieszniej do Kiejdan, gdzie go niecierpliwie oczekiwać będziemy. Gdyby waszmości dochodziły jakie wieści — tym nie wierz, aż wszystko z naszych ust usłyszysz. Postąpimy tak, jak sam Bóg i sumienie nakazuje, bez uwagi na to, co złość i nieżyczliwość ludzka może na nas wymyślić. Ale zarazem cieszymy się, iż nadchodzą takie terminy, w których pokaże się dowodnie, kto jest szczerym i prawdziwym przyjacielem Radziwiłłowskiego domu i kto nawet *in rebus adversis* służyć mu gotów. Kmicic, Nie-wiarowski i Stankiewicz przyprowadzili tu już swoje chorągwie; waszmościna niech w Upicie zostanie, bo tam możebyćpotrzeba, a może przyjdzie wam ruszyć na Podlasie pod komendą brata mojego stryjecznego j. o. x. Bogusława, który tam znaczne partye naszych sił ma pod sobą. O tem wszystkim dowiesz się dokładnie z ust naszych — tymczasem zaś polecamy wierności waszej pilne rozkazów spełnienie i oczekujemy cię w Kiejdanach.

Janusz Radziwiłł,

Xiąże na Birzach i Dubinkach,
wojewoda Wileński, hetman w. litewski.

— Tak jest! widoczna już z tego listu nowa wojna! — rzekł Zagłoba.

— A że książę pisze, że postąpi jak mu Bóg nakazuje, to znaczy, że będzie bił Szweda — dodał pan Stanisław.

— Dziwno mi tylko, — rzekł pan Skrzetuski — że pisze o wierności dla domu Radziwiłłowskiego, nie dla ojczyzny, która więcej od Radziwiłłów znaczy i pilniejszego ratunku potrzebuje.

— To taka ich pańska maniera, — odparł Wołodyjowski — choć i mnie się to zaraz nie spodobało, boć i ja ojczyźnie, nie Radziwiłłom służę.

— A kiedyś ten list odebrał? — spytał Jan.

— Dziś rano i właśnie po południu chciałem ruszyć. Wy się przez ten wieczór wywczasujecie po podróży, a ja jutro pewnie wrócę i zaraz z chorągwią ruszymy, gdzie nam każą.

— Może na Podlasie? — rzekł Zagłoba.

— Do księcia koniuszego! — powtórzył pan Stanisław.

— Książę koniuszy, Bogusław, także teraz w Kiejdanach — odparł Wołodyjowski. — Ciekawa to persona i pilnie mu się przypatrujcie. Wojownik wielki i rycerz jeszcze większy, ale niemasz w nim za grosz Polaka. Zcudzoziemska się nosi i poniemiecku, albo zgoła po francusku gada, jakoby orzechy gryzł, której mowy go dzinę możesz słuchać i nic nie wyrozumiesz.

— Książę Bogusław pod Beresteczkiem pięknie sobie poczynał — rzekł Zagłoba — i poczet piękny niemieckiej piechoty wystawił.

— Ci co go bliżej znają, nie bardzo go chwala, — mówił dalej Wołodyjowski — bo się jeno w Niemcach

i Francuzach kocha, co nie może inaczej być, gdyż się z niemkini rodzi, elektorówny brandeburskiej, za którą ojciec jego nieboszczyk, nietylko, że wiana żadnego nie wziął, ale, jakto widać u tych książątek chuda fara jeszcze dopłacić musiał. Ale Radziwiłłom chodzi o to, by w rzeszy niemieckiej, której są książętami, *suffragiu* mieli i dlatego radzi z Niemcami się łączyć. Powiadał mi o tem pan Sakowicz, dawny sługa księcia Bogusława, któremu ten starostwo oszmiańskie puścił. On i pan Niewiarowski, pułkownik, bywali z księciem Bogusławem za granicą po różnych zamorskich krajach i zawsze na świadków do pojedynków służywali.

— Tyleż to on pojedynków odbywał? — pytał pan Zagłoba.

— Ile ma włosów na głowie! Różnych on tam książąt i grafów zagranicznych, francuskich i niemieckich, siła poszczerbił, bo to, mówią, człek bardzo zapalczywy a mężny i o lada słowo na pole wyzywa.

Pan Stanisław Skrzetuski rozbudził się z zamyslenia i rzekł.

— Słyszałem i ja o księciu Bogusławie, bo to od nas do elektora niedaleko, u którego on ciągle przesieduje. Pamiętam i to jeszcze, co ojciec wspominał, że jak się rodzic księcia Bogusława z elektorówną żenił, to ludzie sarkali, że tak wielki dom jak Radziwiłłowski, z obcymi się łączy, ale bogdaj, że lepiej się stało, gdyż teraz elektor, jako radziwiłłowski koligat, tem życzliwszy powinien być Rzeczypospolitej, a od niego teraz siła zależy. To, co waszmość powiadasz, że u nich chuda fara, to tak nie jest. Pewnie, że gdyby kto Radziwiłłów wszystkich sprzedał, toby za nich elektora z całym księstwem kupił, ale dzisiejszy kurfirst Fryderyk Wil-

helm zebrał już niemało grosza i ma dwadzieścia tysięcy wojska bardzo porządnego, z którym śmiało mógłby się Szwedom zastawić, co jako lennik Rzeczypospolitej powinien uczynić, jeżeli Boga ma w sercu i pamięta wszystkie dobrodziejstwa, które Rzeczpospolita jego domowi świadczyła.

— Zali on to uczyni? — pytał Jan.

— Czarna byłaby to niewdzięczność i wiarołomstwo z jego strony, gdyby inaczej postąpił! — odparł Stanisław.

— Ciężko to na wdzięczność cudzą liczyć, a zwłaszcza na heretycką — rzekł pan Zagłoba. — Pamiętam jeszcze wyrostkiem tego waszego kurfirsta; zawsze to mruk był, rzekłbyś ciągle słucał, co mu dyabeł do ucha szepce. Powiedziałem mu to w oczy, gdyśmy z panem Koniecpolskim nieboszczykiem w Prusach byli. Taki on luter, jak i król szwedzki. Daj Boże, żeby się jeszcze ze sobą przeciw Rzeczypospolitej nie sprzymierzyli...

— Wiesz, co Michale? — rzekł nagle Jan. — Nie będę dziś wypoczywał, ale pojedę z tobą do Kiejdan. Teraz nocami lepiej jechać, bo we dnie upał, a pilno mi już wyjść z niepewności. Na wypoczynek jeszcze czas, bo pewnie książe jutro jeszcze nie ruszy.

— Tem bardziej, że chorągiew kazał w Upicie zatrzymać — odrzekł pan Michał.

— Dobrze mówicie! — zawołał pan Zagłoba — pojedę i ja!

— To jedźmy wszyscy razem — dodał pan Stanisław.

— Akurat na jutro rano będziemy w Kiejdanach, — rzekł pan Wołodyjowski — a w drodze i na kulbakach można się słodko przedzemać.

We dwie godziny później, podjadłszy i podpiwszy nieco, ruszyli rycerze w podróż i jeszcze przed zachodem słońca stanęli w Krakinowie.

Przez drogę opowiadał im pan Michał o okolicy, o sławnej szlachcie laudańskiej, o Kmicicu i o wszystkim, co się od pewnego czasu zdarzyło. Przyznał się i do afektu swego dla panny Billewiczówny, nieszczęśliwego, jak zwykle.

— Cała rzecz, że wojna bliska, — mówił — bo inaczej srodzebym się zmartwił, gdyż czasem myślę, że takieto już moje nieszczęście i że chyba przyjdzie mi i umrzeć w kawalerskim stanie.

— Nie stanie ci się krzywda, — rzekł pan Zagłoba — bo zacny to jest stan i Bogu miły. Umyśliłem też trwać w nim do końca życia. Czasem i żal, że nie będzie komu sławy i imienia przekazać, bo chociaż miłuję dzieci Jana, jak swoje, wszelako Skrzetuscy, to nie Zagłobowie.

— O niecnoto! — rzekł Wołodyjowski. — Takeś się waćpan wcześniej z tem postanowieniem wybrał, jak wilk, który ślubował owiec nie dusić, gdy mu wszystkie zęby wypadły.

— A nieprawda! — rzekł Zagłoba. — Nie takto dawno, panie Michale, jakeśmy ze sobą w Warszawie na elekcyi byli. Za kimże się wszystkie podwiki oglądały, jeśli nie za mną?... Pamiętasz, jakeś to narzekał, że na ciebie żadna nie spojrzy? Ale jeśli taką masz ochotę do stanu małżeńskiego, to się nie martw. Przyjdzie i twoja kolej. Na nic tu szukanie i właśnie wtedy znajdziesz, kiedy nie będziesz szukał. Teraz czasy wojenne i siła zacnych kawalerów corok ginie. Niech jeno i ta szwedzka wojna potrwa, to dziewczki do reszty

stanieją i będziemy je na tuziny na jarmarku kupowali.

— Może i mnie zginąć przyjdzie — rzekł pan Michał. — Dość mam tego kołatania się po świecie. Nigdy waściom nie zdołam wypowiedzieć, jak zacna jest i urodziwa panna, ta Billewiczówna. Byłby ją człowiek miłował i hołubił, jakby co najlepszego... Nie! musieli dyabli przynieść tego Kmicica... Chyba on jej coś zadał, nie może inaczej być, bo gdyby nie to, pewnieby mnie nie przepędziła. Ot, patrzcie! Właśnie tam zza górki Wodokty widać, ale w domu niemasz nikogo, bo ona pojechała Bóg wie gdzie... Moje to byłoby schronisko; niechbym był tu żywota dokonał... Niedźwiedź ma swój barłóg, wilk swoją jamę, a ja, ot! jeno tę szkapę i tę kulbakę, na której siedzę...

— To widzę, że cię jak cierń zakłóła? — rzekł pan Zagłoba.

— Pewnie, że jak sobie wspomnę, albo, mimo przejeżdżając, Wodokty zobaczę, to mi jeszcze żal... Chciałem klin klinem wybić i pojechałem do pana Szylinga, który ma córkę bardzo urodziwą. Raz ją w drodze zdaleka widziałem i okrutnie mi w oko wpadła. Pojechałem tedy — i cóż waćpaństwo powiecie — ojcam w domu nie zastał a panna Kachna myślała, że to nie pan Wołodyjowski, tylko pacholek pana Wołodyjowskiego przyjechał... Takem ten afront wziął do serca, zem się tam więcej nie pokazał.

Zagłoba począł się śmiać.

— Bodajże cię, panie Michale! Cała rzecz w tem, żebyś znalazł żonę tak niekzemnej urody, jak sam jesteś. A gdzie się to ona bestyjka podziała, co to przy księżnic Wiśniowieckiej respektową była, z którąto nieboszczyk

pan Podbipięta — Panie! świeć nad jego duszą, — miał się żenić? Ta miała urodę w sam raz dla ciebie, bo istna to była pestka, choć jej się oczy okrutnie świeciły.

— To Anusia Borzobohata Krasieńska — rzekł pan Jan Skrzetuski. — Wszyscyśmy się w niej swego czasu kochali i Michał także. Bóg raczy wiedzieć, co się z nią teraz dzieje.

— Żeby ją tak odszukać, a pocieszyć! — rzekł pan Michał. — Jakeście ją wspomnieli, aż mi się ciepło koło serca uczyniło. Najzaciejsza to była dziewczka. Bóg by mi dał ją spotkać!... Ej, dobre to były dawne łubniańskie czasy, ale się już nigdy nie wróca. Nie będzie też już chyba nigdy takiego wodza, jak był nasz książę Jeremi. Człowiek wiedział, że po każdym spotkaniu wiktorya nastąpi. Radziwiłł wielki wojownik, ale nie taki i już nie z tem sercem mu się służy, bo on i jego ojcowskiego afektu dla żołnierzy nie ma i do konfidencyi nie dopuszcza, mając się za jakowegoś monarchę, chociaż przecie Wiśniowieccy nie gorsi byli od Radziwiłłów.

— Mniejsza z tem — rzekł Jan Skrzetuski. — W jego ręku teraz zbawienie ojczyzny, a że gotów za nią życie oddać, niech mu Bóg błogostawi.

Takto rozmawiali rycerze, jadąc wśród nocy i to dawne sprawy wspominali, to mówili o terażniejszych ciężkich czasach, w których trzy wojny naraz zwały się na Rzeczpospolitą.

Później zabrali się do pacierzy wieczornych i do odmawiania litanii, a gdy ją skończyli, sen ich zmorzył i zaczęli drzemać i kiwać się na kulbakach.

Noc była pogodna, ciepła; gwiazdy migotały tysiącami na niebie; oni, jadąc noga za nogą, spali smaczno, aż dopiero, gdy zaczęło świtać, zbudził się pierwszy pan Michał.

— Mości panowie, otworzyć oczy, Kiejdany już widać! — zakrzyknął.

— Co? hę? — rzekł Zagłoba — Kiejdany? gdzie?

— A ot, tam! Wieże widać.

— Zacne jakieś miasto — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Bardzo zacne — odpowiedział Wołodyjowski — i po dniu jeszcze lepiej się waszmościowie o tem przekonacie.

— Wszakże to dziedzictwo księcia wojewody?

— Tak jest. Przedtem było Kisków, od których je ojciec terazniejszego księcia otrzymał w posagu za Anną Kiszczanką, córką wojewodzica witebskiego. W całej Żmudzi niemasz tak porządnego miasta, bo Radziwiłłowie Żydów nie puszczają, chyba za osobnem pozwoleniem. Miody tu sławne.

Zagłoba przetarł oczy.

— A to jacyś grzeczni ludzie tu mieszkają. Coto za okrutną budowlę widać tam na podniesieniu?

— To zamek świeżo zbudowany, już za panowania Janusza.

— Obronny?

— Nie, ale rezydencya wspaniała. Nie czyniono go warownym, bo nieprzyjaciel nigdy nie zachodził w te strony od czasów krzyżackich. Ten spiczasty szczyt, który tam w środku miasta widzicie, to od kościoła farnego. Krzyżacy go wzniesli jeszcze za czasów pogańskich, później był kalwinom oddany, ale go ksiądz Ko-

byliński znowu dla katolików wyprocesował od księcia Krzysztofa.

— To i chwała Bogu!

Tak rozmawiając, dojechali bliżej do pierwszych domków przedmieścia.

Tymczasem stawało się coraz jaśniej na świecie i słońce poczynało wschodzić. Rycerze przyglądali się z ciekawością nieznanemu miastu, a pan Wołodyjowski dalej opowiadał:

— To jest ulica Żydowska, w której mieszkają ci z Żydów, którzy mają pozwolenie. Jadąc tędy, dostaniesz się aż na rynek. Oho! już ludzie budzą się i poczynają z domów wychodzić. Patrzenie! siła koni przed kuźniami i czeladź nie w barwach radziwiłłowskich. Musi być jaki zjazd w Kiejdanach. Pełno tu zawsze szlachty i panów, a czasem aż z obcych krajów przyjeżdżają, bo to jest stolica heretyków ze wszystkiej Żmudzi, którzy tu pod osłoną Radziwiłłów bezpiecznie swoje gusła i praktyki zabobonne odprawiają. Ot, i rynek! Uważcie waszmościowie jaki zegar na ratuszu! Lepszego ponoć i w Gdańsku niemasz. A to, co bierzecie za kościół o czterech wieżach, to zbór helwecki, w którym co niedziela Bogu bluźnią — a tam to kościół luterski. Myślicie zaś, że tu mieszczenie Polacy albo Litwini — wcale nie! Sami Niemcy i Szkoci, a Szkotów najwięcej! Piechota z nich bardzo przednia, szczególnie berdyszami sieką okrutnie. Ma też książę jegomość regiment jeden szkocki z samych ochotników kiejdańskich. Hej! co wozów z łubami na rynku! Pewnie zjazd jaki. Gospody żadnej niemasz w tem mieście, jeno znajomi do znajomych zajeżdżają, a szlachta do zamku, w którym są oficyny długie na kilkadziesiąt łokci, tylko

dla gości przeznaczone. Tam podejmują każdego uczciwie, choćby i przez rok, na koszt księcia pana, a są tacy, którzy całe życie tu siedzą.

— Dziwno mi to, że piorun tego zboru helweckiego nie zapalił? — rzekł Zagłoba.

— Jakbyś waść wiedział, że się to zdarzyło. W środku, między czterema wieżami, była kopuła jako czapka, w którą kiedyś jak trzasło, tak się nic z niej nie zostało. Tu, w podziemiach, leży ojciec księcia koniuszego Bogusława, Janusz, ten, który do rokосу przeciwi Zygmunтови III. należał. Własny hajduk mu czaszkę rozplatał i tak zginął marnie, jak i żył grzesznie.

— A to co za rozległa budowla, do szopy murowanej podobna? — pytał Jan.

— To jest piapiernia od księcia założona, a tu obok drukarnia, w której się księgi heretyckie drukują.

— Tfu! — rzekł Zagłoba — zaraza na to miasto, gdzie człęk innego powietrza jak heretyckie do brzucha nie wciąga. Lucyper mógłby tu tak dobrze panować, jak i Radziwiłł.

— Mości panie! — odpowiedział Wołodyjowski — nie bluźń Radziwiłłowi, bo może wkrótce ojczyzna zbawienie będzie mu winna...

I dalej jechali w milczeniu, poglądając na miasto i dziwiąc się jego porządkom, bo ulice całkiem były brukowane kamieniami, co w owych czasach za osobliwość uchodziło.

Przejechawszy rynek i ulicę Zamkową, ujrzeli na podniesieniu wspaniałą rezydencją, świeżo przez księcia Janusza wzniesioną, nie obronną istotnie, ale ogromem nietylko pałace, lecz i zamki przewyższającą. Gmach stał na wywyższeniu i patrzył na miasto, jakoby u stóp

jego leżące. Z obu stron głównego korpusu biegły dwa skrzydła niższe, załamując się pod kątami prostymi i tworząc olbrzymi dziedziniec, zamknięty od przodu kratą żelazną, nabijaną długimi kolcami. W środku kraty wznosiła się potężna brama murowana, na niej herby radziwiłłowskie i herb miasta Kiejdan, przedstawiający nogę orlą ze skrzydłem czarnym w złotym polu, a u nogi podkowę o trzech krzyżach czerwony. Nisko w bramie był odwach i trabanci szkoccy straż tam trzymali, dla parady, nie dla obrony przeznaczoną.

Godzina była ranna, ale na dziedzińcu ruch już panował, albowiem przed głównym korpusem musztrował się pułk dragonów, przybrany w błękitne kolety i szwedzkie hełmy. Długi ich szereg stał właśnie nieruchomie, z gołymi rapierami w rękę, oficer zaś przejeżdżając przed frontem, mówił coś do żołnierzy. Naokoło szeregu i dalej pod ścianami, mnóstwo czeladzi w rozmaitych barwach gapiło się na dragonów, czyniąc sobie wzajem rozmaite uwagi i spostrzeżenia.

— Jak mi Bóg miły! — rzekł pan Michał — toż to Charłamp pułk musztruje.

— Jakto? — zawołał Zagłoba — tenże to sam, z którym miałeś się pojedyńkować, w czasie elekcyi w Lipkowie?

— Tenże sam. Ale my od tego czasu w dobrej komitywie żyjemy.

— A prawda! — rzekł pan Zagłoba — poznaję go po nosie, który mu zpod hełmu sterczy. Dobrze, że przyłbice wyszły z mody, bo ten rycerz nie mógłby żadnej zamknąć; ale on i tak osobnej zbroi na nos potrzebuje.

Tymczasem pan Charłamp, spostrzegłszy Wołodjowskiego, puścił się ku niemu rysia.

— Jak się miewasz Michałku? — zawołał. — Dobrze, żeś przyjechał!

— Lepiej, że ciebie pierwszego spotykam. Oto jest pan Zagłoba, któregoś w Lipkowie poznał, ba, przedtem jeszcze w Siennicy, a to panowie Skrzetuscy, Jan, rotmistrz królewskiej husarskiej chorągwi, zbarańczyk...

— Na Boga! toż ja największego w Polsce rycerza widzę! — zakrzyknął Charłamp. — Czołem, czołem!

— A to Stanisław, rotmistrz kaliski — mówił dalej pan Wołodjowski — który zpod Ujścia wprost jedzie.

— Zpod Ujścia?... Na okrutną tedy hańbę waćpan patrzyłeś... Wiemy już co się tam stało.

— Właśnie dlatego, że się tam to stało, ja tu przyjechałem w tej nadziei, że tu nic podobnego się nie stanie.

— Możesz waszmość być pewien. Radziwiłł, to nie Opaliński.

— Toż samo wczoraj mówiliśmy w Upicie.

— Witam waszmościów najradośniej imieniem własnem i książęcem. Rad książe wojewoda będzie, gdy takich rycerzy zobaczy, bo mu ich bardzo potrzeba. Chodźcieże do mnie, do cekhauzu, gdzie jest moja kwatera. Pewnie zechcecie się przebrać i posilić, a ja będę wam też towarzyszył bom już musztrę skończył.

To rzekłszy, pan Charłamp skoczył znów do szeregu i zakomenderował krótkim donośnym głosem:

— Lewo! zwrot — w tył!

Kopyta zadzwięczały po bruku. Szereg rozłamał

się na dwoje, połowy rozłamały się znowu, aż wreszcie sformowały się czwórki, które wolnym krokiem poczęły oddalać się w stronę cekhauzu.

— Dobrzy żołnierze — rzekł Skrzetuski, patrząc okiem znawcy na mechaniczne ruchy dragonów.

— Sama to drobna szlachta i bojarzynkowie putni w tej broni służą — odparł pan Wołodyjowski.

— O Boże! zaraz znać, że to nie pospolitaki! — zawołał pan Stanisław.

— Ale że to Charłamp im porucznikuje? — pytał Zagłoba. — Czyli się myślę, ale pamiętam, że on w piatyhorskiej chorągwi służył i srebrną pętelkę nosił na ramieniu?

— Tak jest — rzekł Wołodyjowski. — Ale już z parę lat, jak pułkiem dragońskim dowodzi. Stary to żołnierz i kuty.

Tymczasem Charłamp, odesławszy dragonów, zbliżył się do naszych rycerzy.

— Proszę waszmościów za mną... Ot, tam cekhauz za pałacem.

W pół godziny później siedzieli już w pięciu nad misą piwa grzanego, dobrze zabelonego śmietaną i rozmawiali o nowej wojnie.

— A u was tu co słyhać? — pytał pan Wołodyjowski.

— U nas słyhać codzień co innego, bo się ludzie gubią w domysłach i coraz to inne nowiny puszczają — odparł Charłamp. — A naprawdę, to jeden książę wie, co się stanie. Waży on coś w umyśle, bo choć symuluje wesołość i na ludzi tak łaskaw, jak nigdy, to przecież okrutnie zamyślony. Po nocach, powiadają, nie sypia, jeno po wszystkich komnatach ciężkim krokiem chodzi

i sam ze sobą głośno gada, a we dnie przez całe godziny naradza się z Harasimowiczem.

— Cóżto za Harasimowicz? — spytał pan Wołodyjowski.

— To gubernator z Zabłudowa, z Podlasia, niewielka figura i tak wygląda, jakby dyabła za pazuchą hodował; ale księcia pana poufny i podobno wszystkie jego arkana znający. Wedle mojej głowy, to okrutna i mściwa wojna ze Szwedem z tych narad wyniknie, do której wojny wszyscy wzdychamy. Tymczasem listy tu latają: od księcia kurlandzkiego, od Chowańskiego i od elektora. Są tu tacy, którzy powiadają, że książę z Moskwą pakuje, by ją do ligi przeciw Szwedowi wciągnąć; inni, że przeciwnie; ale zdaje się, że z nikim ligi nie będzie, jeń wojna, jak rzekłem, z tymi i z owymi. Wojsk coraz więcej przychodzi, rozpisują listy do szlachty co najwierniejszej dla radziwiłłowskiego domu, aby się zjeżdżała. Wszędy pełno zbrojnego ludu... Ej, mości panowie! na kim się skrupi, na tym się zmiele, ale ręce będziemy mieli po łokcie czerwone, bo jak Radziwiłł raz ruszy w pole, to nie będzie paktował.

— Oj, to! oj, to! — rzekł Zagłoba, zacierając dłonie. — Przyschło już niemało krwi szwedzkiej na moich rękach i jeszcze niemało przyschnie... Niewielu już tych starych żołnierzy żyje, którzy mnie pod Puckiem i pod Trzecianną pamiętają; ale ci, którzy dotąd żyją, nigdy nie zapomną.

— A książę Bogusław tu jest? — pytał pan Wołodyjowski.

— A jakże. Prócz tego spodziewamy się dziś jakichś wielkich gości, bo pokoje górne wyprzątają, a wie-

czorem ma być bankiet w zamku. Wątpię, Michale, czy się dziś do księcia dostaniesz.

— Samże on mnie na dziś wezwał.

— To nic, ale okrutnie zajęty... Przytem... nie wiem, czy mogę waszmościom o tem mówić... wszelako, za godzinę i tak wszyscy o tem wiedzieć będą.. więc powiem... Tu się nadzwyczajne jakieś rzeczy dzieją...

— Co takiego? co takiego? — pytał Zagłoba.

— Owoż trzeba waćpanom wiedzieć, że przed dwoma dniami przyjechał tu pan Judycki, kawaler maltański, o którym musieliście słyszeć.

— A jakże — rzekł Jan — wielkito rycerz!

— Zaraz zaś po nim nadjechał i pan hetman polny Gosiewski. Dziwiliśmy się wielce, bo wiadoma rzecz, w jakiej emulacyi i nieprzyjaźni pan hetman polny żyje z naszym księciem. Niektórzy tedy cieszyli się, że zgoda nastąpiła między panami i mówili, że to ją właśnie inkursya szwedzka sprowadziła. Sam tak myślałem; tymczasem wczoraj zamknęli się we trzech na naradę, pozamykali wszystkie drzwi, nikt nie mógł słyszeć o czem radzili; jeno pan Krepsztul, który wartę za drzwiami trzymał, mówił nam, że okrutnie głośno rozprawiali, a zwłaszcza hetman polny. Później sam książę odprowadził ich do komnat sypialnych, a w nocy, imaginujcie sobie, (tu pan Charłamp zniżył głos) wartę każdemu przy drzwiach postawili.

Pan Wołodyjowski aż się zerwał z miejsca.

— Na Boga! nie może być!

— A przecież tak jest... Przy jednych i przy drugich drzwiach szkoci z rusznicami stoją i mają rozkaz pod gardłem nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać...

Rycerze spoglądali na się w zdumieniu, a pan Charłamp niemniej był zdumiony własnymi słowami i patrzył na nich, wytrzeszczając oczy, jakoby czekał od nich wyjaśnienia zagadki.

— To się znaczy, że pan podskarbi w areszt wzięty?... Hetman wielki aresztował polnego? — mówił Zagłoba — coto jest?

— Albo ja wiem. I Judycki, taki rycerz!

— Musieli przecie oficerowie książęcy mówić ze sobą o tem, zgadywać powody... Nicześ nie słyszał?

— Pytałem jeszcze wczoraj w nocy Harasimowicza...

— I cóż waćpanu powiedział — pytał Zagłoba.

— Nic nie chciał mówić, jeno palce na gębę położył i rzekł: „To zdrajcy!”

— Jakto zdrajcy?... jakto zdrajcy? — wołał biorąc się za głowę Wołodyjowski. — Ani pan podskarbi Gosiewski nie zdrajca, ani pan Judycki nie zdrajca. Toż ich cała Rzeczpospolita zna, jako zacnych ludzi i ojczyznę kochających.

— Dziś nikomu nie można wierzyć — odparł posępnie Stanisław Skrzetuski. — Albo to Krzysztof Opaliński nie uchodził za Katona? Alboż nie wyrzucił innym przywar, występków, prywaty?... A gdy przyszło co do czego, pierwszy zdradził i nie własną tylko osobę, ale całą prowincją do zdrady pociągnął.

— Ależ ja za pana podskarbiego i za pana Judyckiego głowę daję! — wołał Wołodyjowski.

— Nie dawaj, Michałku, głowy za nikogo — odrzekł Zagłoba. — Juźci nie bez kozery ich aresztowano. Musieli w jakieś konszachty wchodzić, nie może być inaczej... Jakto? książę gotuje się na wojnę okrutną

i każda pomoc mu miła... Kogoż więc może w takiej chwili w areszt brać, jeżeli nie tych, co mu do wojny przeszkadzają?... Co jeśli tak jest, jeśli ci dwaj panowie istotnie przeszkadzali, to chwała Bogu, że ich uprzedzono. Warci w podziemiu siedzieć... Ha! szelmy!... W takiej chwili praktyki czynić, z nieprzyjacielem się znosić, na ojczyznę nastawać, wielkiemu wojownikowi w imprezie przeszkadzać. Na Matkę Najświętszą, mało i tego, co ich spotkało!

— Dziwy to są, takie dziwy, że w głowie się nie chcą pomieścić — rzekł Charłamp — bo już pominąwszy, że to tak wielu dygnitarze, aresztowano ich bez sądu, bez sejmu, bez woli Rzeczypospolitej całej, czego i sam król nie ma prawa uczynić.

— Jako żywo! — zakrzyknął pan Michał.

— Widać książe jegomość rzymskie chce u nas zaprowadzić zwyczaje — rzekł Stanisław Skrzetuski — i dyktatorem w czasie wojny zostać.

— A niech będzie i dyktatorem, byle Szwedów bił — odpowiedział Zagłoba. — Ja pierwszy votum za tem daję, aby mu dyktatura została powierzona.

Jan Skrzetuski zamyślił się i rzekł po chwili:

— Byle nie chciał zostać protektorem, jako ów angielszyk Kromwel, któren na pana własnego nie wahał się świętokradzkiej ręki podnieść.

— Ba, Kromwel! Kromwel heretyk! — zakrzyknął Zagłoba.

— A książe wojewoda? — spytał poważnie pan Jan Skrzetuski.

Na to umilkli wszyscy i ze strachem przez chwilę patrzyli w przyszłość ciemną, tylko pan Charłamp narodził się zaraz i rzekł:

— Służyłem pod księciem wojewodą z młodych lat, choć małym młodszy od niego, bo najprzód, młodziekiem jeszcze, był moim rotmistrzem, potem hetmanem polnym, a dziś jest wielkim. Znam go lepiej od waćpanów, a zarazem czczę i miłuję, dlatego proszę, nie równajcie go z Kromwelem, abym zaś nie musiał wam na to powiedzieć czegoś, czego mi, jako gospodarzowi w tej izbie, mówić nie wypada...

Tu pan Charłamp począł okrutnie wążiskami ruszać i trochę z pode łba spoglądać na pana Jana Skrzetuskiego, co widząc pan Wołodyjowski, utkwiał znów w pana Charłampa wzrok zimny i bystry, jakby mu chciał rzec:

— Warknijno tylko!

Wąsał pomiarkował się zatem natychmiast, bo pana Michała miał w nadzwyczajnej estymie, a zresztą niebezpiecznie było się z nim gniewać, więc mówił dalej, tonem daleko już łagodniejszym:

— Kalwin książę jest, ale przecie wiary prawdziwej dla błędów nie porzucił, jeno się w nich urodził. Nigdy on nie zostanie ani Kromwelem, ani Radziejowskim, ani Opalińskim, choćby Kiejdany miały się w ziemię zapaść. Nie takato krew, nie takato ród!

— Jeśli jest dyabłem i ma rogi na głowie, — rzekł pan Zagłoba — to tem lepiej, bo będzie miał czem Szwedów bósć.

— Ale że pan Gosiewski i pan kawaler Judycki aresztowani?... no! no! — mówił, kręcąc głowę Wołodyjowski. — Nie bardzo książę na swych gości, którzy mu zaufani, łaskaw.

— Co mówisz, Michale! — odparł Charłamp. — Tak łaskaw, jak nigdy w życiu nie był... Ojciec to

teraz prawdziwy dla rycerstwa. Pamiętasz, jakto dawniej miał wiecznie kozła na czole, a w gębie jedno słowo: „służba!“ Większy strach brał zbliżyć się do jego majestatu, niż do królewskiego, a dziś każdego dnia między porucznikami i towarzystwem chodzi, a rozmawia, a każdego pyta o familią, o dzieci, o fortunę i po nazwisku każdemu mówi, a rozpytuje, czy się komu w służbie krzywda nie dzieje. On, który pomiędzy największymi panami nie chce mieć równych, wczoraj, nie, onegdaj chodził pod rękę z młodym Kmicicem, ażeśmy wszyscy oczom wierzyć nie chcieli, bo choć wielkito ród Kmicica, ale to całkiem młodziak i podobno siła grawaminów na nim cięży, o czem ty wiesz najlepiej.

— Wiem, wiem — rzekł Wołodyjowski. — To Kmicic dawno tu jest?

— Teraz go niema, bo wczoraj pojechał do Czejkiszek po regiment piechoty, który tam stoi. Nikt teraz nie jest w takich faworach u księcia, jak Kmicic. Gdy odjeżdżał, książę spoglądał za nim przez chwilę, a potem rzekł: „Do wszystkiego tento człowiek i gotów samego dyabła za ogon przytrzymać, gdy mu każe!“ Słyszeliśmy to na własne uszy. Prawda, że taką chorągiew Kmicic przyprowadził, jakiej drugiej w całym wojsku nie masz. Ludzie i konie, jak smoki.

— Niema co i gadać, dzielny to żołnierz i naprawdę gotów na wszystko — odrzekł pan Michał.

— Cudów ponoć dokazywał w ostatniej wojnie, aż cenę na jego głowę nałożono, bo wolentarzami dowodził i na własną rękę wojował.

Dalszą rozmowę przerwało wejście nowej postaci. Był to szlachcic, lat około czterdziestu, mały, suchy,

ruchliwy, wijący się jak piskorz, z drobną twarzą, cienkimi wargami, porośniętym rzadkim wąsem i trochę kosmą oczyma. Ubrany był tylko w żupan drelichowy z tak długimi rękawami, że zupełnie pokrywały mu dłonie. Wszedłszy, zgiął się we dwoje, potem wyprostował się nagle, jakby sprężyną podrzucony, potem znów schylił się w niskim ukłonie, zakręcił głową, jakby ją wydobywał z pod własnej pachy i zaczął mówić szybko głosem, przypominającym skrzywienie zardzewiałej chorągiewki:

— Czołem, panie Charłamp, czołem, ach! czołem, panie pułkowniku, najniższy sługa!

— Czołem, panie Harasimowicz — odrzekł Charłamp. — A czego to waść życzysz?

— Bóg dał gości, znamienitych gości! Przyszedłem służyć ofiarować i o godność spytać.

— Zali do ciebie przyjechali, panie Harasimowicz?

— Pewnie, że nie do mnie, bom tego i nie godzien... Ale że to marszałka nieobecnego zastępuję, więc przyszedłem powitać, nisko powitać!

— Daleko waćpanu do marszałka, — odrzekł Charłamp — bo marszałek jest personat i pesesyonat, a waćpan sobie, z przeproszeniem, podstarości zabłudowski.

— Sługa sług radziwiłłowskich! Tak jest, panie Charłamp. Nie zapieram, Boże mnie chroń... Ale że książę, dowiedziawszy się o gościach, przysłał mnie pytać, co za jedni, więc waść odpowiesz, panie Charłamp, odpowiesz zaraz, choćbym był nawet hajdukiem, nienytlyko podstarościem zabłudowskim.

— Nawet i małpiebym odpowiedział, gdyby do

mnie z rozkazem przyszła — rzekł nosacz. — Słuchaj więc waść i zakonotuj sobie nazwiska, jeśli ci głowy nie staje, aby spamiętać. To jest pan Skrzetuski, ów zbarańczyk i jego stryjeczny Stanisław.

— Wielki Boże, co słyszę! — zakrzyknął Harasimowicz.

— To pan Zagłoba.

— Wielki Boże! co słyszę!...

— Jeśliś się waćpan tak skonfundował, usłyszawszy moje nazwisko — rzekł Zagłoba — zrozum, jak nieprzyjaciele w polu muszą się konfundować.

— A to pan pułkownik Wołodyjowski — dokończył Charłamp.

— I to głośna szabla a przytem radziwiłłowska — rzekł z ukłonem Harasimowicz. — Księciu panu głowa pęka od roboty, ale przecie dla takich rycerzy znajdzie czas, niezawodnie znajdzie... Tymczasem, czem można służyć waszmościom? Cały zamek na usługi miłych gości i piwniczka także.

— Słyszeliśmy o sławnych miodach kiejdańskich — rzekł pośpiesznie Zagłoba.

— A tak! — odrzekł Harasimowicz — sławne miody w Kiejdanach, sławne! Zaraz tu przyszlę do wyboru. Mam nadzieję, że waszmościowie dobrodzieje dłużej tu zabawicie.

— Po to my tu i przyjechali, żeby od boku księcia wojewody nie odstępować — rzekł pan Stanisław.

— Chwalebna intencya waszmościów, tem chwalebniejsza, że tak ciężkie czasy idą.

To rzekłszy Harasimowicz, skurczył się i stał się tak mały, jakby go łokieć ubyło.

— Co słyhać? — pytał pan Charłamp. — Są jakie nowiny?

— Książę oka całą noc nie zmrzył, bo przyjechało dwóch posłańców. Złe słyhać i coraz gorzej. Carolus Gustavus już wszedł za Wittembergiem do Rzeczypospolitej; Poznań już zajęty, cała Wielkopolska zajęta, Mazowsze wkrótce będzie zajęte; Szwedzi już są w Łowiczu, tuż pod Warszawą. Nasz król uciekł z Warszawy, którą bez obrony zostawił. Dziś, jutro, Szwedzi do niej wejdą. Mówią, że i bitwę znaczną przegrał, że do Krakowa chce umykać, a ztamtąd do cudzych krajów, o pomoc prosić. Złe, mości panowie dobrodzieje! Choć są tacy, którzy mówią, że to dobrze, bo Szwedzi żadnych gwałtów nie czynią, umów święcie dotrzymują, podatków nie wybierają, wolności obserwują, w wierze przeszkody nie czynią. Dlatego wszyscy chętnie przyjmują protekcją Karola Gustawa... Zawiniłbo nasz pan, Jan Kazimierz, srodze zawinił... Przepadło już wszystko dla niego, przepadło!.. Płakać się chce, ale przepadło, przepadło!

— Czego się waćpan, u dyabła, tak wijesz, jak piskorz, gdy go w garnek kładą! — huknął Zagłoba — i o nieszczęściu mówisz, jakbyś był z niego rad?

Harasimowicz udał, że nie słyszy i wzniósłszy oczy w górę, powtórzył jeszcze kilkakrotnie:

— Przepadło wszystko, na wieki przepadło!... Trzem wojnom nie oprze się Rzeczpospolita... Przepadło!... Wola Boska!... Wola Boska!... Jeden nasz książę może Litwę ocalić...

Złowrogie słowa jeszcze nie przebrzmiały, gdy Harasimowicz zniknął tak szybko za drzwiami, jakby

się w ziemię zapadł, a rycerze siedzieli posepnie, brzemieniem strasznych myśli przygnieceni.

— Zwaryować przyjdzie! — zakrzyknął wreszcie Wołodyjowski.

— Słusznie waćpan mówisz, — rzekł Stanisław — dajże Boże wojnę, wojnę jak najprędzej, w której człowiek w domysłach się nie gubi, duszy w desperacyą nie podaje, jeno się bije.

— Przyjdzie żałować pierwszych czasów Chmielnickiego, — rzekł Zagłoba — bo wtedy były klęski, ale zdrajców przynajmniej nie było.

— Takie straszne trzy wojny, gdy po prawdzie, na jedną sił nam brak! — rzekł Stanisław.

— Nam nie sił brak, jeno ducha. Niecnotą ginie ojczyzna. Daj Boże, abyśmy się tu czego lepszego doczekali — mówił posepnie Jan.

— Nie odetchnę, aż w polu! — rzekł Stanisław.

— Żebyto już prędzej tego księcia zobaczyć! — zakrzyknął Zagłoba.

Życzenia jego spełniły się niebawem, gdyż po godzinie czasu przyszedł znów pan Harasimowicz z niższemi jeszcze ukłonami i z oznajmieniem, że książę pilno żąda widzieć ichmościów.

Porwali się tedy zaraz, bo już byli przybrani i poszli. Harasimowicz, wyprowadziwszy ich z cekhauzu, przeprowadził przez dziedziniec, na którym pełno było już wojskowych i szlachty. W niektórych miejscach rozprawiano tłumnie, widocznie nad temi samemi nowinami, które rycerzom przyniósł podstarość zabłudowski. Na wszystkich twarzach malował się żywy niepokój i jakieś oczekiwanie gorączkowe. Pojedyncze grupy oficerów i szlachty słuchały mowców, którzy stojąc po-

środku, gestykulowali gwałtownie. Po drodze słyhać było słowa: „Wilno się pali! Wilno spalone!... Ni śladu, ni popiołu! Warszawa wzięta!... Nieprawda, jeszcze nie wzięta!... Szwedzi już w Małopolsce! Sierradzanie opór dadzą!... Nie dadzą! pójdą śladem Wielkopolanów! Zdrada! Nieszczęście! O Boże, Boże! Nie wiadomo, gdzie ręce i szablę wetknąć!“

Takieto słowa, jedno od drugich straszniejsze, odbijały się o uszy rycerzy, a oni szli, przeciskając się za Harasimowiczem z trudnością przez wojskowych i szlachtę. Miejscami znajomi witali pana Wołodyjowskiego: „Jak się masz Michale? Żle z nami! Giniemy! Czołem, mości pułkowniku! A to co za gości prowadzisz do księcia?“ Pan Michał nie odpowiadał, chcąc zwłoki uniknąć, i tak doszli aż do głównego korpusu zamkowego, w którym janczarowie książęcy, przybrani w kolczugi i olbrzymie białe czapki, straż trzymali.

W sieni i na głównych schodach, obstawionych pomarańczowemi drzewami, ścisk był jeszcze większy, niż na podwórzu. Rozprawiano tu o aresztowaniu Gosiewskiego i kawalera Judyckiego, bo rzecz już się była wydała i poruszyła do najwyższego stopnia umysły. Zdumiewano się, gubiono w przypuszczeniach, oburzano się lub chwalono książęcą przezorność; wszyscy zaś spodziewali się usłyszeć wyjaśnienie zagadki z ust samego księcia, dlatego rzeka głów płynęła po szerokich schodach na górę do sali audyencyonalnej, w której w tej chwili książę przyjmował pułkowników i znakomitszą szlachtę. Trabanci rozstawieni wzdłuż kamiennych poręczy, pilnowali, aby nie było zbyt wielkiego natłoku, powtarzając co chwila: „Zwolna, mości panowie! zwolna!“ — a tłum posuwał się lub zatrzymywał chwilami,

gdy trabant zagradzał drogę halabardą, aby idący na-przód mieli czas wejść do sali.

Nakoniec lazurowe sklepienia sali zabłyły przez otwarte drzwi i nasi znajomi weszli. Wzrok ich padł najprzód na wzniesienie, ustawione w głębi sali, zajęte przez świetny orszak rycerstwa i panów w pysznych różnobarwnych strojach. Na przedzie stało puste krzesło, wysunięte więcej od innych, z wysokiem tylnem oparciem, zakończonem złotą mitrą książęcą, zpod której spływał na dół amarantowy aksamit, obramowany gronostajami.

Księcia nie było jeszcze w sali, ale Harasimowicz, wiodąc ciągle za sobą rycerzy, przecisnął się przez zebraną szlachtę, aż do małych drzwi, ukrytych w ścianie obok wzniesienia; tam kazał się im zatrzymać, a sam zniknął za drzwiami.

Po chwili wrócił z doniesieniem, że książę prosi.

Dwaj Skrzetuscy z Zagłobą i Wołodyjowskim weszli teraz do niewielkiej komnatki, bardzo widnej, obitej skórą wytłaczaną w złociste kwiaty i zatrzymali się, widząc w głębi za stołem, pokrytym papierami, dwóch ludzi pilną zajętych rozmową. Jeden z nich, młody jeszcze, przybrany w strój cudzoziemski i perukę o długich lokach, spadających na ramiona, szeptał coś do ucha starszego towarzysza, ten zaś słuchał ze zmarszczoną brwią i kiwał od czasu do czasu głową; tak zajęty był przedmiotem rozmowy, że nie zwrócił zrazu uwagi na przybyłych.

Był to człowiek czterdziestokilkoletni, postaci olbrzymiej i barczysty. Ubrany był w strój szkarłatny polski, spięty pod szyją kosztownymi agrafami. Twarz miał ogromną, o rysach, z których biła pycha, powaga

i potęga. Była to gniewliwa lwia twarz wojownika i władcy zarazem. Długie, zwieszające się w dół wąsy, nadawały jej wyraz posępny i cała w swej potędze i ogromie była jakby wykuta wielkimi uderzeniami młota z marmuru. Brwi miał w tej chwili zmarszczone z powodu natężonej uwagi, ale zgadłeś łatwo, że gdy je zmarszczy gniew, wówczas biada tym ludziom, tym wojskom, na których gromy owego gniewu spadną.

Było coś tak wielkiego w tej postaci, że patrzącym na nią rycerzom wydawało się, iż nie tylko owa komnata, ale i cały zamek dla niej zaciasny; jakoż nie myliło ich pierwsze wrażenie, albowiem siedział przed nimi Janusz Radziwiłł, książę na Birzach i Dubinkach, wojewoda wileński i hetman wielki litewski, pan tak potężny i dumny, że mu było w całej niezmiernej fortunie, we wszystkich godnościach, ba! nawet na Żmudzi i w Litwie za ciasno.

Młodszy jego towarzysz, w długiej peruce i w cudzoziemskim stroju, był to książę Bogusław, stryjeczny Janusza, koniuszy wielkiego Księstwa litewskiego.

Przez chwilę szeptał on jeszcze coś do ucha hetmana, nakoniec rzekł głośno:

— Zostawiam więc swój podpis na dokumencie i wyjeżdżam.

— Skoro nie może być inaczej, to jedź w. ks. mość — rzekł Janusz, — choć wolałbym, żebyś został, bo nie wiadomo, co się stać może.

— W. ks. mość obmyśliłeś wszystko jak należy, zaś tam pilniej w sprawę trzeba wejrzeć, a zatem Bogu w. ks. mość polecam.

— Niech Bóg ma w opiece cały nasz dom i chwały mu przyczyni.

— Adieu, mon frère.

— Adieu.

Dwaj książęta podali sobie ręce, poczem koniuszcy wyszedł śpiesznie, a hetman wielki zwrócił się do przybyłych.

— Wybaczcie waszmościowie, że pozwoliłem czekać, — rzekł niskim, powolnym głosem — ale teraz i uwaga i czas rozerwane na wszystkie strony. Słyszałem już nazwiska waszmościów i ucieszyłem się w duszy, że Bóg w takich chwilach zsyła mi takich rycerzy. Siadajcież mili goście. Który z waszmościów jest pan Jan Skrzetuski?

— Jam jest, do usług waszej książęcej mości — rzekł Jan.

— To waszmość jesteś starostą... bodajże cię... zapomniałem...

— Żadnym starostą nie jestem — odrzekł Jan.

— Jakto? — rzekł książę, marszcząc swe potężne brwi — waści nie dali starostwa za to, coś pod Zbarażem uczynił?

— Nigdy o to nie zabiegał.

— Bo ci powinni byli dać bez starania. Jakto? Co waćpan mówisz? Niczemé nie nagrodzono? Zapomniano zgoła? To mi i dziwno. Ale ba! źle mówię, nie powinno to nikogo dziwić, bo teraz tacy tylko otrzymują nagrody, którzy mają grzbiet wierzbowy, łatwo się gnący. Waszmość nie jesteś starostą, proszę!... Niechże Bogu będą dzięki, żeś tu przyjechał, bo tu nie mamy tak krótkiej pamięci i żadna zasługa nie pozostanie bez nagrody — jako i twoja, mość pułkownika Wołodyjowski...

— Na nic jeszcze nie zasłużyłem...

— Zostaw to mnie, a tymczasem weź ten dokument, w Rosieniach już roborowany, którym ci Dydkienie w dożywocie puszczam. Niezły to kawał ziemi i sto pługów wychodzi w nim co wiosnę orać. Weźże i to, bo nie mogę dać więcej, a powiedz panu Skrzetuskiemu, że Radziwiłł nie zapomina swych przyjaciół, ani tych, którzy ojczyźnie pod jego wodzą oddali usługi.

— Wasza książęca mość!... — wyjąkał zmieszany pan Michał.

— Nie mów nic i wybaczej, że tak mało, ale powiedz, powiedz ichmościom, że nie zginie, kto swoją fortunę na zło i na dobro z radziwiłłowską połączy. Nie jestem królem, ale — gdybym nim był — Bóg mi świadek, że nie zapomniałbym nigdy takiego Jana Skrzetuskiego, ani takiego Zagłoby...

— To ja! — rzekł Zagłoba, wysuwając się rażno naprzód, bo już go to niecierpliwie zaczynało, że nie było o nim dotąd wzmianki.

— Zgaduję, że to waszmość, gdyż mi powiadano, żeś człek w lata podeszły.

— Do szkół z dostojnym rodzicem waszej książęcej mości chodziłem, a jako rycerska w nim była od dzieciństwa inklinacya, przeto mnie do poufałości przypuszczał, bo i ja wolałem dzidkę od łaciny.

Panu Stanisławowi Skrzetuskiemu, który Zagłobę mniej znał, dziwno to było słyszeć, gdyż wczorajszego jeszcze dnia Zagłoba mówił w Upicie, że nie z nieboszczykiem księciem Krzysztofem, ale z samym Januszem do szkół chodził, co było niepodobne, bo książę Janusz znacznie był młodszy.

— No proszę, — rzekł książę — to waćpan z Litwy rodem?

— Z Litwy! — odrzekł bez zająknięcia pan Zagłoba.

— To zgaduję, żeś i waszmość żadnej nagrody nie otrzymał, bo my Litwini już przywykli do tego, że nas niewdzięcznością karmią... Dla Boga! gdybym waszmościom to dał, co im się słusznie należy, tedyby dla mnie samego nic nie zostało. Ale takito los! My niesiem krew, życie, fortuny i nikt nam za to głową nie kiwnie. Ha! trudno! jakie ziarno sieją, taki plon będą zbierali... Tak każe Bóg i sprawiedliwość... Waćpanże to usiekłeś przestawnego Burłaja i ściałeś trzy głowy pod Zbarażem?

— Burłaja ja usiekłem, wasza książęca mość — rzekł Zagłoba — bo powiadali, że z nim się żaden człowiek mierzyć nie może, więc chciałem pokazać młodszym, że męstwo nie całkiem jeszcze wygasło w Rzeczypospolitej... A co do trzech głów, mogło się to w gęstwie bitwy przytrafić... ale pod Zbarażem uczynił to kto inny.

Książę zamilkł na chwilę, poczem odezwał się znowu:

— Zali nie bolesna waszmościom, ta wzgarda, jaką wam zapłacono?

— Co czynić, wasza ks. mość, choć człowiekowi i markotno — odparł Zagłoba.

— Pocieszcie się, bo się to musi zmienić... Już za to, żeście tu przyjechali, dłużnikiem waszym jestem, a chociażem nie król, przecie się u mnie na obietnicach nie kończy.

— Wasza ks. mość — rzekł na to żywo i trochę dumnie pan Skrzetuski — nie po nagrody i fortuny my tu przyjechali... Jeno że nieprzyjaciel naszedł ojczyznę,

więc chcemy jej zdrowiem naszym iść w pomoc pod wodzą tak wstawionego wojownika. Brat mój, Stanisław, patrzył pod Ujściem na bojaźń, nieład, hańbę i zdradę, a wkońcu na tryumf nieprzyjaciela. Tu pod wielkim wodzem i wiernym obrońcą ojczyzny i majestatu służyć będziem. Tu nie wiktorye, nie tryumfy, ale klęski i śmierć czekają na nieprzyjaciół... Ot, dlaczego służby nasze waszej ks. mości przybyliśmy ofiarować. My żołnierze, bić się chcemy i pilno nam do boju.

— Jeśli taka wasza chęć, tedy i w niej będziecie mieli ukontentowanie — odparł książę poważnie. — Nie będziecie długo czekali, choć najprzód na innego nieprzyjaciela ruszymy, bo nam popioły wileńskie pomścić trzeba. Dziś, jutro, ruszymy w tamtą stronę i da Bóg, z nawiązką krzywdy zapłacim... Nie zatrzymuję dłużej waszmościów, bo i wy wypoczynku potrzebujecie i mnie robota pali. A przyjdziecie wieczorem na pokoje, może się i jaka słusna zabawa przed pochodem zdarzy, bo siła białogłów pod nasze skrzydła do Kiejdan się przed wojną zjechało. Mości pułkowniku Wołodyjowski, podejmujże drogich gości jakoby w domu własnym i pamiętajcie, że co moje, to i wasze!... Panie Harasimowicz, powiedz tam w sali zebranych panom braciom, że nie wyjdę, bo czasu nie mam, a dziś wieczorem dowiedzą się wszystkiego, co chcą wiedzieć... Bądźcie waszmościowie zdrowi i bądźcie Radziwiłłowi przyjaciółmi, gdyż mu siła teraz na tem zależy.

To rzekłszy ów potężny i dumny pan, począł podawać z kolei rękę panu Zagłobie, dwom Skrzetuskim, Wołodyjowskiemu i Charłampowi, jakby sobie równym. Posępne oblicze rozjaśniło mu się serdecznym i łaska-

wym uśmiechem i owa nieprzystępność, otaczająca go zwykle jakoby ciemną chmurą, znikła zupełnie.

— To wódz, to wojownik! — mówił Stanisław, gdy z powrotem przeciskali się przez tłum szlachty, zebrany w sali audyencyonalnej.

— W ogieńbym za niego poszedł! — zawołał Zagłoba. — Uważaliście, jak wszystkie moje przewagi na pamięć umie?... Ciepło będzie Szwedom, gdy ten lew zaryczy, a ja mu zawtóruję. Niemasz takiego drugiego pana w Rzeczypospolitej, a z dawnych jeden tylko książę Jeremi, a drugi pan Koniecpolski, ojciec, mogli z nim wejść w paragon. To nie lada kasztelanina, coto pierwszy z rodu na senatorskiem krześle zasiadł i hajdawerów jeszcze sobie na niem nie wytarł, a już nosa zadziera i szlachtę młodszą bracią nazywa i swój konterfekt zaraz każe malować, aby, nawet jedząc, miał swoje senatorstwo przed sobą, gdy się go za sobą dopatrzeć nie może... Panie Michale, doszedłeś do fortuny!... Już tak widać jest, że kto się o Radziwiłła otrze, ten sobie wytarty kubrak zaraz ozłoci. Łatwiej tu widzę o promocyą, niż u nas o kwartę gniłek. Wsadzisz rękę w wodę z zamkniętymi oczami i już szczupaka dzierzysz. To mi pan z panów! Szcześć ci Boże, panie Michale. Skonfundowałeś się, jak panna po ślubie; ale to nic!... Jakże się to twoje dożywocie nazywa? Dudkowo, czy jak?... Pogańskie nazwy w tej krainie. Jak orzechami o ścianę rzucisz, to właśnie imię wioski albo szlachcica uczynisz. Ale byle intrata była dobra, to nie żal i jęzór sobie wystrzepić.

— Skonfundowałem się okrutnie, przyznaję — rzecze pan Michał — bo to, co waćpan mówisz, że tu tak o promocyą łatwo, to nieprawda. Nieraz ja słyszałem

starych żołnierzy, pomawiających księcia o awarycyą, a teraz zaczynają się niespodzianie łaski sypać jedna za drugą.

— Zatknijże sobie ten dokument za pas, uczyni to dla mnie... A jeżeli ktoś jeszcze będzie na niewdzięczność książęcą narzekał, to go zza pasa wyciągnij i daj mu nim w pysk. Lepszego argumentu nie znajdziesz.

— Jedno widzę jasno, że książę sobie ludzi kaptuje — rzekł Jan Skrzetuski — i że chyba jakieś zamiary tworzy, do których mu pomoc potrzebna.

— Alboś to nie słyszał o tych zamiarach? — odrzekł Zagłoba. — Alboż to nie powiedział, że mamy iść popioły wileńskie pomścić?... Powiadali na niego, że Wilno zrabował, a on chce pokazać, że nie tylko cudzego nie potrzebuje, ale i swoje gotów jeszcze oddać... Piękna to ambicya, panie Janie. Daj nam Boże więcej takich senatorów!

Tak rozmawiając, znaleźli się znowu na dziedzińcu zamkowym, na który wjeżdżały co chwila to oddziały konnych wojsk, to gromady zbrojnej szlachty, to kolaski wiozące personatów okolicznych z żonami i dziećmi. Postrzegłszy to pan Michał, pociągnął wszystkich ze sobą do bramy, aby się wjeżdżającym przypatrywać.

— Kto wie, panie Michale, dziś twój fortunny dzień... Może tu i żona dla ciebie pomiędzy temi szlachciankami jedzie — rzekł pan Zagłoba. — Obacz! ot, jakaś kolaska odkryta się tu zbliża, a w niej coś białego siedzi...

-- Nie panna to jeszcze jedzie, ale ten, który mi może ślub z nią dać, -- odrzekł bystrooki pan Wołodujowski — gdyż zdaleka poznaję, że to ksiądz biskup Par-

czewski nadjeżdża z księdzem Białozorem, archidyakonem wileńskim.

— Zali oni księcia, choć kalwina, odwiedzają?

— Cóż mają czynić; gdy tego potrzeba dla spraw publicznych, muszą ze sobą politykować.

— Ej, rojno też tu! ej, gwarno! — rzekł z radością pan Zagłoba. — Człowiek już zardzewiał na wsi, jak stary klucz w zamku... Tu się lepsze czasy przypomną. Szelmą jestem, jeżeli dzisiaj do jakiej dziewczki, gładzyszki, w zaloty się nie puszczyć!

Dalsze słowa pana Zagłoby przerwali żołnierze, trzymający straż w bramie, którzy wypadłszy z odwachu, stanęli w dwa szeregi na przyjęcie księdza biskupa; on zaś przejechał, czyniąc krzyż ręką na obie strony, błogosławiąc żołnierzy i zebraną w pobliżu szlachtę.

— Polityczny to pan, książę, — rzekł Zagłoba — że tak księdza biskupa honoruje, chociaż sam zwierzchności kościelnej nie uznaje... Dałby Bóg, żeby to był pierwszy krok do nawrócenia.

— E! nie będzie z tego nic. Niemało o to starań czyniła pierwsza jego żona i nic nie wskórała, aż umarła ze zmartwienia... Ale czemu to szkoty z warty nie schodzą? Widać znowu ktoś godny będzie przejeżdżał.

Jakoż w dalekości ukazał się cały orszak zbrojnych żołnierzy.

— To dragony Ganchofa, poznaję; — rzekł Wołodjowski — ale jakieś karety w środku idą!

Wtem bębny poczęły warczeć.

— Oho! to widać ktoś większy od księdza biskupa żmudzkiego! — zawołał Zagłoba.

— Czekaj waść, już są.

— Dwie karety wpośrodku.

— Tak jest. W pierwszej to pan Korf, wojewoda wendeński.

— Jakże! — zakrzyknął Jan — to znajomy ze Zbaraża...

Jakoż wojewoda poznał ich, a najpierwiej Wołodjowskiego, którego widocznie częściej widywał; więc przejeżdżając, wychylił się z kolaski i zakrzyknął:

— Witam waszmościów, starzy towarzysze!...
Ot, gości wieziem!

W drugiej karecie, z herbami księcia Janusza, zaprzągniętej w cztery białe ogiery, siedziało dwóch panów wspaniałej postaci, ubranych z cudzoziemska, w kapelusze o szerokich koliskach, zpod których jasne pukle peruk spływały im aż na ramiona, na koronkowe, szerokie kołnierze. Jeden, bardzo otyły, nosił spiczastą płową brodę i wąsy rozstrzępione na końcach i podniesione do góry; drugi młodszy, ubrany całkiem czarno, mniej rycerską miał postawę, ale może wyższy jeszcze urząd, gdyż na szyi błyszczał mu złoty łańcuch, zakończony jakimś orderem. Obaj widocznie byli cudzoziemcami, spoglądali bowiem ciekawie na zamek, na ludzi i na ubiory.

— Co za dyabły? — pytał Zagłoba.

— Nie znam ich, nigdy nie widziałem! — odrzekł Wołodjowski.

Wtem karoca przejechała i poczęła okrążyć dziedziniec, by zajechać przed główny korpus zamkowy, dragoni zaś zatrzymali się przed bramą.

Wołodjowski poznał dowodzącego nimi oficera.

— Tokarzewicz! — zakrzyknął — a bywajno waszmość!

— Czołem, mości pułkownik!

— A jakich to szołdrów wieziecie?

— To Szwedzi.

— Szwedzi?

— Tak jest i znaczni ludzie. Ten gruby, to hrabia Löwenhaupt, a ów cieńszy, to Benedykt Shitte baron von Duderhoff.

— Duderhoff?! — rzekł Zagłoba.

— A czego oni tutaj chcą? — pytał pan Wołodjowski.

— Bóg ich wie! — odpowiedział oficer. — My ich od Birż eskortujem. Pewnie paktować z naszym księciem przyjechali, bo tam w Birżach słyszeliśmy, że książę wielkie wojsko zbiera i że ma Inflanty najechać.

— Ha, szelmy! tchórz was oblatuje! — wołał Zagłoba. — To Wielkopolskę najeżdżacie, króla rugujecie, a tu kłaniacie się Radziwiłłowi, by was w Inflanty nie połechtali. Poczekajcie! będziecie zmykać do waszych Dunderhoffów, aż wam pończochy opadną! Zaraz my tu z wami podunderujemy. Niech żyje Radziwiłł!

— Niech żyje — powtórzyła stojąca przy bramie szlachta.

— Defensor patriae! Obrońca nasz! Na Szweda, mości panowie! na Szweda!

Uczyniło się koło. Coraz więcej szlachty zbierało się z dziedzińca, co widząc Zagłoba, skoczył na wystający cokół bramy i począł wołać:

— Mości panowie, słuchajcie! Kto mnie nie zna, temu powiem, żem jest stary zbarażczyk, który Burłaja, największego hetmana po Chmielnickim, tą oto starą ręką usieknął; kto zaś nie słyszał o Zagłobie, ten widać czasu pierwszej kozackiej wojny groch łuszczył, kury

macał albo cieleńta pasał, czego po tak zacnych kawalerach się nie spodziewam.

— Wielki to rycerz! — ozwały się liczne głosy. — Niemasz w Rzeczypospolitej większego!... Słuchajcie!

— Słuchajcie, mości panowie! Starym kościom chciało się wypoczynku; lepiejby mi było po piekarniach się wylegać, twaróg ze śmietaną jadać, po sadach chodzić i jabłka zbierać, albo ręce w tył założywszy, nad żniwakami stać lub dziewczki po łopatkach poklepywać. Pewnie i nieprzyjaciel byłby mnie dla własnego dobra ostawił w spokoju, bo i Szwedzi i Kozacy wiedzą, że mam rękę przyciężką i dałby Bóg, aby moje imię tak było znane waćpanom, jak hostibus jest znane.

— A coto za kur tak górnje pieje? — spytał nagle jakiś głos.

— Nie przerywaj! bodaj cię zabito! — wołali inni. Lecz Zagłoba dosłyszał.

— Wybaczcie waćpanowie temu kogutkowi! — zakrzyknął — bo on jeszcze nie wie, z której strony ogon, a z której głowa.

Szlachta wybuchnęła ogromnym śmiechem, a zmieszany preopinant cofał się prędej poza tłum, aby ujść szyderstw, które poczęły się sypać na jego głowę.

— Wracam do materyi! — mówił Zagłoba. — Owóż, repeto, należałby mi się wypoczynek, ale że ojczyzna w paroksyzmie, że nieprzyjaciel depce naszą ziemię, przetom tu jest, mości panowie, aby razem z wami oponować się hostibus, w imię tej matki, która nas wszystkich wykarmiła. Kto przy niej dziś nie stanie, kto jej na ratunek nie pobieży, ten nie syn, ale pasierb, ten nie godzien jej miłości. Ja stary idę, niech się dzieje wola Boża, a jeśli zginać przyjdzie, tedy osta-

tnim tchem będę wołał: na Szweda! panowie bracia! na Szweda!... Poprzysięgnijmy sobie, że nie prędeż popuścimy szable z dłoni, aż ich z ojczyzny wyżeniemy!...

— My i bez przysięg na to gotowi! — zawołały liczne głosy. — Pójdziem, gdzie nas nasz hetman książę poprowadzi; zajdziem gdzie potrzeba!

— Mości panowie bracia!... Widzieliście, jako dwóch pludraków przyjechało w złocistej karecie. Wiedzą oni, że nie z Radziwiłłem to igrać. Będą za nim po komnatach chodzić i w łokcie go całować, by im dał pokój. Ale książę, mości panowie, od którego z narady wracam, upewnił mnie imieniem całej Litwy, że nic z paktów, nic z pergaminów, jeno wojna i wojna!!

— Wojna! wojna! — powtórzyły jak echa głosy słuchaczy.

— Lecz że i wódz — mówił dalej Zagłoba — tem śmielej sobie poczyna, im swoich żołnierzy pewniejszy, okażmy tedy, mości panowie, nasze sentymenta. A nuże! Pójdźmy pod pańskie okna zakrzyknąć: hajże na Szweda! Za mną, mości panowie!

To rzekłszy, zeskoczył z cokołu i ruszył naprzód, a tłum za nim i tak przyszli pod same okna, czyniąc gwar coraz większy, który wkońcu zlał się w jeden olbrzymi okrzyk:

— Na Szweda! na Szweda!

Po chwili wypadł z sieni pan Korf, wojewoda wendeński, zmieszany bardzo, za nim Ganchoff, pułkownik rajtarów książęcych i obaj poczęli hamować szlachtę, uciszać, prosić, żeby się rozeszła.

— Na Boga — mówił pan Korf — tam na górze aż szyby drżą, a waćpanowie ani wiecie, jakeście się nie

w porę z waszemi okrzykami wybrali. Jakżeto możecie posłom zniewagi czynić, przykład niekarność dawać! Kto was do tego pobudził?

— Ja! — odrzekł Zagłoba. — Powiedz wasza miłość księciu panu w imieniu nas wszystkich, że go prosimy, aby był twardy, bo do ostatniej kropli krwi gotowiśmy przy nim wytrwać.

— Dziękuję waszmościom w imieniu pana hetmana, dziękuję waszmościom, ale już się rozejdźcie. Rozwagi, mości panowie! Na żywy Bóg, rozwagi, bo ojczyznę do reszty pogrążycie! Niedźwiedzią przysługę ojczyźnie oddaje, kto dziś posłów znieważa.

— Co nam do posłów! Chcemy się bić, nie paktować!

— Cieszy mnie animusz waszmościów! Przyjdzie na to pora niezadługo, bogdaj, że i bardzo prędko. Wypocznijcie teraz przed wyprawą. Pora na gorzałkę i przekąskę! Źle się bić o pustym brzuchu.

— Prawda, jako żywo! — zawołał pierwszy pan Zagłoba.

— Prawda, w sedno utrafił. Skoro książę zna nasze sentymenta, to nie mamy tu co robić!

I tłum począł się rozpraszać, największy zaś płynął do oficyn, w których liczne stoły były już zastawione. Pan Zagłoba szedł na czele — pan Korf zaś wraz z pułkownikiem Ganchofem udali się do księcia, który siedział na naradzie z posłami szwedzkimi, z księdzem biskupem Parczewskim, z księdzem Białozorem, z panem Adamem Komorowskim i z panem Aleksandrem Mierzejewskim, dworzaninem króla Jana Kazimierza, czasowo bawiącym w Kiejdanach.

— Kto tam był sprawcą tej wrzawy? — pytał książę, z którego lwiej twarzy gniew jeszcze nie ustąpił.

— To ów szlachcic świeżo przybyły, sławny pan Zagłoba! — odpowiedział wojewoda wendeński.

— Mężnyto rycerz, — odparł książę — ale za wcześnie mi się rządzić poczyna.

To rzekłszy, skinął na pułkownika Ganchofa i począł mu coś szeptać do ucha.

Pan Zagłoba tymczasem rad z siebie, szedł do sal dolnych uroczystym krokiem, mając przy sobie panów Skrzetuskich i pana Wołodyjowskiego, do których mówił zcicha:

— A co, amici, ledwiem się pokazał, jużem afekt w tej szlachcie ku ojczyźnie rozbudził. Łatwiejże teraz księciu odprawić z niczem posłów, bo się na nasze sufragia potrzebuje tylko powołać. Nie będzie to, jak myślę, bez nagrody, choć najwięcej mi o honor chodzi. Czegożeś tak stanął, panie Michale, jak skamieniały i oczy utkwieś w onę kolaskę przy bramie?

— To ona! — rzekł, ruszając wąsikami pan Michał. — Na Boga żywego, ona sama!

— Kto taki?

— Billewiczówna...

— Ta, która ci dała rekuzę?

— Tak jest. Patrzcie waszmościowie, patrzcie! Nie zmarniećże tu człeku od żalości?

— A poczekajcie! — rzekł Zagłoba — trzeba się przyjrzeć.

Kolaska tymczasem zatoczywszy koło, zbliżyła się do rozmawiających. Siedział w niej okazały szlachcic z siwiejącym wąsem, a obok niego panna Aleksandra; piękna jak zawsze, spokojna i poważna.

Pan Michał utkwiał w nią wzrok rozszalony i skłonił się nisko kapeluszem, ale ona nie dostrzegła go w tłumie. Zagłoba zaś rzekł, spoglądając na jej delikatne szlachetne rysy :

— Pańskie to jakieś dziecko, panie Michale, i za misterna dla żołnierza. Przyznaję, że gładka, ale ja wolę takie, coto i zrazu nie poznasz: armata, czy białogłowa?

— Nie wiesz waszmość, kto to przyjechał? — spytał pan Michał stojącego obok szlachcica.

— Jakże nie wiem! — odparł szlachcic — to pan Tomasz Billewicz miecznik rosieński. Wszyscy go tu znają, bo to dawny radziwiłłowski sługa i przyjaciel.

ROZDZIAŁ XIII.

Książę nie pokazał się tego dnia szlachcie aż do wieczora, obiadował bowiem z posłami i kilku dygnitarzami, z którymi poprzednio naradę był składał. Przyszły jednak rozkazy do pułkowników, żeby nadworne pułki radziwiłłowskie, a zwłaszcza regimenty piechoty pod cudzoziemskimi oficerami, stały w pogotowiu. W powietrzu pachniało prochem. Zamek lubo nie obronny, otoczony był wojskiem, jak gdyby pod jego murami miano bitwę stoczyć. Spodziewano się pochodu najpóźniej na jutrzejszy ranek i były tego widome oznaki, niezliczona bowiem czeladź książęca zajęta była ładowaniem na wozy broni, kosztownych sprzętów i książęcego skarbcza.

Harasimowicz opowiadał szlachcie, że wozy pójdą do Tykocina na Podlasie, bo niebezpiecznieby było, aby skarbiec zostawał w nieobronnym kiejdańskim zamku. Przygotowywano i rekwizyta wojenne, które miały iść za wojskiem.

Rozeszły się wieści, że hetman polny Gosiewski dlatego został aresztowany, że nie chciał połączyć swych chorągwi, stojących w Trokach, z radziwiłłowskimi, przeto na jawną zgubę całą wyprawę wystawiał.

Zresztą przygotowania do pochodu, ruch wojsk, turkot armat, wytaczanych z zamkowego arsenału i ów rozgardyasz towarzyszący zawsze pierwszym chwilom wojennych wypraw, odwrócił uwagę w inną stronę i kazał zapomnieć rycerstwu o aresztowaniu pana Gosiewskiego i kawalera Judyckiego.

Obiadująca w olbrzymich dolnych salach oficyn szlachta, o niczem nie rozprawiała, jeno o wojnie, o pożarze Wilna, które już dziesięć dni gorzało, coraz sroższym paląc się pożarem, o wieściach z Warszawy, o postępach Szwedów i o Szwedach samych, przeciw którym, jako przeciw wiarołomcom, napadającym sąsiada wbrew traktatowi mającemu jeszcze na sześć lat siłę, burzyły się serca, umysły i wzrastała w duszach zawziętość. Wieści o szybkich postępach, o kapitulacyi Ujścia, zalaniu Wielkopolski wraz ze wszystkimi miastami, o grożącym najściu Mazowsza i nieuniknionem wzięciu Warszawy, nie tylko nie budziły trwogi, ale przeciwnie podniecały odwagę i ochotę do boju. Działo się to dlatego, że jasne już były dla wszystkich przyczyny tego szwedzkiego powodzenia. Oto dotychczas nie zetknęli się jeszcze ani razu z wojskiem, ani z wodzem prawdziwym. Radziwiłł był pierwszym wojownikiem z rzemiosła, z którym mieli się zmierzyć, a który tymczasem wzbudzał absolutną ufność w swe zdolności wojenne w zebranej szlachcie, zwłaszcza, że i pułkownicy jego zaręczali, iż pobiją Szwedów w otwartem polu.

— Nie może być inaczej! — mówił pan Michał Stankiewicz, stary i doświadczony żołnierz. — Pamiętam wojny dawniejsze i wiem, że bronili się zawsze w zamkach, w warownych obozach, zza szanczyków, nigdy nie śmieli stawić się nam w otwartem polu, bo się jazdy

okrutnie bali, a gdzie dufając w siłę, wystąpili, tam słusznie otrzymali ćwiczenie. Nie wiktorya to dała w ich ręce Wielkopolskę, ale zdrada i pospolitego ruszenia niedołęstwo.

— Tak jest! — rzecze pan Zagłoba. — Mdły to naród, bo ziemia tam okrutnie nieurodzajna i chleba nie mają, bo jeno szyszki sosnowe mielą, z takiejto mąki podpłomyki czyniąc, które żywicą śmierdzą. Inni nad morzem chodzą i co tylko fala wyrzuci, to żrą, jeszcze się z sobą o owe specyały bijąc. Hołota tam okrutna, dlatego niemasz narodu na cudze łapczywszego, bo nawet Tatarzy końskiego mięsa ad libitum mają, a oni czasem po roku mięsa nie widują i ciągle głodem przymierają, chyba, że połów ryb zdarzy się obfity.

Tu Zagłoba zwrócił się do pana Stankiewicza:

— A waszmość to kiedy ze Szwedami się zapoznał?

— Pod księciem Krzysztofem, ojcem terazniejszego pana hetmana.

— A ja pod panem Koniecpolskim, ojcem dzisiejszego chorążego. Srodześmy kilkakroć Gustawa Adolfa w Prusach porazili i jeńców niemałośmy nabrali; tamem ich na wylot przeznał i wszelkie ich sposoby. Nacudowali się nad nimi nasi chłopcy niemało, bo trzeba waszmościom wiedzieć, że Szwedzi, jako to naród ustawicznie w wodzie brodzący i z morza największe ciągnący intraty, nurkowie są exquisitissimi. Tośmy się im popisywać kazali i co waszmościowie na to powiecie: rzucisz szelmę w jedną przerebel, to on ci drugą wypłynie i jeszcze śledzia żywego w pysku trzyma...

— Na Boga, co waszmość mówisz?!

— Niech tu trupem padnę, jeśli tego mało sto razy na własne oczy nie widział i innych dziwnych ich obyczajów. Pamiętam i to, że tak się na pruskim chlebie spaśli, iż potem wracać nie chcieli. Słusznie jegomość pan Stankiewicz mówi, że nietędy z nich żołnierze. Piechotę mają jaką taką, ale jazdę, Boże się pożał, bo koni w ich ojczyźnie niemasz i zmlodu nie mogą do jazdy nawyknąć.

— Podobno najpierw nie na nich pójdziemy, — mówił pan Szczyt — jeno za Wilno pomścić?

— Tak jest. Sam to księciu radziłem, gdy się pytał, co w tej materii myślę — odparł Zagłoba. — Ale skończywszy z jednymi, pójdziemy wnet na drugich. Muszą się tam ci posełkowie pocić.

— Politycznie ich przyjmują, — rzekł pan Załęski — ale nic chudziątka nie wskórają, a najlepszy dowód rozkazy wojsku dane.

— Miły Boże, miły Boże! — mówił pan Twarowski, sędzia rosieński — jakto wraz z niebezpieczeństwy ochoty przybywa... Jużśmy mało nie zdesperowali, z jednym nieprzyjacielem do czynienia mając, a teraz nam na obydwóch.

— Nie może być inaczej — odparł Stankiewicz. — Nieraz to bywa, że się pozwolisz bić póty, póki ci cierpliwości nie zbraknie, a potem ni zład, ni zowąd, znajdzie się i wigor i fantazyja. Małośmy to ucierpieli, mało przenieśli?... Spuszczaliśmy się na króla i popolite ruszenie koronne, na własne siły nie licząc, aż wreszcie mamy wóz i przewóz, trzeba albo obydwóch bić, albo zginać z kretesem...

— Bóg nam pomoże! Dosyć tego zwlekania!

— Sztych nam do gardła przyłożyli!

— Przyłóżmy im i my! Pokażemy koroniarcom, jacy to tu żołnierze! Nie będzie u nas Ujścia, jako Bóg w niebie!

I w miarę kielichów rozgrzewały się czupryny i rosły humory wojenne. Tak nad brzegiem przepaści ostatni wysiłek częstokroć o ocaleniu stanowi. Zrozumiały to te tłumy żołnierzy i owa szlachta, którą tak niedawno jeszcze Jan Kazimierz do Grodna wzywał przez rozpaczliwe uniwersały na pospolite ruszenie. Teraz wszystkie serca, wszystkie umysły zwrócone były ku Radziwiłłowi; wszystkie usta powtarzały to groźne imię, z którym do niedawna zawsze zwycięstwo szło w parze. Jakoż od niego tylko zależało zebrać rozproszone, poruszyć uśpione siły kraju i stanąć na czele potęgi, dostatecznej do pomyślnego rozstrzygnięcia obydwóch wojen.

Po obiedzie wzywano do księcia kolejno pułkowników: Mirskiego, który w pancерnej hetmańskiej chorągwi porucznikował, a po nim Stankiewicza, Ganchofa, Charłampa, Wołodyjowskiego i Sołłohuba. Zdziwili się trochę starzy żołnierze, że ich pojedynczo nie wspólnie, na naradę zapraszają; ale miłe to było zdziwienie, każdy bowiem odchodził z jakąś nagrodą, z jakimś widocznym dowodem książęcego faworu; w zamian zaś żądał tylko książe wierności i ufności, które i tak wszyscy z duszy serca mu ofiarowali. Wypytywał się też pan hetman troskliwie, czy pan Kmicic nie wrócił i kazał sobie dać znać, gdy wróci.

Jakoż wrócił, ale dopiero późnym wieczorem, gdy już sale były oświetlone i goście poczęli się zbierać. W cekhauzie, dokąd przyszedł się przebrać, zastał pana Wołodyjowskiego i poznał się z resztą kompanii.

— Okrutniem rad, że waszmości widzę i sławnych przyjaciół! — rzekł, wstrząsając ręką małego rycerza. — Jakobym brata zobaczył! Możesz w to waszmość wierzyć, bo ja symulować nie umiem. Prawda żeś mnie szpetnie przez łeb przejechał, aleś mnie potem na nogi postawił, czego do śmierci nie zapomnę. Przy wszystkich to mówię, że gdyby nie waszmość, tobym się teraz za kratą kołatał. Bodaj się tacy ludzie na kamieniu rodzili. Kto inaczej myśli, ten kiep i niech mnie dyabeł porwie, jeśli mu uszów nie obetnę.

— Daj wać pokój.

— W ogień za waćpanem pójde, bodajem przepadł! Wychodź, kto nie wierzy!

Tu pan Andrzej począł toczyć wyzywającym wzrokiem po oficerach, ale nikt nie zaprzeczył, bo zresztą wszyscy lubili i szanowali pana Michała; jeno Zagłoba rzekł:

— Siarczysty jakiś żołnierz, daj go katu! Widzi mi się, że srodze polubię waćpana za ten afekt do pana Michała, bo mnie się dopiero spytać, ile on wart.

— Więcej niż my wszyscy! — odrzekł Kmicic ze zwykłą sobie porywcznością.

Poczem spojrział na panów Skrzetuskich, na Zagłobę i dodał:

— Przepraszam waszmościów, nie chcę nikomu ubliżyć, bo wiem, żeście cnotliwi ludzie i wielcy rycerze... Nie gniewajcie się, bo jabym z serca chciał na przyjaźń waćpaństwa zasłużyć.

— Nic nie szkodzi: — rzekł Jan Skrzetuski — co w sercu, to w gębie.

— Dajno waćpan pyska! — rzekł pan Zagłoba.

— Nie mnie dwa razy taką rzecz powtarzać!

I padli sobie w objęcia. Poczem pan Kmicic zakrzyknął:

— Musimy dziś podpić, nie może być inaczej!

— Nie mnie dwa razy taką rzecz powtarzać! — rzekł jak echo Zagłoba.

— Wymkniemy się wcześniej do cekhauzu, a o naitkach pomyślę.

Pan Michał począł ruszać mocno wąsikami.

— Nie będziesz ty się miał ochoty wymykać — pomyślał sobie w duchu, spoglądając na Kmicica — jeno zobaczysz, kto tam na pokojach dzisiaj będzie...

I już usta otwierał, aby powiedzieć Kmicicowi, że pan miecznik rosieński z Olenką przyjechali do Kiejdan, ale zrobiło mu się jakoś mdło na sercu, więc zwrócił rozmowę.

— A waścina chorągiew gdzie jest? — pytał.

— Tu. Gotowiuśka! Był u mnie Harasimowicz i przyniósł mi rozkaz od księcia, by o północku ludzie byli na koniach. Pytałem go, czy to mamy wszyscy ruszać, powiedział: nie!... Nie rozumiem, co to znaczy. Z innych oficerów jedni mają ten sam rozkaz, inni nie mają. Ale piechota cudzoziemska wszystka otrzymała.

— Może część wojsk dziś pójdzie na noc, część jutro — rzekł Jan Skrzetuski.

— W każdym razie ja tu z waszmościami podpiję, a chorągiew niech sobie rusza... Potem w godzinę ją dogonię.

W tej chwili wpadł Harasimowicz.

— Jaśnie wielmożny chorąży orszański! — wołał, kłaniając się we drzwiach.

— A co? czy się pali? jestem! — rzekł Kmicic.

— Do księcia pana! do księcia pana!

— Zaraz, jeno szaty zawdzieję. Chłopię! kontusz i pas, bo zetnę.

Pachołek w mig podał resztę ubioru i w kilka minut później pan Kmicic, strojny jak na wesele, ruszył do księcia. Łuna od niego biła, tak wydał się urodziwy. Żupan miał z lamy srebrnej, dzierzgany w rzuty gwieździste, od których szedł blask na całą postać, a zapięty wielkim szafirem pod szyją. Na to kontusz z błękitnego aksamitu, pas biały, ceny niezmiernej, tak subtelny, że przez pierścień można go było przewlec. Srebrzysta szabla, usiana szafirami, zwieszała się u pasa na jedwabnych rapciach; za pas zaś zatknął i buzdycan rotmistrzowski, mający powagę osoby oznaczać. Dziwnie zdobił ten strój młodego rycerza i piękniejszego męża trudnoby było w całym tym niezmiernym tłumie, zebranych w Kiejdanach, znaleźć.

Pan Michał westchnął, patrząc na niego i gdy Kmicic zniknął za drzwiami cekhauzu, rzekł do pana Zagłoby:

— Z takim przy białogłowie ani rady!

— Ujmij mi jeno trzydzieści lat! — rzekł Zagłoba.

Książę już był także ubrany, gdy wszedł Kmicic i właśnie szatny, w towarzystwie dwóch murzynów, wyszedł był z komnaty. Zostali samnasam.

— Daj ci Boże zdrowie, żeś pośpieszył! — rzekł książę.

— Do usług waszej książęcej mości.

— A chorągiew?

— Wedle rozkazu.

— Pewni też to ludzie?

— W ogień, do piekła pójdą!

— To dobrze! Takich ludzi mi potrzeba... i ta-

kich, jak ty, na wszystko gotowych... Ciągłe to powtarzam, że na nikogo więcej, jak na ciebie, nie liczę.

— Wasza książęca mość, nie mogą się moje zasługi równać z zasługami starych żołnierzy, ale jeśli mamy na nieprzyjaciół ojczyzny ruszyć, tedy, Bóg widzi, nie pozostanę w tyle.

— Nie ujmuję ja starym zasług — rzekł książę — chociaż... mogą przyjść takie pericula, tak ciężkie terminy, że i najwierniejsi się zachwieją.

— Niech ten zginie marnie, kto od osoby w. ks. mości w niebezpieczeństwie odstąpi!

Książę spojrział bystro w twarz Kmicica.

— A ty... nie odstąpisz?...

Młody rycerz zapłonął.

— Wasza książęca mość!...

— Co chcesz mówić!

— Wyspowiadałem się w. ks. mości ze wszystkich grzechów moich i taka ich kupa, że jeno ojcowskiemu sercu w. ks. mości zawdzięczam przebaczenie... Ale w tych wszystkich grzechach jednego niemasz: niewdzięczności.

— Ani wiarołomstwa... Wyspowiadałeś się przede mną, jak przed ojcem, a jam ci nietylko jak ojciec przebaczył, alem cię pokochał, jak syna... którego Bóg mi nie dał i dlatego ciężko mi nieraz na świecie. Bądźże mi przyjacielem!

To rzekłszy książę, wyciągnął rękę, a młody rycerz uchwycił ją i bez wahania do ust przycisnął.

Milczeli obaj przez długą chwilę; nagle książę utkwiał oczy w oczach Kmicica i rzekł:

— Billewiczówna tu jest!

Kmicic poblądł i począł jąkać coś niezrozumiale.

— Umyślniem po nią posłał, żeby się ta niezgoda między wami skończyła. Zobacysz ją zaraz, bo jej żałoba po dziadzie już wyszła. Dziś także, choć Bóg widzi, że głowa popękała mi od roboty, mówiłem z panem miecznikiem rosieńskim.

Kmicic porwał się za głowę.

— Czem ja się w. ks. mości odpłacę? Czem ja odpłacę?...

— Powiedziałem wyraźnie panu miecznikowi, że taka moja wola, abyście się najprędzej pobrali i nie będzie ci przeciwny. Przykazałem mu też, aby dziewczkę zwolna do tego przygotował. Mamy czas. Od ciebie wszystko zależy, a ja szczęśliwy będę, jeśli cię nagroda z rąk moich dojdzie i daj Boże doczekać wiele innych, boś ty powinien pójść wysoko. Grzeszyłeś, boś młody, aleś już sławę na polu zdobył niepoślednią... i wszyscy młodzi gotowi wszędy iść za tobą. Dla Boga, powinieś pójść wysoko! Nie dla takiego rodu, jak twój, urzędy powiatowe... Zali wiesz żeś ty Kiszaków krewny, a z Kiszczanki ja się rodzę... Trzeba ci jeno statku, na co ożenek najlepsza rzecz. Bierżże onę dziewczynę, kiedy ci do serca przypadła i pamiętaj, kto ci ją daje.

— Wasza książęca mość, ja chyba oszaleję!... Życie, krew moja do w. ks. mości należą!... Co mam czynić, aby się wywdzięczyc? co? Mów w. ks. mość! rozkazuj!

— Dobrem za dobro mi odpłać... Miej wiarę we mnie, miej ufność, że co czynię, to dla dobra publicznego uczynię. Nie odstępuj mnie, gdy będziesz widział zdradę i odstępstwo innych, gdy się złość wzmoże, gdy mnie samego...

Tu książę urwał nagle.

— Przysięgam — rzekł z zapalem Kmicic — i parol kawalerski damę do ostatniego tchnienia stać przy osobie waszej książęcej mości, mego wodza, ojca i dobrodzieja!

To rzekłszy Kmicic, spojrział oczyma pełnemi ognia na księcia i aż strwożył się zmianą, która nagle zaszła na jego twarzy. Twarz ta była czerwona, żyły na niej nabrały, krople potu gęsto osiadły na wyniosłem czole, a oczy rzucały blask niezwykły.

— Co waszej ks. mości jest? — pytał niespokojnie rycerz.

— Nic! nic!...

Radziwiłł wstał, ruszył śpiesznym krokiem do kłęcznika i zerwawszy z niego krucyfiks, począł mówić gwałtownym, przytłumionym głosem:

— Na ten krzyż przysięgnij, że mnie nie opuścisz do śmierci!...

Mimo całej gotowości i zapалу, Kmicic spoglądał przez chwilę na niego ze zdumieniem.

— Na tę mękę Chrystusa... Przysięgnij!... — nalegał hetman.

— Na tę mękę Chrystusa... Przysięgam! — rzekł Kmicic, kładąc palce na krucyfiksie.

— Amen! — dodał uroczystym głosem książę.

Echo wysokiej komnaty powtórzyło gdzieś pod sklepicciem: „Amen“ i nastąpiła długa cisza. Słychać było tylko oddech potężnej radziwiłłowskiej piersi. Kmicic nie odrywał od hetmana zdumionych oczu.

— Teraz jużes mój... — rzekł wreszcie książę.

— Zawszem do waszej książęcej mości należał — odparł skwapliwie młody rycerz — ale racz mi wasza

ks. mość powiedzieć, racz mnie objaśnić, co się dzieje? Dlaczego wasza ks. mość wątpiłeś o tem? Czyli grozi co dostojnej osobie? Aza zdrada jaka, jakowe machi-nacye zostały odkryte?

— Zbliża się czas próby, — rzekł ponuro książę — a co do nieprzyjaciół, nie wieszli to, że pan Gosiewski, pan Judycki i pan wojewoda witebski radziby mnie na dno przepaści pograć. Tak jest! Wzmaga się nieprzyjaciel domu mego, szerzy się zdrada i grożą klęski publiczne. Dlatego mówię: zbliża się czas próby...

Kmicic zamilkł, ale ostatnie słowa księcia nie rozproszyły ciemności, jakie obsiadły jego umysł i próżno pytał sam siebie, co może grozić w tej chwili potężnemu Radziwiłłowi? Wszakże stał na czele większych sił, niż kiedykolwiek. W samych Kiejdanach i w okolicy stało tyle wojska, że gdyby był książę miał podobną potęgę, zanim pod Szklów ruszył, los całej wojny wypadłby niezawodnie inaczej.

Gosiewski i Judycki byli mu wprawdzie niechętni, ale obydwoh miał w rękę i pod wartą, a co do wojewody witebskiego, zbyt to był cnotliwy człowiek, zbyt dobry obywatel, aby w przeddzień nowej wyprawy przeciw nieprzyjaciołom można się było obawiać z jego strony jakichkolwiek przeszkód i machinacyj.

— Bóg widzi, nic nie rozumiem! — zakrzyknął Kmicic, nieumiejący wogóle utrzymać swoich myśli.

— Dziś jeszcze zrozumiesz wszystko — odparł spokojnie Radziwiłł. — A teraz pójdźmy do sali.

I wzięwszy pod rękę młodego pułkownika, skierował się z nim ku drzwiom.

Przeszli kilka komnat. Zdaleka, z olbrzymiej sali dochodziły dźwięki kapeli, której przewodził Francuz,

srowadzony umyślnie przez księcia Bogusława. Grano też menueta, którego wówczas na dworze francuskim tańcowywano. Łagodne tony mieszały się z gwarem licznych głosów ludzkich. Książę Radziwiłł zatrzymał się i słuchał.

— Daj Boże — rzekł po chwili — aby ci wszyscy goście, których pod dach przyjmuję, nie przeszli jutro do moich nieprzyjaciół.

— Mości książę, — odparł Kmicic — mam nadzieję, że nie masz między nimi szwedzkich stronników...

Radziwiłł drgnął i wstrzymał się nagle.

— Co ty chcesz powiedzieć?

— Nic, mości książę, jeno, że tam zacni żołnierze się weselą.

— Chodźmy... Czas pokaże i Bóg osądzi, kto zacny... Chodźmy!

Przy samych drzwiach stało dwunastu paziów, cudownych chłopiąt, przybranych w pióra i aksamity. Ujrawszy hetmana, sformowali się w dwa szeregi, książę zaś zbliżywszy się, pytał:

— Jej książęca mość weszła już na salę?

— Tak jest, mości książę! — odpowiedzieli chłopcy.

— A ichmościowie posłowie?

— Są także.

— Otwieraj!

Obie połowy drzwi rozwarły się w mgnieniu oka, potok światła lunął przez nie i oświecił olbrzymią postać hetmana, który mając za sobą pana Kmicica i paziów, wszedł na podniesienie, na którym krzesła dla przedniejszych gości były zastawione.

Wnet ruch uczynił się w sali, wszystkie oczy zwró-

ciły się na księcia, potem jeden okrzyk wyrwał się z setek piersi rycerskich:

— Niech żyje Radziwiłł! Niech żyje! Niech nam hetmani! Niech żyje!

Książę kłaniał się głową i ręką następnie jał witać gości zebranych na estradzie, którzy podnieśli się w chwili, gdy wchodził. Byli tam między znakomitszymi, oprócz samej księżnej, dwaj posłowie szwedzcy, poseł moskiewski, pan wojewoda wendeński, ksiądz biskup Parczewski, ksiądz Białozor, pan Komorowski, pan Mierzejewski, pan Hlebowicz, starosta żmudzki, szwagier hetmański, jeden młody Pac, oberszt Ganchoff, pułkownik Mirski, Weisenhoff, poseł księcia kurlandzkiego i kilka pań z otoczenia księżnej.

Pan hetman, jako przystało na gościnnego gospodarza, począł powitania od posłów, z którymi kilkanaście słów uprzejmych zamienił, poczem witał innych, a skończywszy, zasiadł na krześle z gronostajowym baldachimem i spoglądał na salę, w której jeszcze brzmiały okrzyki:

— Niech żyje!... Niech nam hetmani!... Niech żyje!...

Kmicic, ukryty za baldachimem, patrzył również na tłumy. Wzrok jego przeskakiwał z twarzy na twarz, szukając wśród nich ukochanych rysów tej, która w tej chwili zajmowała całą duszę i serce rycerza. Serce biło mu jak młotem...

— Ona tu jest! Za chwilę ją ujrzę, przemówię do niej!... — powtarzał sobie w myśli... I szukał, szukał coraz chciwiej, coraz niespokojniej. Ot, tam! ponad piórami wachlarza widać jakieś brwi czarne, białe czoło i jasne włosy. To ona!

Kmicic dech wstrzymuje, jakby w obawie, żeby nie spłoszyć zjawiska, ale tymczasem poruszają się pióra, twarz się odstawia — nie! to nie Oleńka, to nie ta miła i najmilejsza. Wzrok leci dalej, obejmuje wdzięczne postacie, ślizga się po piórach, atlasach, rozkwitłych jak kwiaty twarzach i łądzi się co chwila. Nie ona i nie ona! Aż wreszcie, hen! w głębi, wedle framugi okna, zamajaczyło coś białego i rycerzowi pociemniało w oczach — to Oleńka, to ta miła i najmilejsza...

Kapela poczyna grać nanowo, tłumy przechodzą, kręcą się damy, migocą strojni kawalerowie, a on jak ślepy i głuchy, nic nie widzi, tylko ją i patrzy tak chciwie, jakby ją pierwszy raz widział. Niby to ta sama Oleńka z Wodoktów, a inna. W tej ogromnej sali i w tym tłumie wydaje się jakaś mniejsza i twarzyczkę ma drobniejszą, rzekłbyś dziecinną. Ot! wziąłbyś całą na ręce i przytulił! A przecie znowu ta sama, choć inna: też sameto rysy, te słodkie usta, takżeż rzęsy, cień rzucające na policzki, i to czoło jasne, spokojne, kochane... Tu wspomnienia jak błyskawice poczynają się przesuwać przez głowę pana Andrzeja: owa czeladna w Wodoktach, gdzie ją ujrzał po raz pierwszy i te ciche komnatki, w których przesiadywali razem. Co za słodycz, choćby tylko wspominać!... A ta sanna do Mitrunów, podczas której on ją całował!... Po-tem już ludzie poczuli ich rozdzielać i burzyć ją przeciw niemu.

— A żeby to pioruny zatrzaśły! — zakrzyknął w duszy pan Kmicic. — Co ja miałem i com ja utracił! Jaka ona była bliska, a jaka teraz daleka!

Siedzi oto zdala, jak obca, ani wie, że on tu jest. — I gniew, ale zarazem żal niezmierny, pochwycił pana

Andrzeja, żal, dla którego innych słów nie znalazł, jeno wykrzyk w duszy, który przez usta nie przeszedł:

— Ej, ty! Oleńka, ej, ty!...

Nieraz pan Andrzej wściekał się na siebie za swoje dawne postęпки, że miewał ochotę kazać się ludziom własnym rozciągnąć i sto bizunów wyliczyć, ale nigdy nie wpadł w taki gniew, jak teraz, gdy ją znów ujrzał po długim niewidzeniu, cudniejszą jeszcze niż zwykle, cudniejszą nawet, niż sobie wyobrażał. W tej chwili chciałby się pastwić nad sobą, ale że był między ludźmi, w dostojnem towarzystwie, więc tylko zęby zaciskał i jakoby chcąc sobie umyślnie jeszcze większy ból zadać, powtarzał w duchu:

— Dobrze ci tak, kpie! Dobrze ci!

Tymczasem dźwięki kapeli umilkły znowu i zamiast nich, usłyszał pan Andrzej głos hetmana:

— Chodź za mną!

Kmicic zbudził się jakby ze snu.

Książę zeszedł ze wzniesienia i wmieszał się między gości. Na twarzy miał uśmiech łagodny i dobrotliwy, który zdawał się jeszcze podnosić majestat jego postaci. Był to ten sam wspaniały pan, który czasu swego przyjmując królowę Maryą Ludwikę w Nieporęcie, dziwił, zdumiewał i gasił dworaków francuskich nietylko przepychem, ale i dwornością swych obyczajów; ten sam, o którym z takim uwielbieniem pisał Jan Laboureur w relacji ze swej podróży. Teraz więc zatrzymał się co chwila przy poważniejszych matronach, przy zacniejszej szlachcie i pułkownikach, mając dla każdego z gości jakieś łaskawe słowo, dziwiąc obecnych swą pamięcią i jednąjąc w mgnieniu oka wszystkie serca. Oczy obecnych biegały za nim, gdzie się tylko poruszył, on

zaś z wolna zbliżył się do pana miecznika rosieńskiego, Billewicza i rzekł:

— Dziękuję ci, stary przyjacielu, żeś przybył, chociaż miałbym się prawo i gniewać. Nie o sto mil Billewicze od Kiejdan, a z ciebie *rara avis* pod moim dachem.

— Wasza ks. mość, — odpowiedział pan miecznik, kłaniając się nisko — krzywdę ojczyźnie czyni, kto waszej ks. mości czas zabiera.

— A ja już myślałem się zemścić i najechać cię w Billewiczach, a przecie myślę, że przyjąłbyś wdzięcznie starego kompana obozowego?

Słyszac to, pan miecznik aż zarumienił się ze szczęścia, a książę mówił dalej:

— Jeno czasu, czasu zawsze nie staje!... Ale jak krewniaczkę, wnuczkę nieboszczyka pana Herakliusza, będziesz za mąż wydawał, to już na weselisko koniecznie zjadę, bom wam to obydwom powinien.

— Dajże Boże dziewce jak najprędzej! — zawołał pan miecznik.

— Tymczasem przedstawiam ci pana Kmicica, chorążego orszańskiego, z tych Kmiciców, coto Kiszkom, a przez Kiszków i Radziwiłłom krewni. Musiałeś to nazwisko od Herakliusza słyszeć, bo on Kmiciców jak braci kochał...

— Czołem, czołem! — powtórzył pan miecznik, któremu zaimponowała nieco wielkość rodu młodego kawalera, głoszona przez samego Radziwiłła.

— Witam pana miecznika dobrodzieja i służbie się jego polecam — rzekł śmiało i nie bez pewnej dumy pan Andrzej. — Pan pułkownik Herakliusz był mi ojcem i dobrodziejem, a choć się później popsowała jego ro-

bota, to jednak nie przestałem miłować wszystkich Billewiczów, jakoby własna moja krew w nich płynęła.

— Szczególnie — rzekł książę, kładąc poufale rękę na ramieniu młodzieńca — nie przestał miłować jednej Billewiczówny, z czem mi się dawno zwierzył.

— I każdemu do oczu to powtórzę! — rzekł zapalczywie Kmicic.

— Powoli, powoli! — odpowiedział książę. — To widzisz, mości mieczniku, z siarki i ognia jest kawaler, przezco i nabroił trochę; ale że młody i pod moją szczególniejszą jest protekcją, przeto tuszę, że jak we dwóch zacniem błagać, tak i otrzymamy zdjęcie kondemnaty przed onym wdzięcznym trybunałem.

— Wasza książęca mość uczyni, co zechce! — odrzekł pan miecznik. — Nieszczęsna dziewczka musi zakrzyknąć, jak ona kapłanka pogańska, Aleksandrowi: „Któż ci się oprze!“

— A my, jako ów macedończyk, poprzestaniem na tej wróżbie — mówił, śmiejąc się książę. — Ale dość tego! Prowadźże nas teraz do swej krewniaczki, bo i ja rad ją obaczę. Niechże się naprawi ta robota pana Herakliusza, która się popsowała.

— Służę w. ks. mości!... Tam oto dziewczyna siedzi pod opieką pani Wojniłłowiczowej, naszej krewnej. Jeno błagam o przebaczenie, jeśli się skonfunduje, bom też jeszcze nie miał czasu jej ostrzec.

Przewidywania pana miecznika były słuszne. Na szczęście, Oleńka nie w tej dopiero chwili ujrzała pana Andrzeja przy boku Lehmańskim, więc mogła nieco przyjsć do siebie, ale na razie omało nie opuściła jej przytomność. Pobladła jak płótno, nogi zdrzały pod nią i patrzyła tak na młodego rycerza, jakby patrzyła

na ducha, zjawiającego się z tamtego świata. I długo oczom nie chciała wierzyć. Toż ona sobie wyobrażała, że ów nieszczęśnik albo tuła się gdzieś po lasach, bez dachu nad głową, opuszczony od wszystkich, ścigany jak dziki zwierz przez sprawiedliwość; albo zamknięty w wieży, spogląda rozpaczliwym wzrokiem przez żelazną kratę na wesoły świat boży. Bóg jeden wiedział, jak straszny nieraz żal gryzł jej serce i oczy za tym straceńcem; Bóg jeden mógł policzyć łzy, które w samotności nad jego losem, tak okrutnym, choć tak zasłużonym, wylała — a tymczasem on znalazł się w Kiejdanach, wolny, przy boku hetmańskim, dumny i strojny w lamy i aksamity, z pułkownikowskim buzdyanem za pasem, ze wzniesionem czołem, z rozkazującą, hardą twarzą junacką i sam hetman wielki, sam Radziwiłł, kładł mu rękę poufale na ramieniu. Dziwne a sprzeczne uczucia spłotły się naraz w sercu dziewczyny; więc jakaś wielka ulga, jakby jej kto brzemię zdjął z ramion; więc jakiś żal, że tyle litości i zmartwienia poszło na próżno; więc i ten zawód, jakiego doznaje każda uczciwa dusza na widok bezkarności zupełnej za ciężkie grzechy i występki; więc i radość i poczucie własnej niemocy i graniczący z przestachem podziw dla tego junaka, który potrafił z takiej toni wypłynąć.

Tymczasem książę, miecznik i Kmicie skończyli rozmowę i poczuli się zbliżyć. Dziewczyna nakryła oczy powiekami i podniosła tak ramiona, jak ptak skrzydła, kiedy chce głowę między niemi ukryć. Była zupełnie pewna, że idą ku niej. Nie patrząc, widziała ich, czuła, że są bliżej i bliżej, że już nadchodzą, że zatrzymali się. Tak była tego pewna, że nie podnosząc powiek, wstała nagle i złożyła głęboki ukłon księciu.

On zaś istotnie stał już przed nią i przemówił:

— Na mękę Pańską!... Teraz się młodemu nie dziwię, bo cudnie to kwiecie rozkwitło... Witam cię, moja panienko, witam z całego serca i duszy kochaną wnuczkę mojego Billewicza. Poznajeszże mnie?

— Poznają, wasza książęca mość! — odrzekła dziewczyna.

— A jabym cię nie poznał, bom cię jeszcze młódką nierozkwitłą ostatni raz widział, nie w tej ozdobie, w jakiej teraz chodzisz... Podnieśno jeno one franki z oczu... Dla Boga! szczęśliwy nurek, który taką perłę wyłowi; nieszczęsny, który ją miał i stracił... Owóż stoi tu przed tobą taki desperat w osobie tego kawalera... Poznajeszże i jego?

— Poznają — szepnęła Oleńka, nie podnosząc oczu.

— Wielkito grzesznik i do spowiedzi ci go przyprowadzam... Zadaj mu pokutę, jaką chcesz, ale rozgrzeszenia nie odmawiaj, żeby go desperacya do cięższych jeszcze grzechów nie przywiodła.

Tu książę zwrócił się do pana miecznika i do pani Wojniłłowiczowej.

— Zostawmy młodych, mościwi państwo, bo nie wypada przy spowiedzi asystować, a mnie i moja wiara tego zakazuje.

Po chwili pan Andrzej i Oleńka zostali sami.

Serce jej tłótkło się w piersi, jak w gołębiu, nad którym jastrząb zawisnął, a i on był wzruszony. Opuszczyła go zwykła śmiałość, porywczosć i pewność siebie. Przez długi czas milczeli oboje.

Nareszcie on pierwszy ozwał się niskim, przytłumionym głosem:

— Nie spodziewałaś się mnie widzieć, Oleńka?

— Nie — szepnęła dziewczyna.

— Na Boga! Gdyby tu Tatar stanął koło ciebie, mniejbys była trwożna. Nie bójże się! Patrz, ilu tu ludzi. Żadna krzywda nie spotka cię ode mnie. A choćbyśmy sami byli, nie miałabyś się czego bać, bom sobie zaprzysiągł szanować cię. Miejże ufność we mnie!

Na chwilę podniosła oczy i spojrzała na niego.

— Zkąd mam mieć ufność?

— Prawda, grzeszyłem, ale to już minęło i nie powtórzy się więcej... Gdym po owym pojedynku z Wołodyjowskim na łożu leżał bliski śmierci, wtędym sobie powiedział: nie będziesz jej brał przemocą, szablą, ogniem, jeno zacnemi uczynkami na nią zasłużysz i przebaczenie wyjednasz!... Toż i w niej serce nie z kamienia i zawziętość jej przeminie; ujrzy poprawę, to wybaczy!... Więcem sobie zaprzysiągł poprawę i dotrzymam... Zaraz mnie też Bóg pobłogosławi!, bo przyjechał Wołodyjowski i przywiózł mi list zapowiedni. Mógł go nie dać, a dał; zachy człowiek! Przeszo już i do sądów nie potrzebowałem stawać, bom pod hetmańską inkwizycją przeszedł. Wypowiadałem się księciu ze wszystkich grzechów, jako ojcu; on zaś nietylko przebaczył, ale obiecał wszystko załagodzić i bronić mnie od nieżyczliwości ludzkiej. Niech mu Bóg błogosławi... Nie będę banitem, Oleńka, z ludźmi się pojednam, sławę odzyszczę, ojczyźnie się zasłużę, krzywdy naprawię... Oleńka! A ty co na to?... Nie rzeknieszże mi dobrego słowa?

I począł patrzeć na nią pilnie i ręce składać, jakby się do niej modlił.

— Mogęż ja wierzyć? — odrzekła dziewczyna.

— Możesz, jak mi Bóg miły, powinnaś! — odparł Kmicic. — Patrzaj, że w to uwierzyli i książę hetman i pan Wołodyjowski. Toć wszystkie postęпки moje im znane, a uwierzyli... Widzisz!... Czemubyś to ty jedna miała mi nie ufać?

— Bom łzy ludzkie widziała z powodu waćpana wylewane... Bom groby widziała, jeszcze trawą nieporosłe...

— To i porosną, a one łzy sam obetrę.

— Najprzód to waćpan uczyni.

— Daj mi jeno nadzieję, że jak uczynię, to i ciebie odzyszczę... Dobrze ci mówić: „Najprzód to uczyni”. A nuż ja uczynię, a ty za innego przez ten czas pójdziesz? Boże ratuj! Boże uchwaj od takiej rzeczy, bo chybabym oszalał. Na imię Boskie błagam cię, Oleńka, dajże mi pewnoś, że cię nie utracę, zanim z tamtą waszą szlachtą do zgody przyjdę. Pamiętasz? samaś mi to napisała, a ja on list chowam i jak mi bardzo na duszy ciężko, to go sobie odczytuję. Niczego więcej nie chcę, tylko mi jeszcze powtórz, że czekać będziesz, że za innego nie pójdziesz?

— Waćpan wiesz, że mi wedle testamentu uczynić tego nie wolno. Jeno do klasztoru mogę się schronić.

— O, tobyś mnie uczęstowała! Przez Bóg żywy, daj sobie pokój z klasztorem, bo mnie mrowie na samę myśl przechodzi. Dajże pokój, Oleńka, a nie, to ci tu przy wszystkich do nóg padnę i będę błagał, abyś tego nie czyniła. Pana Wołodyjowskiego odmówiłaś, wiem, bo sam mi o tem powiadał. Onto mnie zachęcał, abym cię dobrymi uczynkami zdobył... Ale nacoby się to zdało, gdybyś miała do zakonu wstępować? Powiesz mi, że cnotę dla cnoty trzeba praktykować... a ja ci odpo-

wiem, że miłuję cię jak desperat i nie chcę o niczem więcej wiedzieć. Kiedyś wyjechała z Wodoktów, ledwie z łoża powstał, jużem cię szukać zaczął. Stawiałem chorągiew na nogi, każdą chwilę miałem zajęta, nie miałem czasu strawy zjeść, nocy przespać, a przeciwnie szukania nie zaniechał. Tak już przyszło na mnie, że mi bez ciebie ani życia, ani spokoju! Tak się już uczepiło! Nic, tylko wzdychaniami żyłem. Dowiedziałem się wreszcie, żeś u pana miecznika w Billewiczach. To, powiadam ci, pasowałem się z myślami, jakoby z niedźwiedziem: jechać, nie jechać? . . . Alem nie śmiał jechać, żeby mnie zółcią nie napojono. Powiedziałem sobie wreszcie: nie uczyniłem jeszcze nic dobrego . . . nie pojadę . . . Aż książe, ojciec mój kochany, ulitował się nade mną i posłał prosić was do Kiejdan, abym choć oczy swoim kochaniem mógł napełnić . . . ile że na wojnę ruszamy. Nie żądam, abys jutro zaraz za mnie szła . . . Ale bogdaj słowo dobre od ciebie usłyszę, bogdaj się zapewnię, będzie mi lżej . . . Mojaż ty duszo jedyna . . . Nie chcę zginąć, ale w bitwie każdemu się to może przytrafić, bo przecie nie będę się za innych chował . . . więc mi powinnaś odpuścić, jako się umierającemu odpuszcza.

— Niech waćpana Bóg ochrania i wyprowadzi — odparła dziewczyna miękkiem głosem, po którym zaraz poznał pan Andrzej, że słowa jego wywarły skutek.

— Moje ty złoto szczerze! Dziękując i za to. A nie pójdziesz do klasztoru?

— Jeszcze nie pójde.

— Bodajże ci Bóg błogosławił!

I jak na wiosnę śniegi tają, tak między niemi poczęła topnieć nieufność i czuli się bliżsi siebie, niż przed

chwila. Serca mieli lżejsze, w oczach im pojaśniało. A przecież ona nic nie obiecała i on miał ten rozum, że niczego na razie nie żądał. Ale czuła to sama, że jej nie wolno, że nie godzi się zamykać mu drogi do poprawy, o której mówił tak szczerze. O jego szczerości nie wątpiła już ani na chwilę, bo to nie był człowiek, któryby coś udawać umiał. Lecz główny powód, dla którego nie odtrąciła go nanowo, dla którego zostawiła mu nadzieję, był ten, że w głębi serca kochała jeszcze tego junaka. Miłość tę przywalała góra goryczy, rozczarowania i boleści, ale miłość żyła, gotowa zawsze wierzyć i przebaczać bez końca.

— On lepszy od swoich uczynków — myślała dziewczyna — i niema już tych, którzy go do występków popychali; mógłby się chyba z desperacyi czego znowu dopuścić, niechże nie desperuje nigdy.

I poczciwe serce uradowało się własnem przebaczeniem. Na jagody Oleńki wystąpiły rumieńce tak świeże, jak róża pod ranną rosą; oczy miały blask słodki a żywy i rzekłbyś: jasność biła od nich na salę. Przechodzili ludzie i dziwili się cudnej parze, bo też takich dwojga paniątek trudno było ze świecą znaleźć w całej tej sali, w której przecież zebrany był kwiat szlachty i szlachcianek.

Oboje przytem, jak gdyby się umówili, jednako byli ubrani, gdyż i ona miała suknię ze srebrnej lamy, spiętą szafirem i błękitny z aksamitu weneckiego kontusik. „Chyba brat i siostra“ — mówili ci, którzy ich nie znali, ale inni zaraz na to czynili uwagę: „Nie może być, bo mu się oczy nadto do niej jarzą“.

Tymczasem w sali marszałek dał znać, że czas do stołu siadać i zaraz uczynił się ruch niezwyczajny. Hra-

bia Loewenhaupt, cały w koronkach, szedł najprzód pod rękę z księżną, której powłokę płaszcza niosło dwóch paziów prześlicznych; za nim baron Shitte prowadził panią Hlebowiczową, tuż szedł ksiądz biskup Parczewski z księdzem Białozorem, obaj jakby czemś zmartwieni i zasepieni.

Książę Janusz, który w pochodzie ustępował gościom, ale za stołem brał obok księżnej miejsce najwyższe, wiódł panią Korfową, wojewodzinę wendeńską, bawiącą już od tygodnia w Kiejdanach. I tak sunął cały szereg par, jako wąż stubarwny i rozwijał się i mienił. Kmticic wiódł Olenkę, która leciuchno wsparła ramię na jego ramieniu, on zaś spoglądał bokiem na jej delikatną twarz, szczęśliwy, jako pochodnia pałający, największy magnat między tymi magnatami, bo największego skarbu bliski.

Tak idąc posuwisto, przy dźwiękach kapeli, weszli do sali jadalnej, która wyglądała jak cały gmach osobny. Stół zastawiony był w podkowę, na trzysta osób i giał się pod srebrem i złotem. Książę Janusz, jako część majestatu królewskiego w sobie mający i tyłu królom pokrewny, wziął obok księżnej miejsce najwyższe, a wszyscy przechodząc mimo, kłaniali się nisko i zasiadali wedle godności.

Lecz widocznie, jak zdawało się obecnym, pamiętał hetman, że to ostatnia uczta przed straszną wojną, w której się losy olbrzymich państw rozstrzygną, bo nie miał w twarzy pokoju. Udawał uśmiech i wesołość, a tak wyglądał, jakby paliła go gorączka. Czasami widoczna chmura osiadała mu na groźnem czole i siedzący bliżej mogli dostrzec, że czoło to było gęsto kropkami potu okryte; czasem wzrok jego biegał szybko po

zebranych twarzach i zatrzymywał się badawczo na obliczach różnych pułkowników, to znów marszczył nagle łwie brwi, jakby go boleści przeszywały lub jakby ta czy owa twarz budziła w nim gniew. I dziwna rzecz, że dygnitarze siedzący obok księcia, jako: posłowie, ksiądz biskup Parczewski, ksiądz Białozór, pan Komorowski, pan Mierzejewski, pan Hlebowicz, pan wojewoda wendeński i inni, również byli roztrągnięni i niespokojni. Dwa ramiona olbrzymiej podkowy brzmiały już wesołą rozmową i zwykłym gwarem przy ucztach, a szczyt jej milczał posępnie, lub szeptał rzadkie słowa, lub zamieniał roztrągnięne i jakoby trwożne spojrzenia.

Ale nie było w tem nic dziwnego, bo niżej siedzieli pułkownicy i rycerze, którym bliska wojna co najwięcej śmiercią groziła. Łatwiejże polec w wojnie, niż dźwigać odpowiedzialność za nią na ramionach. Nie zartoczy się dusza żołnierska, gdy odkupiwszy krwią grzechy, leci z pola ku niebu — ten tylko schyla ciężko głowę, ten rozprawia w duszy z Bogiem i sumieniem, kto w wilią dnia stanowczego nie wie, jaki puhar poda jutro ojczyźnie do wypicia.

Tak też i tłumaczono to sobie na niższych końcach.

— Zawsze on taki przed każdą wojną, że z własną duszą gada; — mówił stary pułkownik Stankiewicz do pana Zagłoby — ale im posępniejszy, tem gorzej dla nieprzyjaciół, bo w dzień bitwy będzie wesół z pewnością.

— Toć i lew przed walką pomrukuje, — odparł pan Zagłoba — żeby w sobie tem większą abominacją przeciw nieprzyjacielowi wzbudzić. Co zaś do wielkich wojowników, każdy ma swój obyczaj. Hannibal podobno

kości rzucał, Scipio Africanus rytmy recytował, pan Konięcpolski, ojciec, o białogłowach zawsze rozmawiał, a ja, rad snu przed bitwą przez jaką godzinę zażywam, choć i od kielicha z dobrymi przyjaciółmi nie stronię.

— Obaczcie, waćpanowie, że to i ksiądz biskup Parczewski blady jak karta papieru! — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Bo za kalwińskim stołem siedzi i snadnie coś nieczystego w potrawach połknąć może — wyjaśnił cichym głosem Zagłoba. — Do trunków, powiadają starzy ludzie, nie ma licha przystępu i te wszędy pić możesz, ale jadła, a szczególnie zupy, trzeba się wystrzegać. Tak było i w Krymie, za czasów, gdy tam w niewoli siedział. Tatarscy mułlowie czyli księża, umieli baraninę z czosnkiem tak przyrządzać, że kto pokosztował, zaraz od wiary gotów był odstąpić i ich szelmowskiego proroka przyjąć.

Tu Zagłoba zniżył głos jeszcze bardziej:

— Nie na kontempt księciu panu to mówię, ale radzę waćpanom jadło przeżegnać, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Co zaś waćpan mówisz!... Kto się Bogu poleci przed jedzeniem, temu się nic nie stanie; u nas w Wielkopolsce lutrów i kalwinów coniemiarą, ale nie słyszałem o tem, żeby mieli jadło czarować.

— U was w Wielkopolsce lutrów coniemiarą, to też się ze Szwedami zaraz powąchali — odrzekł Zagłoba — i teraz w komitywie z nimi chodzą. Jabym na miejscu księcia i tych tam oto posłów psami wyszczuł, nie specyałami kiszki im nadziewał. Patrzcie na tego Loewenhaupta. Tak żre, jakby za miesiąc mieli go na jarmark, na postronku za nogę uwiązanego, pognąć.

Jeszcze dla żony i dla dzieci w kieszenie bakaliów natka... Zapomniałem, jak się ten drugi zamorek nazywa. Bodajże cię...

— Spytaj ojciec Michała — rzekł Jan Skrzetuski.

Pan Michał siedział niedaleko, ale nic nie słyszał, nic nie widział, bo siedział między dwiema pannami; po lewej ręce miał pannę Elżbietę Sielawską, godną pannę, lat około czterdziestu, a po prawej Oleńkę Billewiczównę, za którą siedział Kmicic. Panna Elżbieta trzęsła głową, przybraną w pióra, nad małym rycerzem i opowiadała mu coś bardzo żywo, on zaś spoglądał na nią od czasu do czasu osowiałym wzrokiem, odpowiadał cochwila: „Tak mościa panno, jako żywo!“ i nie rozumiał ani słowa, bo cała jego uwaga była właśnie po drugiej stronie. Uchem łowił szmer słów Oleńki, chrzęst jej lamowej sukni i wąsikami tak z żalu ruszał, jakby chciał niemi pannę Elżbietę odstraszyć.

— Ej! cudnaż to dziewczyna!... Ej, gładyszka to! — mówił sobie w duszy. — Wejrzyjże Boże na moję nędzę, bo już niemasz większego sieroty ode mnie. Dusza aż piszczy we mnie, żeby to mieć swoją niewiastę kochaną, a co na którą spojrzę, to już tam inny żołnierz kwaterą stoi. Gdzież ja się nieszczęsny tułacz podzieję?...

— A po wojnie, co waćpan myślisz czynić? — spytała nagle panna Elżbieta Sielawska, złożywszy buzię „w ciup“ i wachlując się mocno.

— Do zakonu pójść! — odparł opryskliwie mały rycerz.

— A kto tam o zakonie przy uczcie wspomina? — zawołał wesoło Kmicic, przechylając się przez Oleńkę. — Hej! to pan Wołodyjowski!

— Waści to nie w głowie? A wierzę! — rzekł pan Michał.

Wtem słodki głos Oleńki zabrzmiał mu w uszach:

— Bo waćpanu nie trzeba o tem myśleć. Bóg ci da żonę po sercu kochaną i zacną, jako sam jesteś zacyjny.

Pocziwy pan Michał zaraz rozczulił się:

— Żeby mi kto na fletni grał, nie byłoby mi miłej słuchać!

Gwar coraz wzmagający się przy stole przerwał dalszą rozmowę, bo też i do kielichów przyszło. Humory ożywiały się coraz bardziej. Pułkownicy dysputowali o przyszłej wojnie, marszcząc brwi i ciskając ogniste spojrzenia.

Pan Zagłoba opowiadał na cały stół o oblężeniu Zbaraża, a słuchaczom aż krew biła na twarze, a w sercach rósł zapal i odwaga. Zdawać się mogło, że duch nieśmiertelnego „Jaremy“ nadleciał do tej sali i tchnieniem bohaterskiem napełnił dusze żołnierzy.

— To był wódz! — rzekł znamienity pułkownik Mirski, który całą hussaryą radziwiłłowską dowodził. — Raz go tylko widziałem i w chwili śmierci będę jeszcze pamiętał.

— Jowisz, z piorunami w ręku! — zakrzyknął stary Stankiewicz. — Nie przyszłoby do tego, gdyby żył!...

— Ba! przecie on za Romnami lasy rąbać kazał, by sobie gościniec do nieprzyjaciół otworzyć.

— Jegoto przyczyną stała się berestecka wiktorya.

— I w najcięższej chwili Bóg go zabrał!...

— Bóg go zabrał — powtórzył podniesionym głó-

sem pan Skrzetuski — ale testament po nim został dla przyszłych wodzów, dygnitarzy i całej Rzeczypospolitej; oto, żeby z żadnym nieprzyjacielem nie paktować, ale wszystkich bić! . . .

— Nie paktować! Bić! — powtórzyło kilkanaście silnych głosów. — Bić, bić!

W sali upał stał się wielki i burzył krew w wojownikach, więc poczęły padać spojrzenia jak błyskawice, a podgolone łby dymiły.

— Nasz książę, nasz hetman, będzie tego testamentu egzekutorem! — rzekł Mirski.

Wtem olbrzymi zegar, umieszczony w górze sali, począł bić północ, a jednocześnie wstrząsnęły się mury, zadźwięczały żałośnie szyby i huk wystrzału wiwatowego rozległ się na dziedzińcu.

Rozmowy umilkły, nastąpiła cisza.

Nagle u szczytu stołu poczęto wołać:

— Książdz biskup Parczewski zemdłał! Wody!

Uczyniło się zamieszanie. Niektórzy zerwali się z siedzeń, by się lepiej przyjrzeć, co zaszło. Biskup nie zemdłał, ale osłabł bardzo, aż marszałek podtrzymywał go na krześle za ramiona, podczas gdy pani wojewodzina wendeńska pryskała mu wodą na twarz.

W tej chwili drugi wystrzał działowy wstrząsnął szybami, za nim trzeci, czwarty . . .

— Vivat Rzeczpospolita! pereant hostes! — zakrzyknął Zagłoba.

Lecz dalsze wystrzały zgłuszyły jego mowę. Szlachta poczęła je liczyć:

— Dziesięć, jedenaście, dwanaście . . .

Szyby za każdym razem odpowiadały jękiem żałosnym. Płomienie świec chwiały się od wstrząśnień.

— Trzynaćcie! czternaście!... Książd biskup huku niezwyczajny. Popsuł przez swój strach zabawę, bo i książę się zatroskał. Patrzenie, mości panowie, jaki odęty siedzi... Piętnaście, szesnaście... Hej, wał jak w bitwie! Dziewiętnaście, dwadzieścia!

— Cicho tam! książę chce przemówić! — poczęto wołać naraz w różnych końcach stołu.

— Książę chce przemówić!

Uciszyło się zupełnie i wszystkich oczy zwróciły się na Radziwiłła, który stał, podobny do olbrzyma, z kielichem w ręku. Lecz cóż za widok uderzył oczy uczujących!...

Twarz księcia była w tej chwili poprostu straszna, bo nie blada, ale sina i wykrzywiona jak konwulsją uśmiechem, który książę usiłował na usta przywołać. Oddech jego, zwykle krótki, stał się jeszcze krótszy, szeroka pierś wzdymała się pod złotogłowie, a oczy nakrył do połowy powiekami i groza jakaś była w tej potężnej twarzy i lodowatość, jakie bywają w krzepnących rysach w chwilach skonu.

— Co jest księciu! co tu się dzieje? — szeptano naokoło niespokojnie.

I złowrogie przeczucie ścisnęło wszystkich serca; trwożliwe oczekiwanie osiadło na obliczach.

On tymczasem mówić począł krótkim, przerywanym przez asłmę głosem:

— Mości panowie!... Wielu zpomiędzy was... zdziwi... albo zgoła przestraszy ten toast... ale... kto mi ufa i wierzy... kto prawdziwie chce dobra ojczyzny... kto wiernym mojego domu przyjacielem... ten go wzniesie ochotnie... i powtórzy za mną:

— Vivat Carolus Gustavus rex... od dziś dnia łaskawie nam panujący!

— Vivat! — powtórzyli dwaj posłowie Loewenhaupt i Shitte, oraz kilkunastu oficerów cudzoziemskiego autoramentu.

Lecz w sali zapanowało głucho milczenie. Pułkownicy i szlachta spoglądali na siebie przerażonym wzrokiem, jakby pytając się wzajem, czy książę zmysłów nie utracił. Kilka głosów ozwało się wreszcie w różnych miejscach stołu:

— Czy my dobrze słyszym? Coto jest?

Potem znowu nastąpiła cisza.

Zgroza niewypowiedziana w połączeniu ze zdumieniem odbiła się na twarzach i oczy wszystkich znów zwróciły się na Radziwiłła, a on stał ciągle i oddychał głęboko, rzekłbyś: niezmierny jakiś ciężar zrzucił z piersi. Barwa wracała mu zwolna na twarz; następnie zwrócił się do pana Komorowskiego i rzekł:

— Czas promulgować ugodę, którąśmy dzisiaj podpisali, aby ichmościowie wiedzieli, czego się trzymać. Czytaj wasza miłość!

Komorowski wstał, rozwinął leżący przed sobą pergamin i począł czytać straszną ugodę, rozpoczynając się od słów:

— „Nie mogąc lepiej i dogodniej postąpić w najburzliwszym terazniejszym rzeczy stanie, po utraceniu wszelkiej nadziei na pomoc najjaśniejszego króla, my panowie i stany wielkiego księstwa litewskiego, koniecznością zmuszeni, poddajemy się pod protekcją najjaśniejszego króla szwedzkiego na tych warunkach:

1) Łącznie wojować przeciw wspólnym nieprzyjaciołom, wyjąwszy króla i koronę polską.

2) W. księstwo litewskie nie będzie do Szwecyi wcielone, lecz z nią takim sposobem połączone, jak dotąd z koroną polską, to jest, aby naród narodowi, senat senatowi, a rycerstwo rycerstwu we wszystkim było równe.

3) Wolność głosu na sejmach nikomu nie ma być bronioną.

4) Wolność religii ma być nienaruszona...“

I tak dalej czytał pan Komorowski wśród ciszy i zgrozy aż gdy doszedł do ustępu: „...Akt ów stwierdzamy podpisami naszemi za nas i potomków naszych, przyrzekamy i warujemy“ — szmer uczynił się w sali, jakby pierwsze tchnienie burzy wstrząsnęło borem. Lecz nim burza wybuchła, siwy jak gołąb pan Stankiewicz zabrał głos i począł błagać:

— Mości książę! Uszom własnym wierzyć nie chcemy! Na rany Chrystusa! takżeto ma pójść w niewecz dzieło Władysławowe i Zygmunta Augusta? Zali można, zali godzi się braci odstępować, ojczyzny odstępować, i z nieprzyjacielem unią zawierać? Mości książę, wspomnij na imię, które nosisz, na zasługi, które ojczyźnie oddałeś, na sławę niepokalaną dotąd rodu twego i zedrzyj i podepcz ten dokument haniebny! Wiem, że nie w swoim imieniu tylko proszę, ale w imieniu wszystkich tu obecnych wojskowych i szlachty. Toż i nam służy o losie naszym stanowić. Mości książę! nie czyń tego, czas jeszcze!... Zmiłuj się nad sobą, zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad Rzeczpospolitą!

— Nie czyń tego! Zmiłuj się, zmiłuj! — ozwały się setne głosy.

I wszyscy pułkownicy zerwali się z miejsc swoich i szli ku niemu, a sędziwy Stankiewicz klęknął na

środku sali, pomiędzy dwoma ramionami stołu i coraz potężniej brzmiało naokoło:

— Nie czyń tego! Zmiłuj się nad nami!

Radziwiłł podniósł swoją potężną głowę i błyskawice gniewu poczęły przelatywać mu po czole; nagle wybuchnął:

— Waszmościomże to przystoi pierwszym dawać przykład niekarność? Wojskowymże to przystoi wodza, hetmana, odstępować i protestacją zanosić? Wyto chcecie być mojem sumieniem? Wy chcecie uczyć mnie, jak dla dobra ojczyzny postąpić należy? Nie sejmik to i nie na wotą was tu wezwano, a przed Bogiem ja biorę odpowiedzialność!

I dłoń uderzył się w pierś szeroką, poglądając iskrzącym wzrokiem na żołnierzy, a po chwili zakrzyknął:

— Kto nie ze mną, ten przeciw mnie! Znałem was, wiedziałem, co będzie!... A wy wieście, że miecz wisi nad waszemi głowami!...

— Mości książę! hetmanie nasz! — błagał stary Stankiewicz — zmiłuj się nad sobą i nad nami!

Lecz dalsze jego słowa przerwał Stanisław Skrzetuski, który porwawszy się obu rękoma za włosy, począł wołać rozpaczliwym głosem:

— Nie błagajcie go, to na nic! On tego smoka oddawna w sercu hodował!... Biada ci, Rzeczpospolito! Biada nam wszystkim!

— Dwóch dygnitarzy na dwóch krańcach Rzeczypospolitej zaprzeda je ojczyznę! — odezwał się Jan. — Przekleństwo temu domowi, hańba i gniew boży!

Słyszając to pan Zagłoba, otrząsł się ze zdumienia i wybuchnął:

— Pytajcie się go, jakie korupcye wziął od Szwe-
da? Ile mu wyliczono? Ile mu jeszcze obiecano? Mości
panowie, oto Judasz Iskariota! Bodajęs konał w roz-
paczy! bodaj ród twój wygasł! bodaj dyabeł duszę
z ciebie wywlókł... zdrajco! zdrajco! po trzykroć
zdrajco!

Wtem Stankiewicz w uniesieniu rozpaczy wycią-
gnął pułkownikowską buławę z zapasa i cisnął ją z trza-
skiem do nóg księcia. Drugi cisnął Mirski, trzeci Józe-
fowicz, czwarty Hoszczyc, piąty, błydy jak trup, pan
Wołodyjowski, szósty Oskierka — i toczyły się po podło-
dze buławy, a jednocześnie w tej lwiej jaskini, lwu do
oezu, coraz więcej ust powtarzało straszliwy wyraz:

— Zdrajca!... zdrajca!...

Wszystka krew napłynęła do głowy dumnemu
magnatowi; zsunął, rzekłbyś: za chwilę zwali się tru-
pem pod stół.

— Ganchoff i Kmicie do mnie!... — ryknął stra-
szliwym głosem.

W tej chwili czworo podwojów, wiodących do sali,
rozwarło się naraz z łoskotem i oddziały szkockiej pie-
choty wkroczyły groźne, milczące, z muszkietami w rę-
ku. Od głównych drzwi wiódł je Ganchoff.

— Stój! — krzyknął książę.

Poczem zwrócił się do pułkowników:

— Kto za mną, niech przejdzie na prawą stronę
sali!

— Ja żołnierz, hetmanowi służę! Bóg niech mnie
sądzi!... — rzekł Charłamp, przechodząc na prawą
stronę.

— I ja! — dodał Mieleszko. — Nie mój będzie
grzech!

— Protestowałem jako obywatel, jako żołnierz słuchać muszę — dodał trzeci Niewiarowski, który, chociaż poprzednio buławę rzucił, teraz widocznie uląkł się Radziwiłła.

Za nimi przeszło kilku innych i spora wiązka szlachty; lecz Mirski, najwyższy godnością i Stankiewicz najstarszy wiekiem i Hoszczyc i Wołodyjowski i Oskierka pozostali na miejscu, a z nimi dwóch Skrzetuskich, pan Zagłoba i ogromna większość, tak towarzyszków rozmaitych poważnych i lekkich chorągwi, jak i szlachty.

Szkocka piechota otoczyła ich murem.

Kmicic od pierwszej chwili, w której książę wznosił toast na cześć Karola Gustawa, zerwał się wraz ze wszystkimi z miejsca, oczy postawił w słup i stał jak skamieniały, powtarzając zbladłemi wargami:

— Boże!... Boże!... Boże!... com ja uczynił?..

Wtem głos cichy, ale dla jego ucha wyraźny, zaszeptał blisko:

— Panie Andrzeju!...

On chwycił się nagle rękoma za włosy:

— Przeklętym na wieki!... Bodaj mnie ziemia pożarła!...

Na twarz Billewiczówny wystąpiły płomienie, a oczy, jak gwiazdy jasne, utkwiała w Kmicicu:

— Hańba tym, którzy przy hetmanie stają!... Wybieraj!... Boże Wszchemogący!... Co waćpan czynisz?!... Wybieraj!...

— Jezu! Jezu! — zakrzyknął Kmicic.

Tymczasem sala rozległa się okrzykami, inni właśnie rzucali buławy pod nogi księcia, ale Kmicic nie przyłączył się do nich! nie ruszył się i wówczas, gdy książę zakrzyknął: „Ganchoff i Kmicic do mnie!“ — ani

gdy piechota szkocka weszła już do sali — i stał targany boleścią i rozpaczą, z obłąkanym wzrokiem, z zsiniałemi usty.

Nagle zwrócił się do Billewiczówny i wyciągnął do niej ręce:

— Oleńka!... Oleńka! — powtórzył z jękiem żalnym, jak dziecko, które krzywda spotyka.

Lecz ona cofnęła się ze wstrętem w twarzy i zgrozą.

— Precz... zdrajco! — odpowiedziała dobitnie.

W tej chwili Ganchoff skomenderował: „Naprzód!” i oddział Szkotów, otaczający więźniów, ruszył ku drzwiom.

Kmicie począł iść za nimi jak nieprzytomny, nie wiedząc, dokąd i poco idzie.

Uczła była skończona...

ROZDZIAŁ XIV.

Tej samej jeszcze nocy, książę długo naradzał się z panem Korfem, wojewodą wendeńskim i z posłami szwedzkimi. Rezultat ogłoszenia umowy zawiódł jego oczekiwania i odstąpił mu groźną przyszłość. Umyślnie chciał książę, by promulgacya nastąpiła w czasie uczty, gdy umysły są podniecone, ohochoze i do wszelkiej zgody skłonne. Spodziewał się w każdym razie oporu, ale liczył i na stronników, tymczasem energia protestu przeszła jego oczekiwania. Prócz kilkudziesięciu szlachty kalwinów i garści oficerów obcego pochodzenia, którzy jako cudzoziemcy nie mogli mieć w tej sprawie głosu — wszyscy oświadczyli się przeciw układowi z Karolem Gustawem, a raczej z feldmarszałkiem jego i szwagrem Paulusem de la Gardie zawartemu.

Książę kazał wprowadzić aresztować oporną starszyzną wojskową, ale cóż z tego? Co na to rzekną chorągwie komputowe? . . . Czy się o swoich pułkowników nie upomną? Czy się nie zbuntują i nie będą chciały siłą ich odbić? A w takim razie cóż zostanie dumnemu księciu, prócz kilku regimentów dragońskich i cudzoziemskiej piechoty?

Potem... pozostaje jeszcze cały kraj, wszystka zbrojna szlachta — i Sapieha, wojewoda witebski, groźny przeciwnik radziwiłłowskiego domu, gotów na wojnę z całym światem w imię całości Rzeczypospolitej. Owi pułkownicy, którym nie można przecie szyi poucinać, owe chorągwie polskie pójdą do niego i Sapieha stanie na czele wszystkich sił kraju, a książę Radziwiłł ujrzy się bez wojska, bez stronników, bez znaczenia... Cóż wówczas się stanie?...

Były to pytania straszne, bo i położenie było straszne. Książę rozumiał dobrze, że wówczas i umowa, nad którą w skrytości tyle pracował, siłą rzeczy straci wszelkie znaczenie, a wówczas i Szwedzi lekceważyć go będą, albo nawet mścić się za doznany zawód. Wszakże oddał im swe Birze w zakład wierności, ale przez to tem więcej się osłabił.

Karol Gustaw gotów był sypać obu rękoma nagrody i zaszczyty dla potężnego Radziwiłła — słabym i opuszczonym od wszystkich wzgardzi. A jeśli odmienna szczęścia kolej zesze zwycięstwo Janowi Kazimierzowi, wówczas ostatnia zguba nastanie dla tego pana, który dziś jeszcze rano nie miał równego sobie w całej Rzeczypospolitej.

Po odjeździe posłów i wojewody wendeńskiego, książę chwycił brzemienne troskami czoło w obie dłonie i począł chodzić szybkimi krokami po komnacie... Z zewnątrz dochodziły głosy wartowników szkockich i turkot odjeżdżających kolasek szlacheckich! Odjeżdżały tak szybko jakoś i pośpiesznie, jakby zaraza padła na wspaniały kiejdański zamek. Straszliwy niepokój targał duszę Radziwiłła.

Zdawało mu się chwilami, że prócz niego jest jeszcze ktoś i chodzi za nim i szeptem mu do ucha: opuszczenie, ubóstwo, a do tego hańba... Wszakże on, wojewoda wileński i hetman wielki, już był zdeptany i upokorzony! Ktoby przypuszczał wczoraj, że w całej Koronie i Litwie, ba! w całym świecie, znajdzie się człowiek, któryby śmiał zakrzyknąć mu do oczu: „Zdrajca!“ A przecie on tego wysłuchał i żyw dotąd i ci, którzy ów wyraz wymówili, żywi także. Może, gdyby wszedł do owej sali, w której odbywała się uczta, usłyszałby jeszcze, jak echo wśród gzymsów i pod sklepieniami powtarza: „Zdrajca! zdrajca!“

I gniew szalony, wściekły, chwycił chwilami za pierś oligarchy. Nozdrza jego rozdymały się, oczy ciaskały błyskawice, żyły występowały na czole. Kto tu śmie stawiać opór jego woli?... Rozszalała myśl stawiała mu przed oczy obraz kar i mąk dla buntowników, którzy ośmielili się nie iść jak pies za jego nogami. I widział krew ich ściekającą z katowskich toporów, słyszał chrupot kości, łamanych kołem i kapał się i lubował i nasycił krwawymi widziadłami.

Lecz gdy trzeźwiejsza rozwaga przypomniała mu, że za tymi buntownikami stoi wojsko, że nie można bezkarnie łbów im poskręcać, wówczas niepokój nieznośny, piekielny, wracał i napełniał jego duszę, a ktoś znów poczynął szeptać mu do ucha:

„Opuszczenie, ubóstwo, sąd i hańba...“

— Jakżeto? więc Radziwiłłowi nawet nie wolno stanowić o losie kraju? utrzymać go przy Janie Kazimierzu lub dać Karolowi Gustawowi? dać, przekazać, darować, komu zechce?

Magnat spojrzął ze zdumieniem przed siebie,

Więc cóż są Radziwiłłowie? więc czemuże byli wczoraj? co mówiono powszechnie na Litwie?... Zali to wszystko było złudzeniem? Zali przy hetmanie wielkim nie stanie książę Bogusław ze swojemi pułkami, za nim wuj elektor Brandeburski, a za wszystkimi trzema Karol Gustaw, król szwedzki, z całą zwycięską potęgą, przed którą niedawno jeszcze drżały Niemcy jak długie i szerokie? Toż i ta Rzeczpospolita polska wyciąga ku nowemu panu ręce i ona poddaje się na samą wieść o zbliżaniu się północnego lwa. Któż stawi opór tej sile niepohamowanej?

Z jednej strony król szwedzki, elektor brandeburski, Radziwiłłowie, w potrzebie i Chmielnicki z całą potęgą i gospodar wołoski i Rakoczy siedmiogrodzki, pół niemal Europy! — z drugiej pan wojewoda witebski z panem Mirskim, z panem Stankiewiczem, z ową trójką szlachty przybyłej zpod Łukowa i z kilku zbuntowanymi chorągwiami!... Coto jest? żarty? krotofila?...

Tu nagle książę zaczął się śmiać głośno.

— Przez lucypera i cały sejm piekielny, chyba oszalał!... Niech i wszyscy pójdą do wojewody witebskiego!

Po chwili jednak twarz jego zasępiła się znowu:

— Ci potężni tylko potężnych do spółki przypuszczają. Radziwiłł rzucający Litwę pod szwedzkie nogi, będzie pożądanym... Radziwiłł wzywający pomocy przeciwników Litwie, będzie lekceważony.

Co czynić?

Oficerowie cudzoziemscy wytrwają przy nim, ale siły ich niedostateczne i jeśli polskie chorągwie przejdą do wojewody witebskiego, wtedy on będzie miał losy kraju w ręku. Zresztą każdy z tych oficerów spełni

wprawdzie rozkazy, ale nie poślubi sprawy radziwiłłowskiej całą duszą, nie odda się jej z zapałem, nietylko jako żołnierz, lecz jako stronnik.

Tu koniecznie trzeba mieć nie cudzoziemców, ale ludzi swoich, którzyby mogli pociągnąć innych nazwiskiem, męstwem, sławą, zuchwałym przykładem, gotowością na wszystko . . . Trzeba mieć w kraju stronników, choćby dla pozorów.

Któż zaś z tych swoich opowiedział się przy księciu? Charłamp, stary, zużyty żołnierz, dobry do służby i do niczego więcej; Niewiarowski, nielubiany w wojsku i bez wpływu; za nimi kilku innych mniejszego jeszcze znaczenia. Nikt z innych, nikt z takich, za którymby poszło wojsko, nikt z takich, któryby mógł być propagatorem sprawy.

Pozostawał Kmicic, młody, przedsiębiorczy, zuchwały, okryty wielką sławą rycerską, noszący znamienite nazwisko, stojący na czele potężnej chorągwi, częścią własnym kosztem wystawionej, człowiek jakby stworzony na wodza wszystkich zuchwałych i niespokojnych duchów na Litwie, a przytem pełen zapału. Gdyby on chwycił się sprawy radziwiłłowskiej, to chwyciłby się jej z wiarą, jaką daje młodość, szedłby za swym hetmanem naślepo i apostołowałby w jego imieniu, a taki apostoł znaczy więcej, niż całe pułki, niż całe regimenty cudzoziemców. Swą wiarę potrafiłby wlać w serca młodego rycerstwa, pociągnąć je za sobą i wypełnić ludźmi radziwiłłowski obóz.

Lecz i on zawahał się widocznie. Nie rzucił wprawdzie swej buławy pod nogi hetmana, ale nie stanął przy nim w pierwszej chwili.

— Na nikogo nie można liczyć, nikogo nie można

być pewnym — pomyślał posepnie książę. — Wszyscy oni przejdą do wojewody witebskiego i nikt nie zechce się ze mną podzielić. . .

— Hańbą! — poszepnęło sumienie.

— Litwą — odpowiedziała z drugiej strony pycha.

W komnacie pociemniało, bo na knotach świec osiadły grzyby, jeno przez okna wpływało srebrne światło księżycy. Radziwiłł wpatrzył się w te blaski i zamyslił się głęboko.

Zwolna poczęło się coś macić w tych blaskach, wstawały jakieś postacie i coraz ich było więcej, aż wkońcu ujrzał książę jakoby wojska idące ku sobie z górnych szlaków szeroką księżycową drogą. Idą pułki pancerne, husarskie i lekkie petyhorskie, las chorągwi płynie nad nimi, a na czele jedzie jakiś człowiek bez hełmu na głowie, widocznie tryumfator wracający po wojnie zwycięskiej. Cisza naokoło, a książę słyszy wyraźnie głos wojska i ludu: „Vivat defensor patriae! vivat defensor patriae!“ Wojska zbliżają się coraz więcej; już twarz wodza można rozpoznać. Buławę trzyma w rękę; z liczby buńczuków można poznać, że to hetman wielki.

— W Imię Ojca i Syna! — woła książę — to Sapiaha, to wojewoda witebski! A gdzie ja jestem? i co mnie przeznaczono?

— Hańbę! — szepce sumienie.

— Litwę! — odpowiada pycha.

Książę zaklasnął w dłonie; czuwający w przyległej komnacie Harasimowicz ukazał się natychmiast we drzwiach i zgiął się we dwoje.

— Światła! — rzekł książę.

Harasimowicz poobjaśniał knoty od świec, poczem wyszedł i po chwili wrócił ze świecznikiem w rękę.

— Wasza ks. mość! — rzekł — czas na spoczynek, już drugie kury piałły!

— Nie chcę! — rzekł książę. — Zdrzemnąłem się i zmora mnie dusiła. Co tam nowego?

— Jakiś szlachcic przywiózł list z Nieświeża od księcia krajczego, ale nie śmiałem wchodzić nieprzyzwany.

— Dawaj coprędzej list!

Harasimowicz podał zapieczętowane pismo, książę otworzył i począł czytać, co następuje:

„Niech w. ks. mość Bóg broni i powstrzyma od takowych zamysłów, które wieczną hańbę i zniszczenie domowi naszemu przynieść mogą. Za sam takowy zamiar, nie o panowaniu, ale o włościennicy myśleć. Mnie też wielkość naszego domu na sercu leży, a najlepszy dowód w staraniach, jakie w Wiedniu czyniłem, abyśmy suffragia w sejmach rzeszy mieć mogli. Ale ojczyzny, ani pana swojego za żadne nagrody i potęgę ziemską nie zdradzę, abym zaś po takiej siejbie żniwa hańby za życia i potępienia po śmierci nie zebrał. Wejrzyj wasza ks. mość na zasługi przodków i na sławę niepokalaną i opamiętaj się na miłosierdzie boskie, póki czas potemu służy. Nieprzyjaciel oblega mnie w Nieświeżu i nie wiem, zali to pismo dojdzie rąk waszej ks. mości; ale chociaż każda chwila zgubą mi grozi, nie o ocalenie Boga proszę, jeno aby waszę ks. mość od tych zamysłów powstrzymał i na drogę cnoty naprowadził. Choćby się już co złego uczyniło, jeszcze recedere wolno i prędką poprawą zgładzić grzechy potrzeba. A ode mnie nie spodziewajcie się pomocy, bo to zgóry oświad-

czam, że bez względu na związek krwi, ja siły swoje z panem podskarbis i z wojewodą witebskim połączę i oręż mój sto razy prędeej przeciw w. ks. mości zwrócę, zanimbym do tej haniebnej zdrady miał dobrowolnie przyłożyć ręki. Bogu w. ks. mość polecam.

Michał Kazimierz Radziwiłł,

Książę na Nieświeżu i Ołyce, krajczy W. Ks. Litewskiego.

Hetman skończywszy list, opuścił go na kolana i począł kiwać głową z bolesnym na twarzy uśmiechem.

— I ten mnie opuszcza, własna krew mnie się wypiera, za to, żem chciał dom nasz nieznanym dotąd blaskiem przyozdobić!... Ha! trudno! Pozostaje Bogusław i ten mnie nie opuści... Z nami elektor i Carolus Gustavus, a kto nie chce siać, ten i zbierać nie będzie...

— Hańby! — szepnęło sumienie.

— W. ks. mość raczy dać odpowiedź? — pytał Harasimowicz.

— Nie będzie odpowiedzi.

— Mogęż odejść i pokojowych przysłać?

— Czeka. . . Czy warty pilno rozstawione?

— Tak jest.

— Ordynanse do chorągwi rozesłane?

— Tak jest.

— Co robi Kmicic?

— Łbem o ścianę bił i krzyczał o potępieniu. Wił się, jak piskorz. Chciał uciekać za Billewiczami, warty go nie puściły. Porwał się do szabli, musiano go związać. Teraz leży spokojnie.

— Miecznik rosieński wyjechał?

— Nie było rozkazu, żeby go wstrzymać.

— Zapomniałem! — rzekł książę. — Otwórz okna,

bo duszno i astma mnie dusi. Chartampowi powiedz, żeby do Upity po chorągiew ruszał i zaraz ją tu sprowadził. Pieniądzy mu dać, niech pierwszą ćwierć ludziom zapłaci i podochocić im pozwoli... Powiedz mu, że Dydkiemie w dożywocie po Wołodyjowskim weźmie. Astma mnie dusi... Czekać!

— Wedle rozkazu w. ks. mości.

— Co robi Kmicic?

— Jakó rzekłem waszej książęcej mości, leży spokojnie.

— Prawda! mówiłeś... Każ go tu przysłać. Potrzebuję z nim mówić. Więzy każ mu zdjąć.

— W. ks. m., to człowiek szalony...

— Nie bój się, ruszaj!

Harasimowicz wyszedł; książę zaś wyjął z weneckiego biurka pudełko z pistoletami, otworzył je i położył sobie pod ręką na stole, przy którym usiadł.

Po kwadransie czasu wszedł Kmicic, wprowadzony przez czterech trabantów szkockich. Książę kazał odejść żołnierzom. Zostali samnasam.

Zdawało się, że niema ani jednej kropli krwi w twarzy junaka, tak była blada; oczy tylko świeciły mu gorączkowo, ale zresztą był spokojny, zrezygnowany, lubo zdawał się być pogrążony w bezgranicznej rozpacz.

Przez chwilę milczeli obaj. Przemówił pierwszy książę:

— Przysiągłeś na krucyfiksie, że nie opuścisz mnie!

— Potępiony będę, gdy tej przysięgi nie dotrzymam; potępiony będę, gdy jej dotrzymam! — rzekł Kmicic. — Wszystko mi jedno!

— Choćbym cię do złego prowadził, nie ty będziesz odpowiadał.

— Przed miesiącem groziły mi sądy i kary za zabójstwa... dziś wydaje mi się, że w onczas był niewinny, jak dziecko!

— Nim wyjdiesz z tej komnaty, będziesz się czuł rozgrzeszony ze wszystkich swych win dawniejszych — rzekł książę.

Nagle, zmieniawszy ton, spytał z pewną poufałą dobroduszością:

— Co też sądzisz, co ja powinienem być uczynić wobec dwóch nieprzyjaciół, stokroć potężniejszych, przeciwko którym obronić tego kraju nie mogłem?

— Zginać! — odpowiedział szorstko Kmicic.

— Zazdrościć wam, żołnierzom, którym wolno tak łatwo zrzucić gniotące brzemię. Zginać! Kto śmierci w oczy patrzył i nie boi się jej, temu nic prostszego w świecie. Was głowa nie boli o to i żadnemu na myśl nie przyjdzie, że gdybym ja teraz wojnę zaciekłą rozniecił i nie zawarłszy układu, zginał, tedyby kamień na kamieniu z tego kraju nie pozostał. Nie daj Bóg, aby się to stało, bo i w niebie nie znalazłaby dusza moja spoczynku. O, terque, quaterque beati, którzy możecie zginać!... Zali to myślisz, że i mnie żywot już nie cięży, że nie głodny wiekuistego snu i odpoczynienia? Ale trzeba kielich żółci i goryczy wychylić do dna. Trzeba ratować ten nieszczęśliwy kraj i dla jego ratunku pod nowym ugiąć się ciężarem. Niech zazdrośni posądzają mnie o pychę, niech mówią, że ojczyznę zdradzam dlatego, aby siebie wynieść, Bóg mnie widzi, Bóg sądzi, czy pragnę tego wyniesienia i czybym się nie rzekł, gdyby inaczej być mogło... Znajdźcież wy,

którzy mnie odstępujecie, środek ratunku; wskażcie drogę wy, którzyście mnie zdrajcą mianowali, a dziś jeszcze podrę ten dokument i wszystkie chorągwie ze snu rozbudzę, aby na nieprzyjaciela ruszyć.

Kmicic milczał.

— No! czemu milczysz? — zawołał podniesionym głosem Radziwiłł — czynię cię na mojem miejscu hetmanem wielkim i wojewodą wileńskim, a ty nie giń, bo to nie sztuka, ale ratuj kraj: broń województw zajętych, pomścij popioły Wilna, broń Żmudzi przeciw szwedzkiemu najściu, ba! broń całej Rzeczypospolitej, wyżeń z granic wszystkich nieprzyjaciół!... Porwij się samotrzeć na tysiące i nie giń!... i nie giń, bo ci nie wolno, ale ratuj kraj!...

— Nie jestem hetmanem i wojewodą wileńskim — odparł Kmicic — i co do mnie nie należy, to nie moja głowa... Ale jeśli chodzi o to, by się porwać samotrzeć na tysiące, to się porwę!

— Słuchaj tedy żołnierzu: skoro nie twoja głowa ma ratować kraj, to zostaw to mojej i ufaj!

— Nie mogę! — rzekł ze ściśniętymi zębami Kmicic.

Radziwiłł potrząsnął głową:

— Nie liczyłem na tamtych, spodziewałem się tego, co się stało, alem się na tobie zawiódł. Nie przerywaj i słuchaj... Postawiłem cię na nogi, uwolniłem od sądu i od kary, przygarnąłem do serca, jak syna. Czy wiesz dlaczego? Bom myślał, że masz duszę śmiałą, do wielkich przedsięwzięć gotową. Potrzebowałem takich ludzi, tego nie ukrywam. Nie było koło mnie nikogo, ktoby śmiał w słońce spojrzeć nieulekłym okiem. Byli ludzie małego ducha i małej fantazyi. Takim nie

ukazuj nigdy innej drogi, jak ta, po której oni sami i ich ojcowie chodzić zwykli, bo cię zakraczą, że ich na manowce prowadzisz. A przecie gdzie, jeżeli nie do przepaści, doszliśmy wszyscy owemi starymi drogami? Co się dzieje z tą Rzeczpospolitą, która niegdyś światu przegrażać mogła?

Tu książę głowę wziął w ręce i powtórzył potrzykroć:

— Boże! Boże! Boże!...

Po chwili tak mówił dalej:

— Nadeszły czasy gniewu Bożego, czasy takich klęsk i takiego upadku, że zwykłemi sposobami już nam się nie podnieść z tej choroby, a gdy ja chcę użyć nowych, jedynie salutem przynieść mogących, tedy mnie opuszczają nawet ci, na których gotowość liczyłem, którzy powinni mi byli ufać, którzy mi ufność na krucyfiksie zaprzysięgli... Przez krew i rany Chrystusa! Zali ty myślisz, że ja na wieki poddałem się pod protekcją Karola Gustawa, że ja ten kraj naprawdę myślę ze Szwecją połączyć, że ten układ, za który zdrajcą mnie okrzyknięto, dłużej niż rok trwać będzie?... Czegożto spoglądasz zdumionemi oczyma?... Więcej się jeszcze zdumiejesz, gdy wszystkiego wysłuchasz... Więcej się przerażisz, bo tu stanie się coś takiego, czego nikt się nie domyśla, nikt nie przypuszcza, czego umysł zwyczajnego człowieka objąć nie zdoła. Ale mówię ci, nie drżysz, bo w tem zbawienie tego kraju, nie cofaj się, bo gdy nikogo nie znajdę do pomocy, tedy może zginę, ale ze mną zginie Rzeczpospolita i wy wszyscy — na wieki! Ja jeden uratować ją mogę, ale na to muszę zgnieść i zdeptać wszystkie przeszkody. Biada temu, kto mi się oprze, bo sam Bóg go przeze mnie zetrze, czy to będzie pan

wojewoda witebski, czy pan podskarbi Gosiewski, czy wojsko, czy szlachta oporna. Chcę ratować ojczyznę i wszystkie drogi, wszystkie sposoby do tego mi dobre... Rzym w chwilach klęski mianował dyktatorów — takiej, ba! większej, trwalszej władzy mi potrzeba... Nie pycha mnie do niej ciągnie — kto się czuje na siłach, niech ją za mnie bierze! Ale gdy niema nikogo, ja ją wezmę, chyba mi te mury pierwiej upadną na głowę!...

To rzekłszy, książę wyciągnął obie ręce do góry, jakby naprawdę chciał podeprzeć walące się sklepienia i było w nim coś tak olbrzymiego, że Kmicie otworzył szeroko oczy i patrzył nań, jakby go nigdy dotąd nie widział — a nakoniec spytał zmienionym głosem:

— Dokąd wasza książęca mość dążysz?... Czego chcesz?...

— Chcę... korony! — zakrzyknął Radziwiłł.

— Jezus, Marya!...

Nastała chwila głuchoj ciszy — jeno puszczyk na wieży zamkowej począł się śmiać przeraźliwie.

— Słuchaj, — rzekł książę — czas powiedzieć ci wszystko... Rzeczpospolita ginie... i zginąć musi. Nie masz dla niej na ziemi ratunku. Chodzi o to, by najprzód ten kraj, tę naszą ojczyznę bliższą, ocalić z rozbicia... a potem... potem wszystko odrodzić z popiołów, jako się feniks odradza... Ja to uczynię... i tę koronę, której chcę, włożę jako ciężar na głowę, by z onej wielkiej mogiły żywot nowy wyprowadzić... Nie drzyj! ziemia się nie rozpada, wszystko stoi na dawnym miejscu, jeno czasy nowe przychodzą... Oddałem ten kraj Szwedom, aby ich orężem drugiego nieprzyjaciela pohamować, wyżenać go z granic, odzyskać co stracone i w jego własnej stolicy mieczem traktat wymusić...

Słyszysz ty mnie? Ale w onej skalistej, głodnej Szwecyi niemasz dość ludzi, dość sił, dość szabel, aby tę niezmierną Rzeczpospolitą zagarnąć. Mogą zwyciężyć raz i drugi nasze wojsko; utrzymać nas w posłuszeństwie nie zdołają... Gdyby każdym dziesięciu ludziom tutejszym dodać za strażnika jednego Szweda, jeszczeby dla wielu dziesiątków strażników nie stało... I Karol Gustaw wie o tem dobrze i nie chce i nie może zagarnąć całej Rzeczypospolitej... Zajmie Prusy królewskie, część Wielkopolski co najwięcej — i tem się będzie kontentował. Ale aby owemi nabytkami mógł na przyszłe czasy bezpiecznie władać, musi sojusz Korony z nami rozerwać, bo inaczej nie osiedziałyby się w tamtych prowincjach. Cóż się więc stanie z tym krajem? Komu go oddadzą? Oto, jeśli ja odrzucę tę koronę, którą mi Bóg i fortuna na głowę kładła, tedy oddadzą go temu, kto go w tej chwili istotnie opanował... Lecz Karol Gustaw nie rad tego czynić, by sąsiedzkiej potęgi zbytnio nie utuczyć i groźnego sobie nieprzyjaciela nie stworzyć. Chyba, że ja koronę odrzucę, wówczas musi tak być... Zali więc mam prawo ją odrzucać? Zali mogę pozwolić, aby stało się to, co ostatnią zgubą grozi? Po raz dziesiąty i setny pytam: gdzie inny środek ratunku? Niech się więc dzieje wola Boża! Biorę ten ciężar na ramiona. Szwedzi są za mną, elektor, nasz krewny, pomoc przyrzeka. Uwolnię kraj od wojny! Od zwycięstw i rozszerzenia granic rozpocznę panowanie domu mego. Zakwiśnie spokój i pomyślność, ogień nie będzie palił wsi i miast. Tak będzie i tak być musi... Tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż — bo czuję w sobie siłę i moc z nieba mi daną, bo chcę szczęścia tej krainy, bo nie tu jeszcze koniec moich zamysłów... I na tę światła niebieskie

przysięgam, na te drgające gwiazdy, że niech jeno sił i zdrowia mi starczy, a cały ten gmach walący się dzisiaj odbuduję nanowo i potężniejszym, niż dotąd go uczynię.

Ogień bił ze źrenic i oczu księcia i całą jego postać otaczał jakiś blask niezwykły.

— Wasza ks. mość! — zakrzyknął Kmicic — umysł objąć tego nie może, głowa pęka, oczy boją się patrzeć przed siebie!

— Potem — mówił dalej Radziwiłł, jakby idąc za dalszym biegiem własnych myśli — potem... Jana Kazimierza nie pozbawią Szwedzi państwa, ni panowania, ale go w Mazowszu i Małopolsce zostawią. Bóg mu nie dał potomstwa. Potem przyjdzie elekcyja... Kogoż na tron wybiorą, jeśli chcą dalszy sojusz z Litwą utrzymać? Kiedyżto tamta korona doszła do potęgi i zgniotła moc krzyżacką? Oto, gdy na jej tronie zasiadł Władysław Jagiełło. I teraz tak będzie... Polacy nie mogą kogo innego na tron powołać, jeno tego, kto tu będzie panował. Nie mogą i nie uczynią tego, bo zginą, bo im między Niemcami i Turczynem powietrza w piersi nie stanie, gdy i tak rak kozacki pierś tę toczy. Nie mogą! Ślepy, kto tego nie widzi; głupi, kto tego nie rozumie! A wówczas obie krainy znowu się połączą i zleją się w jedną potęgę w domu moim! Wówczas obaczym, czy oni królikowie skandynawscy ostoją się przy dzisiejszych pruskich i wielkopolskich nabytkach. Wówczas powiem im: *quos ego!* i tą stopą wychudłe żebra im przycisnę i stworzę taką potęgę, jakiej świat nie widział, o jakiej dzieje nie pisały, a może do Konstantynopola krzyż, miecz i ogień poniesiem i grozić będziem nieprzyjaciółom, spokojni wewnątrz! Wielki Boże, który obra-

casz gwiazd kręgi, dajże mi ocalić tę nieszczęsną krainę na chwałę Twoją i całego chrześcijaństwa, dajże mi ludzi, którzyby zrozumieli myśl moją i do zbawienia chcieli rękę przyłożyć. Otom jest!...

Tu książę ręce rozłożył i oczy podniósł do góry:

— Ty mnie widzisz! Ty mnie sądzisz!...

— Mości książę! Mości książę! — zawołał Kmicie.

— Idź! opuść mnie! rzuć mi buzdycan pod nogi! złam przysięgę! przezwij zdrajcą!... Niech w tej koronie cierniowej, którą mi na głowę włożono, żadnego ciernia nie zbraknie! Zgubcie kraj, pograżcie go w przepaść, odtrąćcie rękę, która go zbawić może i na sąd boży idźcie... Tam niechaj nas rozsądzą...

Kmicie rzucił się na kolana przed Radziwiłłem.

— Mości książę! ja z tobą do śmierci! ojcie ojczyzny! zbawco!

Radziwiłł złożył mu obie ręce na głowie i znów nastąpiła chwila milczenia... Jeno puszczyk śmiał się ciągle na wieży.

— Wszystko otrzymasz, czegoś pragnął i pożądał — rzekł uroczyście książę. — Nic cię nie minie, a więcej spotka, niż ci ojciec i matka życzyli... Wstań przyszedł hetmanie wielki i wojewodo wileński!...

Na niebie poczęło świtać.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

PG 7158

.54

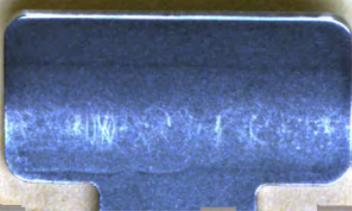
P6

1888

t.1



A000001773897





A000001773897